MAURICE DRUON

lew i lilie

(I)

Maurice Druon

Królowie przeklęci

Tom VI

Lew i lilie.

“Polityka polega na woli zdobycia i zachowania władzy; wymaga więc działania drogą przymusu albo łudzenia umysłów... Istota polityki siłą rzeczy zmusza w ostateczności do przeinaczania...”

Paul Valery

Część pierwsza - Nowi królowie

I - Ślub w styczniu

Ze wszystkich miejskich parafii po obu stronach rzeki ze Świętego Dionizego, Świętego Cuthberta, Świętych Marcina i Grzegorza, Świętej Marii Starszej; Świętej Marii Młodszej, z Shambles, Tanner Grow - zewsząd od dwóch godzin nieprzerwanym sznurem ciągnęła ludność Yorku ku Minster, potężnej, jeszcze nie wykończonej w zachodniej części katedrze, wysokiej, długiej, masywnej, osadzonej na wzgórzu nad miastem.

Zwarty tłum stał na Stonegate i Deangate, dwóch krętych ulicach wychodzących na Yard. Młokosi wspięci na kamiennych słupkach widzieli jeno głowy, nic tylko głowy, po prostu łan głów całkowicie pokrywający ogromny plac. Mieszczanie, kupcy, matrony z licznym potomstwem, ułomni na kulach, służebne, czeladnicy, klerycy w kapturach, żołnierze w kolczugach; żebracy w łachmanach zmieszali się ze sobą jak źdźbła w pęku siana. Złodzieje o wścibskich palcach zarabiali tu na krągły rok. Wyżej w oknach zawisły grona twarzy.

Lecz czyż można zwać południem ów mglisty, wilgotny półcień, ten zimny opar, wełniste kłaki spowijające ogromną budowlę i drepcącą w błocie ciżbę? Tłum skupiał się, by zachować własne ciepło.

24 stycznia 1328 roku, przed Przewielebnym Williamem Meltonem, arcybiskupem Yorku i prymasem Anglii, niespełna szesnastoletni Król Edward III poślubiał ledwie czternastoletnią kuzynkę, Panią Filipę de Hainaut.

Ani jednego pustego miejsca w katedrze zarezerwowanej dla dostojników królewskich, wysokiego duchowieństwa, Parlamentu, dla pięciuset zaproszonych rycerzy, setki szkockich, w kraciastych szatach, szlachciców, przybyłych ratyfikować przy tej sposobności traktat pokojowy. Za chwilę zostanie odprawiona uroczysta msza z udziałem stu dwudziestu śpiewaków.

Ale na razie pierwszą część ceremonii, właściwy obrzęd ślubny, celebrowano przed południowym portalem na zewnątrz kościoła oraz na oczach ludu, wedle pradawnego rytuału i zwyczajów obowiązujących w archidiecezji Yorku.

Mgła znaczyła wilgotnymi smugami czerwony aksamitny baldachim wzniesiony przy progu, skupiała się na mitrach biskupich, lgnęła do futer na ramionach rodziny królewskiej zgromadzonej wokół młodej pary.

- Here I take thee, Philippa, to my wedded wife, to have and to hold at bed and at board... Oto biorę ciebie, Filipo, za ślubną żonę, aby cię mieć i zachować w mym łożu i domostwie...

Głos króla dobywając się z młodzieńczych warg i gołowąsej twarzy zadziwiał mocą, czystością i głębią uczucia. Zaskoczeni byli: królowa matka Izabela, a także pan Jan de Hainaut, stryj panny młodej, stojący w szeregach hrabiowie Edmund Kent i Norfolk, i Lancaster Krzywoszyjek, przewodniczący Rady Regencyjnej i opiekun króla.

- ... for fairer for fouler, for batter for worse, in sickness and in health... na dolę piękną i szpetną, najlepszą i najgorszą, w chorobie i zdrowiu...

Szept tłumu milkł powoli. Cisza rozszerzała się kolistą falą, a podźwięk głosu młodego króla niósł się ponad tysiącami głów, słyszalny niemalże aż na krańcach placu. Król wolno wypowiadał długą ślubną przysięgę, której się wczoraj nauczył; lecz rzekłoby się, że sam ją ułożył, tak akcentował każdy wyraz, tak się weń wmyślał, aby go przepoić najgłębszą, najbardziej ważką treścią. Były to jakby słowa modlitwy przeznaczonej; aby ją wypowiedzieć raz jedynie i na całe życie.

Przez młodzieńcze usta przemawiała dusza dojrzałego mężczyzny, przeświadczonego o mocy swego przyrzeczenia wobec Nieba, księcia świadomego swego pośrednictwa między ludem a Bogiem. Na świadków swej miłości, którą przysięgał Pani Filipie, młody król brał swych krewnych, bliskich, wielkich dostojników, baronów, prałatów, ludność Yorku i całej Anglii.

Prorocy gorejący żarliwą miłością ku Bogu, przywódcy narodów przeniknięci swą jedyną ideą potrafią narzucić tłumom własną wiarę. Publicznie głoszona miłość także posiada ową moc - powoduje zespolenie wszystkich w uczuciu jednostki.

Nie było wśród zebranych kobiety, bez względu na wiek, ani wdowy, ani dziewczątka, ani prababki, która by nie czuła się na miejscu panny młodej; nie było mężczyzny, który by nie utożsamiał się z młodym królem. Edward III jakby poślubiał całą kobiecość swego ludu; a cały naród wybierał sobie Filipę na towarzyszkę życia. Wszystkie młodzieńcze rojenia, rozczarowania wieku dojrzałego, gorycze starości kierowały się ku nim jak ofiara wytrysła z serc. Tego wieczoru na ciemnych ulicach oczy narzeczonych rozświetlą mrok, a po wieczerzy nawet stare, zobojętniałe stadła wezmą się za ręce.

Jeśli od zamierzchłych czasów ludy cisną się na śluby książąt, czynią to, by uczestniczyć w szczęściu, które objawione na takich wyżynach wydaje się doskonałe.

- ...till death us do part... póki śmierć nas nie rozłączy...

Ścisnęły się gardła; z placu dobyło się głębokie westchnienie zasmuconego zdziwienia, niemal nagany. Nie, w takiej chwili nie należało mówić o śmierci; niemożliwe, aby te dwie młode istoty spotkał powszechny los, nie można pogodzić się z tym, że są śmiertelne.

- ...and thereto I plight thee my troth... i to wszystko na mą wiarę tobie przyrzekam.

Młody król czuł oddech tłumu, ale nań nie patrzył. Jego jasnoniebieskie, prawie szare oczy o uniesionych tym razem rzęsach nie opuszczały opatulonej w aksamity i tiule rudej, okrągłej dziewuszki, której składał przysięgę.

Pani Filipa bowiem w niczym nie przypominała księżniczki z bajki i nie była nawet zbyt urodziwa. Odziedziczyła po rodzinie Hainaut pulchną twarzyczkę, mały nosek, krótką szyję, cerę piegowatą. Nie odznaczała się szczególnym wdziękiem w ruchach, ale przynajmniej była skromna i nie usiłowała przybierać majestatycznej postawy, która by do niej wcale nie pasowała. Bez insygniów królewskich można by ją było wziąć za byle jaką rudą pannę w jej wieku; podobne do niej liczy się

na pęczki wśród wszystkich północnych narodów. I to właśnie wzmagało tkliwość tłumu ku niej. Była wyznaczona przez los i Boga, ale w swej istocie nie różniła się od kobiet, nad którymi miała panować. Wszystkie rude i pulchne czuły się wyróżnione i zaszczycone.

Aż drżała ze wzruszenia, mrużyła powieki, jakby nie mogąc znieść wpatrzonego w nią wzroku małżonka. Zbyt piękne było to wszystko, co ją spotykało. Tyle wokół niej koron, tyle mitr i te damy, i ci rycerze, których dostrzegała we wnętrzu katedry za świecami, stojących szeregiem jak wybrańcy w Raju, i cały ten lud wokół... królowa, zostanie królową, i to wybraną z miłości.

Ach! Jak będzie mu służyła, pieściła i wielbiła tego ślicznego księcia o jasnych włosach, długich rzęsach i delikatnych dłoniach; przed dwudziestu miesiącami jakby cudem przybył on do Valenciennes towarzysząc na wygnaniu matce, która zjechała prosić o pomoc i opiekę. Rodzice wysłali ich wraz z resztą dzieci, aby się pobawili w sadzie; on się w niej zakochał, a ona w nim. Teraz on został królem i o niej nie zapomniał. Co za szczęście poświęcić mu życie! Lękała się tylko, że nie jest dość piękna, aby mu się zawsze podobać, ani dość uczona, aby mu dzielnie towarzyszyć.

- Podajcie, Pani, Waszą prawą rękę - rzekł do niej arcybiskup-prymas.

Natychmiast Filipa wysunęła z aksamitnego rękawa pulchną rączkę i śmiało podała ją rozchylając palce.

Edward z zachwytem spojrzał na różową gwiazdkę, która mu się oddawała.

Arcybiskup wziął z tacy, podanej przez innego prałata, płaską złotą obrączkę wysadzaną rubinami, którą pobłogosławił i podał królowi. Obrączka była mokra, jak wszystko czego tknęła mgła. Później arcybiskup zbliżył łagodnie ręce małżonków.

- W imię Ojca - wypowiedział Edward przykładając obrączkę do koniuszka kciuka Filipy, lecz jej nie wsuwając - w imię Syna... Ducha Świętego... - mówił powtarzając gest przy wskazującym i środkowym jej palcu.

Wreszcie wsunął pierścień na serdeczny palec i wyrzekł:

- Amen!

Została jego żoną.

Królowa Izabela miała łzy w oczach, jak każda matka, która żeni syna. Usiłowała prosić Boga, aby obdarzył jej dziecko wszelkim szczęściem, lecz przede wszystkim myślała o sobie i cierpiała. Minione dni przywiodły ją do punktu, w którym przestała być pierwsza w synowskim sercu i domu. Nie, na pewno nie potrzebowała o cokolwiek się obawiać, o autorytet na dworze, ani porównania swej urody z tą piramidką aksamitów i haftów, którą los jej przydzielił jako synową.

Strzelista, szczupła i złotowłosa, o pięknych warkoczach upiętych po obu stronach jasnej twarzy, trzydziestoszścioletnia królowa Izabela wyglądała ledwie na trzydziestkę. Upewniło ją o tym zwierciadło, którego długo się radziła tegoż ranka, gdy wkładała koronę na uroczystość. A jednakże począwszy od tego dnia przestała być po prostu królową, aby zostać królową matką. Jak to się

szybko stało! Czy w taki sposób miało się rozwiać dwadzieścia lat życia tak bardzo burzliwych?

Myślała o własnym ślubie, akurat przed dwudziestu laty, jak i dziś pod koniec stycznia równie mglistego, w Boulogne, we Francji. Wychodziła za mąż wierząc w szczęście, także z głębi serca wypowiadała ślubną przysięgę. Czy wtedy wiedziała, z kim ją łączono, aby zadowolić interesy królestw? Czy wiedziała, że za miłość i przywiązanie, jakie wnosiła, otrzyma w zamian jedynie upokorzenia, nienawiść i pogardę, że w łożu swego małżonka ujrzy nawet nie kochanki, ale mężczyzn, chciwych gorszycieli, że zrabują jej posag, odbiorą włości, że będzie musiała uciec na wygnanie, aby ocalić zagrożone życie i zebrać wojska, aby obalić tegoż, który wsunął na jej palec ślubną obrączkę?

Ach! Młodziutka Filipa miała wielkie szczęście, nie tylko była poślubiona, ale i miłowana!

Jedynie pierwsze związki mogą być w pełni czyste i w pełni szczęśliwe. Nic ich nie zastąpi, jeśli są nieudane. Następne miłowanie nigdy nie osiąga tej czystej doskonałości; nawet gdy jest trwałe jak skała, w jej marmurze biegnie żyła innej barwy, niby zaschła krew przeszłości.

Królowa Izabela zwróciła wzrok na Rogera Mortimera, barona na Wigmore, swego kochanka, człowieka, który tyleż dzięki niej, ile sobie, wszechwładnie rządził Anglią w imieniu młodego króla. Ściągnąwszy brwi, z surową twarzą, skrzyżowanymi na przepysznym płaszczu ramionami w tejże sekundzie na nią patrzył nieżyczliwie.

“Zgaduje, o czym myślę - rzekła sobie. - Ale jakimże on jest człowiekiem, że sprawia wrażenie, jakby się grzeszyło, skoro na chwilę przestanie się myśleć o nim?”

Znała jego posępny charakter i uśmiechnęła się doń, aby go ułagodzić. Czegoż chciał więcej ponad to, co posiadał? Żyli ze sobą jak mąż i żona, mimo że ona była królową, a on - żonaty, i całe królestwo przyglądało się ich jawnej miłości. Zarządziła, by miał całkowitą kontrolę nad władzą. Mortimer mianował swych ludzi na wszystkie urzędy; kazał nadać sobie wszystkie lenna byłych faworytów Edwarda II, a Rada Regencyjna tylko zatwierdzała jego wolę. Mortimer nawet uzyskał jej zgodę na egzekucję zdetronizowanego małżonka. Wiedziała, że z jego powodu niektórzy zowią ją Wilczycą z Francji! Czy mógł wzbronić jej myśleć w dzień ślubu o zamordowanym małżonku, zwłaszcza gdy kat znajdował się tutaj w osobie Jana Maltraversa, świeżo mianowanego seneszalem Anglii, a jego długie, ponure oblicze jawiło się między twarzami najdostojniejszych panów jak pamięć o zbrodni?

Obecność ta była przykra nie tylko Izabeli. Jan Maltravers, zięć Mortimera, był strażnikiem zamordowanego króla; nagłe wyniesienie na urząd seneszala zbyt wyraźnie ujawniało usługi, za które mu tym sposobem zapłacono. Oficjalnie Edward II zmarł śmiercią naturalną! Ale kto na dworze wierzył w tę bajkę?

Hrabia Kentu, przyrodni brat zmarłego, pochylił się ku kuzynowi Henrykowi o krzywej szyi i zaszeptał:

- Zdaje się, że królobójstwo uprawnia teraz do wepchnięcia się w szeregi rodziny.

Edmund Kent drżał. Uważał ceremoniał za zbyt długi, rytuał Yorku - zbyt zawiły. Dlaczego nie udzielić ślubu w kaplicy londyńskiej twierdzy lub w jakimś zamku królewskim, zamiast stwarzać sposobność do jarmarku ludowego. Tłum napawał go przykrym uczuciem. A na dobitkę widok Maltraversa... Czy to nie jest nieprzyzwoite, aby człowiek, który wyprawił na tamten świat ojca, stał teraz na tak poczesnym miejscu na ślubie syna?

Krzywoszyjek z głową przechyloną na prawe ramię - ułomność, której zawdzięczał swe przezwisko - zamruczał:

- Drogą grzechu najłacniej wkracza się do naszej rodziny. Nasz przyjaciel pierwszy służy nam dowodem...

Owo "nasz przyjaciel" oznaczało Mortimera, wobec którego uczucia Anglików bardzo się zmieniły, odkąd wylądował był przed półtora rokiem na czele wojsk królowej, witany jako wybawca. Mimo wszystko posłuszna ręka nie jest szpetniejsza niż głowa rozkazodawcy - myślał Krzywoszyjek. - A Mortimer na pewno bardziej zawinił, a wraz z nim Izabela, aniżeli Maltravers. Ale i my wszyscy po trosze zawiniliśmy, wszyscy zaważyliśmy na ostrzu, gdy obaliliśmy Edwarda II. To się nie mogło skończyć inaczej". O owym czasie arcybiskup podał młodemu królowi trzy złote monety z wybitymi na awersie herbami Anglii i Hainaut, a rewersem zdobnym w róże - emblemat szczęścia małżeńskiego. Owe monety, zwane denarami ślubnymi, symbolizowały wiano - w dochodach, włościach i zamkach - jakie mąż ustanawiał dla żony. Darowizny były już wpierw opisane i ściśle ustalone, co trochę krzepiło pana Jana de Hainaut, stryja, któremu wciąż należało się piętnaście tysięcy liwrów za żołd rycerzy podczas kampanii w Szkocji.

- Padnijcie, Pani, do nóg Waszego małżonka, aby otrzymać denary - rzekł arcybiskup do panny młodej.

Wszyscy mieszkańcy Yorku oczekiwali tej chwili ciekawi, czy miejscowy ceremoniał aż do końca będzie respektowany, czy będzie obowiązywać królową to, co i zwykłą poddaną.

Nikt jednak nie przewidział, że Pani Filipa w porywie miłości i w podzięce nie tylko uklęknie, lecz oburącz obejmie nogi małżonka i ucałuje kolana męża, który wynosił ją na tron królewski. A zatem ta krąglutka Flamandka zdolna była wzbogacić ceremoniał pod wpływem porywu serca.

Tłum zgotował jej burzliwą owację.

- Myślę, że będą bardzo szczęśliwi - rzekł Krzywoszyjek do Jana de Hainaut.

- Lud ją pokocha - powiedziała Izabela do Mortimera, który się do niej przybliżył.

Królowa matka czuła się poniekąd dotknięta; nie dla niej była przeznaczona ta owacja. "Teraz Filipa jest królową - myślała. - Czas mój się skończył. Tak, ale teraz może będę miała Francję".

Przed tygodniem bowiem jeździec w liberii z kwiatem lilii przycwałował aż do Yorku, aby ją zawiadomić, że umiera ostatni jej brat, król Francji, Karol IV.

II - Zabiegi o koronę

Król Karol IV zachorzał w święto Bożego Narodzenia. Na Trzech Króli chirurdzy i lekarze już uznali go za straconego. Cóż było przyczyną trawiącej go gorączki, rozrywającego kaszlu, który wstrząsał wychudłą piersią, krwawych plwocin? Medycy unosili ramiona bezradnym gestem. Przekleństwo, wiadomo! Przekleństwo dobijało potomstwo Filipa Pięknego. Wobec przekleństwa wszelkie driakwie są bezsilne. Dzielił to mniemanie tak dwór, jak i lud.

Ludwik Kłótliwy zginął ze zbrodniczej ręki w dwudziestym siódmym roku życia. Filip Długi skonał w dwudziestym dziewiątym wypiwszy w Poitou wodę z zatrutej studni. Karol IV dotrwał do trzydziestego trzeciego; osiągnął kres. Wiadomo, że przeklęci nie przekraczają wieku Chrystusowego!

- A teraz my, bracie, winniśmy przechwycić władzę w królestwie i mocno ją dzierżyć w garści - rzekł hrabia de Beaumont, Robert d'Artois, do swego kuzyna i szwagra Filipa de Valois. - Ale tym razem - dorzucił - nie damy się prześcignąć mojej stryjnie Mahaut. Zresztą, ona nie ma już zięcia, żeby go pchać na tron.

Ci dwaj stanowili okaz zdrowia. Robert d'Artois w czterdziestym pierwszym roku życia był wciąż tym samym kolosem, który musiał się schylać, by przekroczyć próg, i mógł powalić wołu biorąc go za rogi. Celował w procedurze sądowej, w kruczkach prawnych, intrygach, a umiejętności swych aż nadto dowiódł rebeliami w Artois, rozpętaniem wojny w Gujennie i w wielu innych sprawkach. Ujawnienie skandalu w wieży Nesle było po trosze jego dziełem. Jeśli królowa Izabela i jej kochanek lord Mortimer mogli zebrać wojska w Hainaut, podburzyć Anglię i obalić Edwarda II, stało się to poniekąd dzięki niemu. I nie czuł wstydu, że ma na rękach krew Małgorzaty Burgundzkiej. W ostatnich latach w Radzie słabego Karola IV głos jego brzmiał bardziej stanowczo niż monarchy.

Filip de Valois, o sześć lat odeń młodszy, nie był tak genialny. Ale wysoki i silny, o szerokiej piersi, nobliwych ruchach, wyglądał niemal na olbrzyma, gdy nie było przy nim Roberta; miał okazałą postawę, która olśniewała otoczenie. A zwłaszcza opromieniała go pamięć po jego ojcu, słynnym Karolu de Valois, najbardziej wichrzycielskim i warcholskim księciu owych czasów, goniącym za mirażem tronów, heroldem chybionych krucjat, ale znakomitym wodzem; usiłował naśladować jego rozrzutność i wspaniałość.

Choć Filip de Valois aż dotąd nie zadziwił Europy swymi talentami - obdarzano go zaufaniem. Błyszczał na turniejach, które kochał namiętnie; zapału, jakim się na nich odznaczał, nie należało lekceważyć.

- Filipie, będziesz regentem, ja ci poręczam - mówił Robert d'Artois. - Regentem, a może i królem, jeśli Bóg pozwoli... to znaczy, jeśli za dwa miesiące królowa, a moja siostrzenica, której brzuch już sięga brody, nie urodzi syna. Biedny kuzynek Karol! Nie zobaczy tego dziecka, którego tak pragnął. A jeżeli nawet będzie chłopak, to przecież będziesz sprawował regencję przez dwadzieścia lat. Zaś w ciągu dwudziestu lat...

Dalszy ciąg myśli wyraził szerokim ruchem ręki, powołując się na wszelkie możliwe zbiegi okoliczności, śmiertelność dziecięcą, wypadki na łowach, nieprzeniknione wyroki Opatrzności.

- Ty zaś - mówił dalej olbrzym - boć znam twoją prawość, zrobisz wszystko, żebym odzyskał moje hrabstwo Artois, które niesłusznie dzierży Mahaut, złodziejka, trucicielka, a także złączone z nim parostwo. Pomyśl, nawet nie jestem parem! Czy to nie kpiny? Wstyd mi za twoją siostrę, a moją małżonkę.

Filip z porozumiewawczą miną dwukrotnie kiwnął długim, mięsistym nosem i przymknął powieki.

- Robercie, ja ci oddam należną sprawiedliwość, jeśli będę w stanie ją sprawować. Możesz liczyć na moje poparcie.

Na wspólnych interesach i budowaniu wspólnej przyszłości budują się najlepsze przyjaźnie.

Robert d'Artois, w którym żadna sprawa nie budziła odrazy, podjął się udać do Vincennes i dać do zrozumienia Karolowi Pięknemu, że dni jego są policzone i winien wydać kilka zarządzeń, a mianowicie pilnie zwołać parów i polecić im Filipa jako regenta. A nawet, żeby wyraźniej podkreślić wybór, czemuż by nie powierzyć już teraz rządów w królestwie Filipowi udzielając mu pełnomocnictwa?

- Wszyscy jesteśmy śmiertelni, wszyscy, zacny mój kuzynie - mówił tryskający zdrowiem Robert i potężnym krokiem wstrząsał łożem konającego.

Karol IV nie był zdolny odmówić, a nawet odczuwał ulgę, że się go uwolni od wszelkich trosk. Myślał tylko, jak zatrzymać życie, które uciekało mu przez usta.

Filip de Valois otrzymał więc pełnomocnictwo od króla i wydał rozkaz zwołania parów.

Robert d'Artois wnet rozpoczął kampanię. Najpierw ruszył do swego młodego siostrzeńca d'Evreux; miał on dwadzieścia jeden lat, wdzięczną postawę, lecz nie odznaczał się przedsiębiorczością. Był żonaty z córką Małgorzaty Burgundzkiej, Joanną Małą, jak ją zwano nadal mimo ukończonych siedemnastu lat, a pozbawioną praw do tronu po śmierci Kłótliwego.

W istocie z jej powodu wyszukano prawo salickie, aby ją odsunąć, tym bardziej że złe prowadzenie się matki podawało w znaczną wątpliwość jej prawe pochodzenie. Jako odszkodowanie i w celu załagodzenia rodu burgundzkiego przyznano Joannie Małej Nawarrę. Lecz wcale nie kwapiono się z dotrzymaniem obietnicy i dwaj ostatni królowie Francji zatrzymali tytuł króla Nawarry.

Gdyby Filip d'Evreux choć cokolwiek przypominał swego wuja, Roberta d'Artois, miałby wspaniałą sposobność, by wytoczyć wielki proces, podważyć ustawę sukcesyjną i żądać w imieniu żony obu koron.

Ale wykorzystując swój wpływ Robert szybko owinął sobie wokół palca ewentualnego rywala.

- Otrzymasz należną ci Nawarrę, zacny siostrzanku, skoro tylko mój szwagier Valois zostanie regentem. To moja sprawa rodzinna i postawiłem ją jako warunek Filipowi w zamian za moje

poparcie. Będziesz królem Nawarry! Taka korona jest nie do pogardzenia i radzę ci - z mej strony - szybko ją włożyć na głowę, nim zaczną się z tobą o nią prawować. Bo, mówiąc między nami, Mała Joanna, twoja małżonka, byłaby pewniejsza swych praw, gdyby jej matka miała mniej swawolne udko! W wielkim tłoku, jaki się zrobi, musisz zaskarbić sobie poparcie, masz nasze. I strzeż się słuchać twego burgundzkiego wuja; ażeby sobie wygodzić, gotów ciebie wpędzić w matnię. Filip regentem, na nim się oprzyj!

Tym sposobem, w zamian za ostateczne opuszczenie Nawarry, Filip de Valois już dysponował - poza własnym - dwoma głosami.

Ludwik de Bourbon przed niewielu tygodniami otrzymał tytuł diuka, a jednocześnie w osobiste władanie hrabstwo Marchii. Był najstarszy w rodzie. W wypadku zbyt wielkiego zamętu wokół regencji jego godność wnuka Ludwika Świętego mogłaby mu przysporzyć kilku głosów. W każdym razie jego stanowisko zaważy w Radzie Parów. Zaś ów kulawiec był tchórzem. Podjąć się współzawodnictwa z potężnym stronnictwem Valois byłoby przedsięwzięciem godnym odważniejszego człowieka. Poza tym syn jego poślubił siostrę Filipa de Valois.

Robert dał do zrozumienia Ludwikowi de Bourbon, że im szybciej się dołączy, tym szybciej zostaną zatwierdzone lenna i tytuły zgromadzone przezeń podczas poprzedniego panowania. Trzy głosy.

Ledwie diuk Bretanii przybył z Vannes i nie zdążył jeszcze rozpakować kufrów, a już zobaczył Roberta d'Artois w swoim pałacu.

- Popieramy Filipa, nieprawdaż? Zgadzasz się... Jesteśmy pewni, że w Filipie tak pobożnym, tak prawym będziemy mieć dobrego króla... chcę powiedzieć: regenta.

Jan Bretoński mógł się tylko opowiedzieć za Filipem de Valois. Czyż nie poślubił siostry Filipa - Izabeli? Wprawdzie zmarła ona w ósmym roku życia, lecz więzy uczuciowe trwały nadal. Robert chcąc poprzeć swe zabiegi przyprowadził swoją matkę, Blankę Bretońską, krewniaczkę diuka, stareńką, malutką, pomarszczoną i całkowicie wyzutą z rozumu politycznego, ale twardo obstającą przy wszystkim, czego chciał olbrzymi jej syn. Jan Bretoński zaś bardziej zajmował się sprawami swego księstwa niż Francji. Niechaj będzie! Tak, Filip, czemuż nie, skoro wszyscy zdawali się kwapić, by go wybrać!

Była to jakby kampania szwagrów. Wezwano do pomocy także Wita de Chatillon, hrabiego de Blois, choć wcale nie był parem, a nawet Wilhelma de Hainaut; po prostu dlatego, że poślubili dwie inne siostry Filipa. Wielka parantela rodu Valois jawiła się niby prawowita dynastia francuska.

Wilhelm de Hainaut w tym czasie wydawał swą córkę za młodego króla Anglii; zgoda, nie ma przeszkód, a nawet kiedyś może się to przydać. Lecz ów roztropnie spostrzegł, że na ślubie winien go raczej reprezentować brat Jan, miast udawać się tam osobiście, bo właśnie tutaj, w Paryżu, nastąpią wydarzenia wielkiej wagi. Czy Wilhelm Dobry już od dawna nie życzył sobie, aby scedowano nań włości Blaton, dziedzictwo korony francuskiej, enklawę w jego państwie? Da mu się Blaton prawie za nic, za symboliczny wykup, jeśli Filip obejmie regencję.

Wit de Blois zaś był jednym z ostatnich baronów, którzy zachowali prawo bicia monety. Na

nieszczęście oraz mimo tego prawa brakowało mu pieniędzy i dusiły go długi.

- Drogi krewniaku Wicie, wykupi się od ciebie twoje prawa mennicze. To będzie naszą pierwszą troską.

W krótkim czasie Robert odwalił kawał roboty.

- Widzisz, Filipie, widzisz - mówił do swego kandydata - jak nam teraz dopomogły małżeństwa skojarzone przez twego ojca. Powiadają, że obfitość córek to wielki kłopot dla rodziny; ten człowiek, wieczny mu odpoczynek, potrafił celnie się posłużyć wszystkimi twoimi siostrami.

- Tak, ale trzeba dokończyć spłaty posagów - odparł Filip - kilku wypłacono tylko po ćwierci...

- Począwszy od drogiej Joanny, mojej małżonki - przypomniał Robert d'Artois: - Ale wówczas będziemy mieli Skarb w garści...

Trudniejszy do zjednania był hrabia Flandrii, Ludwik, pan na Crecy i Nevers. On bowiem nie był szwagrem i żądał czegoś innego niż włości czy pieniędzy. Pragnął odzyskać swe hrabstwo, skąd go wypędzili poddani. Należało przyrzec mu wojnę, aby go przekonać.

- Ludwiku, kuzynie, odzyskacie Flandrię, i to z bronią w ręku, uroczyście przysięgamy.

Po czym Robert, myśląc o wszystkim, znów pomknął do Vincennes, aby wymóc na Karolu IV uzupełnienie testamentu.

Z Karola pozostał już tylko cień króla: wypluwał resztki płuc. Mimo że umierał, przypomniał sobie o zamierzonej krucjacie, którą stryj Karol de Valois wbił mu do głowy. Zamierzenie to odkładano z roku na rok; subsydia kościelne zużyto na co innego; a wreszcie Karol de Valois umarł... Czy w trawiącej go chorobie Karol IV nie powinien widzieć kary za niedotrzymanie obietnicy, nie spełniony ślub? Krew z płuc plamiąca prześcieradła przypominała mu czerwony krzyż, którego nie naszył był na swój płaszcz.

Tedy w nadziei, iż przebłaga Niebo i wytarguje choć krztę życia, kazał dorzucić do testamentu swoją wolę tyczącą Ziemi Świętej... “moją intencją bowiem było udać się tam za życia - dyktował - a jeśli nie będzie mi dane za życia, należy dać pięćdziesiąt tysięcy liwrów na pierwszą powszechną wyprawę, jaka ruszy”.

Nie żądano odeń tyle ani obciążania aż taką hipoteką majętności królewskich potrzebnych na bardziej palące cele. Robert się wściekał. Ten półgłówek Karol aż do końca będzie miewał swe bzdurne zachcianki.

Po prostu odeń żądano, aby zapisał trzy tysiące liwrów kanclerzowi Janowi de Cherchemont, po tyleż marszałkowi Janowi de Trye i panu Miles'owi de Noyers, przełożonemu Izby Rachunkowej, za wierną służbę Koronie... i dlatego, że zasiadali w Radzie Parów.

- A konetabl? - szepnął konający król.

Robert wzruszył ramionami. Konetabl miał siedemdziesiąt osiem lat, był głuchy jak pień i posiadał dóbr bez liku. W tym wieku nie rozwija się żądza złota! Skreślono konetabla.

Natomiast Robert z wielką uwagą pomógł Karolowi IV ułożyć listę wykonawców testamentu, lista owa bowiem ustanawiała jakby kolejność pierwszeństwa wśród możnych królestwa: na czele Filip de Valois, hrabia Filip d'Evreux, a później on sam, Robert d'Artois, hrabia de Beaumont-le-Roger.

Po czym zajęto się jednaniem parów duchownych.

Wilhelm de Trye, diuk-arcybiskup Reims, ongiś był preceptorem Filipa de Valois; a następnie Robert d'Artois kazał zapisać w królewskim testamencie na rzecz jego brata, marszałka, trzy tysiące liwrów, którymi potrafił mile zabrzęczeć. Po tej stronie nie będzie niezadowolonych.

Diuk-arcybiskup Langres od dawna był pozyskany przez rodzinę Valois; także przywiązany był do niej hrabia-biskup Beauvais, Jan de Marigny, najmłodszy żyjący brat wielkiego Enguerranda. Dawne zdrady, dawne wyrzuty, wzajemne usługi utkały mocne więzy.

Pozostali jeszcze biskupi Chalons, Laon i Noyon; ci - było wiadomo - murem staną za Eudoksjuszem Burgundzkim.

- Ach! Burgundczyka tobie pozostawiam, Filipie - rozkładając ręce zawołał Robert d'Artois. - Z nim sobie nie poradzę. Ale poślubiłeś jego siostrę, musisz mieć na niego jakiś wpływ.

Eudoksjusz w polityce orłem nie był. Ale przypominał sobie nauki zmarłej matki, diuszesy Agnieszki, najmłodszej córki Ludwika Świętego, i pamiętał, jak sam za uznanie Filipa Długiego uzyskał przyłączenie hrabstwa Burgundii do księstwa Burgundii. Przy tej sposobności poślubił o czternaście lat odeń młodszą wnuczkę Mahaut d'Artois i teraz nie uskarżał się na nią, gdy dojrzała do małżeństwa.

Po przybyciu z Dijon pierwszą sprawą, jaką poruszył, było dziedzictwo Artois; zamknął się z Filipem de Valois.

- Oczywiście jasne, że po śmierci Mahaut hrabstwo Artois przypadnie jej córce, królowej Joannie Wdowie, a następnie przejdzie na diuszesę, moją małżonkę? Bardzo na to nalegam, kuzynie, bo znam pretensje Roberta do Artois; aż nadto je rozgłaszał.

Ci wielcy książęta z nie mniejszą zaciekłością bronią swych praw do dziedzictwa ćwiartek królestwa niż synowe, gdy kłócą się o kubki i prześcieradła w spadku po biedakach.

- Dwukrotnie wydany wyrok przyznał Artois hrabinie Mahaut - odpowiedział Filip de Valois. - Jeśli żaden nowy fakt nie wesprze żądań Roberta, Artois przejdzie na waszą małżonkę, bracie.

- Nie widzicie żadnych przeszkód?

- Ależ żadnych.

Przeto rzetelny Valois, prawy rycerz, bohater turniejów, dał swym dwóm szwagrom dwie sprzeczne

obietnice.

Jednakże uczciwy w swej dwulicowości, powtórzył Robertowi d'Artois rozmowę z Eudoksjuszem, a Robert w pełni go poparł.

- Najważniejsze - powiedział - to uzyskać głos Burgundczyka, a mało ważne, że wbił sobie do głowy prawa, jakich nie ma. Powiedziałeś mu: nowe fakty? To dobrze, przedstawimy je, bracie, i nie dopuszczę, byś złamał słowo. Jazda, wszystko idzie jak najlepiej.

Pozostało tylko czekać na ostatnią formalność - zgon króla, pragnąc, aby nastąpił dość szybko, podczas gdy ta piękna koniunkcja książąt zebrała się wokół Filipa de Valois.

Ostatni syn Króla z Żelaza oddał ducha w wilię Gromnicznej, a wieść o żałobie dworskiej rozeszła się po Paryżu nazajutrz rano wraz z zapachem gorących naleśników.

Wszystko zdawało się toczyć wedle planu pięknie ułożonego przez Roberta d'Artois, kiedy o świcie, w dniu właśnie wyznaczonym na Radę Parów, zjechał angielski biskup o niepozornej twarzy i zmęczonych oczach; wysiadł z okrytej błotem lektyki; przybył domagać się praw królowej Izabeli.

III - Trup przewodniczy Radzie

Bez mózgu w głowie, bez serca w piersi, bez wnętrzności w brzuchu, próżen król. Wczoraj balsamiści zakończyli swe zabiegi przy zwłokach Karola IV. Lecz czymże się te zwłoki różniły od słabego, obojętnego, bezczynnego monarchy, którym był za życia? Dziecko opóźnione w rozwoju, zwane przez matkę "gąsiątkiem", zdradzony mąż, nieszczęśliwy ojciec próżno silący się w trzech małżeństwach zapewnić po sobie następstwo, monarcha ustawicznie kierowany najpierw przez stryja, później kuzynów, służył wyłącznie za siedzibę zasadzie królewskiej. I nadal służył.

W końcu kolumnowej auli zamku Vincennes, na paradnym łożu, spoczywały jego zwłoki przyodziane w lazurową tunikę, płaszcz tkany w kwiaty lilii, w koronie na głowie.

Zebrani w drugim końcu sali parowie i baronowie widzieli skrzące się, oświetlone lasem świec stopy w ciżmach ze złotogłowiu.

Karol IV miał przewodniczyć ostatniej naradzie zwanej "radą w komnacie króla", ponieważ rzekomo jeszcze rządził; dopiero nazajutrz zakończy się oficjalnie jego panowanie, w chwili gdy ciało zstąpi do grobu w Saint-Denis.

Podczas oczekiwania na spóźnionych Robert d'Artois wziął biskupa pod swe skrzydła.

- Ile czasu jechaliście? Nie zwłóczyliście w drodze odśpiewując msze, panie biskupie... pędziliście z szybkością jeźdźca! Radosne było wesele młodego króla?

- Sądzę, że tak. Nie mogłem uczestniczyć; byłem już w drodze - odparł biskup Orleton.

A lord Mortimer, czy dobrze się czuje? To wielki przyjaciel, lord Mortimer, dobry przyjaciel; w czasie gdy przebywał w Paryżu, dokąd się schronił, często opowiadał o Przewielebnym Orletonie.

- Opowiadał mi, jak pomogliście mu uciec z londyńskiej wieży. Ja zaś przyjąłem go we Francji i pomogłem wrócić do Anglii nieco lepiej uzbrojonym, niż gdy stamtąd przybył. Każdy z nas przeto wykonał połowę roboty.

A królowa Izabela? Och! Droga kuzynka! Zawsze taka urodziwa?

Tym sposobem Robert zabawiał Orletona wzbraniając mu wmieszać się w inne grupki, porozmawiać z hrabią de Hainaut czy hrabią Flandrii. Znał Orletona z rozgłosu i mu nie dowierzał. Czyż to nie z jego usług korzystał dwór w Westminster w poselstwach do Stolicy Apostolskiej i czy nie był on autorem - jak powiadano - słynnego listu o dwuznacznej treści: "Eduardum occidere nolite bonum est... a którym posłużyli się Izabela i Mortimer wydając rozkaz zamordowania Edwarda?

Podczas gdy wszyscy francuscy prałaci włożyli mitry, Orleton miał na głowie zwykłą fioletową jedwabną czapkę podróżną z nausznikami podbitymi gronostajem. Robert ten szczegół zauważył z zadowoleniem; umniejszy on powagę angielskiego biskupa, gdy ten zabierze głos.

- Dostojny Pan Filip de Valois będzie regentem - szepnął do Orletona, jakby zwierzał sekret przyjacielowi.

Ów milczał.

Wreszcie weszła ostatnia osoba brakująca do kompletu Rady. Była nią hrabina Mahaut d'Artois, jedyna kobieta wezwana na to zgromadzenie. Postarzała się Mahaut; nogi jakby z trudem dźwigały ciężkie, olbrzymie ciało; opierała się na lasce. Pod śnieżnymi włosami rysowała się twarz ciemnoczerwona. Nieznacznym skinieniem witała wszystkich wokół, pokropiła wodą święconą zmarłego, ciężko zasiadła obok diuka Burgundii. Słyszano, jak sapie.

Powstał arcybiskup-prymas Wilhelm de Trye, wpierw obrócił się ku zwłokom monarchy, powoli nakreślił znak krzyża, później chwilę trwał w medytacji skierowawszy wzrok ku sklepieniu, jakby prosił Boga o natchnienie. Umilkły szepty.

- Szlachetni Panowie - rozpoczął. - Gdy zbraknie naturalnego następcy, aby dziedziczył władzę królewską, owa zawraca ku swemu źródłu, a jest nim uchwała parów. Taka jest wola Boga i Świętego Kościoła, który służy nam przykładem, gdy wybiera swego najwyższego pasterza.

Gładko mówił Przewielebny de Trye, z piękną kaznodziejską swadą. Zaproszeni tu parowie i baronowie będą stanowić o przekazaniu władzy doczesnej nad królestwem Francji, zrazu aby sprawować regencję, a następnie - bo roztropność nakazuje przewidywać - władzę królewską, gdyby wielce szlachetna pani królowa nie powiła syna.

Najlepszego wśród równych - primum inter pares - należało wybrać, a takoż krwią najbliższego tronu. Czyż podobne okoliczności ongiś nie przywiodły parów-baronów i parów-biskupów do przekazania berła najmędrszemu i najpotężniejszemu wśród nich diukowi Francji i hrabiemu Paryża, Hugonowi Kapetowi, założycielowi przesławnej dynastii?

- Nasz zmarły suzeren, dziś jeszcze przy nas - ciągnął dalej arcybiskup lekko skłaniając mitrę ku łożu - raczył nas oświecić polecając nam w testamencie wybrać najbliższego swego kuzyna, księcia wielce chrześcijańskiego i wielce mężnego, z wszech miar godnego rządzić nami i panować, Dostojnego Pana Filipa, hrabiego na Valois, Maine i Andegawii.

Książę wielce mężny i wielce chrześcijański, z szumem w uszach ze wzruszenia, nie wiedział, jaką przybrać postawę. Skromnie opuścić nos oznaczałoby, że powątpiewa w siebie i swe prawo do rządów. Wyprostować się z miną zuchwałą i pyszną mogłoby zrazić parów. Wybrał postawę zastygłą, z twarzą nieruchomą, wzrokiem utkwionym w złociste ciżmy nieboszczyka.

- Niech każdy się skupi we własnym sumieniu - dokończył arcybiskup Reims - i wyrazi swe postanowienie dla dobra wszystkich.

Przewielebny Adam Orleton już stał.

- Moje sumienie już mi doradziło - rzekł. - Przybywam tutaj, by zabrać głos w imieniu króla Anglii, diuka Gujenny.

Posiadał doświadczenie w tego rodzaju zebraniach, gdzie wszystko cichcem przygotowano, a jednak każdy się wzdragał, by pierwszy przemawiać. Spieszył to wykorzystać.

- W imieniu mego pana - ciągnął dalej - mam oświadczyć, że najbliższą krewną zmarłego króla Karola Francuskiego jest królowa Izabela i tym samym jej winna przypaść regencja.

Na chwilę obecni osłupieli, prócz Roberta d'Artois czekającego na podobne wystąpienie. W czasie wstępnych rozmów nikt nie pomyślał o królowej Izabeli, ani przez chwilę nikt nie przewidywał, że mogłaby wystąpić z jakąkolwiek pretensją. Po prostu o niej zapomniano. A oto wyłaniała się z północnych mgieł zapowiadana głosem niskiego biskupa angielskiego w futrzanej czapie. Czyżby naprawdę miała prawa? Zapytywano się wzrokiem, naradzano. Tak, oczywiście, jeśli ściśle brać pod uwagę linię rodową, to miała prawa; ale zdało się szaleństwem, by chciała z nich skorzystać.

Po pięciu minutach w Radzie zapanował zamęt. Wszyscy naraz mówili, podnosili głos bez respektu dla zmarłego.

Czy król Anglii i diuk Gujenny w osobie swego posła zapomniał, że kobiety nie mogą rządzić Francją wedle obyczaju dwukrotnie w ostatnich latach potwierdzonego przez parów?

- Nieprawdażli, stryjno? - złośliwie rzucił Robert przypominając Mahaut czasy, gdy oboje tak uparcie się ścierali w sprawie ustawy sukcesyjnej, wydanej, by uprzywilejować Filipa Długiego, zięcia hrabiny.

Nie, Przewielebny Orleton o niczym nie zapomniał, zwłaszcza nie zapomniał, że diuk Gujenny nie był obecny ani reprezentowany - niewątpliwie dlatego, że umyślnie zbyt późno go zawiadomiono - na zebraniach parów, gdzie wielce samowolnie rozszerzono prawo salickie na prawa królewskie, którego to rozszerzenia w następstwie diuk nigdy nie ratyfikował.

Orleton nie posiadał pięknej, namaszczonej wymowy Przewielebnego Wilhelma de Trye; mówił nieco chropawą francuszczyzną z archaicznymi zwrotami, które mogły wywołać uśmiech. Natomiast był zaprawiony w sporach prawnych i odpowiadał szybko.

Pan Miles de Noyers, doradca czterech królów i główny redaktor - jeśli nie autor - prawa salickiego, replikował.

Ponieważ król Edward II złożył hołd królowi Filipowi Długiemu, należy przyjąć, że uznał w nim prawowitego władcę i tym samym ratyfikował ustawę sukcesyjną.

Orleton inaczej rzecz rozumiał. Ależ nie, panie! Składając hołd Edward II li tylko stwierdził, że księstwo Gujenny jest lennem francuskiej korony, czemu nikt nie zamierzał zaprzeczać, chociaż granice tej zależności od przeszło stu lat należało sprecyzować. Lecz hołd wcale nie potwierdza praw do tronu. Przede wszystkim zaś o czym się debatuje, o regencji czy koronie?

- O obu, o obu naraz - wmieszał się Jan de Marigny. - Bo słusznie rzekł Przewielebny Pan de Trye: roztropność nakazuje przewidywać; nie możemy po dwóch miesiącach narażać się na podobną debatę.

Mahaut sapała. Ach! Jakże ją gniewały odczuwane dolegliwości i ten szum w głowie, który jej przeszkadzał jasno myśleć. Nie odpowiadało jej nic z tego, o czym mówiono. Wroga była Filipowi de Valois, ponieważ popierać Valois oznaczało popierać Roberta; wroga była Izabeli z powodu starej nienawiści, ponieważ Izabela zadenuncjowała jej córki. Wmieszała się po niejakim czasie:

- Jeśli korona mogłaby przypaść kobiecie, należałaby się nie waszej królowej, Panie Biskupie, ani żadnej innej niewieście; tylko Pani Joannie Małej, regencję zaś winien by sprawować jej małżonek, tu obecny Dostojny Pan d'Evreux, albo wuj, siedzący obok mnie diuk Eudoksjusz.

Ujawniło się naraz wahanie w postawie diuka Burgundii, hrabiego Flandrii, biskupów Laon i Noyon, a nawet młodego hrabiego d'Evreux.

Rzekłoby się, że korona zawisła między sklepieniem a podłogą, niepewna, gdzie upadnie, a kilka głów już się pod nią podstawiało.

Od dawna już Filip de Valois wyzbył się szlachetnej, nieruchomej pozy i dawał znaki Robertowi d'Artois. Ten powstał.

- Hola? - wykrzyknął. - Zdaje się, że dziś każdemu spieszno, by się zaprzeć. Widzę, że Pani Mahaut, moja umiłowana stryjna, całkiem gotowa przyznać prawa Pani Nawarry...

Zaakcentował “Nawarry” patrząc na Filipa d'Evreux; by mu przypomnieć ich wspólną ugodę.

- ...prawa, których ongiś jej zaprzeczała. Widzę, że zacny biskup angielski powołuje się na działania króla, przeciw któremu spiskował, by zrzucić go z tronu za słabość, niedbalstwo i zdrady... Rozważcie, Wielebny Orletonie, nie można zmieniać ustawy przy każdej sposobności, gdy się ją stosuje, i ku zadowoleniu każdego stronnictwa. Raz służy jednemu, innym razem - drugiemu. Wszyscy miłujemy i poważamy naszą krewniaczkę królową Izabelę. Kilku z nas, tu obecnych, pomagało jej i służyło. Lecz żądania, których tak pięknie bronicie, zdaje się są nie do przyjęcia. Czyż nie takie wasze zdanie, Dostojni Panowie? - dokończył biorąc parów na świadków.

Odpowiedziały mu liczne słowa uznania, najgorętsze ze strony diuka de Bourbon, hrabiego de Blois, parów-biskupów Reims i Beauvais.

Ale Orleton nie wypuścił swej ostatniej strzały. Jeśli nawet założy się, iż chodzi nie tylko o regencję, lecz ewentualnie także o koronę, jeśli nawet założy się - by nie powracać do stosowanej już ustawy - iż niewiasty nie mogą panować we Francji, tedy wnosi się żądania nie w imieniu królowej Izabeli, lecz jej syna, jedynego męskiego potomka w linii prostej.

- Lecz jeśli kobieta nie może panować, nie może panowania przekazywać! - rzekł Filip.

- A to dlaczego, Dostojny Panie? Czy królowie Francji nie rodzą się z kobiet?

Replika wywołała uśmiech na kilku twarzach. Wielki Filip czuł się przygwożdżony. Mimo wszystko niski biskup angielski wcale się nie mylił! Zamierzchły obyczaj wygrzebany przy następstwie po Ludwiku X o tym milczał. I logicznie rzecz biorąc, skoro trzech braci kolejno panowało i nie spłodziło synów, czy władza nie powinna raczej przypaść synowi żyjącej siostry, a nie kuzynowi?

Hrabia de Hainaut, dotąd w pełni przychylny Filipowi, ujrzał, że nagle zarysowuje się przed córką nadspodziewana przyszłość.

Stary konetabl Gaucher zmrużywszy żółwie powieki i zwinąwszy przy uchu dłoń w trąbkę zapytał swego sąsiada Miles'a de Noyers:

- Co? O czym mówią?

Drażnił go zbyt zawiły tok debaty. W sprawie następstwa kobiet miał swoje zdanie, od dwunastu lat niezmienne. W istocie on to ogłosił prawo mężczyzn łącząc parów wokół słynnej formuły: “Lilie wełny nie przędą; Francja jest zbyt szlachetnym królestwem, by popaść w babskie ręce”.

Orleton przemawiał usiłując zagrać na uczuciach. Wzywał parów, by ocenili sposobność, jakiej może nigdy przyszłość nie nastręczy: połączenia obu królestw pod jednym berłem. To była jego zasadnicza myśl. Zakończone nieustanne spory, niesprecyzowana zależność lenna, wojny w Akwitanii, z powodu których cierpiały oba narody; rozstrzygnięte handlowe współzawodnictwo z Flandrią. Po obu stronach morza jeden i ten sam lud. Czy cała angielska szlachta nie wywodziła się z tego samego pnia? Czy język francuski nie był wspólny obu dworom? Czy wielu francuskich panów drogą dziedzictwa nie miało dóbr w Anglii, jak baronowie angielscy - rezydencji we Francji?

- Zatem zgoda, oddajcie nam Anglię, nie odmówimy - zadrwił Filip de Valois.

Konetabl Gaucher słuchał wyjaśnień, jakie szeptał mu do ucha Miles de Noyers, i nagle pociemniała mu twarz. Jak to? Król Anglii żąda regencji? A w następstwie i korony? Na to więc miało posłużyć tyle kampanii, które wiódł on, Gaucher, pod skwarnym niebem Gaskonii, tyle wypraw w północnych błotach przeciw niecnym flamandzkim sukiennikom zawsze popieranym przez Anglię, tylu zacnych rycerzy zabitych, tyle roztrwonionych podatków i subsydiów? Błazenada.

Nie wstając krzyczał głębokim, starczym głosem ochrypłym od gniewu:

- Nigdy Francja nie przypadnie Angielczykowi, i to nie sprawa męża czy niewiasty ani dochodzenia, czy łono przekazuje koronę! Ale Francja nie przypadnie Angielczykowi, bo baronowie tego nie zniosą. Naprzód, Bretania! Naprzód, Blois! Naprzód, Nevers! Naprzód, Burgundia! Zgadzacie się to wysłuchiwać? Mamy króla do ziemi złożyć, szóstego z tych, co za mego życia skonali na moich oczach, wszyscy oni musieli zwoływać wojska przeciw Anglii albo tym, których popierała. Kto ma rządzić Francją, winien mieć krew francuską. I koniec ze słuchaniem bzdur, z których by mój koń się uśmiał.

Wzywał Bretanię, Blois, Burgundię donośnym głosem, jak ongiś w bitwie, gdy dołączał dowódców chorągwi.

- Prawem najstarszego opowiadam się za hrabią de Valois, najbliższym tronu; niech będzie regentem, stróżem i rządzicielem królestwa.

Podniósł się, by zaznaczyć swój wybór.

- Słusznie prawi - spiesznie pochwalił Robert d'Artois, podnosząc szerokie łapsko i wzywając wzrokiem stronników Filipa, by go naśladowali. Teraz prawie żałował, że usunął starego konetabla z królewskiego testamentu.

- Słusznie prawi - powtórzyli diukowie de Bourbon, i Bretanii, hrabia Flandrii, hrabia d'Evreux, biskup i wielcy dostojnicy, hrabia de Hainaut.

Mahaut d'Artois spytała wzrokiem diuka Burgundii, zobaczyła, że ów podnosi rękę, i spiesznie potwierdziła, aby nie być ostatnią.

Nie uniosła się jedynie ręka Orletona.

Filip de Valois, nagle czując się wyczerpany, mówił sobie: “Załatwione, załatwione!” Usłyszał słowa arcybiskupa Wilhelma de Trye, byłego swego preceptora:

- Niech żyje nam regent Francji dla dobra ludu i Świętego Kościoła!

Kanclerz Jan de Cherchemont przygotował był akt, który miał zamknąć obrady i zatwierdzić postanowienie; pozostało do wpisania tylko imię. Kanclerz nakreślił wielkimi literami: “Wielce możny, wielce szlachetny, wielce potężny Pan Filip, hrabia de Valois”, po czym dał do przeczytania dokument, który nie tylko powierzał regencję, ale jeszcze wyznaczał regenta królem Francji, gdyby mające się narodzić dziecko okazało się córką.

Podpisali u dołu dokument i przyłożyli osobiste pieczęcie wszyscy obecni prócz diuka Gujenny, czyli jego przedstawiciela, Przewielebnego Adama Orletona; ów odmówił i rzekł:

- Nigdy nie traci się broniąc swych praw, nawet gdy wiadomo, że nie można zatriumfować. Przyszłość jest niezbadana i w ręku Boga.

Filip de Valois zbliżył się do katafalku i patrzył na ciało kuzyna, koronę opasującą woskowe czoło, długie berło położone wzdłuż płaszcza, skrzące się ciżmy.

Sądzono, że się modli, i gest ten przysporzył mu szacunku.

Robert d'Artois podszedł doń i szepnął:

- Gdyby twój ojciec widział cię w tej chwili, byłby wielce szczęśliwy, drogi człowiek... Jeszcze dwa miesiące oczekiwania.

IV - Król Znajdek

W owych czasach posiadanie karła było obowiązkiem książąt. Ubogie małżeństwa poczytywały sobie niemal za szczęście wydanie na świat ułomnego potomka; były pewne, że kiedyś sprzedadzą go możnemu panu, a może nawet królowi.

Nikt bowiem nie wątpił, że karzeł jest istotą pośrednią między człowiekiem a zwierzęciem domowym. Zwierzęciem, bo można było włożyć nań obrożę, stroić niby tresowanego psiaka i kopać w pośladki; jest człowiekiem, bo mówi i chętnie zgadza się pełnić poniżającą rolę w zamian za płacę i wikt. Na rozkaz winien nadymać się, skakać, błaznować jak dziecko, nawet wtedy, gdy posiwieją mu włosy. Karłowaty wzrost uwydatniał wzrost pana. Przekazywano go sobie w dziedzictwie niby osobistą własność. Był symbolem "poddanego", istoty z natury rzeczy zależnej od władcy i zda się umyślnie stworzonej, by świadczyć o podziale rodzaju ludzkiego na dwie odrębnę rasy, przy czym jedna miała władzę absolutną nad drugą.

Poniżenie przynosiło korzyści; najmniejszy, najsłabszy, najszpetniejszy zasiadał między najstrojniejszymi i najlepiej odżywionymi. Wolno było, a nawet zalecano upośledzonemu mówić panu z wyższej rasy to, czego by on nigdy nie zniósł od nikogo.

W imieniu wszystkich, niejako symbolicznie, karzeł drwił, beształ i lżył, podobnie jak czasem czyni w myśli każdy człowiek, choćby najbardziej oddany swemu przełożonemu.

Istnieją dwa rodzaje karłów: z długim nosem, smutną twarzą oraz krótkim noskiem i olbrzymim torsem na króciutkich, pałąkowatych nóżkach. Karzeł Filipa de Valois, Jasio Trefniś, należał do drugiego rodzaju. Głową dorastał akurat stołu. Na spiczastej czapie miał dzwoneczki, a na grzbiecie jedwabne szmatki.

Pewnego dnia on to właśnie kręcąc się i szydząc powiedział Filipowi:

- A wiesz, Mój Panie, jak cię zowie lud? Nazywa cię "królem znajdkiem".

W Wielki Piątek bowiem 1 kwietnia 1328 roku Pani Joanna d'Evreux, wdowa po Karolu IV, odbyła połóg. Rzadko w dziejach z większą uwagą śledzono płeć noworodka opuszczającego matczyne łono. A gdy niemowlę okazało się dziewczynką, wszyscy uznali to za objawienie woli boskiej i odczuli wielką ulgę.

Baronowie nie musieli ponownie rozważać swego wyboru dokonanego na Gromniczną. Na wnet zwołanym zebraniu potwierdzili przekazanie korony Filipowi przy jednym z zasady sprzeciwie przedstawiciela Anglii.

Lud z ulgą odetchnął. Przekleństwo wielkiego mistrza Jakuba de Molay jakby wygasło. Starsza gałąź rodu Kapetyngów zakończyła się trzema uschłymi pąkami. W każdej rodzinie brak chłopca uważa się za nieszczęście lub oznakę niższości. Tym bardziej w rodzie królewskim. Owa niemoc synów Filipa Pięknego, by spłodzić męskich potomków, wydawała się oznaką kary. Drzewo będzie mogło

odrosnąć od korzenia.

Nagle gorączki ogarniają ludy, a ich przyczyny należałoby szukać w przesunięciu gwiazd, tak bardzo wymykają się innym wyjaśnieniom: fala okrutnej histerii, jaką były krucjata “pastuszków” i rzeź trędowatych, albo fala szaleńczej euforii towarzysząca wstąpieniu na tron Filipa de Valois.

Nowy król był słusznego wzrostu i posiadał majestatyczną barczystą postawę, niezbędną dla założyciela dynastii.

Pierwszym jego dzieckiem był syn, obecnie już dziewięcioletni, wyglądający na krzepkiego; miał również córkę, a było wiadomo - dwory nie czynią z tego tajemnicy - że prawie noc w noc zaszczycał swą kulawą małżonkę, i to z zapałem, którego nie umniejszały lata.

Obdarzony donośnym i dźwięcznym głosem, nie był jąkałą, jak kuzynowie Ludwik Kłótliwy i Karol IV, ani milczkiem, jak Filip Piękny czy Filip V, kto mógł się mu przeciwstawić, kogo można było mu przeciwstawić? W szumnym życiu Francji kto by chciał słuchać jakichś doktorów prawa opłaconych przez Anglię, aby wypowiadać bez przekonania obce poglądy.

Filip VI wstępował na tron przy powszechnym aplauzie.

A jednakże był tylko królem z przypadku, bratankiem, kuzynem królewskim, jakich było wielu, człowiekiem uprzywilejowanym przez parantelę; nie zaś królem przy urodzeniu wyznaczonym przez Boga, królem w darze otrzymanym, a - królem znajdkiem, gdy pewnego dnia zabrakło następcy tronu.

Przezwisko wymyślone na ulicznym bruku w niczym nie umniejszało zaufania i radości; było tylko jednym z wyrażeń, jakimi tłum lubi osłaniać swe uczucia, a które mu dają złudzenie spoufalania się z władcą. Gdy Jan Trefniś wypowiedział to słówko, zarobił kuksańca i wyolbrzymiając siłę uderzenia pocierał żebra i wydawał przeraźliwe okrzyki; a jednak wypowiedział hasło losu.

Filip de Valois bowiem, jak każdy parweniusz, chciał dowieść, że ze względu na wrodzone zalety w pełni dorósł do ofiarowanej mu godności i wiernie uosabia konterfekt wymarzonego króla.

Ponieważ król jest najwyższym sędzią, po trzech tygodniach kazał powiesić skarbnika ostatniego króla, Piotra de Remy, który, jak zapewniano, nadto frymarczył skarbem. Minister finansów na stryczku zawsze cieszy lud. Francuzi sobie gratulowali. Oto król sprawiedliwy!

Z obowiązku i urzędu książę jest obrońcą wiary. Filip wydał edykt zaostrzający kary na bluźnierców i wzmocnił władzę inkwizycji. Przeto pokrzepieni się czuli wyżsi i niżsi duchowni, drobni pankowie i parafialne dewotki. Oto król pobożny!

Monarcha winien wynagradzać oddane mu usługi. Ileż zaś usług było niezbędnych, aby zapewnić wybór Filipa! Ale król winien również czuwać, by nie przyczynić sobie wrogów wśród tych, co wiernie służyli Koronie za panowania jego poprzedników. Przeto utrzymując na urzędach prawie wszystkich dawnych dostojników i dygnitarzy królewskich, ustanowiono nowe urzędy lub zdublowano już istniejące, aby zapewnić miejsce poplecznikom nowego króla i zadowolić wszystkich protegowanych wielkich elektorów. Ponieważ zaś dwór Valois już prowadził królewski

tryb życia, ów tryb nałożył się na poprzedni wygasłej dynastii i nastąpił wielki tłok wokół urzędów i lenn. Oto król szczodry!

Król winien także zapewnić dobrobyt poddanym. Filip VI pospieszył obniżyć, a nawet w niektórych wypadkach znieść podatki, jakimi Filip IV i Filip V obłożyli handel targowy i wymianę z cudzoziemcami; opłaty owe - zdaniem tych, co je uiszczali - hamowały handel i rozwój targów.

Ach! Oto dobry król wreszcie ukrócał krętactwa poborców jego ojca, a którym i on wiele zawdzięczał.

Nikomu nie przyszło na myśl, że system skarbowy za poprzednich królów daje wyniki na długą metę, że jeśli Francja jest bogata i żyje się tu dostatniej niż gdziekolwiek indziej na świecie, że jeśli ludzie ubierają się w dobre sukna, a często i futra, jeśli widuje się kąpieliska i łaźnie nawet w wioskach, zawdzięcza się to poprzednim Filipom, którzy umieli zapewnić królestwu ład, jednolity pieniądz, bezpieczeństwo pracy.

Król... król winien być mędrcem, człowiekiem w narodzie najmędrszym. Filip jął używać tonu sentencjonalnego wypowiadając swym pięknym głosem ważkie zasady, które po trosze cechowały styl jego preceptora, arcybiskupa Wilhelma de Trye.

“My, pragnąc zawsze mieć słuszność...” - mawiał za każdym razem, gdy nie wiedział, po czyjej stanąć stronie.

Gdy zaś zbłądził, co mu się często zdarzało, i musiał wycofać przedwczoraj wydane rozkazy, z jednaką pewnością oświadczał: “Słuszną jest rzeczą zmienić swe zdanie”.

“Zawsze lepiej zaskoczyć, niż być zaskoczonym” - również wypowiadał pompatycznie ów król, co w ciągu dwudziestu dwóch lat swego panowania wciąż nieszczęśliwie popadał w niespodziankę po niespodziance.

Nigdy dotąd król nie przemawiał tak wzniośle, a płytko. Wydawało się, że rozważa; w istocie wyłącznie myślał, jaką sentencję winien wygłosić, by nadać sobie pozory rozwagi; lecz głowę miał pustą jak orzech w nieurodzajnym roku.

Król, prawdziwy król - pamiętajmy - winien być odważny, prawy i wspaniały. W istocie Filip posiadał jedynie zdolności do władania bronią na zapasach, turniejach. Na dworze pomniejszego barona, jako wychowawca młodych rycerzy, zdziałałby cuda. Jego monarsza rezydencja przypominała jakiś zamek wprost z wielce poczytnych naonczas opowieści Okrągłego Stołu, którymi nafaszerował sobie wyobraźnię.

Wciąż odbywały się turnieje, uroczystości, festyny, łowy, igrzyska, po czym znów turnieje z mnóstwem piór na hełmach i końmi strojniejszymi niż kobiety.

Filip bardzo poważnie zajmował się sprawami królestwa, godzinę dziennie, po kruszeniu kopii, skąd wracał ociekając potem, lub uczcie, którą opuszczał z naładowanym brzuchem i zamgloną głową. Kanclerz, skarbnik, niezliczeni urzędnicy podejmowali zań decyzje albo szli po rozkazy do Roberta

d'Artois. Zaprawdę ten rządził królestwem bardziej niż monarcha.

Ufnie słuchano hrabiego d'Artois, bo w każdym kłopocie Filip odwoływał się do rad Roberta i było wiadomo, że król potwierdzi każde jego zarządzenie.

W dobrej zgodzie wyruszono na sakrę, na której arcybiskup Wilhelm de Trye miał włożyć koronę na głowę swego byłego wychowanka. Uroczystości te pod koniec maja trwały pięć dni.

Zda się, że całe królestwo zjechało do Reims. Ba! nie tylko królestwo, lecz także część Europy wraz ze wspaniałym i bez grosza królem czeskim Janem, hrabią Wilhelmem de Hainaut, markizem z Namur i diukiem Lotaryngii. Pięć dni uciech i biesiad, co za rozrzutność, wydatki, o jakich dotąd mieszczanom z Reims ani się śniło. Oni to pokrywali koszty uroczystości i choć w czasie poprzednich koronacji dęba stawali wobec wydatków, tym razem ochoczo dostarczali po dwakroć i trzykroć. Od stu lat tyle się nie popijało we francuskim królestwie; w bród podawano trunków na dziedzińcach i placach.

W przeddzień koronacji król z jak największym przepychem pasował na rycerza Ludwika de Crecy, hrabiego Flandrii i Nevers. Postanowiono bowiem, że podczas sakry hrabia Flandrii będzie trzymał miecz Karola Wielkiego i miecz ten poda królowi. Zapanowało zdziwienie, że konetabl zgodził się odstąpić swój tradycyjny udział w obrzędzie. Jednakże hrabia Flandrii wpierw musiał dostać rycerskie ostrogi. Czy Filip VI mógłby świetniej okazać przyjaźń, jaką żywi dla flamandzkiego kuzyna?

Nazajutrz zaś, podczas celebrowania obrzędu w katedrze, gdy Ludwik de Bourbon, wielki pokojowiec Francji, obuł króla w ciżmy haftowane w kwiaty lilii i wezwał do stawiennictwa hrabiego Flandrii, ów nie drgnął.

Ludwik de Bourbon powtórzył:

- Dostojny Pan hrabia Flandrii.

Ludwik de Crecy nadal stał nieruchomo skrzyżowawszy ramiona.

- Dostojny Panie hrabio Flandrii - obwieścił diuk de Bourbon - jeśli jesteście tu obecni, wy lub wasz zastępca, zbliżcie się, by dopełnić waszej powinności, a wzywamy was do stawiennictwa pod groźbą kary za popełnienie przestępstwa.

Pod sklepieniem nastała wielka cisza i lękliwe zdumienie odmalowało się na twarzach prałatów, baronów, dostojników; lecz król stał obojętny, a Robert sapał zadarłszy nos do góry, jakby przyglądał się grze słońca na witrażach.

Wreszcie hrabia Flandrii raczył się zbliżyć, przystanął przed królem, pokłonił się i rzekł:

- Sire, gdyby wezwano hrabiego de Nevers lub pana na Crecy, stawiłbym się szybciej.

- Cóż to, Szlachetny Panie - odparł Filip VI - a zali nie jesteście hrabią Flandrii?

- Sire, noszę ten tytuł, lecz zeń nie korzystam.

Wówczas Filip VI przybrał swą najokazalszą, królewską postawę, wypiął pierś, skierował ku rozmówcy mętne spojrzenie i długi nos, spokojnie mówiąc:

- Kuzynie, co mi też powiadacie?

- Sire - podjął hrabia - mieszkańcy Brugii, Ypres, Poperingue i Cassel wygnali mnie z mego lenna i już nie poczytują za swego hrabiego i suwerena, ledwie zdołałem po kryjomu udać się do Gandawy, tak cały kraj płonie buntem.

Tedy Filip de Valois położył szeroką dłoń na poręczy tronu ruchem, jaki często widywał u Filipa Pięknego i często nieświadomie naśladował, tak bardzo bowiem stryj był wcieleniem prawdziwego majestatu.

- Ludwiku, piękny kuzynie - oświadczył powoli i donośnie - uważamy was za hrabiego Flandrii i przyrzekamy wam na święte namaszczenie i sakrament, jaki dziś przyjęliśmy, że nigdy nie zaznamy pokoju ni spoczynku, dopóki nie zwrócimy wam we władanie waszego hrabstwa.

Tedy hrabia Flandrii przyklęknął i rzekł:

- Sire, wielkie dzięki.

I ceremonia potoczyła się dalej.

Robert d'Artois mrugnął do sąsiadów i wtedy pojęli, że gorszący wybieg został z góry ułożony. Filip VI dotrzymywał obietnic Roberta, poczynionych, by mu zapewnić wybór. Tegoż dnia Filip d'Evreux pojawił się w płaszczu króla Nawarry.

Natychmiast po koronacji król zebrał parów i baronów, spokrewnionych książąt, zagranicznych panów przybyłych na koronację i - jakby sprawa nie cierpiała ani chwili zwłoki - rozważył z nimi termin najazdu na zbuntowaną Flandrię. Obrona praw wasali to obowiązek króla! Co rozważniejsi uważali, że wiosna jest zbyt późna i grozi, iż zaskoczy ich plucha, jeszcze pamiętali “bagienną wyprawę” Ludwika Kłótliwego, doradzali przeto, by odłożyć kampanię na przyszły rok. Zawstydził ich stary Gaucher w głos wołając:

- Kto ma wolę do boju, temu każda pora dobra!

Śpieszno mu było w siedemdziesiątym ósmym roku życia dowodzić swą ostatnią wyprawą i przed chwilą zgodził się wyzbyć miecza Karola Wielkiego nie po to, by używać podobnych wykrętów.

- Tym sposobem Angielczyk, który kryje się za tą rebelią, otrzyma dobrą nauczkę - jeszcze burczał.

Czyż nie czytywano w rycerskich opowieściach o bohaterskich czynach osiemdziesięciolatków zdolnych wroga obalić w bitwie, rozłupać mu hełm po czaszkę? Czy baronowie okażą mniej męstwa niżeli stary weteran niecierpliwy, by ruszyć na wojnę ze swym szóstym królem?

Filip de Valois powstał wołając:

- Kto mnie miłuje, pójdzie za mną!

Po tych słowach, w ogólnym porywie entuzjazmu, postanowiono zwołać wojska na koniec lipca i jakby przypadkiem do Arras. Robert będzie mógł skorzystać i nieco podburzyć hrabstwo stryjny Mahaut.

Przeto w początkach sierpnia armia wkroczyła do Flandrii.

Piętnastotysięczną milicją z Furnes, Dixmude, Poperingue i Cassel dowodził mieszczanin, niejaki Zannequin. Pragnąc okazać, że zna obyczaje, Zannequin wysłał wezwanie do króla Francji, aby wyznaczył dzień bitwy. Lecz Filip zlekceważył prostaka, który przybierał książęcą postawę, i kazał odpowiedzieć Flamandom, że nie mając wodza winni się bronić jak potrafią. Po czym wysłał obu marszałków, Mateusza de Trye i Roberta Bertranda, zwanego "rycerzem Zielonego Lwa", aby podpalili Brugię.

Gdy marszałkowie wrócili, urządzono im owację; cieszyli się wszyscy widząc w oddali ubogie domy w płomieniach. Rycerze bez broni, strojni w bogate szaty, odwiedzali się wzajem w namiotach, ucztowali pod chorągwiami z haftowanego jedwabiu i grali z dworzanami w szachy. Francuski obóz całkiem przypominał obóz króla Artura z ilustrowanych książek, a baronowie uważali się za Lancelotów, Hektorów i Galaadów.

Zdarzyło się, iż mężny król - który wolał zaskoczyć, niż zostać zaskoczonym - biesiadował w wesołej kompanii, aż tu piętnaście tysięcy Flamandów wtargnęło do obozu. Wywijali chorągwiami z wymalowanym kogutem, pod którym widniał napis:

Kiedy kogut ten zapieje,

Król znajdek wejść tu ma nadzieję.

Niebawem spustoszyli pół obozu; poprzecinali sznury u namiotów, zrzucili szachownice, powywracali biesiadne stoły i zabili wielu feudałów.

Piechota francuska czmychnęła, a strach gnał ją bez tchu, aż ocknęła się pod Saint-Omer o czterdzieści mil wstecz.

Król ledwie zdążył narzucić szatę haftowaną w herby Francji, wcisnąć na głowę białą skórzaną czapkę pod hełm i skoczyć na rumaka, by zwołać swych bohaterów.

W owej bitwie obie strony popełniły poważny błąd, i to przez pychę. Francuscy rycerze zlekceważyli flamandzkich pospolitaków; ci zaś, chcąc się okazać wojownikami na modłę panów, przywdziali

zbroje; przybyli zaś pieszo.

Obozujący nieco na uboczu hrabia Hainaut oraz brat jego Jan pierwsi rzucili się, by zajść tyły Flamandom i pomieszać im szyki. Tedy runęli zebrani przez króla rycerze i dalejże obalać, tratować pod kopytami rumaków, mordować obciążoną pysznym rynsztunkiem piechotę. Lanceloci i Galaadowie zadowalali się rozłupywaniem hełmów i ogłuszaniem, pozostawiając zbrojnym pachołkom dorzynanie zwyciężonych. Ktokolwiek usiłował uciec, obalał go szarżujący koń; ktokolwiek się poddawał, migiem miał poderżnięte gardło. Na polu legło trzynaście tysięcy Flamandów tworząc niebywały stos żelastwa i trupów, a czego byś nie dotknął - trawy, człowieka czy zwierzęcia - wszystko było lepkie od krwi.

Rozpoczęta w popłochu bitwa pod wzgórzem Cassel zakończyła się całkowitym zwycięstwem Francuzów. Już o niej mówiono jako o nowym Bouvines.

Prawdziwym zwycięzcą nie był król ani stary konetabl Gaucher, ani Robert d'Artois, mimo że okazali wielkie męstwo spadając lawiną na wrogie szeregi. Ocalił wszystko hrabia Wilhelm de Hainaut. Lecz szwagier jego, Filip VI, zebrał plon chwały.

Król, równie potężny jak Filip, nie mógł dopuścić do jakiegokolwiek uchybienia ze strony wasali. Wysłano przeto upomnienie do króla Anglii, diuka Gujenny, aby złożył hołd, i to spiesznie.

Nie istnieją zbawienne klęski, ale bywają zgubne zwycięstwa. Mało wypadków zaważyło tak drogo na losach Francji, jak bitwa pod Cassel; wpoiła bowiem parę fałszywych poglądów, a mianowicie przede wszystkim, że nowy król jest niezwyciężony, a po drugie, że piechota na wojnie jest licha warta. Po dwudziestu latach klęska pod Crecy była następstwem owego złudzenia.

Tymczasem ktokolwiek dowodził chorągwią, ktokolwiek władał kopią aż po najskromniejszego giermka, spoglądał z politowaniem z wysokości swego siodła na niższy rodzaj ludzki maszerujący piechotą.

Owej jesieni, około połowy października, w swej siedzibie a dawnej rezydencji Zakonu, zmarła w trzydziestym piątym roku życia Pani Klemencja Węgierska, była druga małżonka Ludwika Kłótliwego, nieszczęsna królowa. Pozostawiła tyle długów, że w tydzień po jej śmierci, na żądanie włoskich wierzycieli Bardich i Tolomeiów, wystawiono na licytację wszystko, co posiadała: pierścienie, korony, klejnoty, sprzęty, bieliznę, złotnicze cacka, a nawet naczynia kuchenne.

Stary Spinello Tolomei, powłócząc nogą, z brzuchem wypiętym, jednym okiem otwartym, a drugim przymkniętym, przybył na wyprzedaż, gdzie wyznaczonych przez króla sześciu złotników-rzeczoznawców dokonało oszacowania. I cokolwiek otrzymała w ciągu jednego roku wątpliwego szczęścia królowa Klemencja, rozproszyło się wszystko.

Cztery dni rozlegał się głos rzeczoznawców: Szymona z Clokettes, Jana Pascona, Piotra z Besancon i Jana z Lille.

- Wspaniały złoty kapelusz, inkrustowany czterema wielkimi różowymi rubinami, czterema wielkimi szmaragdami, szesnastu małymi rubinami różowymi, szesnastu małymi szmaragdami i ośmiu aleksandryjskimi rubinami. Wyceniony na sześćset liwrów. Sprzedany królowi.

- Pierścień z czterema szafirami, w tym trzy kwadratowe i jeden kaboszon; wyceniony na czterdzieści liwrów. Sprzedany królowi!

- Pierścień z sześciu wschodnimi rubinami, trzema szmaragdami kwadratowymi i trzema zielonymi diamentami, cena: dwieście liwrów. Sprzedany królowi!

- Miseczka ze złoconego srebra, dwadzieścia pięć pucharów, dwie tace, misa; cena: dwieście liwrów. Sprzedane Dostojnemu Panu Robertowi d'Artois, hrabiemu de Beaumont!

- Dwanaście pucharów ze złoconego srebra z herbami Francji i Węgier na emalii, duża solniczka z czterema pawianami jako podstawą, również srebrna pozłacana, razem za czterysta piętnaście liwrów. Sprzedano Dostojnemu Panu d'Artois, hrabiemu de Beaumont!

- Haftowana złotą nicią sakiewka, wyszywana obustronnie perłami, ze wschodnim szafirem w środku. Cena: szesnaście liwrów. Sprzedana królowi!

Kompania Bardich nabyła najdroższy okaz: pierścień z największym rubinem Klemencji Węgierskiej, oszacowany na tysiąc liwrów. Nie musiała płacić, ponieważ o tę sumę zmniejszy się wierzytelność, natomiast była pewna, że go odsprzeda papieżowi, ongiś jej dłużnikowi, a dziś władcy bajecznej fortuny.

Robert d'Artois, jakby pragnąc dowieść, że puchary oraz kielichy i dzbany nie stanowią jedynej jego troski, jeszcze zakupił za trzydzieści liwrów Biblię w języku francuskim.

Szaty liturgiczne, tuniki, dalmatyki zakupił biskup Chartres.

Złotnik Wilhelm Flament tanio nabył złotą zastawę zmarłej królowej.

Konie sprzedano za sześćset dziewięćdziesiąt dwa liwry.

Również wystawiono na licytację pojazd królowej Klemencji oraz powóz jej dwórek.

Gdy zaś wszystko zabrano z zamku Temple, zapanowało wrażenie, iż zamknięto jakiś przeklęty dom.

Zaprawdę, owego roku przeszłość jakby sama przez się wygasała, by ustąpić miejsca nowemu panowaniu. W listopadzie zmarł biskup Arras, Thierry d'Hirson, kanclerz hrabiny Mahaut. W ciągu lat trzydziestu był doradcą hrabiny, takoż po trosze jej kochankiem i pomocnikiem we wszelkich knowaniach. Pustka zagnieździła się wokół Mahaut. Robert d'Artois kazał wynieść na tron biskupi w Arras duchownego ze stronnictwa Valois, Piotra Rogera.

Nic nie sprzyjało Mahaut, wszystko jakby sprzyjało Robertowi, autorytet jego wciąż rósł, on zasię dostępował najwyższych zaszczytów.

W styczniu roku 1329 Filip VI wyniósł hrabstwo Beaumont-le-Roger do godności parostwa; Robert został parem królestwa.

Znów postanowiono zająć księstwo Gujenny, jako że król Anglii zwlekał ze złożeniem hołdu. Nim jednak pogróżka przekształciła się w zbrojną wyprawę, wysłano Roberta d'Artois do Awinionu, aby uzyskać pośrednictwo papieża Jana XXII.

Nad Rodanem Robert spędził dwa czarujące tygodnie, Awinion bowiem - dokąd spływało złoto całego chrześcijaństwa i pod rządami osiemdziesięcioletniego papieża pogrążonego w zagadnieniach finansowych, politycznych i teologicznych - był miastem niezrównanych uciech dla smakosza, gracza i miłośnika pięknych kurtyzan.

Świeżo mianowany par Francji był u papieża na kilku audiencjach; w zamku papieskim wydano ucztę na jego cześć, i uczenie rozprawiał z wielu kardynałami. Lecz wierny gustom swej burzliwej młodości stykał się również z ludźmi podlejszej kondycji. Gdziekolwiek Robert się znalazł, bez żadnego trudu ściągał do siebie rozpustnicę, nicponia, który umknął sądom. Choćby tylko jeden jedyny ukrywał się w mieście, odnajdywał go w ciągu kwadransa. Mnich wygnany z klasztoru za jakiś grubszy skandal, kleryk oskarżony o kradzież lub krzywoprzysięstwo kręcili się po jego przedpokoju żebrząc o pomoc. Często na ulicach witali go przechodnie o poślednim wyglądzie, on zaś próżno usiłował przypomnieć sobie, w jakim burdelu i w jakim mieście ongiś ich spotykał. Oczywiste było, że wzbudzał zaufanie wśród rzezimieszków, i w niczym nie zmieniało postaci rzeczy, iż był obecnie drugą osobą w królestwie.

Już mu nie towarzyszył stary jego sługa Lormet z Dole, obecnie zbyt wiekowy, by odbywać dalekie podróże. Młodszy, zuch, lecz wychowany w podobnej szkole, Gillet de Nelle, pełnił tę samą służbę i brał na swe barki te same obowiązki. Właśnie Gillet naraił Robertowi niejakiego Maciot Allemanta, sierżanta bez pracy, gotowego imać się wszelkiej roboty, a rodem z Arras. Ongiś ów Maciot znał dobrze biskupa Thierry d'Hirsona. W ostatnich zaś latach biskup Thierry miał przyjaciółkę od serca i łoża, niejaką Joannę de Divion, o dobre dwadzieścia lat odeń młodszą, a która obecnie dość głośno uskarżała się na kłopoty, jakich jej przyczyniała po śmierci biskupa hrabina Mahaut. Gdyby Dostojny Pan raczył wysłuchać damy de Divion...

Robert d'Artois raz jeszcze stwierdził, że wiele można się nauczyć od ludzi o podlejszej sławie. Zapewne, rękom Maciot Allemanta nie można by z całkowitą ufnością powierzyć trzosa, lecz chłop był wtajemniczony w nadzwyczaj interesujące sprawy. Przebrany w nową odzież, na dobrze wykarmionym koniu został wysłany na północ.

Wróciwszy w marcu do Paryża Robert zacierał ręce i twierdził, iż niebawem Artois stanie się widownią nowych wydarzeń. Mówił o dokumentach królewskich ongiś wykradzionych przez biskupa Thierry na polecenie Mahaut. Zakapturzona kobieta kilkakrotnie przekraczała próg jego gabinetu i miewał z nią długie, sekretne narady. Widać było, że z tygodnia na tydzień staje się dufniejszy, bardziej radosny i z coraz większą pewnością zapowiada bliskie pognębienie wrogów.

W kwietniu dwór angielski, ulegając zaleceniom papieża, ponownie wysłał do Paryża biskupa Orletona wraz z sześćdziesięciodwuosobową świtą złożoną z możnych panów, prałatów, doktorów, kleryków i pachołków, aby omówił tekst przysięgi hołdowniczej. Szykowano się zawrzeć jakby

prawdziwy traktat.

Niewesoło przedstawiały się sprawy Anglii. Nie wzrósł autorytet lorda Mortimera, gdy kazał nadać sobie godność para, zmusiwszy Parlament do obrad pod naciskiem swych Żołnierzy. Musiał stłumić zbrojną rewoltę baronów zjednoczonych pod wodzą Henryka Lancastera Krzywoszyjka, a rządy nastręczały mu poważne trudności.

W początkach maja zmarł dzielny Gaucher de Chatillon u progu osiemdziesiątego roku życia. Urodził się za panowania Ludwika Świętego, przez dwadzieścia siedem lat sprawował urząd konetabla. Szorstki jego głos częstokroć zmieniał losy bitew i rozstrzygał na radzie królewskiej.

26 maja młody król Edward III musiał wzorem ojca pożyczyć u lombardzkich bankierów pięć tysięcy liwrów, aby pokryć koszty podróży; wsiadł na statek w Dover i pospieszył złożyć hołd swemu francuskiemu kuzynowi.

Nie towarzyszyła mu matka Izabela ani lord Mortimer; oboje zbyt się lękali, aby podczas ich nieobecności władza nie przeszła w obce ręce. Szesnastoletni monarcha powierzony pieczy dwu biskupów miał przeto zetknąć się z dworem najświetniejszym na całym świecie.

Anglia była bowiem słaba, wewnętrznie rozbita, Francja zaś stanowiła jednolitą całość. W całej chrześcijańskiej społeczności nie było potężniejszego narodu. Zdawało się godnym zazdrości owo zamożne królestwo o gęstym zaludnieniu, kwitnącym rolnictwie, bogate w rzemiosła, kierowane przez jeszcze właściwie wyszkoloną administrację i jeszcze skorą do czynu szlachtę; panujący zaś od roku król znajdek zbierał tylko świetne plony i był najbardziej godny zazdrości spośród wszystkich na ziemi królów.

V - Olbrzym w zwierciadłach

Chciał się pokazać, lecz również siebie zobaczyć. Chciał, aby go podziwiali: piękna małżonka hrabina, trzej synowie Jan, Jakub i Robert, z których najstarszy miał osiem lat i zapowiadał się na wielkiego i krzepkiego; chciał, aby w pełni splendoru oglądali go giermkowie, pokojowcy i cały dwór, który przywiózł ze sobą z Paryża; lecz również pragnął przyjrzeć się sobie i siebie podziwiać.

W owym celu zażądał wszystkich luster, jakie tylko można było znaleźć w tobołach świty, luster z polerowanego srebra, krągłych niby talerze, luster na trzonkach, luster sporządzonych ze szkła podklejonego listkiem cyny, wykrojonych w ośmiobok, w oprawach ze złoconego srebra, i kazał je zawiesić jedne obok drugich na gobelinach w komnacie, którą zajmował. Biskup Amiens z pewnością nie będzie bardzo rad, gdy zobaczy piękny arras podziurawiony wbitymi weń gwoździami. Ale co z tego! Książę krwi może sobie na to pozwolić. Dostojny Pan Robert d'Artois, pan na Conches i hrabia de Beaumont-le-Roger, zapragnął podziwiać się w stroju para, jaki przywdział po raz pierwszy.

Obracał się, wykręcał, posuwał dwa kroki naprzód, cofał się, ale za każdym razem oglądał tylko cząstki swego odbicia niby kawałki wykrojone z witraża: na lewo złotą rękojeść długiego miecza, a nieco wyżej na prawo kawałek piersi, gdzie na jedwabnej szacie widniały wyhaftowane jego herby; tu ramię w paradnym płaszczu para spiętym skrzącą agrafą, a tuż nad podłogą frędzle długiej tuniki unoszonej przez złote ostrogi; później zaś, u szczytu, koronę para o równych ośmiu pąkach, kolosalną, w którą kazał wprawić wszystkie rubiny zakupione na licytacji po śmierci zmarłej królowej Klemencji.

- Hejże, jestem przyodziany godnie - oświadczył. - Naprawdę byłoby szkoda, gdybym nie został parem, bo strój ten leży na mnie jak ulany.

Hrabina de Beaumont, również w paradnych szatach jakby na poły tylko podzielała pełną pychy uciechę małżonka.

- Czy jesteście pewni, Robercie, że ta dama przybędzie w porę? - spytała zatroskanym głosem.

- Ależ oczywiście, ależ na pewno - odparł. - A gdyby nawet nie przybyła dziś rano, to jednakże zgłoszę moją suplikę, a dokumenty przedstawię jutro.

Jedyną niewygodą, jaką odczuwał Robert w swym świetnym stroju, było to, iż musiał go włożyć w przedwcześnie upalnej porze lata. Pocił się w tym rzędzie ze złota, aksamitów i grubych jedwabi i, mimo że rano wykąpał się był w łaźni, jął roztaczać mocny zapach zwierzyny.

Poza otwartym oknem widniało niebo olśniewające blaskiem i rozlegał się głos dzwonów bijących w pełnym rozmachu, przygłuszając hałas, jaki mogą sprawiać orszaki pięciu królów oraz ich dworów.

6 czerwca roku 1329 stawiło się bowiem w Amiens pięciu królów. Za pamięci kanclerza nie

przypominano sobie podobnego zjazdu. Na złożenie hołdu przez młodego kuzyna z Anglii Filip VI sprosił swych krewniaków lub sojuszników, królów Nawarry, Czech i Majorki, a takoż hrabiego de Hainaut, diuka Aten i wszystkich parów, diuków, hrabiów, biskupów, baronów i marszałków.

Sześć tysięcy koni po stronie francuskiej i sześćset po angielskiej. Ach! Karol de Valois nie wyparłby się swego syna ani zięcia Roberta d'Artois, gdyby mógł oglądać owo zbiegowisko!

Nowy konetabl Raul de Brienne obejmując swój urząd otrzymał polecenie przygotowania kwater. Spełnił rozkaz wzorowo, lecz schudł o pięć funtów.

Król Francji wraz z rodziną zamieszkał w pałacu biskupim, gdzie jedno skrzydło zarezerwowano dla Roberta d'Artois.

Król Anglii rozgościł się w Malmaisons, pozostali królowie - w domach mieszczan. Służba sypiała na korytarzach, giermkowie obozowali pod miastem wraz z końmi i taborami.

Niezliczone tłumy przybyły z pobliskiej prowincji, z sąsiednich hrabstw, a nawet z Paryża. Gapie nocowali w bramach.

Podczas gdy kanclerze obu królestw, omawiając po raz ostatni tekst przysięgi hołdowniczej, po długich debatach doszli do zgodnego wniosku, iż jest rzeczą niemożliwą go ustalić, cała szlachta z zachodu bawiła się na zapasach i turniejach, na widowiskach i igrzyskach, tańcach i raczyła się na niebywałych biesiadach, odbywających się w pałacowych sadach - rozpoczynały się one, gdy słońce stało w zenicie, a kończyły przy gwiazdach.

Na płaskodennych barkach, spychanych żerdziami po wąskich kanałach, przywożono z okolic Amiens ogrodowiznę oraz snopy irysów, jaskrów, hiacyntów i lilii, które wyładowywano na nabrzeżu rzecznego rynku, aby je potem rozrzucać na ulicach, podworcach i salach, gdzie mieli przechodzić królowie. Miasto było przesycone zapachem tych wszystkich zdeptanych kwiatów i pyłkiem, który się lepił do podeszew i łączył z mocną wonią koni i tłumu.

A jadło! A wina! A mięsiwa! A ciasta! A przyprawy! Stada wołów, baranów i wieprzy pędzono do rzeźni, które pracowały bez wytchnienia; nieprzerwany ciąg wozów dostarczał do pałacowych kuchni danieli, jeleni, dzików, saren, zajęcy i wszelakiej ryby morskiej, jesiotrów, łososi, umbryny, a z rzecznych połowów długich szczupaków, leszczy, linów i raków oraz wszelkiego ptactwa, najdelikatniejszych kapłonów, najtuczniejszych gęsi, bażantów o jaskrawych barwach, nieskazitelnej bieli czapli, cętkowanych pawi. Wszędzie wino toczyło się z antałów.

Puszył się każdy w pańskiej liberii, choćby był ostatnim sługą. Dziewczęta oszalały. Włoscy kupcy przybyli zewsząd na ów bajeczny jarmark zgotowany przez króla. Fasady domów w Amiens tonęły w jedwabiach, brokatach, dywanach zwisających ku ozdobie z okien.

Za wiele było dzwonów, fanfar i okrzyków, za wiele strojnych rumaków i psów, za wiele jadła i trunków, za wielu książąt, za wielu złodziei, za wiele ladacznic, za wiele przepychu i złota, za wielu królów! Głowa pękała.

Królestwo upajało się przyglądając własnej potędze, jak Robert d'Artois upajał się sobą przed swymi lustrami.

Stary jego sługa Lormet takoż w nowym przyodziewku, lecz zrzędliwy mimo tych wszystkich festynów... och! z powodu drobnostki, ponieważ Gillet de Nelle zbyt panoszył się w domu, ponieważ wokół pana wciąż pojawiały się nowe twarze... zbliżył się do Roberta i rzekł półgłosem:

- Dama, na którą czekacie, już się stawiła.

Olbrzym gwałtownie się obrócił.

- Przyprowadź ją do mnie - rozkazał.

Przymrużył oko do swej żony hrabiny, po czym wy machując rękami wypchnął dworaków za drzwi pokrzykując:

- Fora stąd wszyscy, ustawcie się na podwórcu w orszaku.

Chwilę pozostał sam, patrzył przez okno na tłum z trudem powstrzymywany przez kordon łuczników, zgromadzony przed katedrą, by podziwiać wkraczających panów. Dzwony nadal wstrząsały niebem; nagle przeniknął powietrze zapach gorących wafli dolatujący z kramów; ulice były zatłoczone; ledwo dostrzegało się migocący kanał Hocquet, tyle się na nim stykało barek.

Robert d'Artois odczuł smak zwycięstwa, a jeszcze bardziej zatriumfuje za chwilę, gdy w katedrze podejdzie do swego kuzyna Filipa i wypowie pewne słowa, które nie omieszkają wprawić w dreszcz zdumienia zgromadzonych królów, diuków i baronów. I nie wszyscy odejdą równie radzi, jak przyszli. Począwszy od drogiej stryjny Mahaut i diuka z Burgundii.

Ach! Z pewnością Robert dobrze wykorzysta swój pierwszy występ w stroju para! Przeszło dwadzieścia lat zaciętej walki dzisiaj zostanie uwieńczonych zwycięstwem. A jednak w rozpierającej go dumnej radości odczuwał jakby skazę, jakiś żal. Skąd mogło najść nań to uczucie, gdy wszystko się doń uśmiechało, układało wedle jego życzeń. Nagle pojął: zapach wafli. Par Francji, który za chwilę zażąda hrabstwa swoich ojców, nie może w koronie o ośmiu pąkach zejść na ulicę, aby zjeść wafel. Par Francji nie może łajdaczyć się, wmieszać w tłum, podszczypywać piersi dziewcząt, a wieczorem ryczeć z uciechy między czterema rozpustnicami, jak wówczas gdy był biedny i miał dwadzieścia lat. Pokrzepiła go owa tęsknota. “Hejże - pomyślał - krew jeszcze nie ostygła!”

Wezwana kobieta stała onieśmielona u progu nie ważąc się zamącić rozmyślań wielkiego pana strojnego w tak wielką koronę.

Miała około trzydziestu pięciu lat, trójkątną twarz o wydatnych kościach policzkowych. Nasunięty kaptur podróżnej opończy do połowy krył splecione warkocze, a pod białą lnianą podwiką oddech unosił piersi okrągłe i pełne.

“Szelma biskup nie nudził się” - pomyślał Robert spostrzegłszy niewiastę.

Ugięła kolano w głębokim dygu. Wyciągnął szeroką dłoń w rękawicy, okrytą pierścieniami.

- Dajcie - rzekł.

- Nie mam ich, Dostojny Panie - odparła kobieta.

Twarz Roberta zmieniła się.

- Jak to, nie macie dokumentów? - krzyknął. - Przecież zapewnialiście, że mi je dzisiaj przyniesiecie?

- Wracam z zamku d'Hirsonów, Dostojny Panie, gdzie wczoraj zakradłam się razem z sierżantem Maciot. Poszliśmy do wmurowanej w ścianę żelaznej skrzyni, żeby ją otworzyć dobranymi kluczami.

- A wtedy?

- Ktoś ją już spenetrował. Zobaczyliśmy, że jest pusta.

- Oto i piękna nowina - rzekł zbladłszy Robert. - Oto przeszło miesiąc mnie zwodzicie. “Dostojny Panie, mogę wam przekazać dokumenty, na podstawie których odzyskacie wasze hrabstwo! Wiem, gdzie są ukryte. Dajcie mi ziemię i pieniądze, a przyniosę je wam w przyszłym tygodniu”. Później zaś mija jeden tydzień i drugi... “Hirsonowie siedzą w zamku, nie mogę tam się pokazać, kiedy tam mieszkają”. “Teraz byłam tam, Dostojny Panie, ale mój klucz nie pasował. Miejcie trochę cierpliwości...” A wreszcie w dzień, kiedy mam przedstawić królowi dwa dokumenty...

- Trzy, Dostojny Panie: intercyzę ślubną hrabiego Filipa, waszego ojca, pismo hrabiego Roberta, waszego dziada, i list Dostojnego Pana Thierry...

- Jeszcze lepiej! Trzy! Przychodzicie, żeby mi w świętej naiwności powiedzieć: “Nie mam ich, skrzynia była pusta”. I myślicie, że wam uwierzę?

- Ależ zapytajcie sierżanta Maciot, który mi towarzyszył. Nie widzicie, Dostojny Panie, że jeszcze bardziej od was się trapię?

Błysk złośliwego podejrzenia zalśnił w spojrzeniu Roberta d'Artois, gdy zmieniwszy ton zapytał:

- Ejże, Divion, czy ty mnie nie nabierasz? Czy starasz się więcej ode mnie wyciągnąć, czy też zdradziłaś mnie dla Mahaut?

- Dostojny Panie! Co wy sobie wyobrażacie - zawołała kobieta bliska łez - kiedy sprawczynią wszystkich moich utrapień i mego ubóstwa jest właśnie hrabina Mahaut. To ona wyzuła mnie ze wszystkiego, co mi zapisał w swym testamencie mój drogi pan Thierry! Ach! Życzę jej tyleż złego, ile tylko wy zdołacie jej wyrządzić, tej Pani Mahaut! Pomyślcie, Dostojny Panie, przez dwanaście lat byłam przyjaciółką Thierry'ego i z tego powodu bardzo wiele ludzi wytykało mnie palcami. A przecież biskup to mężczyzna, jak każdy inny! Ale ludzie są złośliwi.

Divion jęła opowiadać swą historię, którą Robert słyszał już co najmniej trzy razy. Mówiła szybko; spojrzenie spod prostych brwi, zda się, było skierowane do wewnątrz jak u istot, które bez ustanku

przeżuwają własne zmartwienia i myślą wyłącznie o sobie.

Oczywiście nie mogła niczego się spodziewać po małżonku, z którym się rozstała, aby zamieszkać u biskupa Thierry. Przypuszczała, że mąż jej okazał się raczej pobłażliwy dlatego, że wcześnie przestał być mężczyzną... Dostojny Pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Właśnie aby ją uchronić od nędzy i w podzięce za te wszystkie dobre lata, jakimi go obdarzyła, biskup Thierry zapisał jej w testamencie kilka domów, sumkę w złocie i dochody. Ale nie dowierzał Pani Mahaut, którą był zmuszony mianować wykonawczynią testamentu.

- Zawsze patrzyła na mnie złym okiem, ponieważ jestem od niej młodsza, a Thierry ongiś - sam mi się z tego zwierzał - musiał przejść przez jej łoże. Dobrze wiedział, że mnie ona złośliwie oszuka, kiedy jego nie stanie, i że wszyscy Hirsonowie na mnie się zawzięli, począwszy od Beatrycze, tej najgorszej, tej dwórki Mahaut - i że oni dogadają się, żeby wypędzić mnie z domu i ogołocić ze wszystkiego.

Robert już nie słuchał nie kończącej się gadaniny. Ciężką koronę położył na skrzyni i rozmyślał gładząc rude włosy. Piękny plan rozsypywał się w gruzy. “Najdrobniejszy dokument, bracie, a natychmiast zezwalam na rewizję orzeczeń z 1309 i 1318 roku - rzekł mu Filip VI. - Ale zrozum, że mimo mej dobrej woli, aby ci się przysłużyć, nie mogę postąpić inaczej nie sprzeniewierzając się obietnicy danej Eudoksjuszowi Burgundzkiemu, a co pociągnęłoby następstwa, jakich się domyślasz”. To zaś nie był błahy dokumencik, ale dokumenty olbrzymiej wagi, akta, o których zniknięcie postarała się Mahaut, aby wyłudzić dziedzictwo Artois, a on chełpił się, że je dostarczy!

- Za kilka minut - rzekł - muszę być w katedrze na złożeniu hołdu.

- Jakiego hołdu? - spytała Divion.

- Przecież że króla Anglii!

- Ach! To dlatego w mieście panuje taki tłok, że nie mogłam się przecisnąć.

Nic więc nie wiedziała ta oślica zajęta wyłącznie przeżuwaniem własnych zmartwień; nie zdawała sobie sprawy z niczego, o nic nie rozpytywała.

Robert rozważał, czy nie okazał się bardzo lekkomyślny wierząc w gadki tej kobiety i czy dokument, skrzynia Hirsona, wyznanie biskupa istniały kiedykolwiek poza jej wyobraźnią. A Maciot Allemant czy także był wystrychnięty na dudka, czy też był z nią w zmowie?

- Powiedz prawdę, niewiasto! Nigdy nie widziałaś tych pism.

- Ależ tak, Dostojny Panie! - wykrzyknęła Divion przyciskając dłonie do wydatnych policzków. - Właśnie w zamku Hirsona, w dniu, gdy Thierry zaniemógł i zanim kazał się przenieść do swojej siedziby w Arras, wtedy powiedział: “Moja Joasiu, chcę cię zabezpieczyć przed Panią Mahaut, jak i sam się zabezpieczyłem. Ona sądzi, że opatrzone pieczęciami akta, które kazała wykraść z rejestrów, aby wydziedziczyć Dostojnego Pana Roberta, zostały spalone. Ale wrzucono przed nią do ognia dokumenty z rejestrów paryskich. Zapewniłem ją... - a to są własne słowa Thierry'ego, Dostojny

Panie - że kazałem spalić duplikaty zachowane w rejestrach w Arras, lecz zachowałem je tutaj i dołączyłem do nich mój własny list!" I Thierry zaprowadził mnie do skrzyni ukrytej w wyżłobieniu ściany i kazał mi przeczytać pergaminy opatrzone pieczęciami i własnym oczom nie mogłam uwierzyć, że są możliwe podobne bezeceństwa. W skrzyni było także osiemset liwrów w złocie. I oddał mi klucz, gdyby mu się przydarzyło nieszczęście.

- A kiedy poszliście pierwszy raz do zamku Hirsona...

- Splątałam klucze, na pewno zgubiłam. Naprawdę nieszczęście na mnie się uwzięło! Kiedy wszystko zaczyna iść na opak...

W dodatku flądra! Chyba mówi prawdę. Nie wymyśla się takich bzdur, kiedy chce się oszukiwać. Robert chętnie by ją zadusił, gdyby to się mogło na coś przydać.

- Moja bytność musiała nasunąć podejrzenia - dorzuciła. - Odszukano skrzynię i wyłamano zamki. To na pewno Beatrycze...

Drzwi się uchyliły i Lormet wsunął głowę. Robertt odprawił go ruchem ręki.

- Ale mimo wszystko, Dostojny Panie - podjęła Joanna de Divion, jakby chcąc okupić własną winę - czy nie sądzicie, że pisma te można by odtworzyć?

- Odtworzyć?

- O Przenajświętsza Panienko, skoro wiadomo, co było napisane? Ja dobrze pamiętam list Dostojnego Pana Thierry'ego, mogę wam powtórzyć prawie słowo w słowo.

Postawiwszy oczy w słup, wysunąwszy wskazujący palec, by akcentować zdania, jęła recytować:

- "Czuję się wielce winny, iż zatajałem sprawę tak ważną, jak prawa do hrabstwa Artois przynależne Dostojnemu Panu Robertowi na mocy umowy zawartej przy ślubie Dostojnego Pana Filipa d'Artois z Dostojną Panią Blanką Bretońską, umowy sporządzonej w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach opatrzonych pieczęciami, z których to duplikatów jeden egzemplarz jest w moim posiadaniu, drugi zaś został wykradziony z dworskich rejestrów przez jednego z naszych możnych panów... Gdyby zaś Bóg powołał przede mną Dostojną Panią hrabinę, na której rozkaz i aby się jej przypodobać działałem, miałem zawsze szczerą wolę oddać wyżej rzeczonemu Dostojnemu Panu Robertowi to, co bezprawnie zachowałem..."

Divion gubiła klucze, ale zapamiętała tekst, który raz jeden przeczytała! Istnieją tak stworzone mózgownice. I proponowała fałszerstwo Robertowi jak rzecz najzwyklejszą w świecie. Wyraźnie nie miała żadnego poczucia dobra i zła, nie odróżniała rzeczy moralnych od niemoralnych, dozwolonych od zakazanych. Moralne było to, co jej dogadzało. W ciągu czterdziestu lat życia Robert popełniał prawie wszystkie możliwe grzechy: zabijał, kłamał, denuncjował, grabił, gwałcił Ale sfałszowanie pisma jeszcze mu się nie zdarzyło.

- Jest jeszcze były bajlif Bethune, Wilhelm de la Planche, on musi pamiętać i mógłby nam pomóc, bo swego czasu był skrybą u Dostojnego Pana Thierry.

- Gdzie jest ten były bajlif?

- W więzieniu.

Robert wzruszył ramionami. Coraz lepiej! Ach! Popełnił błąd zbytnio się śpiesząc. Powinien był zaczekać, aż dokumenty będzie miał w garści, a nie zadowalać się obietnicami. Ale nastręczyła się ta sposobność hołdu i sam król mu doradzał, by ją wykorzystać...

Stary Lormet ponownie wsunął głowę przez uchylone drzwi.

- Tak, wiem - zakrzyknął zniecierpliwiony Robert - wystarczy przejść przez plac.

- Król właśnie szykuje się do zejścia - rzekł Lormet z odcieniem nagany.

- Dobrze, już idę.

Mimo wszystko król był tylko jego szwagrem, a został królem, ponieważ on, Robert, zrobił wszystko co należało. I ten upał! Czuł, że spływa potem pod płaszczem para.

Zbliżył się do okna, spojrzał na katedrę o dwóch nierównych, ażurowych wieżach, słońce padało ukosem na barwną rozetę. Dzwony biły nadal, przygłuszając wrzawę tłumu.

Diuk Bretanii na czele swej świty wstępował po schodach środkowego portalu.

O dwadzieścia kroków za nim, kulejąc, posuwał się diuk de Bourbon, dwaj giermkowie nieśli tren jego płaszcza.

Następnie zbliżał się orszak Mahaut d'Artois. Dzisiaj dama Mahaut mogła iść krokiem pewnym! Wyższa niż większość mężczyzn, z purpurową twarzą i miną cesarzowej pozdrawiała lud nieznacznym skinieniem głowy. To ona, złodziejka, łgarka, trucicielka królów, usunęła z królewskich rejestrów opatrzone pieczęciami dokumenty. Czy Robert, tak bliski pognębienia jej, ostatecznego nad nią zwycięstwa, do którego zdążał od lat dwudziestu, byłby zmuszony wyrzec się... i dlaczego? Dlatego że biskupia konkubina zgubiła klucz? Czy nie przystoi posłużyć się wobec łotrów podobnym łotrostwem? Czy należy tak przebierać w środkach, gdy chodzi o triumf słusznego prawa?

Rozsądnie rzecz rozważając, jeśli Mahaut posiada dokumenty znalezione w wyłamanej skrzyni w zamku Hirsonów, i zakładając, że ich natychmiast nie zniszczyła - jak wszystko za tym przemawia - nigdy nie mogłaby ich przedstawić czy wzmiankować o ich istnieniu, ponieważ te pisma stanowiły dowód jej winy. Mahaut znajdzie się w opałach, gdy się jej przedstawi pisma całkiem podobne do usuniętych dokumentów! Gdybyż miał choć jeden dzień, aby móc sprawę rozważyć, czegoś więcej się dowiedzieć. Nim minie godzina, musi zadecydować, i to zupełnie sam.

- Zobaczę się z wami, kobieto, ale trzymajcie język za zębami - rzekł.

Jednakże fałszerstwo dokumentów to grube ryzyko...

Wziął swą olbrzymią koronę, wcisnął ją na głowę, rzucił wzrokiem na zwierciadła, które odbiły mu jego konterfekt rozprysły na trzydzieści bryzgów. Po czym ruszył do katedry.

VI - Hołd i krzywoprzysięstwo

“Syn króla nie może uklęknąć przed synem hrabiego”. Szesnastoletni monarcha tę formułkę sam wynalazł i narzucił swoim doradcom, aby ci z kolei narzucili ją francuskim jurystom.

- Rozważmy, Przewielebny Orletonie - rzekł przybywszy do Amiens młodziutki Edward III - byliście tu w ubiegłym roku, aby przeprowadzić dowód, że mam większe prawa do francuskiego tronu niż mój kuzyn Valois, a teraz godzicie się, bym przed nim padał na ziemię?

Może dlatego, iż w dzieciństwie cierpiał widząc zamęt spowodowany chwiejnością i słabym charakterem ojca, Edward III po raz pierwszy zdany na siebie pragnął przywrócenia zasad postępowania jasnych i zdrowych. Podczas sześciu dni spędzonych w Amiens kazał sprawę hołdu rozpatrzyć od nowa.

- Ależ lordowi Mortimerowi bardzo zależy na pokoju z Francją - rzekł Pan Maltravers.

- Lordzie seneszalu - przerwał mu Edward - sądzę, że jesteście tutaj, by mnie strzec, a nie rozkazywać.

Doświadczał odrazy, i to źle ukrywanej, do barona o ponurej twarzy, który był strażnikiem, a z pewnością i mordercą Edwarda II. Obrażało młodego monarchę, iż jest zmuszony znosić nadzór, a raczej ściśle mówiąc - szpiegowanie ze strony Maltraversa, przeto podjął:

- Lord Mortimer jest naszym wielkim przyjacielem, ale nie jest królem i nie on ma składać hołd. Zaś hrabia Lancaster, głowa Rady Regencyjnej, który jedynie ma prawo podejmować postanowienia w moim imieniu, ni słowem mnie nie pouczył przed moim wyjazdem, abym składał jakikolwiek rodzaj hołdu. Wiernopoddańczego hołdu nie złożę.

Biskup Lincolnu i kanclerz Anglii Henryk Burghersh, również ze stronnictwa Mortimera, lecz bardziej niezależny niż Maltravers, a w dodatku bystrzejszy, mógł tylko pochwalić troskę młodego króla o obronę swej godności, a jednocześnie interesów królestwa, mimo że owa troska przyczyniała mu kłopotów.

Wiernopoddańczy hołd bowiem nie tylko wymagał, aby wasal stawił się bez broni i korony, lecz również ze złożenia przysięgi na kolanach wynikało, iż pierwszym obowiązkiem wasala jest stać się “człowiekiem” swego suzerena.

- Pierwszym obowiązkiem - podkreślał Edward - przeto, lordowie, gdyby się zdarzyło, iż podczas naszej wojny ze Szkocją król zażądałby, abym się stawił na wojnę, którą by on prowadził z Flandrią, Lombardią lub gdzie indziej, musiałbym porzucić wszystko, by się doń przyłączyć, w przeciwnym razie bowiem miałby prawo zagarnąć moje księstwo. A to się stać nie może.

Lorda Montaigu, barona ze świty, ogarnął wielki podziw dla księcia, który okazywał tak wczesną mądrość i stanowczość w tak młodym wieku. Lord Montaigu miał dwadzieścia osiem lat.

- Sądzę, że będziemy mieli dobrego króla - oświadczył - Rad jestem, że mu służę.

Odtąd zawsze go widywano u boku Edwarda III, jak służył mu radą i pomocą.

Wreszcie szesnastoletni król zwyciężył. Doradcy Filipa de Valois ze swej strony również pragnęli pokoju, a przede wszystkim zakończenia rokowań. Czyż istotną rzeczą nie był przyjazd króla Anglii? Nie po to sproszono całe królestwo i połowę Europy, aby spotkanie zakończyło się niepowodzeniem.

- Zgoda, niech składa hołd zwykły - rzekł kanclerzowi Filip de Valois, jakby chodziło tylko o figurę w tańcu lub wystąpienie na turnieju. - Przyznaję mu słuszność, na jego miejscu postąpiłbym nie inaczej.

Przeto obecnie w katedrze wypełnionej feudałami aż po ostatnie miejsce w bocznych kaplicach Edward III kroczył z opuszczonymi blond rzęsami, z mieczem u boku, w płaszczu haftowanym w lwy, a opadającym w długich fałdach, i w koronie. Zazwyczaj blada twarz była jeszcze bledsza ze wzruszenia. Ciężkie królewskie insygnia uwydatniały jego młodość. Przez chwilę serca wszystkich obecnych kobiet ścisnęły się z tkliwości i rozmiłowały się w nim wszystkie.

Za królem Anglii postępowało dwóch biskupów i dziesięciu baronów.

Król Francji w płaszczu zdobnym w kwiaty lilii zasiadał na chórze, nieco wyżej niż pozostali królowie, królowe i udzielni książęta, którzy otaczali go tworząc jakby piramidę koron. On zaś powstał majestatyczny i dworny, aby przyjąć hołd wasala, który na trzy kroki przed nim przystanął.

Strzelisty promień słońca, przeniknąwszy przez witraż, tknął ich niby miecz niebiański.

Pan Miles de Noyers, szambelan, przewodniczący Parlamentu i przełożony Izby Rachunkowej, wystąpił spośród parów oraz wielkich dostojników i stanął między obu monarchami. Był to mąż około sześćdziesiątki, nie zdały się nań czynić wrażenia ni jego wysoki urząd, ni paradny strój. Wyrzekł głosem wyraźnym i donośnym:

- Sire Edwardzie, król nasz władca i potężny suzeren bynajmniej nie zamierza przyjmować was tutaj jako lennika wszystkich ziem, jakie on dzierży i winien dzierżyć w Gaskonii i krainie Agen, podobnie jak je dzierżył i winien był dzierżyć król Karol IV, a nie zawartych w hołdzie.

Tedy zbliżył się i stanął naprzeciw Miles'a de Noyers Henryk Burghersh, kanclerz Edwarda, odpowiadając:

- Sire Filipie, władca nasz i suzeren, król Anglii, lub ktokolwiek inny w jego imieniu lub przezeń mianowany, nie zamierza wyrzekać się jakichkolwiek praw, które winien posiadać w księstwie Gujenny wraz z przyległościami, i pojmuje, iż król Francji nie nabędzie żadnych nowych praw na mocy tego hołdu.

Oto taka była kompromisowa formuła, świadomie wieloznaczna, uzgodniona przez obie strony, niczego nie precyzowała, w niczym nie zmieniała stanu rzeczy. W każdym słowie tkwił pod tekst.

Strona francuska pragnęła zaznaczyć, że przyległe ziemie zawojowane za poprzedniego króla podczas

wyprawy pod wodzą Karola de Valois pozostają nadal ściśle złączone z Koroną francuską. Było to potwierdzenie faktycznego stanu rzeczy.

Strona angielska słowami "w jego imieniu i przezeń mianowany" wzmiankowała małoletność króla oraz istnienie Rady Regencyjnej; lecz termin "przezeń mianowany" mógł w przyszłości tyczyć również praw seneszala Gujenny lub też innego namiestnika króla. Określenie zaś "żadnych nowych praw" potwierdzało prawa nabyte aż do bieżącego dnia, łącznie z traktatem z 1327 roku. Jednak nie było to powiedziane wyraźnie.

Rzeczone oświadczenie, podobnie jak wszystkie traktaty i sojusze, począwszy od zamierzchłych czasów i między wszystkimi narodami, całkowicie w swym zastosowaniu zależały od złej lub dobrej woli rządów. Na razie obecność obu królów stojących twarzą w twarz świadczyła o wzajemnym pragnieniu trwania w dobrej zgodzie.

Kanclerz Burghersh rozwinął pergamin z przywieszoną pieczęcią Anglii i przeczytał w imieniu wasala:

- "Sire, staję się waszym lennikiem z tytułu posiadania księstwa Gujenny wraz z przyległościami, i oświadczam, iż otrzymuję je od was jako diuk Gujenny i par Francji wedle traktatów pokojowych zawartych między waszymi poprzednikami a naszymi i wedle tego, co my i nasi przodkowie - królowie Anglii i diukowie Gujenny - czyniliśmy z tytułu posiadania tegoż księstwa wobec waszych poprzedników - królów Francji".

Biskup podał Miles'owi de Noyers odczytany akt, którego treść uległa znacznemu skróceniu w stosunku do hołdu wiernopoddańczego.

Miles de Noyers wyrzekł wówczas w odpowiedzi:

- Sire, stajecie się lennikiem króla Francji, a mego pana, z tytułu posiadania księstwa Gujenny wraz z przyległościami i uznajecie, iż je odeń dzierżycie jako diuk Gujenny i par Francji wedle traktatów pokojowych zawartych między jego poprzednikami, królami Francji, a waszymi i wedle tego, co wy i wasi przodkowie, królowie Anglii i diukowie Gujenny, czynili z tytułu posiadania tegoż księstwa wobec jego poprzedników, królów Francji.

Pewnego dnia, gdy zgoda ustanie, wszystko to będzie mogło dostarczyć nadto pięknych podstaw do procesu sądowego.

Tedy król Edward wyrzekł:

- Zaprawdę.

Miles de Noyers potwierdził tymi słowy:

- Król, Nasz Miłościwy Pan, przyjmuje was jako lennika z zachowaniem oświadczeń i zastrzeżeń wyżej rzeczonych.

Edward postąpił trzy kroki dzielące go od jego suzerena, zdjął rękawice, wręczył je lordowi

Montaigu i wyciągnąwszy ręce delikatne i białe, włożył je w szerokie dłonie króla Francji. Po czym obaj królowie pocałowali się w usta.

Okazało się wówczas, że Filip VI nie nazbyt się pochylił, by dosięgnąć twarzy młodego kuzyna. Różnica między nimi przede wszystkim wynikała z tuszy. Król Anglii jeszcze miał rosnąć i z pewnością będzie równie słusznego wzrostu.

Na najwyższej wieży znów jęły bić dzwony. Wszyscy czuli się zadowoleni. Parowie i dostojnicy z ukontentowaniem kiwali do się głowami. Król Czech Jan, z piękną kasztanowatą brodą rozpostartą na piersi, miał szlachetnie rozmarzony wygląd. Hrabia Wilhelm Dobry i brat jego Jan de Hainaut wymieniali uśmiechy z angielskimi panami. Zaprawdę dobra rzecz się dokonała.

Po co się kłócić, kwasić, grozić sobie, wnosić skargi przed Parlamenty, najeżdżać lenna, oblegać miasta, podstępnie walczyć, trwonić złoto, trud i krew rycerzy, gdy z obopólną odrobiną dobrej woli można tak dobrze dojść do zgody?

Król Anglii zasiadł na przygotowanym dlań tronie, nieco poniżej tronu króla Francji. Pozostało jeno wysłuchać mszy.

Jednakże Filip VI jakby na coś czekał i zwróciwszy głowę ku parom szukał wzrokiem Roberta d'Artois przewyższającego koroną całe otoczenie.

Robert miał przymknięte oczy. Ocierał czerwoną rękawicą pot spływający ze skroni, mimo że w katedrze panował miły chłód. Lecz w owej chwili serce biło mu szybko. Nie zwrócił uwagi, że rękawica barwi i miał na policzku jakby smugę krwi.

Nagle powstał w stalli. Postanowienie powziął.

- Sire - zawołał, stając przed tronem Filipa - ponieważ zebrali się tutaj wszyscy wasi wasale...

Przed chwilą Miles de Noyers i biskup Burghersh przemawiali głosem wyraźnym i donośnym, który słychać było w całej katedrze. Lecz gdy Robert otworzył usta, zdało się, że uprzednio pisklęta świergotały.

- ...i ponieważ winniście wszystkim sprawiedliwość - ciągnął - staję przed wami, by się jej domagać.

- Szlachetny Panie de Beaumont, mój kuzynie, kto wam wyrządził krzywdę? - poważnie zapytał Filip VI.

- Sire, wyrządziła mi krzywdę wasza wasalka, Pani Mahaut Burgundzka, to ona zdradą i podstępem dzierży niesłusznie tytuły i włada hrabstwem Artois z prawa mi należnym po moich ojcach.

Tedy rozległ się głos prawie równie donośny:

- Patrzcie, i to musiało nastąpić!

Przemówiła hrabina Mahaut d'Artois.

Zebrani poruszyli się zdumieni, lecz nie osłupiali. Robert postąpił tak, jak w dzień sakry hrabia Flandrii. Jakby ustalił się zwyczaj, iż gdy któryś z parów czuł się urażony, wyrażał swą suplikę przy tego rodzaju uroczystych okazjach z widoczną zgodą króla.

Diuk Eudoksjusz Burgundzki pytał wzrokiem swą siostrę, królową Francji, ta zaś rozłożeniem rąk pokazała mu, że i ona jest zaskoczona i nic nie rozumie.

- Kuzynie - spytał Filip - czy możecie przedstawić dokumenty i świadectwa stwierdzające wasze prawa?

- Mogę - rzekł stanowczo Robert.

- Nie może, łże! - wykrzyknęła Mahaut, która wyszła ze stalli, by stanąć obok bratanka przed królem.

Jakże Robert i Mahaut byli do siebie podobni, w jednakowych koronach i płaszczach, rozjuszeni taką samą wściekłością i z krwią napływającą do ich byczych karków! Mahaut, olbrzymia amazonka, również miała u boku wielki miecz para o złotej rękojeści. Na pewno matka i syn nie potrafiliby wyraźniej okazać, że w ich żyłach płynie jednaka krew.

- Stryjno - rzekł Robert - zaprzeczacie więc, że szlachetny hrabia d'Artois, mój ojciec, w intercyzie ślubnej uczynił mnie, swego pierwszego mającego się narodzić spadkobiercę, dziedzicem Artois, a wy po śmierci mego ojca skorzystaliście z mej małoletności, aby mnie ogołocić?

- Zaprzeczam wszystkim waszym słowom, niecny bratanku, co chcecie mnie osławić.

- Zaprzeczacie, że istniała ślubna intercyza?

- Zaprzeczam - wrzasnęła Mahaut.

Wśród zebranych rozległ się szept potępienia, a nawet wyraźnie usłyszano, że z ust starego hrabiego de Bouville, byłego szambelana Filipa Pięknego, wydobył się pełen zgorszenia okrzyk: “Och!” Choć nie wszyscy mieli podobną sposobność co Bouville, opiekun łona królowej Klemencji, by zaraz po narodzinach Jana I Pogrobowca przekonać się, jak bardzo Mahaut jest zdolna do kłamstwa i zuchwała w zbrodni, wszystkich uderzyło, iż zaprzecza rzeczywistości. Ślub syna z rodu Artois, księcia z kwiatem lilii w herbie z córą Bretanii nie mógłby być zawarty bez intercyzy ratyfikowanej przez ówczesnych parów i samego króla. Diuk Jan Bretoński o tym właśnie mówił swym sąsiadom. Tym razem Mahaut przekroczyła granice. Niechby, jak to czyniła w obu procesach, powoływała się nadal na stary zwyczaj w Artois przemawiający na jej korzyść wskutek przedwczesnej śmierci brata - zgoda! Lecz nie - zaprzeczała istnieniu intercyzy. Potwierdzała wszystkie podejrzenia, a zwłaszcza że to ona usunęła dokumenty.

Filip VI zwrócił się do biskupa Amiens:

- Wielebny Panie, raczcie przynieść nam Świętą Ewangelię i podać ją powodowi...

A po chwili dorzucił: - ... a takoż i pozwanej.

A gdy to nastąpiło, zapytał:

- Czy oboje zgadzacie się, wy, mój kuzynie, i wy, moja kuzynko, potwierdzić wasze słowa przysięgą złożoną na Przenajświętszą Ewangelię i przed nami jako waszym suzerenem, i wobec naszych krewniaków królów, i wszystkich parów tu zgromadzonych?

Zaprawdę Filip był pełen majestatu wypowiadając owe słowa; młodziutki, dziesięcioletni książę Jan patrzył nań wytrzeszczywszy oczy i z rozchylonymi ustami zatracił się w uwielbieniu. Ale usta królowej Francji, Joanny Kulawej, okalały szpetne, okrutne bruzdy, a palce jej drżały. Twarz smukłej i chudej córki Mahaut, Joanny Wdowy, małżonki Filipa Długiego, stała się równie biała, jak jej suknia królowej wdowy. Zbladła również wnuczka Mahaut, młoda diuszesa Burgundii, podobnie jak jej małżonek, diuk Eudoksjusz. Rzekłbyś, iż wszyscy się rzucą, by powstrzymać Mahaut od przysięgi. W ogromnej ciszy wyciągnęły się wszystkie szyje.

- Zgadzam się - jednym głosem rzekli i Mahaut, i Robert.

- Zdejmijcie rękawice - rzekł im biskup Amiens.

Mahaut miała zielone rękawice, które również barwiły na skutek upału. Przeto w parze olbrzymich rąk, które wysunęły się ponad Świętą Księgę, jedna była czerwona jak krew, a druga zielona jak żółć.

- Przysięgam - wypowiedział Robert - że hrabstwo Artois jest moją własnością, i przedstawię dokumenty oraz świadectwa, które potwierdzą moje prawa do jego posiadania.

- Mój piękny bratanku - wykrzyknęła Mahaut - i wy ważycie się przysiąc, iż kiedykolwiek je widzieliście lub posiadaliście?

Wpiwszy szare oczy w oczy szare, z podbródkami obwisłymi od tłuszczu, rzucali sobie wyzwanie prawie twarzą w twarz. “Przechero - myślał Robert - a więc to ty je ukradłaś!” Ponieważ zaś w podobnych okolicznościach zawsze działał stanowczo, wyraźnie odpowiedział:

- Tak, przysięgam. Ale wy, moja piękna stryjno, ważycie się przysiąc, że takie listy wcale nie istniały, że nigdy ich nie widzieliście ani trzymaliście w ręku?

- Przysięgam - odparła równie zawzięcie i patrząc na Roberta z równą nienawiścią.

Żadne z nich ani na jotę nie zdobyło nad drugim przewagi. Waga znieruchomiała, z każdą szalą obciążoną krzywoprzysięstwem, które oboje byli zmuszeni złożyć.

- Już od jutra zostaną mianowani komisarze, aby przeprowadzić śledztwo i oświecić mą sprawiedliwość. Kto skłamał, tego Bóg pokarze; kto wyznał prawdę, posiędzie swe prawa - rzekł Filip dając znak biskupowi, by zabrał Ewangelię.

Nic nie zmusza Boga, by bezpośrednio wkraczał i karał krzywoprzysięzcę, a Niebo może milczeć. W

niecnych duszach tkwi wystarczający posiew ich własnego upadku.

Część druga - Diabelska gra

I - Świadkowie

Z rządka przystrzyżonych drzewek wychylała się młodziutka gruszka, nie większa niż kciuk.

Na kamiennej ławie zasiadały trzy osobistości: pośrodku stary hrabia de Bouville, na prawo rycerz de Villebresme, komisarz królewski, po drugiej zaś stronie notariusz Piotr Tesson spisujący zeznania.

Olbrzymią, kopulastą głowę notariusza Tessona kryła czapa skryby, spod której wymykały się proste kosmyki; miał nos spiczasty, nadmiernie długi, i wysunięty w przód podbródek, a profil jego przywodził na myśl księżyc na nowiu.

- Dostojny Panie - rzekł z wielkim respektem - czy zezwalacie, bym teraz przeczytał wasze zeznania?

- Czytajcie, panie, czytajcie - odparł Bouville.

Skierował po omacku rękę ku zielonej gruszce, by odczuć jej twardość: “Ogrodnik winien by podczepić tę gałąź” - pomyślał.

Notariusz pochylił się nad przenośnym pulpitem, spoczywającym na kolanach, i jął czytać:

- Dnia siedemnastego czerwca roku 1329 my, Piotr de Villebresme, rycerz...

Król Filip VI nie zasypiał gruszek w popiele. W dwa dni po gorszącym wydarzeniu w Amiens i złożeniu obu przysiąg w katedrze mianował komisję, by zbadała sprawę; nie minął tydzień po powrocie dworu do Paryża, a już dochodzenie było w toku.

- ...i my, Piotr Tesson, notariusz królewski, przybyliśmy wysłuchać...

- Mistrzu Tesson - przerwał mu Bouville - czy jesteście tymże Tessonem który uprzednio przebywał na dworze Dostojnego Pana hrabiego d'Artois?

- Tak jest, Dostojny Panie.

- A teraz już jesteście notariuszem króla? Pięknie; bardzo pięknie, gratuluję wam...

Bouville nieco się wyprostował, założył ręce na krągłym brzuchu. Był przyodziany w starą aksamitną suknię, za długą i niemodną, z czasów Filipa Pięknego, a którą donaszał w swym ogrodzie.

Obracał kciukami, trzy razy w jedną stronę, a trzy w drugą. Dzień będzie piękny i upalny, ale na razie ranek zachował resztki nocnej świeżości...

- ...przybyliśmy wysłuchać Dostojnego i Możnego pana Hugona de Bouville i przesłuchaliśmy go w sadzie przy jego rezydencji znajdującej się nie opodal Preaux Clercs.

- Jakże zmieniło się wszystko w sąsiedztwie, odkąd ojciec mój wybudował to domostwo - rzekł

Bouville. - W tamtych czasach od opactwa Saint-Germain-des-Pres aż do Saint-Andre des Arts wznosiły się tylko trzy pałace: Nesle nad rzeką, w głębi Nawarry, i wiejska rezydencja hrabiów d'Artois, bo naokoło rozciągały się tylko łąki i pola... A patrzcie, jak teraz wszędzie się zabudowało... Wszystkim dorobkiewiczom zachciało się osiedlić w tych stronach, drogi zamieniły się w ulice. Ongiś poza murem widziałem tylko pastwiska, a teraz, przez odrobinę światła, która jeszcze przenika do moich oczu, dostrzegam tylko dachy. I co za hałas! Jaki hałas w tej dzielnicy! Rzekłbyś, że jesteś w samym sercu Cite. Gdyby pozostało mi jeszcze trochę lat, sprzedałbym ten dom i kazałbym wybudować nowy gdzie indziej. Lecz tylko pytanie... - Ręka jego z wahaniem sięgnęła po zwisającą nad nim zieloną gruszeczkę. Czekać, aż ten owoc dojrzeje, oto cały czas, jakiego śmiał jeszcze się spodziewać, i najdalsze plany, jakie snuć się ważył. Już od wielu miesięcy tracił wzrok. Kształty, istoty, drzewa jawiły mu się jakby przez ścianę wody. Ongiś człowiek działał, wiele znaczył, podróżował, zasiadał w radach królewskich, uczestniczył w ważnych wydarzeniach, a teraz tu w ogrodzie, w samotności i niemal zapomnieniu, nadchodzi koniec, myśl utyka, wzrok się mąci, ledwie któryś z młodych przyjdzie sięgnąć do naszych wspomnień.

Mistrz Piotr Tesson i rycerz de Villebresme wymienili zmęczone spojrzenia. Niełatwy świadek ów hrabia de Bouville, myśl jego wciąż błąka się wśród nieistotnych błahostek; jednakowoż był ze zbyt szlachetnego rodu i zbyt sędziwy, by go można przynaglać. Notariusz podjął:

- ...który osobiście nam zeznał w sprawach niżej opisanych, a mianowicie: że będąc szambelanem naszego Miłościwego Pana Filipa Pięknego, zanim ów został królem, zapoznał się ze ślubną intercyzą, zawartą między zmarłym Dostojnym Panem Filipem d'Artois a Panią Blanką Bretońską - rzeczoną ugodę miał we własnych rękach, a w pomienioną ugodę było wyraźnie wpisane, iż hrabstwo Artois prawem dziedzictwa przejdzie na rzeczonego Dostojnego Pana Filipa d'Artois, a po nim na jego męskich potomków zrodzonych z onego małżeństwa...

Bouville machnął ręką:

- Wcale tego nie stwierdzałem. Intercyzę miałem w ręku, jak to wam rzekłem i wzmiankowałem samemu Dostojnemu Panu Robertowi d'Artois, gdy mnie przed paru dniami osobiście odwiedził, ale z czystym sumieniem nie przypominam sobie, abym ugodę czytał.

- A po co, Dostojny Panie, trzymaliście przed sobą ową ugodę, jeśli nie po to, by ją czytać? - zapytał pan de Villebresme.

- Po to, by ją zanieść kanclerzowi mego pana, aby ją opieczętował, bo intercyza była zaopatrzona - to wyraźnie pamiętam - w pieczęcie wszystkich parów, a wśród nich i mego pana Filipa Pięknego, jako najstarszego królewskiego syna.

- Należy to zanotować, Tesson - rzekł Villebresme - wszyscy parowie przyłożyli pieczęcie... Ale nawet nie czytając dobrze wiedzieliście, że Artois w dziedzictwie było przyznane hrabiemu Filipowi i jego męskim spadkobiercom?

- Słyszałem, że tak się mówiło - odparł Bouville - i nic innego stwierdzić nie mogę.

Drażnił go trochę sposób, w jaki ten młokos Villebresme kazał mu oświadczać więcej, niż on

zamierzał. Jeszcze się ten chłopak nie narodził, a ojciec jego jeszcze nie zamyślał go spłodzić, gdy działy się wypadki, w których sprawie ten prowadzi dochodzenie. Oto jacy są ci mali królewscy urzędnicy, nadęci powagą świeżo otrzymanej misji. Pewnego dnia i oni znajdą się, starzy i osamotnieni, pod rzędem drzew we własnym ogrodzie... Tak, Bouville przypominał sobie, że te rzeczy były wpisane do intercyzy ślubnej Filipa d'Artois. Ale kiedy je usłyszał po raz pierwszy? Czy w chwili samego ślubu, w roku 1282, czy też gdy hrabia Filip zmarł w roku 1298 z ran odniesionych w bitwie pod Furnes? Czy też jeszcze później, gdy stary hrabia Robert II został zabity w bitwie pod Courtrai w roku 1302, przeżywszy o cztery lata swego syna, co zapoczątkowało proces między jego córką Mahaut a wnukiem, obecnym Robertem III...

Żądano, by Bouville umiejscowił swe wspomnienia tyczące wypadków, które mogły się wydarzyć w jakiejkolwiek chwili podczas przeszło dwudziestoletniego okresu. I nie tylko notariusz Tesson wraz z panem de Villebresme przybyli wyciskać mu mózg, ale i sam Dostojny Pan Robert d'Artois - trzeba przyznać, wielce dworny i pełen respektu - ale jednakże mówił donośnie, miotał się i deptał kwiaty w ogrodzie.

- Przeto w taki sposób sprostujemy - rzekł notariusz poprawiając tekst - ...i rzeczoną ugodę miał w ręku, lecz bardzo krótko, a takoż przypomina sobie, że była opatrzona w pieczęcie dwunastu parów; hrabia de Bouville oświadczył nam również, iż słyszał tedy, jak prawiono, że w rzeczoną intercyzę zostało wyraźnie wpisane, że hrabstwo Artois...

Bouville przytaknął głową. Co prawda wolałby, aby wykreślono to drobne “tedy”, “słyszał tedy, jak prawiono...” które to słowa notariusz wprowadził do zeznań. Ale był zmęczony walką. Jedno zaś słowo czy posiada tak wielką wagę?

- ...przejdzie na męskich potomków zrodzonych z rzeczonego małżeństwa, a również przed nami stwierdził, iż pomieniona intercyza została umieszczona w dworskich rejestrach, i uważa za prawdę, że później podstępnie została wyciągnięta z owych rejestrów na skutek chytrych zabiegów, na zlecenie Pani Mahaut...

- Wcale tego nie powiedziałem - zaprzeczył Bouville.

- Nie powiedzieliście tego w tej formie, Dostojny Panie - odparł Villebresme - ale to wynika z waszego zeznania. Rozważmy, coście stwierdzili: najpierw, że istniała intercyza ślubna; po drugie - żeście ją widzieli; po trzecie - że została włączona do rejestrów... zaopatrzona w pieczęcie parów.

Villebresme ponownie wymienił z notariuszem zmrużone spojrzenie.

- ...zaopatrzona w pieczęcie parów - powtórzył, by sprawić przyjemność świadkowi. - Stwierdziliście jeszcze, że intercyza wyłączała z dziedzictwa hrabinę Mahaut i w taki sposób zniknęła z rejestrów, że nie mogła być okazana na procesie; który wytoczył swej stryjnie Dostojny Pan Robert d'Artois. Jak myślicie, kto ją mógł wyciągnąć? Czy sądzicie, że to z rozkazu króla Filipa Pięknego się stało?

Pytanie było podstępne. Czyż nie mawiano często, że Filip Piękny, aby uprzywilejować teściową swych dwóch młodszych synów, wydał na jej korzyść przychylny wyrok? Wkrótce zacznie się

przypuszczać, że to on, Bouville, sam otrzymał rozkaz, aby usunąć dokumenty.

- Nie wiążcie, Panie, pamięci o królu Pięknym, mym Panu, z czynem tak podłym - odparł z godnością.

Ponad dachami i listowiem jęły bić dzwony na dzwonnicy w Saint-Germain-des-Pres. Bouville pomyślał, że o tej porze przynoszono mu miseczkę z twarożkiem; medyk zalecił mu jadać go trzy razy dziennie.

- Przeto - podjął Villebresme - intercyza musiała zostać usunięta za niewiedzą króla... A kto miał w tym interes, aby została wykradziona, jeśli nie hrabina Mahaut?

Młody komisarz bębnił opuszkami palców w kamienną ławę; delektował się własnym wywodem.

- Och! Zapewne - rzekł Bouville. - Mahaut jest do wszystkiego zdolna.

Żywił tę pewność nie od wczoraj. Wiedział, że Mahaut jest winna dwóch zbrodni, i to o wiele cięższych niż kradzież pergaminów. Z pewnością ona otruła króla Ludwika X; ona też na oczach jego, Bouville'a, zabiła pięciodniowe niemowlę myśląc, że jest ono małym pogrobowcem... i wciąż by zachować swe hrabstwo Artois. Zaprawdę, bardzo głupio troszczyć się i okazywać nadmiernym skrupulantem w tej materii.

Wykradła intercyzę ślubną brata na pewno, intercyzę, której istnieniu miała czelność zaprzeczać, i to pod przysięgą! Okropna kobieta... Z powodu niej prawy spadkobierca królów Francji dorasta z dala od swego królestwa, we włoskiej mieścinie, u lombardzkiego kupca, który ma go za syna... Dalejże! Dość o tym myśleć. Ongiś Bouville wyszeptał na ucho papieżowi ową tajemnicę, o której on sam tylko wiedział. Nigdy o tym nie myśleć... ze strachu, by wygadać jej nie kusiło! A wreszcie, niechże ci urzędnicy śledczy zabierają się co rychlej!

- Macie słuszność, pozostawcie, coście napisali - rzekł. - Gdzie mam się podpisać?

Notariusz podał Bouvillo'owi pióro. Ów nie dostrzegał brzegu karty. Podpis wykroczył poza stronę. Usłyszano jeszcze, że mamrocze:

- Bóg w końcu każe jej odpokutować za grzechy, nim ją odda w pieczę diabłu.

Na podpis rozsypano trochę piasku. Notariusz włożył karty i kałamarz do czarnej skórzanej sakwy; później obaj urzędnicy podnieśli się na pożegnanie. Bouville nie wstając pokiwał im ręką. Nie przeszli nawet pięciu kroków a już zmienili się dlań w dwa niewyraźne cienie rozpływające się za ścianą wody.

Były szambelan potrząsnął leżącym obok dzwoneczkiem, by zażądać swego twarożku. Dręczyły go różne myśli. W jaki sposób uwielbiany przezeń władca, król Filip Piękny, wydając wyrok w sprawie Artois, mógł zapomnieć o akcie, który uprzednio ratyfikował, dlaczego nie zatroszczył się o usunięty dokument? Ach! Najlepsi królowie nie zawsze najlepiej postępują...

Bouville takoż sobie mówił, iż w najbliższych dniach odwiedzi bankiera Tolomei, aby się dowiedzieć o Guccia Baglioni... i o dziecko... ale bez nacisku, jakby zatrącając w rozmowie. Stary

Tolomei prawie już się nie ruszał z łóżka. Odjęło mu władzę w nogach. Tak to bywa: u jednego słuch się psowa, u innego wzrok wygasa lub członki odmawiają posłuszeństwa. Przeszłość liczy się na lata, ale przyszłość ledwie na miesiące albo tygodnie.

“Czy będę jeszcze żył, gdy ten owoc dojrzeje, i czy zdołam go zerwać?” - pomyślał hrabia de Bouville spoglądając na gruszkę na gałęzi.

Pan na Montargis, Piotr de Machaut, wyrządzonych mu krzywd nigdy nie przebaczał, nawet umarłym. Zgon wrogów nie wystarczał, aby wymazać urazę.

Ojciec jego, za panowania Króla z Żelaza piastujący wysoki urząd, został usunięty przez Enguerranda de Marigny, na czym wielce ucierpiały rodowe majętności. Upadek wszechwładnego Enguerranda stanowił dla Piotra de Machaut odwet osobisty; wielki dzień dlań nastał, gdy jako giermek króla Ludwika Kłótliwego wiódł na szubienicę Dostojnego Pana de Marigny. “Wiódł” - tak się mówi - raczej mu towarzyszył, i to nie w pierwszym szeregu, ale pośród wielu dostojników jeszcze odeń znaczniejszych. Jednakże lata mijały; możni panowie jeden po drugim wymierali, co zezwalało panu Piotrowi de Machaut awansować o jeden szczebel wyżej w hierarchii orszaku za każdym razem, gdy wspominał ów pamiętny dzień.

Najpierw zadowalał się wyzywającym spojrzeniem i okazywał miną stojącemu na wózku Panu Enguerrandowi, iż ktokolwiek szkodzi Machautom, tego spotyka nieszczęście, choćby piastował najwyższe urzędy.

Następnie pamięć upiększała przeszłość, zapewniał, iż podczas ostatniej swej przejażdżki Marigny nie tylko go poznał, ale także zwrócił się do niego mówiąc ze smutkiem:

- Ach! To wy, Machaut! Teraz wy triumfujecie; szkodziłem wam i tego żałuję.”

Dziś, po czternastu latach, zdawało się, że idąc na kaźń Enguerrand de Marigny przemawiał tylko do Piotra de Machaut i od więzienia aż do szubienicy na Montfaucon tylko to miał w głowie.

Niski, o szpakowatych, zrośniętych brwiach i sztywnej nodze po nieszczęśliwym upadku na turnieju, Piotr Machaut wciąż polecał pieczołowicie natłuszczać zbroje, których nigdy nie miał przywdziać. Był równie pyszałkowaty, jak uraźliwy, i Robert d'Artois wiedział dobrze, co robi, gdy zadał sobie trud dwukrotnie go odwiedzając, aby wysłuchać dokładnej opowieści o tej słynnej kawalkadzie przy wózku pana Enguerranda.

- Opowiedzcie więc o tym wszystkim komisarzom królewskim, którzy przyjdą was prosić o zeznania w mojej sprawie - rzekł Robert d'Artois. - Zdanie człowieka tak prawego, jak wy, posiada wielkie znaczenie: oświecicie króla i zasłużycie na wielką wdzięczność tak jego, jak i moją. Czy nigdy nie wyznaczono wam pensji za usługi, jakie wasz ojciec i wy oddaliście królestwu?

- Nigdy.

- Co za niesprawiedliwość! Skoro za panowania ostatnich królów tylu intrygantów, mieszczan i parweniuszy zdołało się wpisać na listy dotacyjne dworu, jak można było zapomnieć o człowieku tak wielkich cnót, jak pan de Machaut? Niewątpliwie umyślne przeoczenie i za podszeptem hrabiny Mahaut, która zawsze działała do spółki z Enguerrandem de Marigny.

Robert d'Artois zadba osobiście, aby wyrównać tę krzywdę.

Przeto gdy rycerz de Villebresme, jak zawsze z notariuszem Tessonem przy boku, zjawili się u byłego giermka, ów odpowiadał nie mniej skwapliwie na pytania, niż je zadawał komisarz.

Przesłuchanie odbywało się w sąsiednim ogrodzie. Wedle obowiązującego w sądownictwie obyczaju zeznania należało składać w miejscu otwartym i na wolnym powietrzu.

Słuchając Piotra de Machaut można było uwierzyć, iż egzekucja Marigny'ego odbyła się ledwie onegdaj.

- Przeto - rzekł Villebresme - staliście, Panie, przed wózkiem, gdy pan Enguerrand wysiadał pod szubienicą?

- Wszedłem na wózek - odparł Machaut - i na rozkaz króla Ludwika X zapytałem skazańca, za jakie winy wobec rządu chce się oskarżyć, nim stanie przed Bogiem.

W rzeczywistości polecenie owo miał wykonać Tomasz de Marfontaine, ale Tomasz de Marfontaine od dawna już nie żył...

- I Marigny nadal nie przyznawał się do żadnych przestępstw, które zarzucano mu podczas procesu; jednak obwinił się... a to są własne jego słowa, w których ujawnia się tkwiące w nim łotrostwo... "że w słusznych sprawach popełniał niesprawiedliwe czyny". Przeto zapytałem go, jakie były te czyny, a on wymienił kilka, między innymi, że usunął z urzędu mego ojca, pana na Montargis, a także że wykradł z rejestrów królewskich intercyzę ślubną zmarłego hrabiego d'Artois, aby przysłużyć się Pani Mahaut oraz jej córkom, synowym króla.

- Ach! Więc to on wycofał dokument? I sam się o to oskarżył! - wykrzyknął Villebresme. - To ważne. Piszcie. Tesson, piszcie.

Notariusz wcale nie potrzebował zachęty i z zapałem skrobał po papierze. Co za pyszny świadek ten pan de Machaut!

- A wiecież, panie - spytał Tesson zabierając z kolei głos - czy pan Enguerrand był opłacony za wykonanie tego przestępstwa?

Machaut lekko się zawahał i ściągnął szpakowate brwi.

- Z pewnością był - odparł. - Jeszcze go bowiem zapytałem, czy to prawda, iż otrzymał - jak powiadano - czterdzieści tysięcy liwrów od Pani Mahaut, aby mogła wygrać proces przed królem. Enguerrand zaś na znak potwierdzenia i wielkiego wstydu pochylił głowę i odparł: "Panie de Machaut, módlcie się za mnie do Boga", co oznacza wyraźne przyznanie się do winy.

I Piotr de Machaut z miną triumfującej pogardy skrzyżował ramiona.

- Teraz wszystko jest jasne - rzekł z zadowoleniem Villebresme.

Notariusz spisywał ostatnie słowa zeznania.

- Czy przesłuchaliście już wielu świadków? - spytał były giermek.

- Czternastu, panie, a pozostało nam dwakroć tyluż - odrzekł Villebresme - lecz, jest nas ośmiu komisarzy i dwóch notariuszy do tej roboty.

II - Oskarżyciel prowadzi śledztwo

Gabinet Dostojnego Pana d'Artois zdobiły cztery wielkie freski nabożnej treści, dość nędznie wymalowane. Przeważały na nich ochra i błękit; cztery postacie świętych - dla wzbudzenia zaufania, jak to mawiał gospodarz. Na prawo święty Jerzy pokonywał smoka, na wprost święty Maurycy, takoż patron rycerzy, stał w zbroi i lazurowej szacie; w głębi na murze święty Piotr wyciągał z morza swe nieprzebrane sieci; święta Magdalena; patronka grzesznic, przyodziana jedynie w złociste włosy, królowała na ostatniej ścianie. Zwłaszcza w tę stronę Dostojny Pan Robert lubił kierować swój wzrok.

Belkowany sufit, podobnie malowany ochrą, błękitem i żółcienią, zdobny był w ustawione rzędem godła hrabstw Artois, Beaumont i Valois. Okryte brokatem stoły, skrzynie, na których leżała przepyszna broń oraz masywne, ze złoconego żelaza świeczniki, stanowiły umeblowanie komnaty.

Robert powstał z wielkiego krzesła i oddał notariuszowi protokoły zeznań, które przed chwilą przejrzał.

- Bardzo dobrze. świetne dokumenty - oświadczył - zwłaszcza oświadczenia pana de Machaut wydają się tak szczere i akurat uzupełniają zeznanie hrabiego de Bouville. Stanowczo jesteście bardzo zręcznym człowiekiem, panie Tesson, mistrzu kruczków, i wcale nie żałuję, że wyniosłem was na ten urząd. Pod waszą wyposzczoną fizjonomią kryje się więcej przebiegłości niż w pustych czerepach wielu rajców Parlamentu. Trzeba przyznać, że Bóg obdarzył wasz mózg obszernym pomieszczeniem.

Notariusz uśmiechnął się służalczo i pochylił nadmiernie wielką głowę w czapie kształtu olbrzymiej czarnej kapusty. A może w drwiących komplementach Dostojnego Pana d'Artois kryła się obietnica dalszego awansu.

- Czy to cały wasz plon? Czy macie dziś dla mnie jakieś wiadomości? - dorzucił Robert. - Jak stoją sprawy z byłym bajlifem z Bóthune?

Procesowanie się jest namiętnością podobnie jak gra. Robert d'Artois żył wyłącznie swym procesem, tylko jemu poświęcał swoje siły. W ostatnich dwóch tygodniach celem jego życia było zdobycie świadków. Mózg jego pracował od świtu do wieczora, a nawet nocą budziło go ze snu raptowne natchnienie i dzwonił po pachołka Lormeta, który przychodził zaspany i skwaszony, by usłyszeć:

- Czy to nie ty, stary chrapało, opowiadałeś mi przed paru dniami o niejakim Szymonie Dourin, czy też Dourier, byłym skrybie mego dziada? Nie wiesz, czy ten człek żyje? Postaraj się coś o nim dowiedzieć.

Podczas mszy; której dla przyzwoitości co dzień wysłuchiwał, przyłapywał się na prośbach do Boga o wygranie procesu. Podczas czytania Ewangelii najzwyczajniej w świecie od modlitwy przeskakiwał do swych knowań i rozmyślał:

“Ale ten Gilles Flamand, były giermek Mahaut, wypędzony przez nią za jakiś występek... Oto może on mógłby świadczyć w mojej sprawie. Muszę to sobie zakonotować.

Nigdy dawniej nie widywano go tak gorliwie pracującego w Radzie: co dzień spędzał kilka godzin w Parlamencie i sprawiał wrażenie,. że pilnie przykłada się do spraw królestwa; ale czynił to tylko żeby zachować wpływ na swego szwagra Filipa VI, stać się niezbędnym i czuwać, by mianowano na urzędy wybranych przezeń ludzi. Bardzo pilnie śledził wyroki sądowe, aby zaczerpnąć pomysł do jakiejś intrygi.. Z reszty drwił.

Niech tam w Italii żrą się nadal gwelfowie z gibelinami, niech tam Azzo Viscanti każe zamordować swego wuja Marca i barykaduje się w Mediolanie przed zastępami cesarza Ludwika Bawarskiego, podczas gdy w odwecie Werona, Vicenza, Padwa, Trewiso wymykają się spod władzy papieża popieranego przez Francję; Dostojny Pan d'Artois o tym wiedział, słyszał, lecz na to gwizdał.

Dostojny Pan d'Artois wzruszał ramionami, że w Anglii stronnictwo królowej ma kłopoty i z dnia na dzień maleje popularność Rogera Mortimera. W tym czasie wcale go nie interesowała Anglia, a tak samo flamandzcy sukiennicy, którzy mnożyli kontakty z angielskimi kompaniami, by podeprzeć handel.

Ale niechże jurysta Andrzej z Florencji, kanonik-skarbnik Bourges, dostaje nowe beneficium albo rycerz Villebresme przechodzi do Izby Rachunkowej, a to są sprawy wielkiej wagi i nie cierpiące zwłoki! Bo jurysta Andrzej oraz pan de Villebresme wchodzili w poczet ośmiu komisarzy mianowanych do zebrania danych w sprawie procesu o Artois.

Robert sam wskazał owych komisarzy Filipowi VI i faktycznie ich wybrał... “A gdyby tak wziąć Boucharta de Montmorency? Zawsze wiernie nam służył... Gdyby wziąć Piotra de Cugnieres? Oto człowiek doświadczony, cieszący się powszechnym szacunkiem?...” Tak działo się i z notariuszami, a w tej liczbie z Piotrem Tesson, od dwudziestu lat związanym wpierw z dworem Valois, następnie zaś Roberta.

Piotr Tesson nigdy nie czuł się tak ważny; nigdy nie okazywano mu tak poufałej przyjaźni ani obdarowywano tylu sztukami materii na suknie dla małżonki, a jego samego trzosikami ze złotem. Jednakże odczuwał zmęczenie, bo Robert poganiał swój dwór, żywotność zaś tego człowieka była wprost niewyczerpana.

Przede wszystkim Dostojny Pan Robert prawie nigdy nie siadał. Bez przerwy chadzał po komnacie między wysokimi postaciami świętych. Mistrz Tesson nie mógł przystojnie zasiąść w obecności tak wielkiego dostojnika, jak par Francji. Notariusz zaś zwykł pracować siedząc. Mistrz Tesson przeto trudził się dźwigając czarną skórzaną sakwę, nie śmiał położyć jej na brokatach i jeden po drugim wyciągał dokumenty; obawiał się, że zakończy ten proces z chorobą nerek aż do końca życia.

- Widziałem - rzekł odpowiadając na pytanie Roberta - byłego bajlifa, Wilhelma de la Planche, obecnie więzionego w Chatelet. Przedtem odwiedziła go dama de Divion; zeznawał tak, jak oczekiwaliśmy. Prosi, abyście nie zapomnieli wstawić się o jego ułaskawienie do pana Miles'a de Noyers, bo sprawę ma podłą i grozi mu szubienica.

- Dopilnuję, żeby go wypuszczono, niech śpi spokojnie, A czy przesłuchaliście Szymona Dourier?

- Jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale się już porozumiałem. Gotów jest oświadczyć komisarzom, że był obecny w onym dniu 1302 roku; gdy hrabia Robert II, dziad wasz, krótko przed zgonem podyktował list stwierdzający wasze prawo do dziedziczenia Artvis.

- Ach! Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

- Przyrzekłem mu również, że weźmiecie go z powrotem na wasz dwór i obdarzycie rentą.

- Za co został przepędzony? - spytał Robert.

Notariusz wykonał okrągły gest jak ktoś, kto wkłada pieniądz do kieszeni.

- Ba! - zawołał Robert. - Teraz on ma swoje lata, miał czas się pokajać! Dam mu sto liwrów rocznie, mieszkanie i przyodziewek.

- Manessier de Lannoy twierdzi, że Pani Mahaut spaliła wykradzione listy... Jak wiecie... dom jego miał być sprzedany dla spłaty długów Lombardom; bardzo wam jest wdzięczny za zachowanie mu dachu nad głową.

- Jestem dobry, ludzie o tym na ogół nie wiedzą - wyrzekł Robert. - Ale nie mówicie mi nic o Juvignym, byłym pachołku Enguerranda?

Notariusz z miną winowajcy spuścił nos na kwintę.

- Nic nie uzyskałem - powiedział - utrzymuje, że o niczym nie wie, że sobie nie przypomina.

- Jak to! - zawołał Robert - osobiście byłem w Luwrze, bo tam pobiera rentę za byle jaką robotę, i sam z nim rozmawiałem! I upiera się, że nie pamięta? Rozważcie więc, czy nie można by go z lekka przebadać. Widok kleszczy pomógłby mu może powiedzieć prawdę.

- Dostojny Panie - ze smutkiem odparł notariusz - bierze się na męki obwinionych, ale jeszcze nie świadków.

- Więc powiadomcie go, że jeśli mu pamięć nie powróci, odbierze się mu rentę. Jestem dobry, ale ludzie muszą mi pomóc.

Chwycił świecznik z brązu o wadze dobrych piętnastu funtów i chodząc przerzucał go z ręki do ręki.

Notariusz pomyślał o boskiej niesprawiedliwości, która obdarza taką siłą w mięśniach ludzi, którzy używają jej do zabawy, i tak jej skąpi biednym notariuszom dźwigającym ciężką sakwę z czarnej skóry.

- Czy nie obawiacie się, Dostojny Panie, że jeśli obetniecie rentę Juvign'yemu, ów mógłby ją uzyskać z ręki hrabiny Mahaut?

Robert przystanął.

- Mahaut - obruszył się - ależ ona nic już nie może; zaszyła się, obawia. Czyż widuje się ją na dworze ostatnio? Nie rusza się, drży, wie, że jest zgubiona.

- Oby Bóg was wysłuchał, Dostojny Panie, oby Bóg was wysłuchał. Z pewnością wygramy; ale jeszcze się nie obejdzie bez kilku drobnych przepraw...

Tesson wahał się, czy mówić dalej, nie tyle z lęku o swe słowa, ile z powodu ciężkiej sakwy. Jeszcze musiałby stać pięć czy dziesięć minut.

- Powiadomiono mnie - podjął - że w Artois nasi komisarze są śledzeni oraz inni ludzie odwiedzają naszych świadków. Prócz tego w ostatnich dniach między rezydencją Pani Mahaut a Dijon - krążyli gońcy. Widywano różnych jeźdźców w barwach burgundzkich przekraczających jej próg.

- Rzecz aż nadto wyraźna, że Mahaut stara się zacieśnić więzy z diukiem Eudoksjuszem: Zaś stronnictwo burgundzkie ma na dworze poparcie królowej.

- Tak, ale ja mam króla. Oświadczam wam, Tesson - rzekł Robert - że łajdaczka przegra.

- Trzeba by jednak, Dostojny Panie, dostarczyć dokumentów, bo bez dokumentów... Oświadczeniom zawsze można przeciwstawić inne oświadczenia... im wcześniej, tym lepiej.

Miał on osobiste powody, by nalegać. Namawiając do tylu zeznań, a przeto je wymuszając przekupstwem lub groźbą, notariusz może zrobić karierę, ale także naraża się na uwięzienie w Chatelet, a nawet łamanie kołem. Tesson wcale sobie nie życzył zająć miejsce byłego bajlifa z Bethune.

- Nadejdą wasze dokumenty, nadejdą. Mówię wam, że już są w drodze! Czy myślicie, że tak łatwo je uzyskać?... Słuchajcie, Tesson - raptem rzekł Robert wskazując palcem czarną skórzaną sakwę - wpisaliście do zeznań hrabiego de Bouville, że dwunastu parów przyłożyło pieczęcie pod intercyzą ślubną. Po coście to wpisali?

- Ponieważ tak rzekł świadek, Dostojny Panie.

- Ach, tak... To bardzo ważne - rzekł w zamyśleniu Robert.

- Dlaczego, Dostojny Panie?

- Dlaczego? Dlatego że czekam na duplikat umowy z rejestrów w Artois, miał mi zostać doręczony... zresztą za słoną cenę... Dokument byłby nieważny, gdyby nie figurowały na nim nazwiska dwunastu parów. Jacy byli wówczas parowie? Łatwa sprawa z diukami, hrabiami, ale jacy byli parowie duchowni? Czy widzicie, jak należy na wszystko uważać?

Notariusz spojrzał na Roberta z niepokojem i podziwem.

- Czy wiecie, Dostojny Panie, że gdybyście nie byli tak możnym panem, bylibyście najlepszym w

królestwie notariuszem? Nie obrażając was, Dostojny Panie, powiadam wam bez obrazy!

Robert zadzwonił, by odprowadzono gościa.

Ledwie zniknął notariusz, a Robert już wyszedł przez drzwi znajdujące się między biodrami Magdaleny - sztuczka zdobnicza, która go niesłychanie bawiła - i pomknął do komnaty małżonki. Przepędziwszy damy dworu powiedział:

- Joanno, przezacna przyjaciółko, moja droga hrabino, zawiadomcie Divion, żeby przerwała pisanie intercyzy ślubnej; potrzebne są nazwiska dwunastu parów z roku 82. Czy je znacie? A więc i ja nie znam! Gdzie można by je zdobyć nie wzbudzając podejrzeń? Ech! Ileż to straconego czasu! Ile straconego czasu!

Hrabina de Beaumont wpatrywała się w męża pięknymi oczami z przejrzystego lazuru; twarz rozjaśniał zagadkowy uśmiech. Jej olbrzym znów znalazł jakiś powód do niepokoju. Bardzo spokojnie odrzekła:

- W opactwie Saint-Denis, mój słodki przyjacielu, w Saint-Denis. Na pewno tam znajdziemy nazwiska parów. Poślę brata Henryka, mego spowiednika, pod pozorem jakichś uczonych poszukiwań...

Po szerokiej twarzy Roberta przemknął wyraz rozbawionej czułości i radosnej podzięki.

- Czy wiesz, moja miła Pani - rzekł, z ociężałym wdziękiem składając ukłon - że gdybyś nie była tak wielką damą, byłabyś najlepszym w królestwie notariuszem?

Uśmiechnęli się do siebie, a hrabina de Beaumont, z domu Joanna de Valois; wyczytała w oczach Roberta obietnicę, że dziś wieczorem odwiedzi jej łoże.

III - Fałszerze

Wchodząc na drogę kłamstwa powszechnie się mniema, że będzie ona i krótka, i łatwa; swobodnie, a nawet z pewną przyjemnością człowiek pokonuje pierwsze przeszkody; ale niebawem las gęstnieje, droga się zaciera, rozwidla na ginące w bagnach ścieżki; wędrowiec potyka się co krok, grzęźnie, zapada; rozdrażniony, nie szczędzi próżnych wysiłków, lecz każdy z nich powoduje nowe nieroztropne posunięcie.

Na pierwszy rzut oka nic prostszego niż podrobić stary dokument; karta pergaminu pożółkłego na słońcu i zbrukanego popiołem, ręka przekupionego skryby, kilka pieczęci przyczepionych do jedwabnych sznurów; rzecz zdaje się nie wymagać ani długiego czasu, ani nadmiernych kosztów.

Jednakże Robert d'Artois na razie musiał się wyrzec odtworzenia intercyzy ślubnej ojca. I nie tylko z powodu szukania nazwisk dwunastu parów, ale także i dlatego, że akt należało spisać po łacinie, a pierwszy lepszy kleryk nie był w stanie dostarczyć formuł ongiś używanych w ślubnych umowach książąt. Były jałmużnik królowej Klemencji, biegły w tej sztuce, zwlekał z dostarczeniem wstępnej i końcowej formuły dokumentu; nie śmiano zaś go przynaglać, w obawie że zabiegi te wydadzą się podejrzane.

Również wynikła sprawa pieczęci.

- Każcie je wyrzezać rytownikowi stempli wedle starych pieczątek - powiedział Robert.

Aliści rytownicy pieczęci byli zaprzysiężeni; gdy zapytano dworskiego rytownika, ów oświadczył, że nie można dokładnie podrobić pieczęci; nigdy bowiem dwa stemple nie są identyczne; bystre oko rzeczoznawcy łatwo rozpozna sfałszowany woskowy odcisk. Oryginalne zaś pieczęcie zawsze się niszczy po śmierci właściciela.

Należało więc zdobyć dawne akta zaopatrzone w pożądane pieczęcie, odczepić je - co nie było zabiegiem łatwym - a następnie przenieść je na sfałszowany dokument.

Robert doradził Divion, aby skupiła swe wysiłki na zdobyciu łatwiej dostępnego dokumentu, a posiadającego nie mniejszą doniosłość.

28 czerwca 1302 roku stary hrabia Robert II, zanim udał się na wyprawę do Flandrii, gdzie miał zginąć przeszyty dwudziestu włóczniami, uporządkował swe sprawy i potwierdził listem rozporządzenie zapewniające wnukowi dziedzictwo Artois.

- A to jest prawda, wszyscy świadkowie tak zeznają - mówił żonie Robert. - Szymon Dourier nawet przypomina sobie, jacy wasale dziadka byli obecni i z jakich okręgów przyłożono pieczęcie. Chcemy tylko, by prawda wypłynęła na wierzch!

Szymon Dourier, były notariusz hrabiego Roberta II, dostarczył treści oświadczenia, na ile mógł ją sobie przypomnieć. Spisał ją niejaki Dufour, skryba hrabiny de Beaumont, lecz tekst Dufoura miał za

wiele przekreśleń, a poza tym znany był charakter jego pisma.

Divion udała się do Artois, aby doręczyć ów tekst niejakiemu Robertowi Słowikowi, byłemu skrybie Thierry d'Hirsona, ów zaś przepisał list nie piórem gęsim, ale z brązu, by dokładniej ukryć charakter pisma.

Ów Słowik - któremu w nagrodę zaofiarowano podróż do świętego Jakuba z Compostelli, gdzie przyrzekł się udać, by wypełnić ślub o odzyskanie zdrowia - miał zięcia, niejakiego Jana Oliette, ten zaś nieźle znał się na sztuce odczepiania pieczęci. Cała ta rodzina stanowczo była niezwykle uzdolniona! Oliette przekazał swe umiejętności damie de Divion.

Ta zaś wróciwszy do Paryża zamyka się z Panią de Beaumont i tylko jedną pomocnicą Joanną Służką i oto trzy - kobiety wprawiają się w odczepianie woskowych pieczęci ze starych dokumentów, posługując się rozgrzaną brzytwą i włosiem końskim zmaczanym w specjalnym likworze, a zapobiegającym ich rozłamaniu. Przepoławiano pieczęć, później podgrzewano jedną połówkę i przykładano do drugiej umieszczając między nimi jedwabne sznury lub kant pergaminu od nowego dokumentu. Wreszcie przypiekano brzeg wosku, by zatrzeć ślad przecięcia.

Joanna de Beaumont; Joanna de Divion i Joanna Służka tym sposobem wyćwiczyły sobie ręce na przeszło czterdziestu pieczęciach; nigdy nie pracowały w tym samym miejscu; kryły się raz w komnacie pałacu Artois, raz w rezydencji Pod Orłem lub w którejś z wiejskich siedzib.

Niekiedy Robert wchodził do pokoju, by rzucić okiem na te zabiegi.

- Tedy moje trzy Joanny przy pracy! - rzucał wesoło.

Najzręczniejsza ze wszystkich trzech była hrabina de Beaumont.

- Paluszki niewiasty to czarodziejskie paluszki - mawiał Robert dwornie całując rękę małżonki.

Rzecz polegała nie tylko na umiejętności odczepiania pieczęci; należało jeszcze się zaopatrzyć w najniezbędniejsze z nich.

Pieczęć Filipa Pięknego łatwo było znaleźć, wszędzie znajdowały się dokumenty królewskie. Robert polecił biskupowi Evreux, aby mu przekazał pismo dotyczące lenna Conches, dokumentu, który winien był rzekomo tylko przejrzeć; lecz nigdy go nie zwrócił.

W Artois Divion zaprzęgła swych przyjaciół Słowika i Oliette'a a także dwie posługaczki - Marię Białą i Marię Czarną, do szukania starych pieczęci w okręgach administracyjnych i lennach.

Niebawem zgromadzono je wszystkie z wyjątkiem jedynej najważniejszej, zmarłego hrabiego Roberta II. Nikt by w to nie uwierzył, ale tak było istotnie; wszystkie akta rodowe były zamknięte w rejestrach Artois pod pieczą skrybów Mahaut, Robert zaś, małoletni w chwili śmierci dziadka, nie posiadał ani jednego.

Divion dzięki swej kuzynce poznała człowieka zwanego Niedźwiadkiem Ślepakiem. Posiadał on dyplom nadany mu przez zmarłego hrabiego, a opieczętowany uwierzytelniającą pieczęcią. Ślepak

zdawał się być skłonny wyzbyć go za trzysta liwrów. Pani Joanna de Beaumont kazała nabyć go za wszelką cenę, ale Divion nie miała tylu pieniędzy w Artois, nieufny zaś Niedźwiadek Ślepak nie zgadzał się wyzbyć dyplomu jedynie za obietnice.

Divion, goniąc resztkami, przypomniała sobie, że ma męża, który żył beztrosko w Bethune. Nigdy jej nie okazywał zbyt cierpkiej zazdrości, a teraz gdy biskup Thierry umarł... Pomknęła do niego. Niewątpliwie bardzo wielu ludzi zostało teraz dopuszczonych do tajemnicy, ale nie było wyboru. Mąż nie chciał pożyczyć pieniędzy, lecz zgodził się wyzbyć dobrego konia, na którym ongiś potykał się na turnieju, a Divion przekonała pana Niedźwiadka, aby go przyjął w zastaw, pozostawiając mu nadto kilka klejnotów, jakie miała przy sobie.

O! Nie oszczędzała siebie ta Divion! Nie skąpiła ani czasu, ani trudów, ani zabiegów, ani podróży. Ani też języka. Co więcej - uważała, by nic nie zgubić; spała z kluczami pod głową.

Ścierpniętą z lęku ręką odcięła pieczęć zmarłego hrabiego Roberta. Pieczęć za cenę trzystu liwrów! A jak znaleźć podobną, jeśli na nieszczęście się złamie?

Dostojny Pan Robert trochę się niecierpliwił, bo wszystkich świadków już teraz przesłuchano, a król go pytał bardzo uprzejmie i w dowód życzliwości, czy rychło przedłoży dokumenty, których istnienie zaprzysiągł.

Jeszcze dwa dni, jeszcze dzień cierpliwości. Dostojny Pan Robert będzie wielce rad!

IV - Goście w Reuilly

W okresie upałów, gdy służba królestwu i kłopoty związane z procesem dawały Robertowi d'Artois chwilę wytchnienia, lubił on spędzać koniec tygodnia w Reuilly - zamku, który przypadł jego żonie w spadku po Valois.

Łąki i lasy utrzymują wokół rezydencji miły chłodek. Robert ma tu swą łowiecką ptaszarnię. Dwór tu jest liczny, bo wielu młodzieńców ze szlachetnych rodów, nim zostanie pasowanych na rycerzy, zaciąga się w służbę do Roberta jako giermkowie, szafarze lub pokojowcy. Kto nie zdołał się dostać na dwór królewski, usiłuje związać się z dworem hrabiego d'Artois, używa protekcji wpływowych krewnych, a przyjęty, stara się wyróżnić gorliwością. Potrzymać wodze rumaka Dostojnego Pana, podać mu skórzaną rękawicę, na której spocznie sokół białozór, przynieść zastawę na stół, pochylić dzban z wodą nad potężnymi łapami - to posunąć się odrobinę w hierarchii państwowej; rankiem potrząsnąć jaśkiem, by go obudzić - to niemal potrząsnąć jaśkiem samego Pana Boga, ponieważ Dostojny Pan - wszyscy o tym wiedzą - na dworze jest wszechwładny.

Owej soboty w początkach sierpnia zaprosił on do Reuilly kilku zaprzyjaźnionych panów, między innymi pana de Brecy, rycerza de Hangest i archidiakona Avranches, a nawet starego, na poły ślepego hrabiego de Bouville, po którego wysłał lektykę. Wydał zaś łowy z sokołem dla tych, co zwykli wstawać wczesnym rankiem.

Teraz goście zebrali się w sali sądów, gdzie on sam w stroju, jaki zwykł nosić na wsi, rozsiadł się wygodnie w ogromnym karle. Towarzyszy mu małżonka, hrabina de Beaumont, a także notariusz Tesson, który postawił na stole kałamarz i rozłożył pióra.

- Zacni panowie, moi przyjaciele - rzecze - zaprosiłem was, aby zasięgnąć waszej rady.

Zawsze ludziom schlebia, gdy się ich pyta o zdanie... młodzi giermkowie podają gościom napoje przed posiłkiem, aromatyzowane wina, korzenne konfekty, a w czarkach ze złoconego srebra łuskane migdały. Uważają, by nie sprawiać hałasu, nie uchybić w służbie; szeroko otwierając oczy, gromadzą wspomnienia na przyszłość; później powiedzą: “Owego dnia byłem u Dostojnego Pana Roberta, znajdował się tam hrabia de Bouville, ongiś szambelan króla Filipa Pięknego...”

Robert przemawia rzeczowo, poważnie; niejaka dama de Divion, którą poznał przelotnie, przybyła doń proponując mu nabycie listu, jaki posiada obok kilku innych od biskupa Thierry d'Hirsona... była jego przyjaciółką - zwierza się zniżając nieco głos. Divion oczywiście żąda pieniędzy; wszystkie te kobiety są takie same. Jednak dokument zdaje się być ważki, przed kupnem Robert chce się upewnić, czy go nie zwodzi, czy list jest autentyczny, czy może posłużyć jako dokument dowodowy w procesie, czy nie jest dziełem jakiegoś szalbierza tylko po to sporządzonym, by wyłudzić odeń pieniądze. Dlatego też zaprosił swych przyjaciół, ludzi mądrych, lepiej niż on obeznanych z aktami, aby zbadali dokument.

Od czasu do czasu Robert rzuca okiem na żonę, aby się upewnić, jakie wywołuje wrażenie. Joanna nieznacznie pochyla głowę; podziwia wielką chytrość swego małżonka; jak ten szczwany olbrzym

dobrze udaje naiwnego, kiedy chce oszukać. Staje się niespokojny, podejrzliwy... Goście nie omieszkają zaaprobować tak wspaniałego listu, a potwierdziwszy jego autentyzm nie zaprą się swego zdania, w kołach dworskich oraz parlamentarnych rozejdzie się wieść, że Robert ma w ręku dowód swoich praw spadkowych.

- Wprowadźcie tę damę Divion - z surową miną mówi Robert.

Pojawia się Joanna de Divion, bardzo skromna, tchnie prowincją; z lnianej podwiki wyłania się trójkątna twarz, oczy podkrążone cieniem. Nie potrzebuje udawać onieśmielonej; jest nią naprawdę. Z wielkiej płóciennej sakwy wydobywa zwinięty pergamin z przywieszonymi kilkoma pieczęciami i podaje go Robertowi, ów rozwija rulon, przez chwilę go ogląda, następnie przekazuje notariuszowi.

- Zbadajcie pieczęcie, mistrzu Tesson.

Notariusz sprawdza, jak są przymocowane jedwabne sznury, pochyla nad pergaminem czarną, ogromną czapę i swój profil jak sierp księżyca.

- Autentyczna pieczęć zmarłego hrabiego, waszego dziada, Dostojny Panie - wypowiada z przekonaniem.

- Obejrzyjcie, zacni panowie - zaprasza Robert.

Dokument wędruje z rąk do rąk. Pan de Brecy stwierdza, że pieczęcie z okręgów Arras i Bethune są bez zarzutu; hrabia de Bouviile przybliża do zmęczonych oczu dokument; odróżnia tylko zieloną plamę u dołu pisma; maca wosk, delikatny w dotyku, i łzy mu spływają spod powiek.

- Ach! - szepce - zielona woskowa pieczęć mego zacnego pana Filipa Pięknego!

Następuje chwila wielkiego roztkliwienia, chwila ciszy, którą obecni czczą długoletnie wspomnienia starego sługi korony.

Divion stojąc na uboczu pod ścianą wymienia dyskretne spojrzenie z hrabiną de Beaumont.

- Teraz odczytajcie nam to, mistrzu Tesson - rozkazuje Robert.

Notariusz odebrawszy pergamin rozpoczyna lekturę:

- “My, Robert Francuski, par i hrabia d'Artois...”

Formuła wstępna wedle obowiązujących zwrotów, zebrani wysłuchują jej spokojnie.

- i oświadczamy niniejszym w obecności panów de Saint-Venant, de Saint-Paul; de Waillapeyelle, pasowanych rycerzy, którzy przyłożą swe pieczęcie, oraz jurysty Thierry d'Hirsona, mego skryby...

Kilka spojrzeń kieruje się ku Divion, która spuszcza nos.

“Sprytna, sprytna ta wzmianka o biskupie Thierry - myśli Robert - uwierzytelnia zeznania o jego roli;

wszystko wiąże się znakomicie".

- ...że w związku z małżeństwem naszego syna Filipa nadaliśmy jemu nasze hrabstwo, zachowując sobie dożywotnie nim władanie, a córka nasza Mahaut wyraziła zgodę - zrzekła się rzeczonego hrabstwa...

- Ależ to naprawdę wspaniałe - woła Robert. - Więcej niż oczekiwałem. Nikt mi nigdy nie mówił, że Mahaut się zrzekła! Widzicie, moi przyjaciele, co za przechera!... Czytajcie dalej, mistrzu Tesson.

Zebrani są bardzo poruszeni. Kiwają głowami, spoglądają po sobie... Tak, dokument wielkiej wagi.

- ...teraz zaś, gdy Bóg powołał do siebie naszego drogiego i umiłowanego syna, hrabiego Filipa, prosimy naszego suzerena, króla, gdyby nam się przydarzyło, iżby Bóg i nami rozporządził wedle swej woli, aby nasz suzeren król czuwał, by spadkobiercy naszego syna nie zostali wydziedziczeni.

Głowy nadal godnie chylą się z aprobatą; rycerz Hangest rozkłada ręce przed Robertem, a ruch ten oznacza: "Dostojny Panie, proces wygrany".

Notariusz kończy:

- ...i przyłożyliśmy pod tym naszą pieczęć w pałacu naszym w Arras, w dniu dwudziestego ósmego czerwca roku pańskiego tysiąc trzysta dwudziestego drugiego.

Robert nie może pohamować drgnięcia. Hrabina de Beaumont blednie. Divion stojąc pod ścianą czuje, że umiera.

Nie tylko oni usłyszeli tysiąc trzysta dwudziesty drugi. Zdziwione głowy słuchaczy zwróciły się ku notariuszowi, który również okazuje osłupienie.

- Przeczytaliście tysiąc trzysta dwudziesty drugi? - pyta rycerz de Hangest. - Pewnie chcieliście powiedzieć tysiąc trzysta i drugi rok - rok śmierci hrabiego Roberta?

Mistrz Tesson chciałby oskarżyć się o przejęzyczenie, ale tekst leży tutaj przed jego oczami z wyraźnie napisaną datą tysiąc trzysta dwudziesty drugi. I zażądają ponownego obejrzenia dokumentu. Jak się to mogło stać? Ach! Dostojny Pan Robert wpadnie w złość! A on sam, Tesson, w jaką dał się wplątać kabałę. Do Chatelet, w Chatelet wszystko się zakończy!

Robi co może, by odwrócić klęskę; bełkoce:

- Błąd w pisowni... Ależ tak, oczywiście, należy czytać tysiąc trzysta drugi...

I szybko macza pióro w atramencie, coś skrobie, przekreśla kilka liter, przywraca prawidłową datę.

- Czy do was należy tym sposobem poprawiać? - pyta ze zgorszeniem w głosie rycerz de Hangest:

- Ależ tak, panie - rzecze notariusz - pod słowami były dwie kropki, a notariusze zwykli poprawiać źle napisane słowa, pod którymi postawione są kropki...

- To prawda - potwierdza archidiakon Avranches.

Lecz wskutek incydentu rozprysło się piękne wrażenie wywołane lekturą.

Robert wzywa giermka, poleca mu na ucho przyśpieszyć posiłek, po czym usiłuje podsycić rozmowę.

- Ostatecznie, mistrzu Tesson, waszym zdaniem pismo jest autentyczne?

- Oczywiście, Dostojny Panie, oczywiście - śpieszy z odpowiedzią Tesson.

- A waszym zdaniem także, wielebny archidiakonie?

- Sądzę, że jest autentyczne.

- Może - doradza przyjaźnie pan de Brecy - należałoby wam porównać je z innymi pismami zmarłego hrabiego z tegoż roku...

- W jaki sposób porównać, przezacny - odpowiada Robert - w jaki sposób, skoro moja stryjna Mahaut wszystkie pisma dzierży w swoich rejestrach! Sądzę, że dokument jest autentyczny. Nie wymyśla się podobnych rzeczy! Ja sam tyle nie wiedziałem, a zwłaszcza że Mahaut się zrzekła.

W tejże chwili na podwórcu dźwięczą trąbki. Robert klaszcze w dłonie.

- Trąbią na wodę, szlachetni panowie! Chodźmy umyć ręce i na obiad.

Pienił się chodząc po komnacie hrabiny, swej małżonki, a podłoga drżała pod jego krokiem.

- I wyście to czytali! I Tesson czytał! I Division czytała! I nikt, nikt z was nie potrafił przeczytać tego nieszczęsnego dwadzieścia dwa, co grozi nam zawaleniem się wszystkich naszych planów!

- Ależ wy sami, przyjacielu - spokojnie odpowiedziała Joanna de Beaumont - czytaliście ten list jeden raz i drugi i, jak mi się zdaje, bardzo byliście z niego radzi.

- A tak! Czytałem i ja też nie zauważyłem tego błędu! Czytać po cichu, a czytać głośno to nie to samo. I czyż mogłem myśleć, że się zrobiło takie głupstwo! Trzebaż, żeby ten osioł notariusz... A drugi osioł, co napisał ten list... jakżeż się on nazywa? Słowik?... Niby uważa, że potrafi napisać dokument, wyciąga więcej pieniędzy od was, niż potrzeba na zabudowę, i nie jest zdolny nawet napisać prawidłowej daty! Każę pojmać tego Słowika i wychłostać go do krwi!

- Będziecie musieli kazać go pojmać przy grobie Świętego Jakuba, mój przyjacielu, bo tam pielgrzymuje za wasze denary.

- Więc kiedy wróci.

- Nie lękacie się, że pośpiewa trochę za głośno pod razami?

Robert wzruszył ramionami.

- Jeszcze całe szczęście, że to stało się tutaj, a nie podczas czytania w Parlamencie! Musicie baczniej czuwać, moja droga, aby nie powtórzyły się podobne błędy przy innych dokumentach.

Pani de Beaumont odczuła jako krzywdę, że gniew męża zwrócił się przeciw niej. Ubolewała nad błędem tyleż samo co on, równie się martwiła, ale po tylu trudach, jakie sobie zadała, po zdzieraniu skóry z rąk przy odcinaniu tylu woskowych pieczęci uznała, że Robert mógłby się pohamować i nie traktować jej jako winowajczyni.

- Poza tym, Robercie, dlaczego się tak upieracie przy tym procesie? Dlaczego narażacie siebie, narażacie mnie i tyle osób z waszego otoczenia, żeby pewnego dnia skazano nas za kłamstwa i fałszerstwa?

- To nie kłamstwa, to nie fałszerstwa! - huknął Robert. - Ja chcę, żeby prawda wypłynęła na wierzch kiedy się upierają, żeby ją ukrywać!

- Zgoda, macie rację - rzekła - ale przyznajcie, że ta prawda ma wygląd niepoczciwy. Strzerzcie się, bo w takich szatach mogą jej nie dojrzeć! Macie wszystko, drogi przyjacielu, jesteście parem królestwa, bratem króla przeze mnie, bo jestem jego siostrą, i wszechwładniście w jego Radzie; wasze dochody są pokaźne, a łącznie z tym, co wam wniosłam w posagu i w dziedzictwie, macie fortunę godną zazdrości. Dlaczego nie poniechacie tego Artois?! Czy nie myślicie, że dość nam tej gry, która może nas kosztować bardzo drogo?

- Moja duszko, bardzo źle rozumujecie, kiedy tak mówicie, i dziwię się słuchając was tak zwykle roztropnej. Jestem baronem Francji, ale baronem bez ziemi.

Moje hrabstwo Beaumont dane mi na odczepne stanowi dobro koronne, nie władam nim; wypłacają mi zeń tylko dochody. Dali mi godność para, samiście powiedzieli; ponieważ wasz brat jest królem; oby Bóg zachował go nam jak najdłużej, jednakowoż i król nie jest wieczny. Dość ich skonało na naszych oczach! Niechże Filip umrze, czy mnie przypadnię regencja? Niechże jego podła, kulawa małżonka, która nienawidzi i mnie, i was, oprze się na Burgundii, aby otrzymać regencję, czy ja będę nadal tak potężny, a Skarb nadal będzie mi wypłacał moje dochody? Nie sądzę, nie sprawuję sądów, nie mam naprawdę wielkich wasali, z moich dóbr nie mogę powołać własnych ludzi winnych mi posłuszeństwo i obsadzić nimi urzędów. Komu się dzisiaj nadaje urzędy? Ludziom z Valois, Maine, Andegawenii, z apanaży i lenn zacnego Karola, waszego ojca. Gdzież mam brać własne sługi? Wśród tych tam. Powtarzam wam, nic nie mam. Nie mogę zwołać dość licznych chorągwi, które by kazały drżeć przede mną. Prawdziwą władzę oblicza się na podstawie kasztelanii, którymi się rządzi i skąd można powołać wojska. Moje stanowisko opiera się tylko na mnie, na moich barkach, na miejscu, jakie zajmuję w Radzie. Moje wpływy zależne są tylko od łaski, a łaska zależna jest od woli Boga. Mamy synów, a więc o nich pomyślcie, moja duszko, a ponieważ wcale nie jest pewne, czy odziedziczą mój rozum, chciałbym im pozostawić hrabstwo Artois, słusznie należne mi w spadku!

Nigdy tak długo nie rozprawiał o swych skrytych myślach i hrabina de Beaumont zapominając o niedawnych żalach ujrzała męża w nowym świetle: nie tylko jako przebiegłego kolosa, którego intrygi ją bawiły, nicponia zdolnego do wszelakich łajdactw, uganiającego się za wszystkimi dziewczętami, czy ze szlachetnych rodów, czy mieszczankami, czy też posługaczkami, ale ujrzała go jako naprawdę wielkiego pana rozważającego rację swego stanu. Gdy Karol de Valois ubiegał się

ongiś o królestwo czy cesarską koronę i swatał swe córki z udzielnymi książętami, czyny swe uzasadniał podobną troską.

W tejże chwili giermek zapukał do drzwi; dama de Divion prosi hrabiego o pilne posłuchanie.

- Czego ona jeszcze chce ode mnie? Nie boi się, że ją rozdepczę? Każ ją wprowadzić.

Ukazała się Divion z błędnym wzrokiem i oznajmiła straszną wieść. Obie jej służki w Artois, Maria Biała i Maria Czarna, te same, co pomagały w zakupie kilku pieczęci do sfałszowanego listu, trafiły do więzienia, pochwycone przez sierżantów hrabiny Mahaut.

V - Mahaut i Beatrycze

- Niech wam diabeł wszystkie bebechy poruszy, wy łotrowskie plemię - krzyczała hrabina Mahaut. - Jakże to? Każę aresztować te dwie kobiety, które wszystko by nam wyśpiewały, i ledwie się je pochwyciło, już są wypuszczone?

W zamku Conflans nad Sekwaną koło Vincennes hrabina Mahaut właśnie dowiedziała się, że obie służki Divion, aresztowane na rozkaz bajlifa Arras, zostały uwolnione. Wpadła w furię, a przeklęte przez nią łotrowskie plemię na razie uosabiała Beatrycze d'Hirson, jej dwórka, na której wyładowywała swą wściekłość. Bajlif Arras był stryjem Beatrycze, młodszym bratem zmarłego biskupa Thierry.

- Te służki, Dostojna Pani... zostały zwolnione na specjalny rozkaz króla okazany przez dwóch zbrojnych sierżantów - spokojnie odpowiedziała Beatrycze.

- Bzdura! Król kpi sobie z dwóch służek, które prowadzą kuchnię na przedmieściu Arras! Zostały zwolnione z rozkazu mojego Roberta, który pobiegł do króla, żeby uzyskać ich wypuszczenie. Czy wzięto chociaż nazwiska sierżantów? Czy sprawdzono, że należą do służby króla?

- Nazywają się Maciot Allemant i Jan le Servoisier, Dostojna Pani - ciągnęła Beatrycze wciąż z tym samym spokojem.

- Dwaj zbrojni sierżanci Roberta! Znam tego Maciot Allemanta; należy do bandy, której - ten łajdak, mój bratanek, używa do wszystkich swoich machinacji. A przede wszystkim kto uprzedził Roberta, że sługi Divion zostały aresztowane? - zapytała Mahaut rzucając na swą dwórkę podejrzliwe spojrzenie.

- Dostojny Pan Robert zachował wielu szpiegów w Artois... dobrze o tym wiecie, Dostojna Pani.

- Życzę sobie - rzekła Mahaut - żeby nie znalazł ich wśród ludzi, którzy mnie otaczają... Ale już jest zdradą źle mi służyć i wszyscy wokół mnie zdradzają. Ach! Rzekłoby się, że od śmierci Thierry'ego straciliście serce dla mnie. Niewdzięcznicy! Obsypałam was wszystkich dobrodziejstwami, od piętnastu lat traktuję cię jak córkę...

Beatrycze d'Hirson spuściła długie czarne rzęsy i spoglądała niezdecydowanie na kamienną posadzkę. Złocista, gładka twarz o pięknie wykrojonych ustach nie zdradzała żadnego uczucia, ani pokory, ani buntu, po prostu pewną obłudę na skutek opuszczenia rzęs wyjątkowo długich, za którymi kryło się spojrzenie.

- ...Żeby dogodzić Thierry'emu, mianowałam twojego stryja Denisa skarbnikiem, a on mnie wyzyskuje i okrada! Gdzie są rachunki za wiśnie z mojego sadu, które tego lata sprzedał na targu w Paryżu? Pewnego dnia zażądam kontroli jego zapisów! Wszystko macie, ziemię, domy, zamki kupione za pieniądze ode mnie wyciągnięte! Twojego stryja Piotra, półgłówka mianowałam bajlifem myśląc, że skoro jest tak głupi, przynajmniej będzie mi wierny, a on nawet nie potrafi dopilnować, żeby

drzwi moich więzień były zaparte! Wychodzą z nich sobie, kiedy chcą, jak z karczmy czy burdelu!

- Czyż stryj mój, Dostojna Pani, mógł odmówić... widząc pieczęć króla?

- A w ciągu czterech dni, które spędziły w ciemnicy, co zeznały te służące, bezecne dziwki? Czy zmuszono je do mówienia? Czy stryj twój poddał je badaniom?

- Ależ, Dostojna Pani - rzekła Beatrycze równie powolnym głosem - nie mógł tego zrobić bez nakazu sądowego. Wspomnijcie, co się stało z waszym bajlifem z Bethune?

Mahaut jednym ruchem wielkiej piegowatej ręki zmiotła argument precz.

- Nie, sercem to mi już nie służycie - rzekła - ani nie służyliście mi chyba nigdy.

Mahaut starzała się. Wiek wyrył swe piętno na ciele olbrzymki i policzki porastały sztywnym, białym włosem, czerwieniły się przy lada niehumorze, wtedy uderzenia krwi do głowy rysowały na jej szyi jakby karmazynowy śliniak. W ubiegłym roku kilkakrotnie ciężko się przechorowała. Okres ten na wszelki sposób był dla niej złowrogi.

Od krzywoprzysięstwa w Amiens i ustanowienia komisji śledczej charakter jej gorzkniał, aż stał się wręcz ohydny. Nadto umysł jej już szybko się męczył i wszystkie sprawy załatwiała na jeden sposób. Czy grad wytłukł róże, które tysiącami kazała hodować w swych ogrodach, czy też jakieś uszkodzenie nastąpiło w maszynach hydraulicznych zasilających sztuczne kaskady wokół zamku Hesdin, gniew jej spadał jak burza na ogrodników, inżynierów, giermków, na Beatrycze.

- A te malowidła sprzed dziesięciu lat! - krzyczała pokazując freski w galerii zamkowej. - Czterdzieści osiem paryskich liwrów zapłaciłam temu pacykarzowi, którego twój stryj Denis sprowadził z Brukseli; ręczył mi, że użyje najprzedniejszych farb! Nie minęło dziesięć lat i popatrz! Srebro na hełmach poczerniało, a cały dół obrazu już się łuszczy. Pytam się ciebie, czy to uczciwa robota?

Beatrycze nudziła się. Świta Mahaut była liczna, ale składała się wyłącznie z ludzi podstarzałych. Obecnie Mahaut stroniła od francuskiego dworu, będącego całkowicie pod wpływem Roberta. Tam, w Paryżu, w Saint-Germain u króla znajdka, bez przerwy odbywały się zapasy, turnieje i festyny z okazji urodzin królowej, odjazdu króla Czech, a nawet bez żadnego powodu, ot, po prostu dla rozrywki. Mahaut wcale tam nie jeździła lub pojawiała się na krótko, gdy ją do tego zmuszało stanowisko para królestwa. Już nie była w tym wieku, aby puszczać się w figurowy taniec z przyśpiewkami, zwany carole, nie chciało jej się oglądać cudzych zabaw, zwłaszcza na dworze, gdzie ją tak źle traktowano. Nawet już jej nie dogadzał pobyt w Paryżu, w pałacu przy ulicy Mauconseil, mieszkała na uboczu między wysokimi murami otaczającymi Conflans czy też w zamku Hesdin, który musiała odnowić po spustoszeniu go przez Roberta w 1316 roku.

Odkąd już nie miała kochanka - ostatnim był biskup Thierry d'Hirson, który rozdzielał swe usługi między nią a Divion - stąd śmiertelna nienawiść Mahaut do owej kobiety - hrabina stała się despotką; obawiając się, że ogarną ją nocą niespodziewane dolegliwości, kazała Beatrycze sypiać w kącie komnaty, gdzie w bezruchu zawisły nagromadzone odory starości, leków i jadła. Mahaut bowiem

nadal łapczywie pałaszowała, o każdej porze napadał ją potworny, wilczy apetyt; obicia, kobierce były przesiąknięte zapachem podróbek zajęczych, dziczyzny, polewki z czosnkiem. Częsta niestrawność zmuszała ją do wzywania lekarzy, chirurgów, balwierzy i aptekarzy; po marynowanym mięsiwie przychodziła kolej na wywary i napary z ziół. Ach! Gdzież uszły te błogie czasy, gdy Beatrycze pomagała Mahaut truć królów!

Onaż Beatrycze jęła odczuwać brzemię czasu. Kończyła się jej młodość. Trzydzieści trzy lata to wiek, gdy każda, nawet najbardziej przewrotna kobieta wpatruje się w dwa bieguny życia, z tęsknotą myśląc o latach minionych, z niepokojem o przyszłych. Beatrycze była piękna, wciąż ją w tym upewniały oczy mężczyzn, ulubione jej zwierciadła. Lecz również wiedziała, że już nie posiada nieskazitelnej cery złocistego owocu, stanowiącej powab jej dwudziestu lat, po obudzeniu się słabiej błyszczały bardzo ciemne oczy o białkach prawie niewidocznych spoza rzęs; biodra stawały się trochę cięższe. Teraz właśnie nie należało tracić ani dnia.

Lecz jak poradzić sobie z tą Mahaut, która zmuszała ją do sypiania w swojej komnacie; jak wymknąć się, by złączyć się z przygodnym kochankiem lub o północy pójść do zakonspirowanego domu, posłuchać czarnej mszy i odnaleźć pieprzyk rozkoszy w praktykach sabatu?

- O czym marzysz? - nagle wykrzyknęła do niej Mahaut.

- Nie marzę, Dostojna Pani - odparła, skierowując na Mahaut powłóczyste spojrzenie - myślę tylko, że moglibyście znaleźć lepszą ode mnie dziewczynę do osobistych posług... Myślę o zamążpójściu.

Była to przemyślna złośliwość, której skutek niezwłocznie się objawił.

- Piękną partię stanowisz - krzyknęła Mahaut. - Ach! ślicznie będzie obdarowany ten, co cię weźmie za żonę i będzie szukał twego dziewictwa w łóżkach wszystkich moich giermków, nim tam znajdzie z kolei własne rogi!

- W moim wieku, Dostojna Pani, gdy musiałam spełniać wasze polecenia... dziewictwo byłoby raczej nieszczęściem niż cnotą. W każdym razie jest ono rzeczą pospolitszą niż domy i majętności, które wniosę mężowi.

- Jeśli je zachowasz, moja córko! Jeśli je zachowasz! Bo pochodzą z runa wystrzyżonego na moim grzbiecie!

Beatrycze uśmiechnęła się, a czarne oczy znów się przesłoniły.

- Och!... Dostojna Pani - rzekła niesłychanie słodko. - Czyż pozbawicie darów kogoś, kto wam dopomagał w rzeczach tak sekretnych... a których wspólnie dokonałyśmy?

Mahaut spojrzała na nią z nienawiścią.

Beatrycze potrafiła jej przypominać spoczywające między nimi królewskie trupy, osmażane w cukrze migdały Kłótliwego, truciznę na usteczkach małego Jana I... wiedziała również, jak scena się zakończy: uderzeniem krwi do głowy hrabiny, czerwonym śliniakiem na jej bawolej szyi.

- Nie wyjdziesz za mąż! Popatrz, popatrz, jaki mi ból sprawiasz tak się mi stawiając, i bądź zadowolona - rzekła Mahaut opadając na krzesło - krew mi uderza do głowy, szumi w uszach, trzeba mi będzie jeszcze raz puścić krew.

- Czy to obfite jadło, Dostojna Pani, nie zmusza was do puszczania tyle krwi?

- Jem, co mi się podoba - huknęła Mahaut - i kiedy mi się podoba! Niepotrzebna mi taka głuptaska jak ty, aby doradzać, co dla mnie jest dobre. Idź po ser angielski. I po wino! Pospieszaj!

W spiżarniach zabrakło angielskiego sera; wyczerpała się ostatnia dostawa.

- Kto go zjadł? Okradają mnie! Przynieś więc pasztet zapiekany.

“Ach tak! W sam raz. Opchaj się i zdechnij” - myślała Beatrycze stawiając tacę.

Mahaut chwyciła w garść potężną pajdę i ugryzła. Ale trzask, jaki usłyszała, a który echem rozległ się w jej głowie, nie wynikał tylko z zapieczonej skórki. Wyłamała ząb, jeszcze jeden ząb.

Szare, nabiegłe krwią oczy rozwarły się szerzej. Kilka chwil stała nieruchomo z pajdą pasztetu w jednej ręce, kielichem wina w drugiej, z ustami otwartymi, a siekacz nadłamany przy szyjce, poziomo wychylony, oparł się o wargę: Postawiła kielich, bez trudu odczepiła złamaną cząstkę zęba. Językiem mierzyła puste miejsce pod dziąsłem i macała chropowatą, kłującą powierzchnię korzenia, jednocześnie oglądała tkwiący między grubymi palcami kawałeczek pożółkłej kości; czarny na linii złamania, tę cząsteczkę własnej osoby, cząsteczkę, która ją opuściła.

Mahaut podniosła oczy, bo przed nią Beatrycze śmiała się do rozpuku. Panna dworu, skrzyżowawszy w pasie ręce, cała się trzęsąc nie mogła powstrzymać szalonego śmiechu. Zanim zdążyła się cofnąć, już Mahaut była przy niej i z pełnym rozmachem spoliczkowała ją, raz i drugi. Śmiech Beatrycze urwał się; za długimi rzęsami czarne źrenice zalśniły złym błyskiem i wnet przygasły.

Tego wieczoru, gdy Beatrycze pomagała hrabinie zrzucić szaty, jakby nastał między nimi pokój. Mahaut nawracając do swej obsesji tłumaczyła Beatrycze:

- Czy rozumiesz, dlaczego tak mi zależało na przesłuchaniu tych dwóch kobiet? Jestem pewna, że Divion pomaga Robertowi sporządzać fałszywe dokumenty, i chciałabym ją nakryć na gorącym uczynku.

Ssała machinalnie pieniek opiłowany przez balwierza.

Po dwukrotnym spoliczkowaniu w Beatrycze dojrzewał plan.

- Czy mogę, Dostojna Pani... coś wam doradzić? Czy raczycie mnie wysłuchać?

- Ależ tak, mów, córko, mów. Jestem żywa, mam prędką rękę, ale ufam tobie, wiesz o tym dobrze.

- A więc tak, Dostojna Pani; całe zło wynika ze spadku po stryju Thierrym... i stąd, że nie chcieliście nic wypłacić z tego, co on pozostawił Divion. To podła dziwka, na pewno nie zasłużyła na tyle !...

Ale wyście zrobili z niej swego wroga, a ona zna pewne tajemnice z ust mego stryja... i teraz właśnie je sprzedaje Dostojnemu Panu Robertowi. Jeszcze całe szczęście, że w porę zdążyłam opróżnić skrzynię d'Hirsonów... w której stryj przechowywał niektóre wasze dokumenty! Pomyślcie, jaki użytek mogłaby z nich zrobić ta podła kobieta... Gdybyście jej dali trochę pieniędzy i ziemi... a dziób miałaby zamknięty.

- No tak! - rzekła Mahaut - może i źle zrobiłam. Lecz przyznaj, że ta rozpustnica, która się wygrzewała w prześcieradłach biskupa, a na dobitkę kazała wpisać siebie do testamentu, jakby była ślubną małżonką... No tak! Może i popełniłam błąd.

Beatrycze pomagała Mahaut zdjąć dzienną koszulę; olbrzymka uniosła potężne ramiona i odsłoniła pod pachami smętne, białe runo; na karku utworzyła się fałda tłuszczu jak na grzbiecie wołu; piersi były ciężkie, obwisłe, potworne.

“Stara jest - myślała Beatrycze - umrze... ale kiedy? Po ostatni jej dzień będę ubierała i rozbierała to paskudne ciało, i marnowała przy niej wszystkie moje noce... A kiedy już umrze - co się ze mną stanie? Dostojny Pan Robert na pewno wygra przy poparciu króla... A cały dwór Mahaut będzie rozpędzony...”

Obciągnąwszy na Mahaut nocną koszulę Beatrycze podjęła:

- Gdyby zaproponować tej Divion, że wypłacicie jej legaty, których żąda... a nawet cośkolwiek ponadto, na pewno by można ją sobie zjednać; a jeśli pomagała waszemu bratankowi w jego niecnych sprawkach, moglibyście się dowiedzieć w jakich... i to wykorzystać.

- Może i roztropnie doradzasz - odparła Mahaut. - Moje hrabstwo warte, by wydać tysiąc liwrów, nawet żeby opłacić grzech. Ale jak się zbliżyć do tej dziwki. Mieszka w domu Roberta, na pewno każe ją nadzorować... a nawet przy sposobności ją poklepie, bo on wcale nie wybrzydza. Jednakże nie można dopuścić, by zwietrzył podstęp.

- Ofiarowuję się, Dostojna Pani, spotkać się z nią i porozmawiać. Jestem bratanicą Thierry'ego. Mógł mi pozostawić jakieś dla niej polecenie...

Mahaut spojrzała uważnie na spokojną, niemal uśmiechniętą twarz dwórki.

- Grubo się narażasz - rzekła - gdyby kiedykolwiek Robert się połapał...

- Wiem, Dostojna Pani... wiem, co mi grozi; lecz niebezpieczeństwo wcale mnie nie przeraża - rzekła Beatrycze otulając leżącą już w łóżku hrabinę haftowaną kołdrą.

- Naprawdę, dobrą jesteś dziewczyną. Czy policzek nie pali cię zbyt mocno?

- Tak, Dostojna Pani, zawsze... do waszych usług.

VI - Robert i Beatrycze

Lormet spotkał ją przy pałacowej furtce, przez którą wchodzili dostawcy, jakby odwiedzająca była jakąś tandeciarką albo hafciarką, która przyszła oddać obstalunek: Zresztą Beatrycze odziana w szarą pelerynę z cienkiego sukna i w kapturze okrywającym włosy niczym nie różniła się od zwykłej mieszczki.

Wnet poznała starego, osobistego sługę Dostojnego Pana d'Artois; ale nie okazała po sobie zdziwienia z tego powodu ani później, gdy przechodziła przez dwa podwórza i budynki dla czeladzi, ani gdy ją prowadził do pańskich apartamentów:

Lormet szedł przodem, posapywał i od czasu do czasu odwracał głowę, by rzucić przez ramię nieufnym okiem na tę dziewczynę zbyt piękną, idącą płynnym, kołyszącym się krokiem, a która jakby wcale nie była onieśmielona.

“Co mają tutaj do roboty ludzie Mahaut? - burczał do siebie Lormet. - Jaką pieczeń ta łajdaczka chce upiec przy naszym ogniu? Ach! Dostojny Pan Robert jest bardzo nieroztropny pozwalając jej przekroczyć próg! Dama Mahaut wie dobrze, jak postępować, nie najbrzydszą ze swych dwórek do niego posyła.”

Sklepiony korytarz, kotara, niskie drzwi obracające się na dobrze naoliwionych zawiasach i oto Beatrycze zobaczyła na trzech ścianach świętego Jerzego godzącego w smoka, świętego Maurycego opartego na mieczu i świętego Piotra ciągnącego sieci.

Pośrodku komnaty stał Dostojny Pan Robert, nogi rozstawił szeroko, na piersi skrzyżował ramiona, a podbródek oparł na kołnierzu.

Beatrycze opuściła długie rzęsy i uczuła, że przebiega ją rozkoszny dreszcz lęku, a zarazem zadowolenia.

- Myślę, że wcale nie spodziewaliście się mnie zobaczyć - rzekł Robert d'Artois.

- Och tak! Dostojny Panie... - przewlekając słowa rzekła Beatrycze - właśnie was miałam nadzieję spotkać.

Wszystko zrobiła w tym celu i tak nie maskowała w ciągu tygodnia swych posłańców do Divion, że cały dwór powinien był o tym wiedzieć.

Odpowiedź trochę zadziwiła Roberta.

- Tedy po co przyszliście? Oznajmić mi o śmierci mojej stryjny Mahaut?

- Och nie! Dostojny Panie... Pani Mahaut tylko złamała sobie ząb.

- Piękna nowina - rzekł Robert - ale zdaje się, że niewarta fatygi? Czy przysyła was jako pośredniczkę? Czy widzi, że przegrała sprawę, i chce teraz ze mną pertraktować? Nie będę z nią pertraktował!

- Och nie! Dostojny Panie... Pani Mahaut nie chce pertraktować, ponieważ wie, że wygra.

- Ona wygra? Zaiste! Wobec pięćdziesięciu pięciu świadków, którzy wszyscy zgodnie stwierdzają kradzieże i oszustwa popełnione na moją szkodę?

Beatrycze uśmiechnęła się.

- Pani Mahaut będzie miała sześćdziesięciu, Dostojny Panie, aby dowieść, że wasi świadkowie składają fałszywe zeznania, i podobnie swoich opłaci.

- Ach tak, ślicznotko! Przyszliście tutaj, żeby się ze mnie natrząsać? Świadkowie waszej pani nic nie będą warci, ponieważ moich podeprą mocne dokumenty, które okażę:

- Ach! doprawdy, Dostojny Panie? - spytała Beatrycze z rzekomym szacunkiem w głosie. - Tedy Dostojna Pani myli się co do przyczyny usilnego poszukiwania pieczęci, które się odbywa w Artois w ostatnim czasie... dla waszego dworu.

- Szuka się pieczęci - odparł podrażniony Robert - ponieważ szuka się wszystkich starych dokumentów, a mój nowy kanclerz czuwa, by uporządkować moje rejestry.

- Ach, doprawdy, Dostojny Panie... - powtórzyła Beatrycze.

- Lecz to nie wasza rzecz zadawać mi pytania. To ja was pytam, czego tu szukacie. Przyszliście przekupywać moich ludzi?

- Nie potrzebuję Dostojny Panie, bo dotarłam aż do was.

- Lecz czego wreszcie chcecie? - wykrzyknął.

Beatrycze przebiegła wzrokiem komnatę. Zobaczyła drzwi, przez które weszła, a otwierające się w łonie Magdaleny. Leciutko się zaśmiała.

- Czy zawsze przez tę pułapkę wchodzą damy, które przyjmujecie?

Olbrzym jął się irytować. Ten przewlekły, ironiczny głos, krótki śmieszek, czarne oczy, które chwilę lśniły i wnet przygasały za długimi, zakręconymi rzęsami, to wszystko trochę wprawiało go w zmieszanie.

“Strzeż się, Robercie - myślał - to sławetna dziwka a na pewno ci jej nie przysłano dla twego dobra.”

Znał ją już od dawna, tę pannę Beatrycze! Nie po raz pierwszy go prowokowała. Przypomniał sobie, jak to w opactwie Chaalis, gdy wyszedł z nocnej narady, zwołanej przez króla Karola IV w sprawie

Anglii, spotkał Beatrycze oczekującą go pod łukami wirydarza gospody. I jeszcze wiele razy... Przy każdym spotkaniu to samo spojrzenie utkwione w jego oczach, ten sam kołyszący się ruch bioder, tak samo falujące piersi. Robert nie był mężczyzną, którego krępowałaby wierność. Pień przybrany w spódniczkę zawróciłby go z drogi. Ale ta dziewka oddana Mahaut, pomocna jej we wszystkich sprawkach, zawsze budziła w nim rozsądek.

- Moja ślicznotko, na pewno jesteście setną łajdaczką, ale może również myślicie roztropnie. Moja stryjna sądzi, że wygra swą sprawę, ale wy patrząc trzeźwiej już sobie powiedzieliście, że przegra. Niewątpliwie myślicie, że pomyślne wiatry przestały dąć w stronę Conflans i nastał czas, by zjednać sobie tego Dostojnego Pana Roberta, którego się tak obmawia, tak bardzo mu szkodzi, a ręka jego może okazać się ciężka w dniu pomsty. Nieprawdaż?

Swoim zwyczajem chodził tam i z powrotem po komnacie, krótka szata ściśle oblegała mu brzuch, potężne mięśnie na udach napinały pludry. Beatrycze spod rzęs wciąż mu się przyglądała, od rudej czupryny po trzewiki.

“Jakiż musi być ciężki” - myślała.

- Ale widzicie, że moich łask nie zdobywa się uśmiechem - mówił dalej Robert. - Chyba że wam bardzo potrzebne pieniądze i macie jakiś sekret do sprzedania? Wynagradzam tych, co mi służą, ale jestem bezlitosny, gdy chcą mnie okpić.

- Nic nie mam do sprzedania wam, Dostojny Panie.

- Tedy, panno Beatrycze, dla waszej wiadomości i waszego dobra, zapamiętajcie, że lepiej dla was wynieść się z mego pałacu, jakikolwiek był powód waszego doń przybycia. Kuchnie moje są pilnie strzeżone, próbują moich potraw i wina, zanim go mnie leją.

Beatrycze koniuszkiem języka oblizała wargę, jakby smakowała wyborny likwor.

“Boi się, że go otruję” - powiedziała sobie.

Och! jak się bawiła, a zarazem bała: A tymczasem Mahaut myśli, że ona wywodzi w pole Divion! Och! co za cudowna chwila! Beatrycze miała wrażenie, że trzyma w dłoni kilka sznurów niewidocznych, a śmiertelnych. Należało jeszcze dobrze je powiązać.

Odrzuciła kaptur, rozwiązała sznur przy kołnierzu i zdjęła pelerynę. Ciemne, gęste włosy były splecione w warkocze wokół uszu. Mieniąca się suknia z bardzo wyciętym dekoltem odsłaniała częściowo obfite piersi. Robert lubił rozkwitłe kobiety i nie mógł powstrzymać się od myśli, że od ostatniego spotkania Beatrycze zyskała na urodzie.

Beatrycze rozpostarła pelerynę na posadzce w taki sposób, aby ułożyła się w półkole. Robert popatrzył na nią zdziwiony.

- Co też tu robicie?

Nie odpowiedziała, wyjęła z jałmużniczki trzy czarne pióra i skrzyżowawszy je tak, by utworzyły

gwiazdkę, położyła u góry peleryny, po czym jęła się kręcić dokoła, wskazującym palcem opisując koło i szepcząc niezrozumiałe słowa.

- Ależ co robicie? - powtórzył Robert.

- Rzucam na was urok... Dostojny Panie - spokojnie odparła Beatrycze, jakby chodziło o rzecz w świecie najzwyklejszą lub co najmniej najbardziej dla niej powszednią.

Robert parsknął śmiechem. Beatrycze spojrzała na niego i ujęła go za rękę, jakby chcąc wprowadzić w obręb koła. Robert cofnął rękę.

- Czy boicie się, Dostojny Panie? - z uśmiechem spytała Beatrycze.

Oto jaka jest moc kobiet! Jakiż możny pan śmiałby powiedzieć hrabiemu Robertowi d'Artois, że ten się boi, nie otrzymując potężną pięścią w twarz lub dwudziestofuntowym mieczem poprzez czaszkę? A oto wasalka, pokojowa, wałęsa się wokół jego pałacu, każe, by ją zaprowadzono aż do niego, zajmuje mu czas opowiadając bzdury... “Mahaut straciła ząb... Nie mam sekretów do sprzedania wam”, rozpościera płaszcz na flizach i oświadcza mu bezczelnie w twarz, że on się boi!

- Zdaje się, że zawsze baliście się do mnie zbliżyć - ciągnęła dalej Beatrycze. - W dniu, gdy zobaczyłam was po raz pierwszy, już bardzo dawno, w pałacu Pani Mahaut... Kiedy przybyliście oznajmić, że córki jej będą sądzone... może już nie pamiętacie... odwróciliście się ode mnie. I odtąd wiele razy... Nie, Dostojny Panie, nie każcie mi wierzyć, że się lękacie.

Zadzwonić po Lormeta, kazać mu wyrzucić tę błaźnicę, czyż nie to doradzał Robertowi rozsądek, i nie tracić więcej czasu.

- Czego szukasz z tą twoją opończą, kołem i trzema piórkami? - zapytał. - Chcesz wywołać Diabła?

- Ależ tak, Dostojny Panie... - rzekła Beatrycze.

Wzruszył ramionami na te figle i dla zabawy wstąpił w koło.

- Oto się stało, Dostojny Panie. Właśnie tego chciałam. Bo wy jesteście Diabłem...

Jakiż mężczyzna oprze się takiemu komplementowi? Tym razem Robert roześmiał się szczerym, zadowolonym, gardłowym śmiechem. Ujął podbródek Beatrycze między kciuk a palec wskazujący.

- Czy wiesz, że mógłbym kazać cię spalić jako czarownicę?

- Och! Dostojny Panie...

Stała tuż przy nim, uniosła głowę ku szerokim szczękom z kłującym czerwonym zarostem, czuła jego zapach zgonionego dzika. Była przejęta niebezpieczeństwem, zdradą, pożądaniem i satanizmem.

Rozpustnica, wierutna rozpustnica, jakie Robert lubił. “Co mi to szkodzi?” - pomyślał.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

“To jest bratanek Pani Mahaut, jej bratanek, któremu życzy tyle złego!” - myślała Beatrycze tracąc oddech pod jego ustami.

VII - Dom Poczciwuszki

Biskup Thierry d'Hirson za życia miał w Paryżu na ulicy Mauconseil siedzibę przyległą do pałacu hrabiny d'Artois, rezydencję tę powiększył dokupiwszy dom sąsiada zwanego Julianem Poczciwuszką. Dom ów otrzymała w spadku Beatrycze i zaproponowała go Robertowi d'Artois jako miejsce ich schadzek.

Zapowiedź baraszkowania z dwórką Mahaut, tuż pod bokiem Mahaut, w domu nabytym za denary Mahaut, a na dobitkę zwanym nadal domem Poczciwuszki, to wszystko aż nadto pasowało do wrodzonej Robertowi skłonności robienia kawałów. Los dostarcza niekiedy takich okazji...

Jednakże początkowo Robert korzystał z nich niesłychanie ostrożnie. Choć sam na tejże ulicy posiadał rezydencję, gdzie stale nie mieszkał, ale którą od czasu do czasu odwiedzał, wolał chadzać do domu Poczciwuszki dopiero o zmroku. W dzielnicach nad Sekwaną, o wąskich uliczkach, zatłoczonych tłumem gęstym a powolnym, taki pan jak Robert d'Artois, o postawie tak wyróżniającej się i eskortowany przez giermków, nie mógłby przejść nie zauważony. Przeto Robert oczekiwał zmierzchu. Zawsze rozkazywał, aby mu towarzyszyli Gillet de Nelle i trzech pachołków wybranych spośród najdyskretniejszych, a zwłaszcza najsilniejszych: Gillet był mózgiem tej straży, zaś trzech pachołków o pięściach siepaczy, bez liberii, jakby zwykłe gapy, obstawiało wejścia domu Poczciwuszki.

W czasie pierwszych schadzek Robert odmawiał wypicia korzennego wina, które mu podawała Beatrycze. “Pannica może ma polecenie zadać mi truciznę” - mawiał sobie. Niechętnie zrzucał wierzchnią szatę podbitą cienką żelazną kolczugą i przez cały czas miłosnych zapasów spozierał na skrzynię, na której kładł sztylet.

Beatrycze rozkoszowała się obserwując w nim taką bojaźliwość. Oto ona, skromna mieszczka z Artois, przeszło trzydziestoletnia panna, która nie wydała się za mąż i tarzała się po prześcieradłach wszelakich gatunków, mogła wzbudzać lęk w tak olbrzymim i potężnym parze Francji.

Jeszcze bardziej niż dla Roberta, przygoda ta dla Beatrycze była zaprawiona smaczkiem perwersji. W domu jej stryja biskupa! I to ze śmiertelnym wrogiem Pani Mahaut, której usprawiedliwiając swą nieobecność Beatrycze nieustannie opowiadała coraz to nowe bajdy... Divion wymiguje się... Od razu nie ustąpi i byłoby szaleństwem wypłacić jej pokaźną sumę, za którą mogłaby sprzedać tylko grube kłamstwa... Nie, należy często ją widywać i wyciągać źdźiebełko po źdźiebełku matactw niecnego Dostojnego Pana Roberta, zmuszać do wyjawienia nazwisk usłużnych mu świadków, a następnie sprawdzać jej słowa; pójść do pana Juvigny w Luwrze albo Micheleta Gueroult, pachołka notariusza Tesson. Ach! to wszystko nie obejdzie się bez trudu ani czasu, ani pieniędzy... “Należałoby, Dostojna Pani; dać sztukę materii temu skrybie dla żony; język mu się rozwiąże... Czy pozwolicie mi pobrać kilka liwrów?”

Co za rozkosz patrzeć w oczy Dostojnej Pani Mahaut, uśmiechać się do niej i myśleć: “Przed niespełna dwunastu godzinami oddałam się całkiem nago waszemu panu bratankowi”.

Mahaut widząc, że dwórka tak się dla niej dwoi i troi, mniej ją ofukiwała, znów okazywała jej sentyment i nie skąpiła łask. Była to dla Beatrycze sposobność do podwójnej rozkoszy: okpiwać Mahaut, a jednocześnie zabiegać o zdobycie Roberta. Bo nie wolno myśleć, że się zdobyło mężczyznę, bo się z nim spędziło godzinę w tym samym łóżku, podobnie jak nie obłaskawiło się dzikiej bestii, ponieważ się ją kupiło i ogląda przez kraty w klatce.

Posiadanie nie oznacza jeszcze władzy.

Naprawdę jest się panem, gdy się tak obłaskawiło zwierzę, że się kładzie na rozkaz, chowa pazury, a spojrzenie starcza mu za kratę.

Nieufność Roberta stanowiła dla Beatrycze jakby pazury do opiłowania. Przez cały czas, gdy uprawiała zawód łowczyni, nigdy nie miała sposobności do usidlenia tak grubego zwierza i uchodzącego za tak dzikiego, aż to się stało przysłowiowe.

W dniu, gdy Robert zgodził się wziąć z rąk Beatrycze kubek wina z Langwedocji, odniosła pierwsze zwycięstwo. "Mogłabym więc wsypać do wina truciznę i on by wypił..."

Kiedy zaś któregoś dnia zasnął, podobny do ludojada z bajek, wtedy doznała uczucia triumfu. Na szyi olbrzyma widniała wyraźna granica; tam gdzie się kończyła szata czy zbroja, urywała się nagle ceglasta barwa twarzy wysmaganej wiatrem, a niżej pojawiało się białe, piegowate ciało porośnięte na ramionach rudym włosem jak świńska skóra. Ta krecha wydawała się Beatrycze znakiem wytyczonym dla ostrza topora lub sztyletu.

Miedziane włosy wokół policzków utrefione w loki zsunęły się i ukazało się małe ucho delikatnie podwinięte, dziecięce, rozczulające. "Można by - myślała Beatrycze - w to uszko wsunąć szpilę aż po mózg..."

Po kilku minutach Robert drgnął i obudził się zaniepokojony.

- No cóż? Dostojny Panie... nie zabiłam ciebie - rzekła ze śmiechem.

Śmiejąc się odsłaniała ciemnoczerwone dziąsło.

Jakby w podzięce rzucił się ponownie w miłosne igraszki. Należało jej przyznać, że dzielnie mu towarzyszyła; pomysłowa, przewrotna, nie szczędząca siebie, nigdy się nie wymigiwała i głośno wykrzykiwała ze szczęścia... Mimo że Robert uganiał się za spódniczkami wszystkich rodzajów - z jedwabiu, lnu czy konopi, i uważał się za wielkiego mistrza w rozpuście, musiał przyznać, że znalazł w niej partnerkę bardziej wytrawną.

- Jeżeli to na sabatach, moja milusia - mówił - nauczyłaś się takich umizgów, należałoby tam posyłać dużo więcej dziewcząteк!

Beatrycze bowiem często mu opowiadała o sabacie i Diable. Ta dziewczyna powolna i na pozór ospała, o kołyszącym się chodzie, przewlekająca wyrazy, dopiero w łóżku ujawniała swój prawdziwy temperament. Podobnie jej słowa płynęły szybko i żwawo, gdy była mowa o złych duchach i czarach.

- Dlaczego więc nie wyszłaś nigdy za mąż? - pytał ją Robert. - Na pewno nie brakło ci kandydatów na małżonków, zwłaszcza jeżeli im dawałaś przedsmak małżeństwa...

- Ponieważ ślub zawiera się w kościele, a kościół dla mnie jest wstrętny.

Klęcząc na łóżku, z rękoma na kolanach i cieniem we wklęsłości brzuszka, Beatrycze uniósłszy rzęsy mówiła:

- Rozumiesz; Dostojny Panie, księża i papieże rzymscy i awiniońscy nie uczą wcale prawdy. Nie ma jedynego Boga; jest ich dwóch: jeden, ten od światła, drugi - od ciemności, Książę Dobra i Książę Zła. Przed stworzeniem świata lud ciemności powstał przeciw ludowi światła; a wasale Zła, żeby móc naprawdę istnieć - bo Zło jest nicością i śmiercią - pochłonęli część zasad Dobra. A posiadając w sobie obie siły, i Dobra, i Zła, mogli stworzyć świat i spłodzić ludzi, w których zmieszały się i walczą ze sobą obie siły, ale Zło kieruje, ponieważ jest właściwością jestestw najdawniejszych. I wyraźnie widać obie zasady, ponieważ istnieją mężczyźni i kobiety, stworzeni jak ty i ja, na różny sposób - z pożądliwym uśmieszkiem ciągnęła. - I właśnie Zło łechce nasze łona i skłania je do złączenia się... Ludzie zaś, w których natura Zła jest silniejsza od natury Dobra, powinni czcić Szatana i zawrzeć ż nim pakt, żeby żyć szczęśliwie i żeby im się powodziło; nie powinni działać dla władcy Dobra, bo jest im wrogi.

Owa dziwaczna filozofia, która mocno zalatywała siarką, ze strzępami źle przetrawionego manicheizmu, skażonych elementów doktryny katarów przeinaczonej i źle pojętej, posiadała więcej adeptów, niż sądzili ludzie u steru władzy. Beatrycze nie była odosobnionym wypadkiem; lecz przed Robertem, którego myśl nigdy nie musnęła tego rodzaju zagadnień, otwierała wrota do tajemniczego świata; zwłaszcza był on pełen podziwu słysząc podobne wywody z ust kobiety.

- Więcej masz oleju w głowie, niż myślałem. Kto cię nauczył tego wszystkiego?

- Dawni templariusze - odparła.

- Ach! Templariusze! Oni na pewno znali się na różnych rzeczach...

- Zniszczyliście ich.

- Nie ja, nie ja! - wybuchnął Robert. - Filip Piękny i Enguerrand, przyjaciele Mahaut... Ale Karol de Valois i ja sam sprzeciwialiśmy się ich zagładzie.

- Nadal są potężni, przez magię; wszystkie nieszczęścia, jakie spadały odtąd na królestwo, wynikają z paktu, który zawarli z Szatanem, bo papież ich potępił.

- Nieszczęścia królestwa, nieszczęścia królestwa... - mówił Robert niezbyt przekonany. - Czy niektóre z nich nie są raczej dziełem mojej stryjny niż Diabła? Ona to wyprawiła na tamten świat mego kuzyna Kłótliwego, a po nim jego syna. Czy ty przypadkiem nie maczałaś w tym paluszków?

Często powracał do tej sprawy, ale Beatrycze wymigiwała się za każdym razem. Albo uśmiechała się niewyraźnie, jakby nie dosłyszała, albo odpowiadała wymijająco:

- Mahaut nie wie... ona nie wie, że zawarłam pakt z Diabłem... Na pewno by mnie wypędziła...

W śpiesznym potoku słów wracała do swego ulubionego tematu: czarnej mszy - przeciwieństwa i zaprzeczenia mszy chrześcijańskiej; należy ją odprawiać o północy w podziemiach, najlepiej w pobliżu cmentarzy. Głowa bóstwa ma dwa oblicza; podaje się czarne hostie, które się konsekruje trzykrotnie wymawiając imię Belzebuba. Najlepiej, jeśli mszę odprawia ksiądz-zaprzaniec albo wypędzony z klasztoru mnich.

- Bóg na wysokościach zawiódł, przyobiecał szczęśliwość, a zsyła tylko nieszczęścia na podległe mu istoty; trzeba więc słuchać boga z dołu. Posłuchaj! Dostojny Panie, jeśli chcesz, żeby dokumenty w twoim procesie wzmocniła siła diabelska, przewierć rozpalonym żelazem róg karty, żeby pozostała dziurka z osmalonym brzegiem. Albo też splam pergamin atramentem, kleksikiem w kształcie krzyża z górnym ramieniem zakończonym niby ręka... Wiem, jak się to robi...

Lecz Robert również w pełni jej się nie zwierzał, mimo że Beatrycze pierwsza musiała wiedzieć, iż dokumenty, których posiadaniem się chełpił są fałszywe; nigdy nie pozwalał sobie do tego się przyznać.

- Jeślibyś chciał całkowicie zawładnąć swym wrogiem i zmusić go, żeby podstępnie wpłynął na własną zgubę - zwierzyła się któregoś dnia - musisz natrzeć go pod pachami i za uszami, a także podeszwy nóg balsamem sporządzonym z cząstek hostii i proszku z kości nie chrzczonego niemowlęcia, zmieszanych z męskim nasieniem wytrysłym na grzbiet kobiety podczas czarnej mszy oraz krwią z miesiączki tejże kobiety...

- Byłbym pewniejszy - odparł Robert - gdyby mojej zacnej nieprzyjaciółce dosypano do jadła trutkę na szczury i śmierdziele...

Beatrycze udała, że nie słyszy, ale pomysł gorącym dreszczem przebiegł po jej ciele. Nie, nie trzeba od razu odpowiadać Robertowi... Nie powinien wiedzieć, że ona już się zgadza... Czyż istnieje lepszy pakt niż zbrodnia, łącząca na zawsze dwoje kochanków?

Kochała go. Nie zdawała sobie sprawy, że pragnąc go usidlić, sama popadła w sidła. Żyła tylko chwilą, gdy go spotka, a potem wspomnieniem i znów oczekiwaniem. Czekała na ów ciężar dwustu funtów i ten zapach dziczyzny, który Robert roztaczał, zwłaszcza podczas miłosnych zapasów, na ten koci pomruk, jaki dobywała z jego gardła.

Więcej kobiet, niż na pozór się wydaje, ma ciągoty do potworów. Coś o tym wiedziały dworskie karły, Jasio Trefniś oraz inne, nie mogąc nastarczyć własnym konkietom! Nawet przypadkowa ułomność wzbudza ciekawość, a w wyniku i pożądanie. Na przykład jednooki rycerz po prostu wzbudza chętkę, by unieść czarny kwadrat osłaniający część twarzy. Robert na swój sposób miał coś z monstrum.

Jesienny deszcz spływał po dachach. Palce Beatrycze bębniły w takt wydymania się olbrzymiego bandziocha.

- Przede wszystkim, Dostojny Panie - mawiała - nie potrzebujesz niczego, aby uzyskać, co chcesz, nie

trzeba cię niczego uczyć... Jesteś Diabłem we własnej osobie. Diabeł nie wie, że jest Diabłem...

Nasycony, zadarłszy głowę, marzył słuchając.

Diabeł ma oczy palące jak żar, palce zakończone olbrzymimi szponami, aby szarpać ciała, język rozdwojony, a z pyska dobywa się dech jak z pieca. Ale Diabeł może mieć także ciężar i zapach Roberta. Była zakochana w Szatanie. Była samiczką Diabła i nikt jej z nim nie rozdzieli; przenigdy...

Gdy pewnego wieczoru Robert d'Artois powrócił do swego pałacu z domu Poczciwuszki, żona podała mu słynną ślubną intercyzę, nareszcie spisaną, brakowało przy niej tylko pieczęci.

Obejrzawszy ją Robert podszedł do kominka i niedbałym ruchem wsunął do żaru pogrzebacz; później, gdy koniec się zaczerwienił, przedziurawił róg jednej z kart, która jęła skwierczeć.

- Cóż robicie, przyjacielu - spytała pani de Beaumont.

- Chcę tylko sprawdzić, czy pergamin jest dobry - odparł Robert.

Joanna de Beaumont chwilę patrzyła na męża, później rzekła łagodnie, niemal po macierzyńsku:

- Powinniście, Robercie, kazać sobie przyciąć paznokcie... Co to za moda nosić je takie długie?

VIII - Powrót do Maubuisson

Nagle Robert spostrzegł, że tak pięknie ustawione przezeń katapulty mogą runąć w chwili strzału, bo zapomniał o pierwszym odrzucie.

Zapewnił króla, swego szwagra, i uroczyście przysiągł na Pismo Święte, że istnieją jego tytuły do spadku; kazał sporządzić pisma jak najbardziej podobne do zaginionych dokumentów, sprowokował wielu świadków, by podparli moc prawną tychże pism. Zdawało się, że zgromadził wszystkie dane, aby jego dowody przyjęto bez dyskusji.

Ale istniała jedna osoba, która wiedziała bez najmniejszych wątpliwości, że dokumenty są fałszywe: Mahaut d'Artois; ona bowiem spaliła prawdziwe akta, najpierw wydobyte z rejestrów paryskich przed dwudziestu laty, dzięki współdziałaniu kogoś z dworu Filipa Pięknego, a następnie, ostatnio, duplikaty odszukane w skrzyni Thierry'ego d'Hirsona.

Choć fałszerstwo może ujść za autentyk w oczach ludzi przychylnie usposobionych, którzy nigdy nie widzieli oryginałów, inaczej rzecz ma się z tym, kto wie o fałszerstwie.

Oczywiście Mahaut nie oświadczy: “Te dokumenty zostały podrobione, bo prawdziwe wrzuciłam w ogień”, ale wiedząc, że zostały sfałszowane, wszystko puści w ruch, by tego dowieść; w tym względzie można jej zaufać! Aresztowanie służek Divion stanowiło wystarczający alarm. Za wiele osób uczestniczyło w sporządzaniu akt, aby nie znalazł się ktoś zdolny zdradzić ze strachu lub chęci zysku.

Jeśliby zakradł się błąd, jak owo nieszczęsne 1322” zamiast “1302” w liście przeczytanym w Reuilly, Mahaut nie omieszka go wykryć. Pieczęcie mogą wydawać się bez zarzutu, lecz Mahaut zażąda skrupulatnego ich zbadania przez innych rzeczoznawców. Następnie zaś zmarły hrabia Robert zwykł, jak wszyscy książęta, wzmiankować w urzędowych aktach nazwisko skryby, który je pisał. Oczywiście, w sfałszowanych pismach wystrzegano się takiej dokładności. Podobne przeoczenie mogłoby ujść na jednym dokumencie, lecz na czterech, które się przedłoży? Zaprawdę, piękna sposobność dla Mahaut udostępnić rejestry Artois i rzec: “Porównajcie i szukajcie wśród listów z pieczęcią mego ojca ręki kleryka, która by przypominała ten charakter pisma!”

Przeto Robert doszedł do wniosku, że akta posiadające w jego wyobraźni autentyczną wartość można przedstawić tylko wtedy, kiedy osoba, która usunęła oryginały, sama zostanie usunięta. Innymi słowy, wygra proces, jeśli Mahaut umrze. Nie było to już życzenie, ale konieczność.

- Gdyby Mahaut umarła - z zamyśloną miną rzekł pewnego dnia do Beatrycze, podłożywszy ręce pod głowę i wpatrzony w sufit w domu Poczciwuszki - tak, gdyby się jej zmarło, bardzo łatwo mógłbym cię wprowadzić do mego pałacu jako damę dworu mojej małżonki... Ponieważ odziedziczyłbym Artois, stałoby się zrozumiałe, że przejąłbym część ludzi z dworu stryjny. W ten sposób mógłbym cię zawsze mieć przy sobie...

Przynęta była spora, ale rzucona rybie z otwartym pyszczkiem.

Beatrycze nie żywiła słodszej nadziei. Widziała się mieszkanką pałacu Roberta, snującą tam swe intrygi, wpierw jako potajemna kochanka, a później jawna, bo czas sankcjonuje stan rzeczy... A kto wie? Pani de Beaumont, jak każda ludzka istota, nie jest wieczna. Wprawdzie jest o siedem lat młodsza od Beatrycze i cieszy się jakoby doskonałym zdrowiem, ale co za triumf właśnie dla starszej kobiety zastąpić młodszą? A czy skutecznie rzucony urok nie mógłby od dziś za lat kilka uczynić Roberta wdowcem? Miłość pozbawia rozum wędzideł, wyobraźnię wszelkich granic. Beatrycze chwilami marzyła, że jest hrabiną d'Artois, w płaszczu małżonki para...

A jeśliby król umarł, bo i to mogłoby się zdarzyć, a Robert został regentem? Po wsze czasy istnieją kobiety skromnie urodzone, które wznoszą się aż w pierwsze szeregi, dzięki pożądaniu, jakie wzbudzają w księciu, a powaby ciała i spryt w głowie zwykłą koleją rzeczy wynoszą je ponad inne. Opowieści minstrelów głoszą, że cesarskie damy w Rzymie i Konstantynopolu nie wszystkie urodziły się na stopniach tronu. Często się zdarza w społeczności możnych tego świata, że kobieta szybciej się wznosi...

Beatrycze, aby dać się obłaskawić, poświęciła akurat tyle czasu, ile trzeba, aby umocnić swój arkan na tym, kto chciał być schwytany. Trzeba, żeby Robert chcąc ją przekonać dostatecznie się zaangażował, aby dziesiątki razy zapewniał, że wkroczy ona do pałacu hrabiów d'Artois i jakie otrzyma tytuły i przywileje, jakie ziemie zostaną jej nadane... Tak, wtedy może wskaże maga, który dokona zgubnego dzieła na Mahaut dzięki właściwie sporządzonej figurce z wosku, wbitym szpilom i wymówionym zaklęciom. Ale Beatrycze udawała, że jeszcze ją niepokoją wahania i skrupuły; czyż Mahaut nie była dobrodziejką jej i całej rodziny d'Hirsonów?

Złote agrafy, zapinki usiane cennymi kamieniami wczepiały się wokół szyi Beatrycze; Robert nabywał dwornych obyczajów. Gładząc dłonią świeżo otrzymany klejnot Beatrycze mówiła, że najpewniejszy i najszybszy sposób - jeśli się chce, aby urok był skuteczny - to wziąć dziecko nie mające pięciu lat, kazać mu połknąć białą hostię, później - odrąbać dziecku głowę, krwią skropić czarną hostię, tę zaś podstępnie podsunąć do zjedzenia zauroczonemu. Czyż tak trudno znaleźć dziecko niespełna pięcioletnie? Ileż rodzin obciążonych bachorami zgodziłoby się jednego z nich sprzedać!

Robert się krzywił; za wiele zachodu, a wynik wielce niepewny. Wolałby zwykłą, skuteczną truciznę, którą się poda, a ona dokona swego dzieła.

Wreszcie Beatrycze zdawała się jakby ulegać dzięki przywiązaniu do tego diabła, którego wielbiła, wskutek niecierpliwości, by zamieszkać przy nim w pałacu Artois, w nadziei, że będzie go widywała kilka razy dziennie. Wszystko była zdolna zrobić dla niego... Już od tygodnia zaopatrzyła się w taki zapas białego arszeniku, że mogłaby wytruć całą dzielnicę, podczas gdy Robert sądził, że dopiął swego każąc jej przyjąć pięćdziesiąt liwrów na zakup trucizny.

Teraz należało czekać na dogodną okazję. Beatrycze wyjaśniła Robertowi, że lekarze otaczają Mahaut przybiegając w razie najbłahszej dolegliwości Dostojnej Pani; kuchnie są pod nadzorem, podczaszowie czujni... Przedsięwzięcie wcale niełatwe.

Po czym Robert nagle zmienił zdanie. Odbył długą rozmowę z królem. Filip VI zobaczywszy sprawozdanie tak dobrze opracowane pod kierunkiem oskarżyciela i bardziej niż kiedykolwiek

przekonany o słusznych prawach szwagra, chciał jeno mu się przysłużyć. Pragnąc uniknąć procesu o rozstrzygnięciu aż nazbyt pewnym, ale którego rozgłos na pewno byłby przykry dla dworu i całego królestwa, postanowił wezwać Mahaut i przekonać ją, by zrzekła się Artois.

- Nigdy się nie zgodzi - rzekła Beatrycze - wiesz o tym równie dobrze jak i ja, Dostojny Panie.

- Spróbujmy jednak. Gdyby król zdołał przemówić jej do rozsądku, czyż nie byłoby to najlepsze wyjście?

- Nie... najlepsze wyjście to trucizna.

Możliwość polubownego załatwienia sprawy wcale nie dogadzała Beatrycze; zamieszkanie w domu Roberta uległoby zwłoce. Beatrycze musiałaby pozostać dwórką hrabiny, aż ta zgaśnie Bóg wie kiedy! Ona teraz pragnęła przyspieszyć tok sprawy, przeszkody, trudności, o których sama mówiła, już jej nie przerażały. Co dzień miała kilka razy okazję, choćby wówczas, gdy podawała hrabinie Mahaut jej ziółka czy driakwie...

- Ale skoro król ją zaprasza za trzy dni do Maubuisson? - nastawał Robert.

Kochankowie wspólnie ustalili: albo Mahaut przyjmie propozycję króla i odstąpi Artois, wówczas pozostawi się ją przy życiu, albo odmówi, a wówczas w tym samym dniu Beatrycze poda jej truciznę. Jakąż lepszą można wymyślić okazję? Mahaut chora po uczcie u króla! Któż się waży podejrzewać monarchę, że kazał ją zgładzić, albo nawet podejrzewając ośmieli się to wypowiedzieć?

Filip VI zaproponował Robertowi, aby i on uczestniczył w pojednawczej rozmowie; lecz Robert odmówił.

- Miłościwy Panie Bracie, wasze słowa prędzej poskutkują, jeśli mnie tam nie będzie; Mahaut nienawidzi mnie wściekle, a mój widok raczej zatnie ją w uporze, niż skłoni do uległości.

Poważnie tak myślał, ale poza tym chciał swą nieobecnością uchylić się od ewentualnych oskarżeń.

Po trzech dniach, 23 października, hrabina Mahaut, trzęsąc się w wielkiej wyzłoconej lektyce zdobnej w herby Artois, sunęła drogą do Pontoise. Towarzyszyła jej królowa Joanna, wdowa po Filipie Długim, jedyne żyjące jej dziecko. Beatrycze siedziała na stercie dywaników naprzeciw swej pani.

- Co sądzicie, Dostojna Pani... co król wam chce przedłożyć? - spytała Beatrycze. - Jeśli pojednanie... poczekajcie, aż wam doradzę... zachęcam was do odmowy. Wkrótce będę miała wszystkie murowane dowody przeciw Dostojnemu Panu Robertowi. Tym razem Divion jest gotowa wyznać to, czym go pognębimy.

- Dlaczego nigdy nie przyprowadzisz tej Divion, tak się z nią spoufaliłaś, a ja nigdy jej nie widzę? - rzekła Mahaut.

- To niemożliwe, Dostojna Pani... ona boi się o własne życie. Gdyby Dostojny Pan Robert dowiedział się, nie doczekałaby następnej jutrzni. Nawet mnie odwiedza tylko nocą w domu Poczciwuszki... i zawsze pod eskortą kilku pachołków, którzy jej strzegą. Ale odmawiajcie stanowczo, Dostojna Pani, odmawiajcie!

Joanna Wdowa w białej sukni patrzyła na przesuwający się krajobraz i milczała. Dopiero gdy nad rudą gęstwiną lasu ukazały się w oddali spiczaste dachy Maubuisson, otworzyła usta, by powiedzieć:

- Pamiętacie, matko, przed piętnastu laty...

Przed piętnastu laty w zgrzebnej sukni z ogoloną głową głosiła swą niewinność na czarnym wózku wiozącym ją do Dourdan. Inny czarny wózek uwoził jej siostrę Blankę i kuzynkę Małgorzatę Burgundzką do zamku Gaillard. Piętnaście lat!

Została ułaskawiona, odzyskała uczucie małżonka. Małgorzata umarła. Zmarł Ludwik X... Nigdy Joanna nie pytała Mahaut, co spowodowało śmierć Ludwika Kłótliwego i małego Jana I... Filip Długi został królem, panował sześć lat i on z kolei umarł. Zdawało się Joannie, że przeżyła trzy różne życia; pierwsze zakończyło się w dalekiej przeszłości wraz ze straszliwym dniem w Maubuisson; w drugim była koronowana w Reims na królową Francji u boku Filipa, a następnie, w trzecim życiu, była tą oto wdową, otoczoną względami, lecz odsuniętą od władzy, a w tej chwili siedzi w wielkiej lektyce. Trzy życia i dziwne wrażenie, że była trzema różnymi osobami bardzo od siebie odmiennymi. Własną swą ciągłość odczuwała jedynie poprzez obecność matki, okazałej, władczej, zawsze nad nią górującej, do której od dzieciństwa bała się zwrócić słowem.

Machaut również wspominała...

- I to zawsze z powodu tego podłego Roberta - rzekła. - To on wszystko ukartował z tą suką Izabelą; mówią mi, że sprawy jej teraz nie układają się dobrze, a i sprawy Mortimera, którego jest kochanicą. Pewnego dnia wszyscy będą pokarani!

Każda z nich szła tokiem własnych myśli.

- Teraz mam włosy... ale i zmarszczki - szepnęła królowa wdowa.

-... Będziesz miała Artois, córeczko - rzekła Mahaut kładąc rękę na jej kolanie.

Beatrycze spoglądała na wieś i uśmiechała się w przestrzeń.

Filip VI powitał Mahaut dwornie, lecz nieco wyniośle i przemawiał, jak przystoi królowi. Pragnął pokoju między swymi wielkimi baronami; parowie, podpora korony, nie mogą służyć przykładem waśni ani narażać się na jawną utratę czci.

- Nie zamierzam osądzać tego, co się dokonało za panowania poprzednich królów - rzekł Filip, jakby rzucał zasłonę pobłażania na dawną działalność Mahaut. - Pragnę stanowić o tym, co dziś istnieje. Moi komisarze zakończyli swe prace; nie mogę zatajać przed wami, kuzynko, że zeznania wcale nie są wam przychylne. Robert przedłoży dokumenty...

- Świadkowie przekupieni i robota fałszerzy... - warknęła Mahaut.

Posiłek podano w wielkiej sali, w tejże, gdzie ongiś Filip Piękny sądził swe trzy synowe... “Wszyscy muszą o tym myśleć” - mówiła sobie królowa Joanna wdowa i straciła apetyt. Tymczasem, poza jej matką i nią samą, nikt już nie pamiętał o tym dawnym wydarzeniu, prawie wszyscy jego świadkowie już odeszli. Może za chwilę, po zakończeniu obiadu, jeden stary giermek powie do drugiego:

- Czy przypominacie sobie, panie, byliśmy tutaj, gdy Pani Joanna wchodziła na wózek... i oto powraca jako królowa wdowa.

I ledwie wywołane wspomnienie wnet się zatrze.

Błąd wspólny wszystkim ludziom, gdy sądzą, że bliźni przypisują ich osobom takąż wagę co i oni; obcy - skoro nie mają specjalnego interesu, aby pamiętać - szybko zapominają, co się nam przydarzyło; a jeśli nawet pamiętają, wspomnienie ich nie posiada takiej wagi, jak myślimy.

Może w innym miejscu Mahaut okazałaby się bardziej przystępna dla propozycji Filipa VI. Monarcha chciał być arbitrem i szukał ugody. Lecz Mahaut - ponieważ była w Maubuisson i odżyły tu wszystkie jej nienawiści - nie czuła się skłonna do ustępstw. Jedyną jej myślą było: doprowadzić do skazania Roberta jako fałszerza, dowiedzie, że jest krzywoprzysięzcą.

Zmuszona liczyć się ze słowami, w zamian jadła łapczywie, pochłaniając wszystko, co podawano jej na półmiskach, i wychylała puchar za pucharem. Gniew i wino zaczerwieniły jej twarz. Czyż król nie doradzał po prostu, aby oddała swe hrabstwo Robertowi. ten zaś zobowiązałby się wypłacać jej rentę w wysokości czterdziestu tysięcy liwrów rocznie?

- Podejmuję się - mówił Filip - uzyskać na to zgodę waszego bratanka.

Mahaut myślała: “Jeśli Robert do tego doszedł, że wysuwa podobne propozycje za pośrednictwem swego szwagra, oznacza to, że wcale nie jest pewny swych tytułów spadkowych i raczej woli płacić rentę w wysokości czterdziestu tysięcy liwrów rocznie, niż pokazywać swoje sfałszowane dokumenty!”

- Odmawiam, Miłościwy Panie Kuzynie - rzekła - tym sposobem się ogołocić, a jako że Artois do mnie należy, wasza sprawiedliwość mi je zachowa.

Filip spojrzał na nią spode łba; ową upartą odmowę może podyktował Mahaut zbytek pychy albo obawa, iż ustępując potwierdzi oskarżenia... Filip podsunął inne rozwiązanie: Mahaut dożywotnio zachowa swe tytuły i prawa, koronę para i przed królem w akcie ratyfikowanym przez parów ustanowi swego bratanka Roberta spadkobiercą Artois. Uczciwie rzecz biorąc nie ma ona żadnego powodu przeciwstawiać się takiej ugodzie; Bóg wcześnie zabrał jedynego jej syna; tu obecna córka ma królewskie zaopatrzenie, a wnuczki są zamężne, jedna w Burgundii, druga we Flandrii, trzecia we Vienne. Czego więcej Mahaut może sobie życzyć? Natomiast Artois wróci pewnego dnia do swego naturalnego dziedzica.

- Bo gdyby wasz brat, hrabia Filip, nie umarł przed waszym ojcem, czy możecie zaprzeczyć, moja

kuzynko, że wasz bratanek byłby dzisiaj władcą hrabstwa? Przeto honor was obojga jest ocalony, ja zaś sprawiedliwie rozsądzam dzielący was spór.

Mahaut zwarła szczęki i potrząsnęła głową na znak przeczenia.

Wówczas Filip VI nie pohamował rozdrażnienia i kazał przyśpieszyć podawanie do stołu. Ponieważ Mahaut tak sobie poczynała, ponieważ obrażała go odrzucając jego arbitraż - niech stawi się na proces... wedle jej woli!

- Nie zatrzymuję was dłużej, moja kuzynko - rzekł natychmiast po umyciu rąk - nie myślę, żeby pobyt na mym dworze był wam miły.

Była to niełaska wyraźnie okazana.

Przed udaniem się w drogę Mahaut poszła do kaplicy opactwa uronić kilka łez nad grobem swej córki Blanki. Ona również postanowiła w testamencie kazać się tutaj pochować.

- Ach! Maubuisson - rzekła - nigdy nie przynosiło nam szczęścia. Miejsce to tylko się nadaje, by tu spać snem wiecznym.

Przez całą drogę powrotną nie przestawała zionąć gniewem.

- Czy słyszeliście tego wielkiego gamonia, którego zły los dał nam za króla? Mam wyzbyć się Artois po prostu jedynie po to, żeby się jemu spodobać! Ustanowić moim spadkobiercą tego grubego śmierdziela Roberta! Ależ prędzej ręka mi uschnie, nim przyłożę pod tym pieczęć! Musiała długo istnieć między nimi wymiana łajdactw i wiele muszą sobie wzajem zawdzięczać... I powiedzieć, gdyby nie ja, gdybym tak akuratnie nie wymiotła dróg do tronu...

- Matko - szepnęła łagodnie Joanna wdowa.

Gdyby śmiała wyrazić swą myśl, gdyby nie bała się narazić na straszliwą odprawę, Joanna doradziłaby matce, aby przyjęła propozycję króla.

- Nigdy - powtarzała Mahaut - nigdy ode mnie tego nie uzyskają.

Bezwiednie podpisała własny wyrok śmierci, a wykonawca siedział przed nią w lektyce i patrzył na nią spod czarnych rzęs.

- Beatrycze - nagle rzekła Mahaut - pomóż mi się rozpiąć; brzuch mam wzdęty.

Wściekłość naruszyła jej trawienie. Trzeba było zatrzymać lektykę, aby Dostojna Pani ulżyła sobie na pierwszym polu.

- Dziś wieczorem, Dostojna Pani - rzekła Beatrycze - podam wam przecier z pigwy.

Gdy Mahaut nocą wróciła do Paryża, do pałacu na ulicy Mauconseil, serce jeszcze trochę jej dolegało, ale czuła się lepiej. Zjadła skromny posiłek i poszła spać.

IX - Zapłata za zbrodnie

Beatrycze poczekała, aż wszyscy słudzy zasną. Podeszła do łóżka Mahaut, uniosła gobelinową zasłonę zsuwaną na noc. Wisząca pod baldachimem nocna lampka rozlewała wątłą, błękitnawą poświatę. Beatrycze była w nocnej koszuli, a w ręku trzymała łyżkę.

- Dostojna Pani, zapomnieliście zjeść przecier z pigwy...

Mahaut sama już pokonana zmęczeniem, ale jeszcze wciąż rozdrażniona, po prostu odrzekła:

- Ach, tak... dobra z ciebie dziewczyna, żeś o tym pomyślała. - I połknęła zawartość łyżki.

Na dwie godziny przed świtem obudziła cały dwór potrząsając dzwonkiem i wołając w głos. Zobaczono, że wymiotuje nad misą, którą jej podsuwała Beatrycze.

Wnet wezwani lekarze, Tomasz Mesier i Wilhelm du Venant, kazali przedstawić sobie wczorajszy jadłospis i dokładnie wymienić, co hrabina jadła; bez trudu stwierdzili poważną niestrawność oraz uderzenie krwi do głowy spowodowane irytacją.

Posłano po balwierza Tomasza, a ten za zwykłą taksą piętnastu soldów puścił krew hrabinie, zaś pani Mesgniere, zielarka z Petit Pont, zrobiła lewatywę z ziół.

Beatrycze pod pozorem, że idzie po leczniczą pastę do mistrza Palin, kupca korzeni, wymknęła się, by w domu Poczciwuszki, o trzy progi od Mahaut spotkać Roberta.

- Sprawa załatwiona - rzekła.

- Zmarła? - wykrzyknął Robert.

- O nie... będzie długo cierpiała! - odparła Beatrycze z mściwym błyskiem w oczach. - Ale musimy zachować ostrożność, Dostojny Panie, i nie tak często teraz się widywać.

Mahaut umierała przez cały miesiąc.

Beatrycze wieczór po wieczorze, szczypta po szczypcie, wpędzała ją do grobu, i tym bezkarniej, że Mahaut tylko jej ufała i tylko z jej ręki przyjmowała lekarstwa.

Po wymiotach trwających trzy dni dostała kataru gardła i oskrzeli; połykała z niesłychanym bólem. Lekarze orzekli, że się przeziębiła podczas swej niestrawności. Potem, gdy tętno jęło jej słabnąć, pomyśleli, że za wiele puszczono jej krwi; następnie pryszcze i ropne krosty pokryły całe ciało.

Beatrycze uprzedzająca, tkliwa, czujna, zawsze pogodna i z uśmiechem tak potrzebnym dla każdego chorego, rozkoszowała się śledząc ohydne postępy swego dzieła. Prawie już nie widywała Roberta, ale codzienna troska o wyszukanie, w jakie pożywienie czy w jaki lek domieszać truciznę, dostarczała jej aż nadto przyjemności.

Gdy Mahaut zobaczyła, że włosy jej wypadają szarymi kępkami niby zeschłe siano, pojęła, że jest zgubiona.

- Otruli mnie - powiedziała tknięta trwogą swej dworce.

- Och! Dostojna Pani, moja Pani, nie mówcie takich słów. Przecie to u króla jedliście ostatni raz przed chorobą.

- Właśnie o tym i myślę - rzekła Mahaut.

Nadal popędliwa, porywczo beształa lekarzy wymyślając im od osłów. Nic nie wskazywało, że pragnie pociechy religijnej, i bardziej troszczyła się o sprawy swego hrabstwa niż o zbawienie duszy. Podyktowała list do córki: "Gdybym umarła, polecam wam natychmiast zgłosić się do króla i żądać przyjęcia hołdu z Artois, zanim Robert zdoła o cokolwiek się pokusić..."

Męki, jakie przeżywała, wcale nie skłaniały jej myśli ku cierpieniom, które ongiś zadawała bliźnim; aż do końca zachowała duszę samolubną i okrutną, nawet zbliżanie się śmierci nie natchnęło jej skruchą ani ludzkim uczuciem.

Pomyślała jednak, że winna się wyspowiadać z zabicia dwóch królów, czego nigdy nie wyznała zwykłym spowiednikom. Postanowiła w tym celu zawezwać nieznanego franciszkanina. Gdy mnich wyszedł pobladły z jej komnaty, pochwyciło go dwóch sierżantów, którzy otrzymali rozkaz dostawić go do zamku Hesdin. Polecenie Mahaut pojęto niewłaściwie; powiedziała, że mnich winien być więziony w Hesdin aż do śmierci; rządca zamku zrozumiał, że chodzi o śmierć mnicha, i zamurował go w ciemnicy. Była to ostatnia zbrodnia hrabiny Mahaut, tym razem mimowolna.

W końcu chora dostała straszliwych kurczy, objawiły się one najpierw w paluchach u nóg, potem w łydkach, potem stwardniały przedramiona. Śmierć w nią wstępowała.

27 listopada pomknęli jeźdźcy do klasztoru w Poissy, w którym naonczas mieszkała królowa Joanna Wdowa, do Brugii, by uprzedzić hrabiego Flandrii, i kolejno trzej do Saint-Germain, gdzie przebywał król wraz z Robertem d'Artois. Każdy z jeźdźców wysłanych do Saint-Germain zdawał się Beatrycze gońcem wiozącym list miłosny do Roberta: hrabina Mahaut przyjęła ostatnie sakramenty, hrabina straciła mowę, hrabina jest w agonii...

Wykorzystując chwilę, gdy znajdowała się sam na sam z konającą, Beatrycze pochyliła się nad łysą głową, nad owrzodzoną twarzą, w której jakby żyły tylko oczy, i bardzo łagodnie powiedziała:

- Otruto was, Dostojna Pani... ja to zrobiłam... z miłości, jaką żywię do Dostojnego Pana Roberta.

Umierająca spojrzała najpierw z niedowierzaniem, potem z nienawiścią; w tej istocie, z której uciekało życie, ostatnim uczuciem pozostała żądza mordu. O nie! nie żałowała żadnego ze swych czynów; miała rację, że była nikczemna, ponieważ cały świat to same łotry! Nawet w tej ostatniej minucie nie naszła jej myśl, że oto odbiera zapłatę za zbrodnie. Była to dusza nie do odkupienia.

Gdy córka jej przybyła z Poissy, Mahaut wskazała na Beatrycze palcem sztywnym i zimnym, który już prawie nie mógł się poruszyć; wargi ściągnęła, lecz głos się nie wydobył i w tym wysiłku skonała.

Na pogrzebie w Maubuisson w dniu 30 listopada Robert miał postawę zamyśloną i posępną, która zadziwiała. Raczej by doń pasowała mina triumfatora. Jednakże nie udawał. Tracąc wroga, z którym się walczyło przez dwadzieścia lat, odczuwa się rodzaj pustki. Nienawiść zadzierzga bardzo mocną więź, a ta zrywając się pozostawia uczucie melancholii.

Posłuszna ostatniej woli matki, królowa Joanna Wdowa już nazajutrz prosiła Filipa VI o przekazanie jej rządów w Artois. Filip VI zanim udzielił odpowiedzi, bardzo szczerze rozmówił się z Robertem.

- Nie mogę postąpić inaczej niż zadośćuczynić suplice twojej kuzynki Joanny, ponieważ wedle traktatów i wyroków jest prawną spadkobierczynią. Ale wyrażę zgodę czysto formalną i tymczasową, dopóki nie dojdziemy do pojednania czy też procesu... Zachęcam cię, żebyś jak najwcześniej wysłał do mnie własną suplikę.

Robert pośpieszył to uczynić w liście w ten sposób napisanym: “Mój Najdroższy i Potężny Panie! ponieważ ja, Robert d'Artois, Wasz korny hrabia na Beaumont, byłem przez długi czas, na skutek wielkiej złości, matactw i podstępów wydziedziczony z hrabstwa Artois, które do mnie należy i winno należeć z powodu wielu przyczyn słusznych i sprawiedliwych, a które ponownie dotarły do mej wiadomości, przeto kornie Was proszę, abyście raczyli wysłuchać i mych racji...”

Gdy Robert po raz pierwszy powrócił do domu Poczciwuszki, Beatrycze myślała, że mu dogodzi opowiadając minutę po minucie ostatnie godziny Mahaut. Słuchał, lecz nie okazywał żadnego zadowolenia.

- Rzekłoby się, że jej żałujesz - powiedziała.

- Wcale nie, wcale nie - odparł w zamyśleniu Robert - poniosła słuszną karę...

Myśl jego już się skierowała ku następnej przeszkodzie.

- Czy teraz mogę zostać u ciebie damą dworu? Kiedy wejdę do twojego pałacu?

- Kiedy będę miał Artois - odrzekł Robert. - Zrób tak, żeby zostać przy córce Mahaut; ją trzeba teraz usunąć z mej drogi.

Gdy Pani Joanna Wdowa odzyskując gust do honorów, których była pozbawiona po śmierci Filipa Długiego, i wreszcie w trzydziestym siódmym roku życia wyzwolona spod dławiącej macierzyńskiej opieki jechała z wielką paradą, aby objąć w posiadanie Artois, zatrzymała się w Roye-en-Vermandois. Tu naszła ją chętka na kubek młodego wina. Beatrycze d'Hirson wysłała po napój podczaszego Huppin. Huppin był bardziej wrażliwy na oczy Beatrycze niż obowiązki służbowe; od czterech tygodni usychał z miłości. Beatrycze przyniosła kubek, Ponieważ tym razem śpieszyła się, aby sprawę załatwić, nie użyła arszeniku, lecz soli rtęciowych.

Tak się zakończyła podróż Pani Joanny.

Obecni przy agonii królowej wdowy opowiadali, że bóle chwyciły ją w połowie nocy, trucizna toczyła się z oczu, ust i nosa, a całe ciało popstrzyły białe i czarne plamy. Nawet dwóch dni nie

walczyła ze śmiercią i tylko o dwa miesiące przeżyła matkę.

Zaczem diuszesa Burgundii, wnuczka Mahaut, zażądała hrabstwa Artois.

Część trzecia - Klęski

I - Upiorny spisek

Mnich oświadczył, że zwie się Tomasz Dienhead. Spod skąpego wieńca włosów barwy piwa wyłaniało się niskie czoło. Ręce zasunął w rękawy. Habit brata kaznodziei był wątpliwej bieli. Rozejrzał się na prawo i lewo, trzykrotnie zapytał, czy "Milord" jest sam i czy czyjeś ucho nie może ich podsłuchać.

- Ależ nie, mówcie przecież - rzekł zagłębiony w fotelu hrabia Kentu kiwając nogą z odcieniem zniecierpliwionej nudy.

- Milordzie, nasz zacny i miłościwy król Edward Drugi nadal żyje.

Edmund Kent nie drgnął, jak można było oczekiwać, po pierwsze dlatego, że niechętnie ujawniał swe uczucia, a po drugie - ową osłupiającą wiadomość przyniósł mu przed kilku dniami inny wysłannik.

- Król Edward jest potajemnie więziony w zamku Corfe - podjął mnich - widziałem go i przychodzę, by dać wam o tym świadectwo.

Hrabia Kentu powstał, wyminął charta i podszedł do okna o małych szybkach oprawnych w ołowiane kratki, przez które chwilę wpatrywał się w szare niebo nad swoim zamkiem Kensington.

Kent miał dwadzieścia dziewięć lat; nie był już tym szczupłym młodzieńcem, który ongiś dowodził angielską obroną w czasie nieszczęsnej wojny w Gujennie w 1324 roku, kiedy to z braku wojska w oblężonej twierdzy la Reole musiał poddać się stryjowi Karolowi de Valois. Lecz chociaż zmężniał trochę, zachował nadal karnację jasnego blondyna i tę samą wyniosłą niedbałość kryjącą bardziej skłonność do marzeń niż do prawdziwej medytacji.

Nigdy nie słyszał bardziej zadziwiającej wieści! Oto przyrodni jego brat Edward II, którego zgon ogłoszono przed trzema laty był pochowany w Gloucester - już teraz w królestwie nie wahano się wypowiadać nazwisk jego zabójców - czyżby miał żyć nadal na tym świecie? Uwięzienie w zamku Berkeley, straszliwy mord, list biskupa Orletona, ścisła współwina królowej Izabeli, Mortimera i seneszala Maltraversa, wreszcie pogrzebanie cichcem, to wszystko byłoby bajdą, stworzoną przez zainteresowanych, by wszyscy uwierzyli w śmierć byłego króla, w końcu rozdmuchaną w wyobraźni ludu?

Po raz drugi w ciągu niespełna dwóch tygodni przybywano doń z tą wiadomością. Za pierwszym razem odmówił wiary. Ale teraz jął się wahać.

- Jeśli wiadomość jest prawdziwa, wiele może ona zmienić w królestwie - powiedział ogólnikowo.

W ciągu ostatnich trzech lat Anglia miała czas otrząsnąć się z marzeń. Gdzież były wolność, sprawiedliwość, dobrobyt, które w wyobraźni wiązano z pochodem królowej Izabeli i sławnego lorda Mortimera? Z zaufania, jakim ich obdarzano, z pokładanych w nich nadziei pozostało jedynie wspomnienie ogromnego, zawiedzionego złudzenia.

Po co było wypędzać, zrzucać z tronu; więzić i - przynajmniej aż do dziś w to wierzono - zezwalać na zamordowanie słabego Edwarda II ulegającego wstrętnym faworytom, skoro miał go zastąpić nieletni król, jeszcze słabszy i przez kochanka matki całkowicie pozbawiony wszelkiej władzy?

Po co było ścinać hrabiego Arundela, zabijać kanclerza Baldocka, ćwiartować Hugona Despensera, skoro teraz lord Mortimer rządził równie despotycznie, równie wyciskał kraj z grosza, lżył, ciemiężył, srożył się, nie znosił żadnej dyskusji w materii swego autorytetu?

Hugo Despenser, człowiek znieprawiony i chciwy, ujawniał chociaż czasem słabostki, które można było wykorzystać. Zdarzało mu się ustępować ze strachu lub chęci zysku. Roger Mortimer był baronem niezłomnym i porywczym. Wilczyca z Francji, jak zwano królową matkę, za kochanka miała wilka. Władza szybko znieprawia tych, co ją zagarnęli, jeśli dobro publiczne nie było ich głównym celem.

Mężny, nawet bohaterski, sławny bezprzykładną ucieczką Mortimer uosabiał w ciągu lat wygnania dążenia nieszczęsnego ludu. Pamiętano, że ongiś zdobył dla Korony angielskiej Królestwo Irlandii, i poszło w niepamięć, że tam się obłowił.

W istocie Mortimer nigdy nie myślał o narodzie jako całości, ni o potrzebach swego ludu. Stał się szermierzem sprawy narodowej, o ile ta sprawa łączyła się z jego własną. W istocie wcielał wyłącznie pretensje odłamu feudałów. Zostawszy władcą zachowywał się tak, jak gdyby cała Anglia przeszła na jego usługi.

Najpierw przywłaszczył sobie prawie ćwierć królestwa zostawszy hrabią na Marchiach; kazał stworzyć dla siebie ów tytuł i lenno. Przy boku królowej matki wiódł królewski tryb życia, a z młodym Edwardem III postępował, jakby ten był nie jego suzerenem, ale dziedzicem.

Gdy w październiku 1328 roku Mortimer zażądał od Parlamentu zebranego w Salisbury potwierdzenia swego tytułu para, Henryk Lancaster Krzywoszyjek, nestor królewskiego rodu, powstrzymał się od uczestnictwa w obradach. W czasie tejże sesji Mortimer kazał swym zbrojnym oddziałom wkroczyć w obręb Parlamentu, aby podeprzeć swą wolę. Przymus tego rodzaju nigdy nie przypadał do smaku zgromadzeniom.

Niemal jakby zrządzeniem losu utworzona ongiś koalicja w celu obalenia Despenserów odrodziła się wokół tych samych książąt krwi, wokół Henryka Krzywoszyjka, wokół hrabiów Norfolku i Kentu, stryjów młodego króla.

W dwa miesiące po incydencie w Salisbury, Krzywoszyjek, wykorzystując nieobecność Mortimera oraz Izabeli, potajemnie zebrał w Londynie, w kościele Świętego Pawła, wielu biskupów i baronów, aby wywołać zbrojne powstanie. Ale Mortimer wszędzie utrzymywał szpiegów. Nim koalicja zdążyła się uzbroić, splądrował na czele swych zbrojnych oddziałów miasto Leicester, główne lenno Lancasterów. Henryk chciał dalej walczyć; lecz Kent uważając sprawę za chybioną natenczas uchylił się niezbyt chwalebnie.

Jeśli Lancaster wybrnął cało z kłopotów, nie licząc grzywny w wysokości jedenastu tysięcy liwrów, zresztą nie zapłaconej, zawdzięczał to swym stanowiskom głowy Rady Regencyjnej i opiekuna króla;

logika wydarzeń zmuszała drwiąco Mortimera do utrzymania pozorów prawnych tejże opieki, aby móc legalnie skazać za bunt przeciw królowi przeciwników takich, jak sam Lancaster.

Ów zaś został wysłany do Francji pod pozorem omówienia małżeństwa siostry młodego króla z najstarszym synem Filipa VI. Oddalenie to było jakby wyrażoną niełaską; poselstwo jego miało długo potrwać.

Po wyjeździe Krzywoszyjka Kent nagle i niemal wbrew własnej woli został wodzem niezadowolonych. Wszyscy do niego się zwracali; on zaś usiłował zatrzeć ubiegłoroczne odstępstwo. Nie, nie tchórzostwo odwróciło go od działania...

Myślał o wszystkich tych sprawach naraz stojąc przed oknem w zamku Kensington. Mnich stał wciąż nieruchomo wsunąwszy dłonie w rękawy. Fakt, że był on bratem kaznodzieją, tak samo jak pierwszy wysłannik, który go już zapewniał, że Edward II żyje nadal, również skłaniał hrabiego Kentu do poważnego rozważenia wiadomości, bo zakon dominikanów słynął z wrogości do Mortimera. Jeśli zaś wiadomość odpowiadała prawdzie, upadały wszystkie domysły związane z królobójstwem, ciążące na Izabeli i Mortimerze. Natomiast całkowicie zmieniała ona sytuację w królestwie.

Teraz bowiem lud żałował Edwarda II i przechodząc z jednej skrajności w drugą skłonny był czcić jako męczennika tego rozwiązłego księcia. Gdyby Edward II jeszcze żył, Parlament mógłby uchylić dawne postanowienia oświadczając, że działał pod przymusem, i byłemu monarsze tron przywrócić.

Jakież zresztą posiadano dowody jego śmierci? Zeznanie mieszkańców Berkeley paradujących przed zwłokami? Ale iluż z nich przedtem widziało Edwarda II za życia? Kto mógł stwierdzić, że nie pokazano im innego ciała?... Żaden członków rodziny królewskiej nie był na tajemniczym pogrzebie w opactwie Gloucester; poza tym trupa złożono do grobu po miesiącu, w skrzyni okrytej czarnym suknem.

- Mówicie więc, bracie Dienhead, że naprawdę go widzieliście, i to na własne oczy? - odwracając się zapytał Kent.

Tomasz Dienhead znów się rozejrzał wokół siebie niby doświadczony spiskowiec i odpowiedział szeptem:

- Przeor naszego zakonu tam mnie wysłał; zdobyłem zaufanie kapelana, a ten, nim pozwolił mi tam wejść, kazał mi przywdziać strój łowiecki. Cały dzień kryłem się w budyneczku na lewo od kordegardy, wieczorem wprowadzono mnie do wielkiej sali i wyraźnie widziałem króla za stołem w otoczeniu honorowej świty.

- Rozmawialiście z nim?

- Nie pozwolono mi zbliżyć się do niego - rzekł brat - ale kapelan mi go pokazał zza kolumny i powiedział - Oto on.

Kent chwilę milczał, później spytał:

- Gdybym was potrzebował, czy mogę posłać po was do klasztoru braci kaznodziejów?

- O nie, Milordzie, przeor mi doradzał, abym chwilowo nie mieszkał w klasztorze.

I dał swój adres w Londynie, u kleryka, w dzielnicy Świętego Pawła.

Kent otwarł jałmużniczkę i podał mu trzy złote monety. Brat odmówił; nie wolno mu przyjmować darów.

- Na jałmużnę dla waszego zakonu - rzekł hrabia Kentu.

Tedy brat Dienhead wysunął dłoń z rękawów, bardzo nisko się pokłonił i wycofał.

Tegoż dnia Edmund Kent postanowił zawiadomić dwóch najpoważniejszych prałatów, ongiś należących do chybionego spisku: Gravesona, biskupa Londynu, i arcybiskupa Yorku, Williama Meltona, tego samego, który udzielał ślubu Edwardowi III i Filipie de Hainaut.

“Dwukrotnie mi stwierdzają i zdaje się, że ze źródeł pewnych...”, pisał im.

Odpowiedzi nie dały długo na siebie czekać. Graveson zapewniał swe poparcie hrabiemu Kentu we wszelkiej działalności, jaką ów zechciałby prowadzić; zaś arcybiskup Yorku, prymas Anglii, przysłał osobistego kapelana, Allyna, z obietnicą dostarczenia pięciuset zbrojnych, a nawet więcej, jeśliby zaszła potrzeba uwolnienia byłego króla.

Wówczas Kent porozumiał się z innymi, a mianowicie z lordem de la Zouche i jeszcze kilku feudałami, jak lord Beaumont i sir Tomasz Rosslyn, którzy umknęli do Paryża przed zemstą Mortimera. We Francji bowiem utworzyło się ponownie stronnictwo emigracyjne.

Ostatecznie przeważyła osobista i tajna wiadomość od papieża Jana XXII do hrabiego Kentu. Ojciec Święty dowiedziawszy się, że Edward II nadal żyje, zalecał hrabiemu Kentu, aby działał dla jego uwolnienia, z góry rozgrzeszając uczestników rewolty: “ab omni poena et culpa...” (“Od wszelkiej kary i winy”). Czy można wyraźniej powiedzieć, że wszystkie sposoby są usprawiedliwione?... a nawet grożąc ekskomuniką hrabiemu Kentu, gdyby ów poniechał tego wysoce pobożnego zadania.

Była to zaś nie tylko ustna wiadomość, lecz list po łacinie, w którym znamienity prałat Stolicy Apostolskiej, o podpisie niezbyt czytelnym, wiernie przekazywał słowa wypowiedziane przez Jana XXII w rozmowie w tym przedmiocie. List ten przewiózł jeden z członków świty biskupa Lincolnu, kanclerza Burghersha, świeżo przybyłego z Awinionu, gdzie omawiał on również zamierzone małżeństwo siostry Edwarda III z następcą francuskiego tronu.

Do głębi poruszony Edmund Kent postanowił tedy pojechać i na miejscu sprawdzić te tak zgodne informacje, i zbadać możliwość ucieczki.

Pod wskazany mu adres posłał po brata Dienheada i z niewielką, acz wierną eskortą ruszył do Dorset. Rzecz działa się w lutym.

Przybywszy do Corfe podczas pluchy, gdy słonawy wicher omiatał półwysep, Kent kazał wezwać komendanta warowni, sir Jana Daverilla. Ten zgłosił się do hrabiego Kentu w jedynej oberży w

Corfe, naprzeciw kościoła Świętego Edwarda Męczennika, zamordowanego króla z dynastii saksońskiej.

Wysoki, wąski w ramionach, z pobrużdżonym czołem i wzgardliwie wysuniętą wargą, z odcieniem żalu, w pokłonach, jak przystoi służbiście, Jan Daverill przeprosił, iż nie może w zamku gościć szlachetnego lorda. Otrzymał bezwzględne rozkazy.

- Czy król Edward II żyje, czy też umarł? - zapytał go Edmund Kent.

- Nie mogę wam tego powiedzieć.

- To mój brat. Czy wy go trzymacie pod strażą?

- Nie jestem upoważniony do informowania. Pewien więzień został mi powierzony; nie mam prawa wyjawić ani jego imienia, ani stanowiska.

- Czy moglibyście pozwolić mi na spotkanie z tym więźniem?

Jan Daverill zaprzeczył ruchem głowy. Mur, skała ów komendant, równie nieprzenikniony, jak olbrzymia ponura baszta broniona przez trzy ogromne wały, wznoszące się na szczycie wzgórza nad małą mieściną o płaskich, kamiennych dachach. Ach! Mortimer dobrze dobierał swoje sługi!

Ale bywają sposoby zaprzeczania, które są jakby potwierdzeniem. Czyżby Daverill okrywał się taką tajemnicą, czy okazywałby podobną nieugiętość, gdyby właśnie nie trzymał pod strażą byłego króla?

Edmund Kent usiłował go oczarować, a urok miał wielki, użył też innych argumentów, na które ludzka natura bywa wrażliwa. Położył na stole ciężki trzos ze złotem.

- Chciałbym - rzekł - żeby ten więzień był dobrze traktowany. Przeznaczam to na polepszenie jego losu; jest tu sto funtów sterlingów.

- Mogę was zapewnić, Milordzie, że jest dobrze traktowany - odrzekł Daverill zniżonym głosem z odcieniem współwiny.

I bez żadnego zmieszania położył dłoń na trzosie.

- Dałbym chętnie dwakroć tyle - powiedział Edmund Kent - jedynie by go zobaczyć.

Daverill odmówił z ubolewaniem.

- Pojmijcie, Milordzie, w tym zamku dwustu łuczników straż trzyma...

Edmund Kent notując w pamięci ten ważny szczegół uznał się za wybitnego wojownika; trzeba się będzie z tym liczyć przy uwolnieniu.

- ...a gdyby kiedykolwiek któryś z nich się wygadał, niechby Miłościwa Pani królowa matka dowiedziała się, kazałaby mnie ściąć.

Czyż można bardziej się zdradzić i wyznać, co chciałoby się ukryć?

- Ale mógłbym przekazać list - podjął komendant - bo to pozostałoby między nami.

Kent rad, że tak szybko posuwają się jego sprawy, pisał następujący list, podczas gdy porywisty, mokry wiatr uderzał w szyby oberży.

“Przyjmijcie, Najdroższy Bracie, zapewnienia wierności i szacunku. Z całego serca błagam Boga o zachowanie waszego zdrowia, bo są już poczynione przygotowania, abyście niebawem wyszli z więzienia i byli uwolnieni od gnębiącej was udręki. Bądźcie pewni, że mam poparcie pierwszych baronów Anglii i wszystkich ich sił, to znaczy wojsk i pieniędzy. Znów będziecie królem; prałaci i baronowie przysięgli to na Ewangelię”.

Podał komendantowi kartkę zwyczajnie złożoną.

- Proszę was o przyłożenie pieczęci, Milordzie - ów powiedział - nie chcę znać treści.

Kent kazał komuś ze świty przynieść wosk, przyłożył pieczątkę, a Daverill schował pismo w zanadrze.

- List dojdzie z zewnątrz do więźnia i myślę, że zaraz on go zniszczy. Przeto...

I dłońmi wykonał ruch oznaczający puszczenie w niepamięć, zapomnienie.

“Ten człowiek, jeśli do niego dobrze się zabrać, w oznaczonym dniu otworzy nam bramy na ścieżaj; nie trzeba będzie nawet staczać bitwy” - myślał Edmund Kent.

Po trzech dniach list był w ręku Mortimera, a ów go czytał Radzie w Westminster.

Wnet królowa Izabela zwróciła się do syna i wykrzyknęła z patosem:

- Synu, mój synu, błagam was, wystąpcie przeciw waszemu śmiertelnemu wrogowi, co chce utwierdzić w królestwie plotkę, że ojciec wasz żyje nadal, aby móc złożyć was z tronu i zająć wasze miejsce. Błagam was, wydajcie rozkazy, aby ukarano zdrajcę, póki jeszcze czas.

W istocie rozkazy już były wydane i siepacze Mortimera mknęli do Winchester, aby pojmać hrabiego Kentu w powrotnej drodze. Ale Mortimer chciał nie tylko aresztowania; żądał przykładnego wyroku. Miał kilka powodów, aby się tak śpieszyć.

Za rok Edward III będzie pełnoletni; już okazywał wielokrotnie, że śpieszno mu objąć rządy. Po oddaleniu Lancastera usuwając Kenta urywał łeb opozycji i utrudniał młodemu królowi wymknięcie się spod jego wpływów.

19 marca Parlament zebrał się w Winchester, aby sądzić królewskiego stryja.

Gdy hrabia Kentu wyszedł z więzienia po przeszło miesięcznym w nim pobycie, był wychudzony, twarz miał zmienioną, wzrok błędny, jakby wcale nie rozumiał, co mu się przydarzyło. Stanowczo nie

był stworzony, by znosić przeciwności losu. Opuściła go piękna, wyniosła niedbałość. Przesłuchiwany przez Roberta Howella, koronera przy królewskim dworze, załamał się, wszystko wyznał, opowiedział całą historię od początku do końca, wydał nazwiska informatorów i współwinowajców. Ale jakichże to informatorów? Zakon dominikanów nie znał żadnego brata o nazwisku Dienhead; był to wymysł oskarżonego, który usiłował siebie ocalić. Zmyślony również ten list papieża Jana XXII; nikt ze świty biskupa Lincolnu w czasie posłowania w Awinionie nie rozprawiał o zmarłym królu ani z Ojcem Świętym, ani z żadnym z jego kardynałów lub doradców. Edmund Kent upierał się. Czy myślą, że rozum postradał? Przecież rozmawiał z tymi braćmi kaznodziejami. Miał w ręku ów list "ab omni poena et culpa"...

W końcu Kent wykrył, w jakie straszliwe sidła go zwabiono posługując się widmem zmarłego króla. Spisek całkowicie zmontowany przez Mortimera i jego sługusów: fałszywi zakonnicy, sfałszowane pisma, a najbardziej fałszywy ze wszystkich i wszystkiego ów Daverill z zamku Corfe. Kent wpadł w potrzask.

Sędzia królewski domagał się wyroku śmierci.

Mortimer zasiadał na podwyższeniu przed lordami i wszystkich więził wzrokiem; jedyny Lancaster może śmiałby się ująć za oskarżonym, lecz ten był poza granicami królestwa. Mortimer oznajmił, że nie będzie wszczynał śledztwa w stosunku do współwinowajców Kenta, duchownych czy świeckich, jeśli ów zostanie skazany. Za wielu baronów w ten czy inny sposób było skompromitowanych; wydali - nawet Norfolk, rodzony brat oskarżonego - drugiego księcia krwi na pastwę hrabiego na Marchiach. Jednym słowem - ofiara przebłagalna.

Mimo że Kent korzył się przed zgromadzeniem i uznając swą winę ofiarowywał się pójść do króla na znak skruchy boso, w koszuli i z powrozem na szyi, lordowie z żalem wydali wyrok, którego od nich oczekiwano. Szeptali, by uspokoić sumienie:

- Król go ułaskawi; król skorzysta z prawa łaski...

Zaiste - było nieprawdopodobne, żeby Edward III kazał ściąć swego stryja za działalność na pewno przestępczą, lecz w której przejawiała się głównie lekkomyślność winowajcy, a prowokacja była aż nazbyt widoczna.

Wielu głosujących za wyrokiem śmierci zamierzało nazajutrz pójść i prosić o ułaskawien*ie*.

Izba Gmin odmówiła potwierdzenia wyroku lordów; zażądała dodatkowego śledztwa.

Ale Mortimer natychmiast wziął wynik głosowania Wysokiej Izby i pobiegł do zamku, gdzie królowa Izabela jadła obiad.

- Załatwione - rzekł do niej - możemy wysłać Edmunda na szafot. Lecz wielu naszych rzekomych przyjaciół liczy, że syn wasz ocali go od kary głównej. Przeto zaklinam was, działajcie bezzwłocznie.

Postarali się przez cały dzień zająć czas młodego króla debatą w Kolegium w Winchester,

najstarszym i najsłynniejszym w całej Anglii.

- Gubernator miasta - dorzucił Mortimer - wykona równie dobrze wasz rozkaz, moja duszko, jak i króla.

Izabela i Mortimer spojrzeli sobie w oczy; nie była to ich pierwsza zbrodnia ani pierwsze nadużycie władzy. Wilczyca z Francji podpisała rozkaz bezzwłocznego ścięcia swego szwagra i ciotecznego brata.

Znów wyciągnięto Edmunda Kenta z ciemnicy i w koszuli, ze związanymi rękoma, pod eskortą oddziału łuczników zaprowadzono na wewnętrzne podwórze zamkowe. Stał tam jedną godzinę, dwie godziny, trzy godziny na deszczu, podczas gdy zmierzch zapadał. Po co to nie kończące się czekanie przed pniakiem? Odczuwał na przemian to rozpacz, to szaleńczą nadzieję. Król, jego bratanek, na pewno przykłada teraz pieczęć pod rozkazem ułaskawienia. Ten tragiczny postój to kara zadana skazańcowi, by go natchnąć głębszą skruchą, by kazać mu wyżej docenić wspaniałomyślność przebaczenia. Albo też wybuchły rozruchy i zamieszki; może lud powstał. Albo może Mortimer został zabity. Kent modlił się i nagle jął szlochać z lęku. Drżał w przemoczonej koszuli; deszcz spływał na pień i na hełmy łuczników. Kiedyż wreszcie skończy się ta kaźń?

Jedyne wyjaśnienie nie mogło przyjść na myśl hrabiemu Kentu: w całym Winchester szukano kata i nie można go było znaleźć. Miejski oprawca wiedząc, że Izba Gmin odrzuciła wyrok, a król nie mógł się wypowiedzieć, uparcie odmawiał spełnienia swego obowiązku i ścięcia głowy księciu krwi. Pomocnicy z nim się solidaryzowali; woleli stracić pracę.

Zwrócono się do dowódców załogi, by wyznaczyli kogoś ze swych ludzi, chyba że zgłosiłby się ochotnik, który otrzymałby sowitą nagrodę. Dowódcy wzdrygnęli się z obrzydzenia. Chętnie utrzymywali ład, wystawiali straż wokół Parlamentu, towarzyszyli skazańcom aż na szafot; lecz nie trzeba więcej od nich wymagać, ani od nich, ani od ich ludzi.

Mortimer wpadł w zimny i straszliwy gniew na gubernatora.

- Czy nie więzicie w waszych lochach jakiegoś mordercy, fałszerza lub zbója, który w zamian chciałby ocalić życie? Dalej, śpieszcie, jeśli sami nie chcecie skończyć w ciemnicy!

Przeszukując cele wynaleziono w końcu pożądanego człowieka, popełnił świętokradztwo i w następnym tygodniu miał być powieszony. Wręczono mu topór, lecz zażądał zamaskowania mu twarzy.

Zapadła noc. W świetle pochodni gaszonych ulewą hrabia Kentu zobaczył zbliżającego się wykonawcę wyroku i pojął, że długie godziny nadziei były tylko ostatnim szyderczym złudzeniem. Wydał straszliwy okrzyk; trzeba było siłą zmusić go do klęknięcia przed pniem.

Przygodny kat był bardziej lękliwy niż okrutny i drżał bardziej niż jego ofiara. Nie mógł unieść topora. Chybił ciosu i ostrze ześlizgnęło się po włosach. Czterokrotnie musiał zaczynać od nowa waląc w ohydną, czerwoną miazgę. Wokół starzy łucznicy wymiotowali.

W ten sposób umarł, nie doczekawszy lat trzydziestu, hrabia Edmund Kent, naiwny książę pełen uroku. Zaś złodziej, który ukradł monstrancję, został zwrócony rodzinie.

Gdy młody król Edward wrócił po wysłuchaniu długiej dysputy po łacinie o doktrynach mistrza Ockhama, powiedziano mu, że stryj jego został ścięty.

- Bez mego rozkazu? - spytał.

Kazał wezwać lorda Montaigu, który go nie opuszczał od hołdu w Amiens, a którego wierność wypróbował wielokrotnie.

- Milordzie - rzekł - tego dnia byliście w Parlamencie. Chciałbym znać prawdę...

II - Topór w Nottingham

Zbrodnia stanu winna mieć zawsze pozór legalności.

Podstawą wszelkiego prawa jest władza, władza zaś należy do ludu, który sprawuje ją bądź za pośrednictwem wybranego przedstawicielstwa, bądź pełnomocnictwa udzielonego dziedzicznej monarchii, a niekiedy na oba sposoby jednocześnie, jak to miało miejsce w Anglii.

Każdy akt prawny w tym kraju winien był przeto zawierać obopólną zgodę zarówno monarchy, jak i ludu; zgoda ta mogła być albo milcząca, albo głośno wyrażona.

Wyrok śmierci na hrabiego Kentu posiadał cechy legalności, ponieważ władzę królewską sprawowała naonczas Rada Regencyjna, zaś pod nieobecność hrabiego Lancastera, opiekuna króla, prawo podpisu przysługiwało królowej matce; ale wyrok ten nie posiadał rzeczywistej zgody Parlamentu, obradującego pod presją, ani też króla, przed którym ukrywano rozkaz wydany w jego imieniu, i czyn ten mógł sprowadzić jeno zgubę na sprawców.

Edward III o ile mógł, okazał swe niezadowolenie żądając wyprawienia książęcego pogrzebu hrabiemu Kentu. Ponieważ w grę wchodził tylko trup, Mortimer zgodził się ustąpić woli młodego króla. Ale Edward nigdy nie przebaczy Mortimerowi, że poza jego wiedzą raz jeszcze stanowił o życiu członka jego rodziny; nie przebaczy mu również omdlenia Pani Filipy na brutalną wieść o ścięciu stryja Kenta. Młoda królowa była w szóstym miesiącu ciąży i należało oszczędzać jej wzruszeń. Edward zrobił wymówkę matce, a ponieważ ta odparła rozdrażniona, że Pani Filipa okazuje za wiele miłości wrogom królestwa i należy posiadać silną duszę, gdy się zostało wybraną na królową, Edward odpowiedział:

- Nie każda kobieta, Miłościwa Pani, ma równie jak wy kamienne serce.

Incydent nie pociągnął za sobą złych następstw dla Pani Filipy i około połowy czerwca wydała na świat syna. Edward III odczuł radość głęboką i poważną, jaka jest zwykle udziałem każdego mężczyzny przy pierwszym dziecku danym mu przez kobietę, którą on kocha i wzajem przez nią jest kochany. Jednocześnie jako król odczuł, że nagle stał się dojrzały. Następstwo tronu po nim zostało zapewnione. Poczucie dynastyczne własnego miejsca między przodkami a potomstwem - jakkolwiek jeszcze bardzo słabiutkim, ale już obecnym w pieniącej się koronkami kołysce - wypełniało jego myśli czyniąc coraz bardziej trudną do zniesienia prawną niezdolność do rządów, w jakiej go utrzymywano.

Jednakże dręczyły go skrupuły, na nic zda się obalić rządzącą klikę, jeśli nie ma lepszych ludzi, by ją zastąpić, ani też lepszych zasad, by je stosować.

“Czy będę umiał naprawdę rządzić, czy jestem dostatecznie dojrzały?” - często siebie zapytywał.

W umyśle jego tkwił szkaradny przykład ojca całkowicie opanowanego przez Despenserów i równie szkaradny przykład matki uległej wpływom Rogera Mortimera.

Przymusowa bezczynność umożliwiała mu obserwację i wyciąganie wniosków. Nic w królestwie stać się nie mogło bez zgody Parlamentu, dobrowolnej albo wymuszonej. Waga, jakiej nabrało w ostatnich latach owo doradcze zgromadzenie coraz częściej zwoływane, w coraz innym miejscu i przy lada okazji, była następstwem nieudolnych rządów, nieudanych wypraw wojennych, zamętu w rodzinie królewskiej i stanu ustawicznej wrogości między władzą centralną a koalicją wielkich feudałów.

Skończyć należy z rujnującymi jazdami, kiedy to Izby Lordów i Gmin muszą pędzić do Winchester, Salisbury, Yorku i zasiadać na obradach mających tylko na celu ułatwić lordowi Mortimerowi ciemiężenie królestwa.

"Gdy stanę się prawdziwym królem, Parlament będzie obradował w ustalonych terminach, i w Londynie, o ile to będzie możliwe... Wojsko? Obecne wojsko nie podlega teraz królowi, są to wojska baronów, zależne od ich widzimisię. Potrzebne są wojska powołane do służby królestwu, pod rozkazami dowódców podległych wyłącznie królowi... Sądownictwo? Władza sądowa powinna całkowicie znaleźć się w ręku panującego, a ten winien dążyć, aby sprawiedliwość była udziałem wszystkich. Cokolwiek się mówi o królestwie Francji, ład tam panuje większy. Trzeba również poprzeć handel, bo kupcy uskarżają się, że marnieje na skutek opłat i zakazów wywozu skór i wełny stanowiących nasze bogactwo!"

Myśli te wydają się bardzo proste, ale takie nie są, kiedy się gnieżdżą w głowie króla, w czasach zamętu, tyranii i okrucieństwa, jakie rzadko przeżywał ów naród; były to myśli niemal rewolucyjne.

Młody udręczony monarcha tym sposobem łączył się z tęsknotami swego ciemiężonego ludu. Niewielu osobom zwierzał się ze swych zamierzeń: małżonce Filipie, Wilhelmowi de Mauny, giermkowi przywiezionemu przez nią z Hainaut, a przede wszystkim lordowi Montaigu, który wyjaśniał mu pragnienia młodych lordów.

Często się zdarza, że dwudziestolatek tworzy sobie zasady, na których zrealizowanie poświęci całe życie. Edward III posiadał cechę niezmiernie ważną dla każdego władcy: nie ulegał namiętnościom i nie miał przywar. Miał szczęście poślubić księżniczkę, w której się zakochał, i miał szczęście, że kochał ją nadal. Posiadał ów najszlachetniejszy rodzaj dumy: uznawał za całkiem naturalne, iż jest królem. Wymagał poszanowania dla swej osoby i swego stanowiska, gardził służalczością, ponieważ uniemożliwia szczerość. Nie znosił pustego przepychu, ponieważ obraża biedaków i sprzeczny jest z prawdziwym majestatem.

Ludzie ongiś goszczący na francuskim dworze mawiali, że wielu rysami przypomina króla Filipa Pięknego; miał ten sam owal równie bladej twarzy, ten sam chłód w niebieskich oczach, gdy niekiedy unosił długie rzęsy.

Oczywiście Edward był bardziej bezpośredni i żywy niż jego dziadek po kądzieli. Ale ci, co tak opowiadali, znali Króla z Żelaza już w ostatnich latach jego długich rządów; nikt nie pamiętał, jaki był Filip Piękny w dwudziestym roku życia. Francuska krew brała w Edwardzie górę nad krwią Plantagenetów i zdawało się, że prawdziwy Kapetyng zasiadł na angielskim tronie.

W październiku tegoż 1330 roku znów zwołano Parlament, tym razem na północy królestwa, do

Nottingham. Obrady zapowiadały się burzliwe. Większość lordów chowała urazę do Mortimera za ścięcie hrabiego Kentu; gnębiło ich sumienie.

Nareszcie powrócił odważny i mądry Lancaster, hrabia Lancaster Krzywoszyjek, zwany teraz starym Lancasterem, bo dokonał cudu zachowując swą wielką przekrzywioną głowę aż do pięćdziesiątego roku życia. Od dawna grożąca mu choroba oczu nagle pogorszyła stan wzroku doprowadzając go do półślepoty; musiał go teraz prowadzić giermek, lecz to kalectwo czyniło go jeszcze bardziej uraźliwym i zabiegano o jego rady z tym większym respektem.

Izba Gmin niepokoiła się nowymi subsydiami, których miano od niej zażądać, a także wieścią o nowych podatkach od wełny. Na co szły te pieniądze?

Na co zużył Mortimer trzydzieści tysięcy funtów haraczu od Szkotów? Czy na jego użytek, czy też królestwa toczyła się przed trzema laty ta ciężka wojna? Po co wynagradzać ponurego barona Maltraversa poza urzędem seneszala jeszcze tysiącem funtów jako zapłatą za straż nad królem, czyli innymi słowy za mord? O wszystkim bowiem wiadomo lub raczej wszystko z czasem staje się wiadome, a rachunki skarbowe nie mogą wiecznie być tajne. Oto na co służy dochód z podatków! A Ogle i Gournay, przyboczni Maltraversa, i Daverill, komendant Corfe; tyle samo otrzymali.

Mortimera - jadącego drogą do Nottingham z takim przepychem, że sam młody król wydawał się należeć do jego świty - w istocie popierała tylko setka zwolenników zawdzięczających mu karierę; byli oni potężni tylko w jego służbie i groziła im niełaska, banicja lub szubienica, gdyby on upadł.

Sądził, że ma posłuch, ponieważ sieć szpiegowska - nawet przy królu w osobie Jana Wynyarda - donosiła mu o wszystkich wypowiadanych słowach i wprawiała w wahanie spiskowców. Sądził, że jest potężny, ponieważ jego zastępy wzbudzały lęk w Izbach Lordów i Gmin. Ale zastępy mogą maszerować pod innym dowództwem, a szpiedzy zdradzić.

Władza bez zgody tych, którymi rządzi, jest oszustwem i nigdy nie trwa długo, jest niesłychanie kruchą równowagą i nagle załamuje się, gdy dostateczna ilość ludzi sobie uświadomi, że dzieli te same przekonania.

Mortimer jadąc na siodle haftowanym złotem i srebrem, otoczony giermkami odzianymi w szkarłat z jego proporczykami na kopiach - po grząskiej posuwał się drodze.

Podczas podróży Edward III zauważył, że matka wygląda na chorą, twarz miała ziemistą i ściągniętą, w oczach czaiło się zmęczenie. Jechała w lektyce, a nie jak zwykle na białej klaczy; często należało zatrzymywać lektykę, bo kołysanie wywoływało u królowej mdłości. Zachowanie się Mortimera wobec niej cechowały troskliwość i skłopotanie.

Może Edward mniej by uwagi zwracał na owe objawy, gdyby w początku roku nie obserwował takich samych oznak u Pani Filipy, swej małżonki. Poza tym w podróży służba więcej między sobą pogaduje; kobiety królowej matki plotkowały ze służebnymi Pani Filipy. Gdy zatrzymano się w Yorku na dwudniowy postój, Edward nie miał już wątpliwości: jego matka jest w ciąży.

Czuł, że zalewa go wstyd i niesmak. A także zazdrość; zazdrość najstarszego syna wzmacniała urazę.

Już utracił piękny i szlachetny wizerunek matki z okresu swego pacholęctwa.

“Z powodu niej znienawidziłem własnego ojca, z powodu hańby, jaką ją okrywał. A oto teraz ona sama mnie hańbi! Czterdziestoletnia matka bastarda, który będzie młodszy od mego rodzonego syna!”

Czuł się upokorzony jako król wobec swego królestwa, jako mąż wobec żony.

W Yorku, w komnacie zamkowej wiercił się między prześcieradłami i nie mogąc zasnąć mówił do Filipy:

- Czy pamiętasz, moja miła, właśnie tu braliśmy ślub... Ach, bardzo smutne zgotowałem ci panowanie!

Filipa, spokojna i rozważna, mniej brała sobie do serca owo wydarzenie; lecz będąc dość wstydliwa, osądzała.

- Takich rzeczy - rzekła - nie ujrzałbyś na francuskim dworze.

- Ach! moja duszko... A wiarołomstwo waszych burgundzkich kuzynek?... A wasi królowie otruci?

Naraz ród Kapetyngów stał się rodem Filipy, jakby on sam zeń nie pochodził.

- We Francji panują dworniejsze obyczaje - odrzekła Filipa - ludzie nie ujawniają swych namiętności, są mniej okrutni w urazach.

- Są bardziej skryci, bardziej podstępni. Wolą truciznę niż żelazo...

- Wy tutaj jesteście brutalniejsi...

Milczał. Bojąc się, że go obraziła, wyciągnęła ku niemu ramię okrągłe i miękkie.

- Bardzo cię kocham, mój przyjacielu, bo ty nie jesteś wcale do nich podobny...

- I to nie tylko hańba - podjął Edward - lecz i niebezpieczeństwo...

- Co masz na myśli?

- Myślę, że Mortimer jest zdolny wszystkich nas zgładzić i poślubić moją matkę, żeby kazać siebie uznać za regenta, a swego bastarda osadzić na tronie...

- Tak myśleć to szaleństwo! - rzekła Filipa.

Oczywiście podobny przewrót, który pociągnąłby za sobą podeptanie wszystkich praw, tak kościelnych, jak i dynastycznych, byłby nie do pomyślenia w zwartym państwie; lecz wszystko zajść może, nawet najbardziej obłąkane wydarzenia, w królestwie rozdartym, wydanym na pastwę walki stronnictw.

- Jutro zwierzę się Montaigu - rzekł młody król.

Przybywszy do Nottingham lord Mortimer przejawiał wielką niecierpliwość, despotyzm i rozdrażnienie, bo Jan Wynyard zauważył na ostatnim odcinku podróży liczne rozmowy, chociaż nie mógł przeniknąć ich treści - między królem, Montaigu i kilku młodymi lordami.

Mortimer uniósł się na zastępcę komendanta zamku, sir Edwarda Bohuna, który miał polecenie przydzielić pomieszczenia i, zresztą wedle zwyczaju, przewidział kwatery dla wielkich panów w obrębie zamku.

- Jakim prawem - krzyczał Mortimer - nie porozumiewając się ze mną przydzieliliście apartamenty w pobliżu komnat królowej matki?

- Sądziłem, Milordzie, że hrabia Lancaster...

- Hrabia Lancaster, jak i wszyscy pozostali, winni zamieszkać przynajmniej o milę od zamku.

- A wy, Milordzie?

Mortimer zmarszczył brwi, jakby to pytanie samo w sobie stanowiło obrazę.

- Mój apartament będzie przylegał do apartamentu królowej matki, a wy każcie konstablowi, aby jej co wieczór oddawał klucze od wrót zamku.

Edward Bohun skłonił się.

Zdarzają się niekiedy ostrożności zgubne. Mortimer chciał uniknąć komentarzy o stanie królowej matki, chciał także odosobnić króla, a to pozwoliło młodym lordom zbierać się i porozumiewać o wiele swobodniej z dala od zamku i szpiegów Mortimera.

Lord Montaigu wybrał spośród swych przyjaciół najbardziej zdaniem jego śmiałych, w większości młodzieńców między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia: lordów Molinsa, Hafforda, Stafforda, Clintona, a także Jana Nevila z Horneby i czterech braci Bohun: Edwarda, Humphreya, Williama i Jana, mianowanego hrabią na Hereford i Essex. Młodzi tworzyli stronnictwo królewskie. Mieli oni błogosławieństwo Henryka Lancastera, a nawet więcej niż błogosławieństwo.

Ze swej strony Mortimer obradował w zamku w towarzystwie kanclerza Burghersha, Szymona Bereforda, Jana Monmoutha, Jana Wynyarda, Hugona Turplingtona i Maltraversa; radził się ich, w jaki sposób zapobiec rozwojowi nowego sprzysiężenia.

Biskup Burghersh czując, że wiatr się zmienia, okazał się mniej skłonnym do surowości; osłaniał się powagą kościelną i namawiał do pojednania. Ongiś w samą porę potrafił prześliznąć się ze stronnictwa Despensera do stronnictwa Mortimera.

- Dość aresztów, procesów i krwi - mówił. - Może jakieś zaspokojenie życzeń w postaci dóbr, pieniędzy lub zaszczytów...

Mortimer przerwał mu wzrokiem; oczy jego o równo wykrojonych powiekach, pod krzaczastymi brwiami, jeszcze potrafiły przyprawić o drżenie; biskup Lincolnu zamilkł.

Tymczasem o tejże porze lord Montaigu zdołał porozumieć się na uboczu z Edwardem III.

- Błagam was, szlachetny mój królu - mówił - nie tolerujcie dłużej intryg ze strony człowieka, który kazał zamordować waszego ojca, ściął waszego stryja i znieprawił waszą matkę. Przysięgliśmy przelać naszą krew po ostatnią kroplę, aby was od niego uwolnić. Na wszystko jesteśmy gotowi; trzeba nam jednak pośpiesznie działać i w tym celu musimy dość licznie wtargnąć do zamku, gdzie nikt z nas nie mieszka.

Młody król chwilę rozważał.

- Teraz, Williamie, w pełni czuję - wyrzekł - że was bardzo miłuję.

Nie powiedział, "że wy mnie bardzo miłujecie". Cecha duszy prawdziwie królewskiej; nie wątpił, że się pragnie mu służyć; najważniejsze dlań było świadomie obdarzać swym zaufaniem i uczuciem.

- Idźcie więc - mówił dalej - w moim imieniu do konstabla zamku, sir Williama Elanda, i proście go, by z mego rozkazu wypełnił to, czego odeń zażądacie.

- Przeto, mój panie - rzekł Montaigu - niech Bóg nas wspiera.

Wszystko teraz zależało od Elanda, od tego, czy się go zjedna i czy okaże się wiernym; - jeśliby ujawnił zabiegi Montaigu - spiskowcy byliby zgubieni, a może nawet i sam król. Lecz sir Edward Bohun ręczył, że skłania się on ku słusznej sprawie, choćby dlatego, że Mortimer od przybycia do Nottingham traktował go jak pachołka.

William Eland nie zawiódł lorda Montaigu, przyrzekł mu, że w miarę możności podporządkuje się jego rozkazom, i przysiągł dochować tajemnicy.

- Przeto ponieważ jesteście z nami - rzekł doń Montaigu - przekażcie mi dziś wieczór zamkowe klucze.

- Milordzie - odparł konstabl - wiedzcie, że kraty i drzwi zamykane są co wieczór, a klucze przekazuję królowej matce, która je aż do rana przechowuje pod swoją poduszką. Wiedzcie takoż, że zwykłe straże zamkowe zostały zluzowane i zastąpione czterystu ludźmi z osobistych zastępów lorda Mortimera.

Montaigu ujrzał, że wszystkie jego nadzieje się rozwiewają.

- Ale znam tajemną drogę wiodącą ze wsi aż do zamku - podjął Eland. - Są to lochy, które kazali wydrążyć saksońscy królowie, aby wymknąć się Duńczykom, gdy ci pustoszyli cały kraj. Królowa Izabela nie zna tych podziemi ani lord Mortimer lub jego słudzy, nie miałem żadnego powodu im ich pokazywać; kończą się one w środku zamku, w stołpie, a stamtąd musicie dotrzeć nie zauważeni przez nikogo.

- Jak znajdziemy wejście od strony wsi?

- Ja będę z wami, Milordzie.

Lord Montaigu po raz drugi szybko naradził się z królem; po czym wieczorem wsiadł na koń wraz z braćmi Bohun, innymi spiskowcami oraz konstablem Elandem, i opuścił miasto oświadczając wielu osobom, że Nottingham jest dla nich miejscem niezbyt bezpiecznym.

Natychmiast doniesiono Mortimerowi o tym wyjeździe nader podobnym do ucieczki.

- Wiedzą, że ich wykryliśmy, i sami się ujawniają. Jutro każę ich pojmać i stawić przed Parlamentem. Chodźmy, moja duszko, noc będzie spokojna - rzekł do królowej Izabeli.

Około północy, po drugiej stronie stołpu, w komnacie o ścianach z granitu, oświetlonej jedynie nocną lampką, Pani Filipa pytała męża, dlaczego nie kładzie się, a na brzegu łoża wciąż siedzi w kolczudze pod królewską szatą i z krótkim mieczem u boku.

- Dziś w nocy mogą zajść wielkie rzeczy - odparł Edward.

Filipa była nadal spokojna na pozór i łagodna, lecz serce biło jej gwałtownie w piersi; przypomniała sobie rozmowę w Yorku.

- Czy myślicie, że on zechce was zamordować?

- To też może nastąpić.

W przyległym pokoju rozległ się szmer ściszonych głosów i Gautier de Maunay, wyznaczony przez króla do straży w przedpokoju, dyskretnie zapukał do drzwi. Edward poszedł mu otworzyć.

- Konstabl jest tam, Miłościwy Panie, a z nim reszta.

Edward powrócił, by ucałować czoło Filipy; chwyciła jego palce, chwilę mocno je ściskała i szepnęła:

- Niech Bóg cię strzeże!

Gautier de Maunay zapytał:

- Czy mam wam towarzyszyć, Miłościwy Panie?

- Zamknij szczelnie drzwi za mną i czuwaj nad Panią Filipą.

Na trawniku wokół stołpu, w świetle księżyca, zgromadzeni przy studni czekali spiskowcy - cienie zbrojne w miecze i topory.

Młódź królestwa owinęła stopy szmatami; król poniechał tego środka ostrożności i tylko jego krok dźwięczał na flizach długich korytarzy. Tylko jedna pochodnia oświetlała ów pochód.

Gdy słudzy leżący wprost na gołej podłodze podnosili się zaspani, szeptano im: “król”, a oni nie ruszali się z miejsca, kurczyli się, zaniepokojeni ową nocną przechadzką zbrojnych panów, lecz nie chcieli wiedzieć za wiele.

Bójka wybuchła dopiero w przedpokoju apartamentów królowej Izabeli, gdzie sześciu giermków postawionych tu na straży przez Mortimera odmówiło otwarcia przejścia, mimo że sam król tego żądał. Walka trwała krótko, jedynie Jan Nevil z Horneby został ranny, włócznia przeszyła mu ramię; wartownicy otoczeni i rozbrojeni przylgnęli do ścian; walka toczyła się ledwie minutę, lecz zza grubych drzwi usłyszano krzyk, który się wyrwał z gardła królowej matki. Po czym rozległ się zgrzyt zasuwanych sztab.

- Lordzie Mortimerze, wyjdźcie! - rozkazał Edward III. - Wasz król przyszedł was aresztować.

Mówił wyraźnym, donośnym głosem jak na polu bitwy, głosem, jaki słyszał tłum Yorku w dzień jego ślubu.

Jedyną odpowiedzią był szczęk miecza dobywanego z pochwy.

- Mortimerze, wyjdźcie! - powtórzył młody król.

Czekał jeszcze kilka sekund, po czym nagle chwycił z rąk młodego lorda najbliższy topór i z całą siłą ciął nim w drzwi.

Ów cios toporem był wyrazem zbyt długiego oczekiwania na stwierdzenie własnej królewskiej władzy, końcem osobistych upokorzeń, kresem wyroków wydawanych wbrew jego woli; był wyzwoleniem Parlamentu; przywracał honor lordom, a królestwu praworządność. Lśniące żelazo utkwione w ciemnym dębie wyraźniej zapoczątkowało jego panowanie niż dzień koronacji, a cios ów - głośny trzask drzewa - rozniósł się echem pod sklepieniami zamku Nottingham.

Dziesięć następnych toporów uderzyło w drzwi i wkrótce ciężkie podwoje ustąpiły.

Roger Mortimer stał pośrodku komnaty; zdążył wciągnąć nogawice; biała koszula była rozchełstana na piersi, w ręku dzierżył miecz.

Oczy barwy kamienia lśniły pod gęstymi brwiami, szpakowate, rozczochrane włosy okalały surową twarz; wiele jeszcze siły tkwiło w tym mężczyźnie.

Przy nim Izabela, mając policzki skąpane we łzach, drżała z zimna i strachu; szczupłe, bose stopy tworzyły na kamiennych płytach dwie jasne plamy. W sąsiedniej komnacie widniała rozrzucona pościel.

Młody król pierwsze spojrzenie skierował na brzuch królowej matki zarysowany wypukło pod nocną szatą. Nigdy Edward III nie przebaczy Mortimerowi, że matkę, w jego wspomnieniach tak piękną i dzielną wobec przeciwieństw losu, tak okrutną w triumfie, lecz zawsze wspaniale królewską, poniżył do stanu samiczki zrozpaczonej, że odbierają jej samca, który ją zapłodnił, i załamującej z jękiem dłonie.

- Mój synu, mój cudny synu, zaklinam was, oszczędźcie szlachetnego Mortimera!

Stanęła między synem a kochankiem.

- A czy oszczędził on waszą cześć? - spytał Edward.

- Nie wyrządzajcie krzywdy jego ciału - krzyknęła Izabela. - Jest śmiałym rycerzem, naszym umiłowanym przyjacielem; pamiętajcie, że jemu zawdzięczacie tron!

Spiskowcy się wahali. Czy nastąpi walka i czy na oczach królowej trzeba będzie zabić Mortimera?

- Dostatecznie sobie zapłacił za przyśpieszenie mego panowania! Dalejże, lordowie, pojmać go - rzekł młody król odsuwając matkę i dając znak towarzyszom, by się zbliżyli.

Montaigu, Bohunowie, lord Molins i Jan Nevil z ramieniem zbroczonym krwią, choć nie zwracał na nie uwagi, otoczyli Mortimera. Dwa topory uniosły się nad nim, trzy ostrza skierowały w jego ciało, dłoń spadła mu na ramię, by zmusić do wypuszczenia trzymanego miecza. Pchnięto go do drzwi. Przekraczając próg Mortimer obrócił się.

- Żegnaj, Izabelo, moja królowo - zawołał - miłowaliśmy się bardzo.

Była to prawda. Największa, najgłośniejsza, najbardziej niszczycielska miłość owego wieku, zrodzona jak bohaterski czyn rycerski, a która wzruszyła wszystkie dwory europejskie, a nawet Stolicę Apostolską, ta namiętność, która zgromadziła flotę, uzbroiła wojska, trawiła się w despotycznej i krwawej władzy, kończyła się wśród toporów w blaskach dymiącej pochodni. Zawiedziono do więzienia Rogera Mortimera, ósmego barona na Wigmore, byłego Wielkiego Sędziego Irlandii, pierwszego hrabiego na Marchiach; jego królewska kochanka padła w koszuli u stóp łoża.

Zanim świt nastał, pojmano Bereforda, Daverilla, Wynyarda i głównych sługusów Mortimera; puszczono się w pościg za seneszalem Maltraversem, Gournayem i Ogle'em, trzema mordercami Edwarda II, którzy czym prędzej uciekli.

Rankiem tłum zgromadził się na ulicach Nottingham i głosił swą radość na widok eskorty otaczającej wózek, a na nim - najwyższa hańba dla rycerza - Mortimera w łańcuchach. Krzywoszyjek z uchem na ramieniu stał wśród ludu w pierwszym rzędzie i mimo że chore jego oczy ledwie dostrzegały pochód, podskakiwał i podrzucał w górę swą czapę.

- Dokąd go wiozą? - pytali ludzie.

- Do londyńskiej wieży.

III - Droga na Common Gallows

W Tower kruki żyją podobno bardzo długo, przeszło sto lat. Tenże olbrzymi kruk, czujny i podstępny, który przed siedmiu laty przez kraty w okienku usiłował dziobnąć więźnia w oko, powrócił, by wartować przed celą.

Czy na pośmiewisko wyznaczono Mortimerowi niegdysiejszą ciemnię? Tam gdzie ojciec trzymał go pod kluczem, tam z kolei więził go i syn. Mortimer rozmyślał, że w jego charakterze, w jego osobie tkwi coś, czego nie mogą ścierpieć królowie, czy też on nie mógł ścierpieć zwierzchnictwa monarchów. W każdym razie król i on nie mogli współżyć w tym samym narodzie i jeden z nich musiał zginąć. Zgładził jednego króla, następny król jego zgładzi. Wielkie to nieszczęście urodzić się z duszą monarchy i nie być przeznaczonym do panowania.

Mortimer tym razem nie miał ani nadziei, ani chęci ucieczki. Zdawało mu się, że umarł, i to już w Nottingham. Dla ludzi takich jak on, owładniętych dumą, o wygórowanych ambicjach, które się wyżywały w ciągu pewnego okresu, upadek oznacza śmierć. Prawdziwy Mortimer już po wieczne czasy został wpisany do angielskich kronik; ciemnica w Tower zawierała tylko jego cielesną, lecz zobojętniałą powłokę.

Rzecz dziwna, owa powłoka powróciła do dawnych nawyków. Podobnie jak wraca się po dwudziestu latach do domu swego dzieciństwa i odruchowo kolanem pcha się otwierane drzwi, bo w mięśniach tkwi jeszcze pamięć tego odruchu, lub też stawia się nogę na najszerszym miejscu stopnia, by ominąć wytarty, tak samo Mortimer odzyskał gesty nabyte w czasie poprzedniego pobytu w więzieniu. Nocą mógł zrobić kilka kroków, nigdy się nie obijając, od okienka aż do ściany; ledwie wszedł, posunął stołek na dawne miejsce; rozpoznał, i to bez żadnego wysiłku, znane odgłosy: zmiany warty, dzwonek na mszę w kaplicy Świętego Piotra. Wiedział, o jakiej porze przyniosą mu posiłek. Jadło było nieco mniej podłe niż za czasów niegodziwca Seagrave'a.

Odmówiono mu usług golarza, ponieważ za pierwszym razem balwierz Ogle posłużył Mortimerowi za łącznika przy realizacji planu ucieczki. Po miesiącu twarz mu zarosła. Lecz poza tą drobnostką wszystko było podobne, nawet ten kruk ongiś nazwany przez Mortimera “Edwardem”, a który udawał, że śpi, i od czasu do czasu otwierał okrągłe oczko, zanim wsunął gruby dziób przez kraty.

Ach tak! Czegoś brakowało: smętnych monologów starego lorda Mortimera na Chirk, leżącego na desce służącej mu za posłanie... Obecnie Roger Mortimer pojmował, dlaczego ongiś stryj odmówił mu towarzyszenia w ucieczce. Nie stało się to z obawy ryzyka ani ze słabości ciała, człowiek zawsze ma dość sił, aby próbować ucieczki, choćby miał paść po drodze. Powstrzymało lorda na Chirk uczucie, iż życie się skończyło, i ono mu nakazało oczekiwać kresu na tym wyrku.

Śmierć naturalna nie spotka Rogera Mortimera liczącego ledwie czterdzieści pięć lat. Odczuwał niejaki lęk, gdy patrzył na środek Green, miejsce, gdzie zazwyczaj stawiano pień. Ale człowiek przyzwyczaja się do nadchodzącej śmierci, bowiem myśli jego układają się w prosty, logiczny ciąg, zakończony melancholijną akceptacją; Mortimer mówił sobie, że podstępny kruk będzie nadal żył i szydził z następnych więźniów; nadal żyć będą tłuste, mokre szczury, nocą wyłażące z bagnistych

brzegów Tamizy, i będą nadal przebiegały flizy warowni; także pchła, która gryzła go pod koszulą, w dzień egzekucji skoczy na kata i będzie żyła nadal. Każde życie, które uchodzi z tego świata, pozostawia życie innych nienaruszone. Nie ma rzeczy bardziej zwykłej niż śmierć.

Kilkakrotnie bez tęsknoty i wyrzutów rozmyślał o swej żonie, lady Joannie. Trzymał ją dostatecznie daleko od zasięgu swej władzy, by istniał jakikolwiek powód do mszczenia się na niej. Niewątpliwie pozostawią w jej władaniu osobiste dobra. Synowie? Oczywiście będą musieli ponieść skutki nienawiści, jaka go otaczała, ale jako że mało było danych, iż staną się ludźmi tak wybitnymi jak on i o tak wygórowanych ambicjach, co go obchodzi, czy będą czy też nie hrabiami na Marchiach? Wielki Mortimer to on lub raczej ten, co był nim ongiś. Nie odczuwał wyrzutów ani wobec żony, ani synów.

Królowa?... Królowa pewnego dnia umrze i z tą chwilą nie będzie istniała na ziemi żadna istota, która by go naprawdę znała. Dopiero myśląc o Izabeli odczuwał, że coś go jeszcze łączy z życiem. Umarł w Nottingham, tak, ale pamięć jego miłości żyła nadal, tak jak włosy uparcie rosną, mimo że serce bić przestało. Oto wszystko, co pozostało dla katowskiego topora. Gdy odłączy on głowę od ciała, unicestwi wspomnienie rąk królowej oplatających tę szyję.

Mortimer jak co rano spytał o datę. Był dzień 29 listopada. Parlament przeto musiał się zebrać i więzień oczekiwał wezwania. Znał dostatecznie tchórzostwo zgromadzeń, aby wiedzieć, że nikt nie stanie w jego obronie, wprost przeciwnie, Izby Lordów i Gmin spiesznie pomszczą się za lęk, jaki w nich wzbudzał.

Wyrok został już ogłoszony w komnacie w Nottingham. Nie sąd odbędzie się nad nim, ale tylko pozór sądu, niezbędna formalność, całkiem jak ongiś wyroki z jego rozkazu.

Dwudziestoletni monarcha rwący się do rządów, młodzi lordowie rwący się do zawładnięcia faworami królewskimi musieli go usunąć, żeby zapewnić sobie władzę.

“Moja śmierć dla tego małego Edwarda jest niezbędnym uzupełnieniem jego sakry... Jednakże nie będą lepiej rządzili ode mnie. Lud nie będzie bardziej rad pod ich władzą. Tam, gdzie mnie się nie udało, komuż się uda:?”

Jaką należy przybrać postawę przed fikcją sądu? Korzyć się jak hrabia Kentu? Bić w piersi, błagać o przebaczenie boso i z powrozem na szyi wyznając żal za swe winy? Trzeba by posiadać namiętne przywiązanie do życia, aby narzucić sobie taką upokarzającą komedię! “Nie popełniłem żadnego błędu. Byłem najsilniejszy i takim byłem do końca, aż inni, chwilowo silniejsi, mnie obalili. To wszystko.”

A może lżyć. Po raz ostatni stanąć przed tym Parlamentem baranów i rzucić mu: “Chwyciłem za broń przeciw Edwardowi II. Lordowie, któryż z was, co dziś mnie sądzicie, nie poszedł naonczas za mną?... Uciekłem z londyńskiej wieży. Lordowie-biskupi, któryż z was, co dziś mnie sądzicie, nie dostarczył mi pomocy i srebra, bym odzyskał wolność?... Ocaliłem królową Izabelę od śmierci z rąk faworytów jej małżonka, uzbroiłem flotę i zebrałem wojska, które uwolniły was od Despenserów, złożyłem z tronu znienawidzonego przez was króla i kazałem ukoronować jego syna, który dziś mnie sądzi. Lordowie, hrabiowie i biskupi oraz wy, panowie z Izby Gmin, któryż z was mnie za to

wszystko nie sławił, a nawet za miłość królowej do mnie? Możecie tylko mi zarzucić, że działałem zamiast was i próżno zajadle mnie szarpiecie, by przez śmierć jednego zapomnieć o tym, co było obowiązkiem wszystkich".

"A może milczeć... Odmówić odpowiedzi podczas przesłuchania, odrzucić własną obronę, nie kwapić się z usprawiedliwieniami. Pozwolić wyć psom nie trzymanym pod batem... Ale ileż miałem racji, że ich trzymałem w strachu!"

Z tych rozważań wyrwał go odgłos kroków. "Nadeszła chwila" - powiedział sobie.

Otwarły się drzwi i ukazali się zbrojni sierżanci usuwając się, by dać przejście bratu zmarłego hrabiego Kentu, hrabiemu Norfolku, marszałkowi Anglii, a za nim lordowi-burmistrzowi i szeryfom Londynu, a takoż kilku przedstawicielom Izb Lordów i Gmin. Wszyscy nie mogli zmieścić się w celi i głowy cisnęły się w wąskim korytarzu.

- Milordzie - rzekł hrabia Norfolku - przychodzę z rozkazu króla przeczytać wam wyrok na was wydany przez zgromadzony przedwczoraj Parlament.

Ku zaskoczeniu obecnych Mortimer uśmiechnął się na to oświadczenie. Uśmiech spokojny i pogardliwy kierował się nie ku nim, lecz ku własnej osobie. Wyrok został wydany już przed dwoma dniami bez stawiennictwa, bez przesłuchania, bez obrony... gdy on przed chwilą troskał się, jaką przybrać postawę wobec swych oskarżycieli. Próżna troska!

Wymierzono mu ostatnią nauczkę; równie dobrze mógł ongiś wyzbyć się wszelkich formalności sądowych wobec Despenserów, hrabiego Arundela, hrabiego Kentu.

Koroner dworu królewskiego jął czytać wyrok:

- "Zważywszy, że Parlament obradujący w Londynie niezwłocznie po koronacji naszego Miłościwego Króla wydał zarządzenie, aby w Radzie Królewskiej zasiadało pięciu biskupów, dwóch hrabiów i pięciu baronów, oraz że żadne postanowienie nie może zapaść poza ich wiadomością, a rzeczony Roger Mortimer bez względu na wolę Parlamentu przywłaszczył sobie władzę i rządy w Królestwie, usuwając i mianując wedle swej woli urzędników na dworze króla i w całym Królestwie, aby wprowadzić własnych przyjaciół wedle swej zachcianki...

Stojąc oparty o mur, położywszy dłoń na okiennej kracie Roger Mortimer patrzył na Green i zdawał się ledwie słuchać czytanego wyroku. ... Zważywszy, że na rozkaz parów królewskich ojciec naszego króla odprowadzony do zamku Kenilworth, aby tam zamieszkiwać i być traktowany zgodnie z jego godnością wielkiego księcia, rzeczony Roger nakazał odmawiać mu wszystkiego, czegokolwiek ów żądał, i kazał go przewieźć do zamku Berkeley, gdzie z rozkazu rzeczonego Rogera był on niecnie traktowany oraz haniebnie zamordowany...

- Precz, podły ptaku - ku zdziwieniu obecnych krzyknął Mortimer, bo podstępny kruk z całych sił dziobnął go w grzbiet dłoni.

- "Zważywszy, że na rozkaz królewski z przyłożoną wielką pieczęcią zostało wzbronione wojskiem

wkraczać na salę obrad Parlamentu, a to pod groźbą popełnienia przestępstwa, podczas obrad w Salisbury rzeczony Roger wraz ze zbrojną świtą jednakże tam wtargnął, tym sposobem pogwałciwszy zarządzenie króla...”

Szereg zarzutów ciągnął się w nieskończoność. Obwiniano Mortimera o zbrojną wyprawę przeciw hrabiemu Lancasteru, otaczanie młodego monarchy szpiegami “...co zmuszało go, by postępował raczej jako więzień niż król”; o przywłaszczenie rozległych włości przynależnych do korony; o wyzucie z dóbr, wymuszanie okupów, banicję wielu baronów; o uknutą intrygę, aby wpoić w hrabiego Kentu przekonanie, że ojciec króla nadal żyje, “co skłoniło rzeczonego hrabiego do sprawdzenia stanu rzeczy w sposób najbardziej uczciwy i szlachetny”; o uzurpację władzy królewskiej w przekazaniu hrabiego Kentu Parlamentowi i wymuszenie wyroku śmierci; o sprzeniewierzenie funduszy przeznaczonych na opłacenie wojny w Gaskonii, a takoż trzydziestu tysięcy marek w srebrze wpłaconych przez Szkotów w wykonaniu traktatu pokojowego; o położenie ręki na Skarbie Królewskim, co spowodowało, że król nie mógł żyć wedle swego stanu. Oskarżono jeszcze Mortimera, że rozpalił niezgodę między ojcem króla a królową małżonką “odpowiedzialny będąc za spowodowanie, że królowa nigdy nie wróciła do swego pana, by dzielić z nim łoże ku wielkiej hańbie króla i całego królestwa”, a wreszcie, że pozbawił czci królową “ukazując się jawnie jako jej publiczny kochanek”.

Mortimer utkwił oczy w sufit i gładząc brodę znów się uśmiechał; odczytano cały jego życiorys, który w tej osobliwej formie na wieczność stanie się częścią składową archiwów królestwa.

- “Z tych przyczyn król zwrócił się do hrabiów, baronów oraz pozostałych członków Izb, aby wydali sprawiedliwy wyrok na rzeczonego Rogera Mortimera; po czym Parlament zebrawszy się przyjął to do wiadomości oświadczając, że wszystkie wymienione winy były zgodne z prawdą, publicznie stwierdzone, znane całemu ludowi, a zwłaszcza punkt tyczący śmierci króla w zamku Berkeley. Z tych względów cały Parlament postanowił, aby rzeczony Roger, zdrajca i wróg króla oraz królestwa, był włóczony, a następnie powieszony...

Mortimer lekko drgnął. A więc nie szafot? Do końca spotykały go niespodzianki.

-... a takoż wyrok ma być nieodwołalny, jak sam rzeczony Mortimer niegdyś postanowił w procesach obu Despenserów oraz zmarłego lorda Edmunda hrabiego Kentu i stryja króla.”

Skryba zakończył i zwijał rulon. Hrabia Norfolku, brat hrabiego Kentu, patrzył Mortimerowi w oczy. Co też ten robił, cicho siedział w ciągu ostatnich miesięcy, a teraz przybiera minę mściciela i sędziego? Z powodu tego spojrzenia naszła Mortimera chęć powiedzieć... och! króciutko, tylko by rzec hrabiemu marszałkowi, a przezeń królowi, doradcom, Izbom Lordów i Gmin, duchowieństwu, całemu ludowi:

- Gdy w królestwie Anglii pojawi się człowiek zdolny dokonać takich czynów, jakie wyście wymienili, znów mu będziecie służyć, jakeście i mnie służyli. Ale nie sądzę, by się wnet narodził... Czas z tym skończyć: Czy teraz mnie poprowadzicie?

Zdawał się jeszcze wydawać polecenia i nakazywać własną egzekucję.

- Tak, Milordzie - rzekł hrabia Norfolku - teraz. Wiedziemy was na Common Gallows.

Common Gallows, szubienica złodziei, bandytów, fałszerzy, rajfurów, szubienica wszelakiej kanalii...

- Dobrze, chodźmy! - wyrzekł Mortimer.

- Ale przedtem musicie się rozdziać na włóczenie.

- Świetnie, zdejmijcie ze mnie szaty.

Zdjęli zeń odzież, pozostawiając tylko płótno wokół bioder. Tak oto wyszedł, nagi wśród ciepło odzianej eskorty, na listopadową mżawkę. Wysoka, muskularna sylwetka odcinała się jasną plamą na tle ciemnych szat szeryfów i żelaznych kolczug straży.

Na Green stało włóczydło zbudowane z chropawych desek położonych na dwóch płozach, przyprzężone do konia.

Mortimer zachował swój pogardliwy uśmiech na widok tego zaprzęgu. Ileż troski, ileż dbałości, by go upokorzyć. Bez niczyjej pomocy położył się; przywiązano mu nadgarstki i kostki u nóg do drewnianych poprzeczek; po czym koń ruszył i włóczydło jęło się ślizgać po trawniku Green, później zachrobotało na żwirze i brukowanej drodze.

Za nim postępowali: marszałek Anglii, lord-burmistrz, przedstawiciele Parlamentu, konstabl z Tower; żołnierska eskorta z włóczniami na ramionach torowała drogę i osłaniała pochód.

Orszak wyszedł z warowni przez Traitors Gate, gdzie czekał tłum ciekawski, wzburzony, okrutny, wciąż rosnąc wzdłuż drogi.

Gdy się zazwyczaj patrzyło na tłum z wysokości konia lub trybuny, dziwne wrażenie sprawia nagle oglądać go z ziemi, widzieć te wszystkie poruszające się podbródki, usta wykrzywione krzykiem, tysiące rozdętych nozdrzy. Ludzie tak oglądani mają naprawdę paskudne twarze, nie wyłączając kobiet, śmieszne i złośliwe, okropne gęby rzygaczy, których nie dość się policzkowało, gdy samemu się stało. Gdyby nie ta mżawka padająca mu prosto w oczy, Mortimer potrząsany i podrzucany na włóczydle mógłby wyraźniej oglądnąć te różnorodne oblicza nienawiści.

Coś lepkiego i miękkiego uderzyło go w policzek i ściekło na brodę; Mortimer pojął: to plwocina... A później ostry, przenikliwy ból wskroś go przeszył; podła ręka rzuciła kamieniem w podbrzusze. Gdyby nie włócznicy, tłum upojony własnym wrzaskiem byłby go rozszarpał na miejscu.

Sunął pod dźwięcznym sklepieniem obelg i przekleństw, on, co przed sześciu laty na wszystkich drogach Anglii słyszał tylko wiwaty. Tłum posiada dwa głosy: jeden nienawiści, a drugi - radości; co za dziwo, że tyle gardeł wrzeszcząc naraz może wydawać dwa tak różne dźwięki.

Nagle zapadła cisza. Czy już dojechali pod szubienicę? Lecz nie; wkroczyli do Westminsteru i włóczydło jechało powoli przed oknami, gdzie tłoczyli się członkowie Parlamentu. Patrzyli w milczeniu niby na rosochate drzewo włóczone po bruku, na tego, co przez tyle miesięcy naginał ich

do swej woli.

Mortimer oczami wypełnionymi kroplami deszczu szukał tylko jednego spojrzenia. Może w nadmiarze okrucieństwa zmuszono królową Izabelę, by oglądała jego kaźń? Lecz jej nie dostrzegł.

Później pochód skierował się ku Tyburn. Po przybyciu na Common Gallows rozwiązano skazańca i zmuszono go do pospiesznej spowiedzi. Po raz ostatni Mortimer górował nad tłumem, tym razem z wysokości szafotu. Cierpiał mało, nagle poderwany przez kata powróz przerwał mu kręgi.

W tym dniu królowa Izabela przebywała w Windsorze, gdzie powoli wracała do zdrowia, straciwszy jednocześnie kochanka i dziecko, którego odeń oczekiwała.

Król Edward zawiadomił matkę, że przybędzie, by spędzić z nią święta Bożego Narodzenia.

IV - Zły dzień

W domu Poczciwuszki Beatrycze d'Hirson patrzyła przez okno na deszcz, w którym mokła ulica Mauconseil. Od dwóch godzin czekała na Roberta d'Artois, przyrzekł ją odwiedzić dziś po południu. Ale Robert nigdy nie dotrzymywał swych obietnic ani w sprawach drobnych, ani ważkich i Beatrycze uważała się za bardzo głupią, że mu jeszcze wierzy.

W oczach kobiety oczekującej mężczyzna jest wszystkiemu winien. Czyż Robert nie przyrzekał jej także, i to prawie od roku, że będzie damą dworu w jego pałacu? W gruncie rzeczy nie różnił się od swej stryjny; wszyscy Artois są do siebie podobni. Niewdzięcznicy! Padało się na nos spełniając ich wolę; biegało po zielarkach i czarownikach, mordowało się w ich służbie, narażało na stryczek lub stos... Bo nie Dostojnego Pana Roberta aresztowano by, gdyby przyłapano Beatrycze na dosypywaniu arszeniku do wywarów dla Pani Mahaut albo soli rtęciowej do pucharu Joanny Wdowy. Rzekłby: "Nie znam tej kobiety! Powiada, że działała z mego rozkazu? Łgarstwo. Należała do dworu mojej stryjny, a nie mojego. Wymyśla bajki, żeby się ratować. Każcie ją łamać kołem!" Któż by się wahał między słowem księcia krwi, szwagra króla, a słowem jakiejś tam bratanicy biskupa, której rodzina nawet nie jest w łaskach?

"I po co to wszystko robiłam - myślała Beatrycze. - Żeby czekać; żeby czekać osamotniona w moim domu, aż Dostojny Pan Robert raczy mnie odwiedzić raz w tygodniu! Powiedział, że przyjdzie po nieszporach, a tu już dzwonią na Anioł Pański. Pewnie jeszcze biesiaduje częstując obiadem ze trzech baronów, opowiada o swoich bohaterskich czynach, sprawach królestwa, procesie, poklepuje zadki wszystkich pokojówek. Nawet Divion jada przy jego stole; dobrze o tym wiem! A ja tu gapię się na deszcz. Przyjdzie w nocy, ociężały, z czkawką, pałającą twarzą, powie mi ze trzy niedorzeczności, zwali się na łóżko, żeby się przespać godzinkę i pójdzie sobie. Jeżeli w ogóle przyjdzie..."

Beatrycze nudziła się jeszcze bardziej niż w Conflans w czasie ostatnich miesięcy za życia Mahaut. Psuł się jej romans z Robertem. Wierzyła, że go usidliła, ale to on wygrał. Namiętność trafiająca na przeszkody, upokarzana, przemienia się w głuchą niechęć. Czekać, wciąż czekać! Nie mogła nawet wyjść, pobiegać po karczmach z jakąś przyjaciółką w poszukiwaniu przygody, bo Robert akurat mógłby nadejść w tej chwili. Na dobitkę kazał ją szpiegować!

Pojmowała, że Robert od niej się odsunął, widywał ją tylko z musu jako współwinowajczynię, z którą się trzeba liczyć. Nieraz mijały całe dwa tygodnie, nim jej okazał pożądanie.

"Nie zawsze będziesz wygrywał, Dostojny Panie Robercie!" - mówiła sobie po cichu. Jęła potajemnie go nienawidzić, bo nie posiadała do syta.

Wypróbowała już najskuteczniejsze recepty na filtry miłosne:

"Na wiosnę, w piątek upuść własnej krwi, wysusz ją w garnuszku w piecu wraz z dwoma zajęczymi jąderkami i wątróbką gołębicy; zetrzyj na miałki proszek i podaj do połknięcia osobie, wobec której żywisz zamiary, a jeżeli za pierwszym razem nie poskutkuje - powtórz do trzech razy!"

Albo też:

“W piątek rano, przed wschodem słońca, pójdź do sadu i zerwij z drzewa najpiękniejsze jabłko, jakie zobaczysz; później na skrawku białego papieru napisz własną krwią swoje nazwisko i imię, a w następnym wierszu nazwisko i imię osoby, przez którą chcesz być kochany; postaraj się zdobyć trzy jej włosy i spleć je z trzema własnymi i przewiąż nimi karteczkę napisaną własną krwią, później przepołów jabłko, wyjmij pestki, a na ich miejsce włóż karteczkę przewiązaną włosami i zepnij dokładnie obie połówki jabłka dwiema zaostrzonymi szpileczkami z zielonego mirtu, wysusz dobrze jabłko w piecu, żeby było twarde i wyzbyło się wilgoci, jak suche jabłko wielkopostne; następnie zawiń je w liście lauru i mirtu i postaraj się je wsunąć pod wezgłowie łoża, na którym sypia osoba kochana, lecz żeby się ona nie spostrzegła; niebawem objawi ci swą miłość.”

Próżny trud. Piątkowe jabłka okazały się nieskuteczne. Czary, w których Beatrycze była siebie pewna, na hrabiego d'Artois zdawały się nie działać. Przecie nie był Diabłem, do licha! Mimo że tak mówiła, aby go zdobyć.

Miała nadzieję, że zajdzie w ciążę. Robert zdawał się kochać swoich synów, może z pychy, ale ich kochał. Były to jedyne istoty, o których opowiadał z odcieniem czułości. Gdyby więc urodził się mu teraz bastard... A także byłby to dla Beatrycze dobry sposób: pokazać swój brzuch i powiedzieć: “Spodziewam się dziecka od Dostojnego Pana Roberta...” Ale czy to ongiś się popsuła, czy to Zły taką ją stworzył, lecz nie mogła począć i ta nadzieja ją także zawiodła. Przeto pozostało Beatrycze d'Hirson, byłej dwórce hrabiny Mahaut, tylko oczekiwanie, deszcz i marzenia o zemście...

W porze gdy mieszczanie idą spać, wreszcie przyszedł Robert d'Artois, minę miał ponurą i drapał się kciukiem w odrastającą brodę. Ledwie spojrzał na Beatrycze, która wystroiła się w nową suknię; nalał sobie zacny łyk hypokrasu.

- Wywietrzał - krzywiąc się rzekł i padł na drewniane krzesło, które pod nim głośno zatrzeszczało.

Jakżeż napój miał nie stracić aromatu. Dzban czekał od czterech godzin.

- Wcześniej spodziewałam się twego przyjścia, Dostojny Panie.

- Ano tak! Ale mam poważne kłopoty, które mi przeszkodziły.

- Jak wczoraj i jak przedwczoraj...

- Zrozum, że nie mogę za dnia jawnie wchodzić do twojego domu, zwłaszcza teraz, kiedy trzeba wzmóc ostrożność.

- Śliczna wymówka! Tedy mi nie mów, że przyjdziesz w dzień, jeśli chcesz mnie odwiedzać tylko w nocy. Ale noc należy do hrabiny, twojej małżonki...

Ze znudzoną miną wzruszył ramionami.

- Wiesz, że się już do niej nie zbliżam.

- Wszyscy mężowie to mówią swoim przyjaciółkom, tak najmożniejsi w królestwie, jak i ostatni szewc... i wszyscy wykłamują się w ten sam sposób. Bardzo chciałabym widzieć, czy pani de Beaumont tak by się do ciebie uśmiechała, wyglądała na tak zadowoloną z ciebie, gdybyś nigdy nie wchodził do jej łoża... W dzień Dostojny Pan zasiada w ścisłej Radzie, jeśli wierzyć, że król przewodniczy Radzie od samego świtu aż do zachodu słońca. Albo też Dostojny Pan jest na łowach... albo Dostojny Pan kruszy kopie... albo też Dostojny Pan wyjechał do swych dóbr w Conches.

- Spokój! - krzyknął Robert uderzając na płask ręką w stół. - Mam inne troski na głowie niż słuchanie babskich bzdur. Dzisiaj przedłożyłem moją suplikę Izbie Królewskiej.

W istocie był 14 grudnia, dzień wyznaczony przez Filipa VI na wszczęcie procesu o Artois. Beatrycze o tym wiedziała, Robert ją o tym uprzedzał, lecz zapomniała jątrzona zazdrością.

- Czy wszystko poszło wedle twego życzenia?

- Niezupełnie - odparł Robert. - Przedłożyłem listy mego dziadka i zaprzeczano, że są prawdziwe.

- A ty je uważałeś za autentyczne? - spytała ze złośliwym uśmieszkiem Beatrycze. - A kto zaprzeczył?

- Diuszesa Burgundii zażądała, by jej przekazano dokumenty do zbadania.

- Ach! Diuszesa Burgundii jest w Paryżu...

Długie rzęsy uniosły się na chwilę, oczy Beatrycze zalśniły nagłym błyskiem, wnet ukrytym. Robert pogrążony w swych troskach tego nie dostrzegł.

Uderzając kułakiem o kułak Robert mówił przez zaciśnięte zęby:

- Umyślnie przyjechała z diukiem Eudoksjuszem. Mahaut szkodzi mi nawet w swoim potomstwie! Dlaczego w tym rodzie płynie tak podła krew? Każda dziewczyna z Burgundii zatrąca kurewstwem, złodziejstwem i łgarstwem! Ta oto łajdaczka, jak i cała jej rodzina, pcha na mnie gamonia, swego męża. Mają Burgundię, po co im jeszcze hrabstwo, które mnie ukradli? Alę wygram! Jeśli zajdzie potrzeba, podburzę całe Artois, jak już podburzyłem przeciw Filipowi Długiemu, ojcu tej podłej łachmyty. A tym razem ruszę nie na Arras, ale na Dijon...

Mówił, ale bez zapalczywości. Był to gniew opanowany, bez głośnych okrzyków, bez kroku wstrząsającego ścianami, bez komedii wściekłości, jaką umiał tak dobrze odgrywać. Dla jakiego audytorium zadawałby sobie ten trud?

Przyzwyczajenie w miłości odsłania charakter. Jedynie rzecz nowa zmusza do wysiłku; a człowiek obawia się tylko tego, czego jeszcze nie zna. Nikt nie jest stworzony wyłącznie z mocy, jednocześnie z rozwianiem się tajemniczości znikają lęki. Za każdym razem ukazując się nago traci się cząstkę autorytetu. Beatrycze już się nie bała Roberta.

Zapomniała, że należy się go obawiać, ponieważ za często widywała go śpiącego i pozwalała sobie postępować z olbrzymem, jak nikt by tego nie śmiał.

Tak samo dla Roberta Beatrycze stała się kochanką zazdrosną, wymagającą, pełną wymówek, jak każda kobieta, gdy skrywany romans trwa za długo. Nie bawiły już Roberta jej talenty czarownicy. Praktyki magiczne i sataniczne już mu spowszedniały. Nie ufał Beatrycze; z powodu zwykłego atawistycznego nawyku ubrdał sobie raz na zawsze, że wszystkie kobiety to łgarki i oszustki. Ponieważ żebrała u niego o rozkosz, przestał jej się bać, zapomniał, że to właśnie z powodu upodobania do zdrady rzuciła się w jego ramiona. Nawet wspomnienie ich dwóch zbrodni traciło na wadze i rozpraszało się w kurzu codzienności, podczas gdy oba trupy rozpadały się w proch pod ziemią.

Przeżywali okres tym niebezpieczniejszy, iż nie spodziewali się już niebezpieczeństwa. Kochankowie powinni pamiętać, że z chwilą gdy miłość wygasa, stają wobec siebie tacy, jak przed nawiązaniem romansu. Broń nigdy nie ulega zniszczeniu, lecz po prostu zostaje odłożona.

Beatrycze w milczeniu obserwowała Roberta, podczas gdy on zapomniawszy o niej marzył o nowych intrygach, by wygrać proces. Ale gdy w ciągu dwudziestu lat próbował wszystkiego, kazał grzebać w prawach i obyczajach, używał fałszywego świadectwa, podrabiał pisma, nakazywał mordować i nie uzyskał zwycięstwa nawet mając króla za szwagra, czyż niekiedy nie mógł popadać w rozpacz?

Zmieniając postawę Beatrycze uklękła przed nim przymilna, uległa i tkliwa, jakby chciała go pocieszyć i doń się łasić.

- Kiedy mój miły pan Robert zabierze mnie do swego pałacu? Kiedy mnie mianuje damą dworu swej hrabiny, jak to mi obiecał? Spójrz, jak to byłoby dobrze! Zawsze przy tobie, mógłbyś mnie do woli wzywać... byłabym ci wierną służką i czuwała nad tobą lepiej niż jakakolwiek inna. Kiedy więc?

- Kiedy wygram proces - odparł, jak za każdym razem, gdy powracała do tej sprawy.

- Tak ciągnie się ten proces, że mogę się doczekać siwych włosów.

- Kiedy zostanie rozstrzygnięty, jeśli wolisz. Powiedziałem, a Robert d'Artois ma tylko jedno słowo. Miej cierpliwość, do diabła!

Bardzo żałował, że ongiś musiał ją nęcić tym projektem. Teraz postanowił stanowczo nie nadawać mu dalszego biegu. Beatrycze w pałacu Beaumont? Ileż zamętu, zmęczenia i jakież źródło kłopotów!

Powstała i wyciągnęła ręce do ognia, do palącego się w kominie torfu.

- Zdaje się, że dość miałam cierpliwości - rzekła nie podnosząc głosu. - Miało to nastąpić najpierw po śmierci Pani Mahaut, następnie po śmierci Pani Joanny Wdowy. Zdaje się, że umarły, a wkrótce będą w kościele śpiewać na zakończenie roku... Ale ty mnie nie chcesz w twoim pałacu... Taki wyciruch jak Divion, była kochanica mego stryja biskupa, która sporządzała ci tak prawdziwe dokumenty, że ślepiec by poznał, że są fałszywe, nawet ona ma prawo jeść za twoim stołem, paradować po twoim dworze...

- Zostaw Divion. Dobrze wiesz, że trzymam tę głupią łgarkę tylko przez ostrożność.

Beatrycze uśmiechnęła się. Ostrożność!... Ostrożnie należy postępować z Divion, ponieważ

przypiekła kilka pieczęci: Lecz nie obawiał się jej, Beatrycze, co dwie księżne posłała do grobu, i płaci jej niewdzięcznością.

- Nuże, nie skarż się - rzekł Robert. - Masz ze mnie to, co najlepsze. Gdybyś była w moim domu, mógłbym cię widywać na pewno mniej często i mniej swobodnie.

Pełen pychy był Dostojny Pan Robert i mówił o swej obecności jak o najcenniejszym upominku, jakim raczył obdarzać.

- Tedy, jeśli mam najlepsze z ciebie, dlaczego zwlekasz, żeby mi je dać... - przeciągle odparła Beatrycze. - Łoże gotowe.

Wskazała na drzwi otwarte do komnaty.

- Nie, moja kruszynko; teraz muszę wrócić do pałacu i potajemnie zobaczyć się z królem, żeby odbić zdradzieckie sztychy diuszesy Burgundzkiej.

- Tak, oczywiście, diuszesa Burgundzka... - powtórzyła Beatrycze ze zrozumieniem potakując głową. - Tedy czy jutro mam oczekiwać mego szczęścia?

- Niestety, jutro muszę jechać do Conches i Beaumont.

- A wracasz?

- Bardzo prędko. Za dwa tygodnie.

- Nie będziesz więc tu na święta Nowego Roku?

- Nie, moja piękna koteczko, lecz podaruję ci piękną agrafę z cennymi kamieniami, żeby zdobiła twoją szyjkę.

- Więc ją sobie przypnę, żeby olśnić moich pachołków, bo to jedyni ludzie, których widuję.

Robert powinien by bardziej jej nie dowierzać. Bywają dnie złowróżbne. Na przesłuchaniu w dniu 14 grudnia diuk i diuszesa Burgundii tak stanowczo podważyli prawdziwość dokumentów, że Filip VI zmarszczył brwi nad wielkim nosem i z niepokojem spojrzał na szwagra. Była to przestroga, aby stać się bardziej czujnym i nie ranić akurat tego dnia kobiety takiej jak Beatrycze, nie zostawiać jej na dwa tygodnie z nie zaspokojonym sercem i ciałem. Powstał.

- Czy Division jedzie w twej świcie?

- A tak! Moja małżonka tak postanowiła.

Fala nienawiści uniosła piękną pierś Beatrycze a rzęsy rzuciły okrągłe cienie na policzki.

- Tedy, Dostojny Panie Robercie, będę cię oczekiwać jak kochająca i wierna służka - wypowiedziała podsuwając mu uśmiechniętą twarz.

Robert machinalnym pocałunkiem musnął policzek Beatrycze. Położył na jej biodrze ciężką dłoń, przetrzymał ją chwilę; i zakończył gest obojętnym klapsem. Nie, stanowczo już jej nie pożądał; a była to dla niej najcięższa obraza.

V - Conches

Zima tegoroczna była dość łagodna. Skoro świt Lormet Dolijczyk potrząsał poduszką Roberta. Ów ziewnąwszy szeroko kilka razy jak wielki zwierz, ochlapywał twarz w misie podanej mu przez Gillet de Nella, po czym szybko wciągał strój łowiecki ze skóry z futrem do wewnątrz, jedyny naprawdę przyjemny w noszeniu. Później szedł na cichą mszę w kaplicy; jałmużnik miał nakazane pospieszać z nabożeństwem; raz dwa ewangelia i komunia, Robert tupał, jeśli braciszek przeciągał modły; cyborium jeszcze nie było zamknięte, a on już był za progiem.

Wychylał kubek gorącego rosołu, zjadał dwa skrzydła kapłona albo kawał tłustej wieprzowiny, zapijając wielkim pucharem białego wina Mersault, które usuwa drętwotę z ciała, miodem spływa w gardło i rzeźwi uśpione nocą humory. Wszystko na stojąco. Ach! Gdybyż Burgundia rodziła tylko swoje wina bez swoich diuków! “Ranne jadło przysparza zdrowia” - mawiał Robert i jeszcze chrupiąc szedł do konia. Z puginałem za pasem, rogiem na sznurze zawieszonym na szyi i wilczą czapą wciśniętą na uszy już siedział w siodle.

Sfory gończych trzymane pod batem zajadle ujadały, konie grzebały kopytami, bo poranny mrozik szczypał je w zady. Chorągiew łopotała na szczycie baszty, ponieważ suzeren przebywał w zamku. Opuszczał się zwodzony most; psy, konie, pachołki, myśliwi z wielką wrzawą pędzili ku bajoru w środku gródka i mknęli na wieś w ślad za olbrzymim baronem.

W zimowe poranki nad łąkami w okolicach Ouche pełza biała mgiełka pachnąca korą i dymem. Robert d'Artois lubił Conches, stanowczo! Był to wprawdzie mały zamek, ale bardzo przyjemny, otoczony gęstym borem.

Blade słońce rozpraszało mgłę akurat wtedy, gdy zjeżdżano się na spotkanie, śladownicy składali raport; znaleźli tropy i ślady na krzewach. Podejdzie się najlepszym tropem.

W Conches lasy obfitowały w jelenie i dziki. Psy były znakomicie ułożone. Jeśli nie dopuścić, by dzik zatrzymał się i wymokrzył, będzie pojmany w małą godzinkę. Wielkie, majestatyczne jelenie nieco dłużej wodziły swe stada drogami ku wyjściu z lasu, gdzie ziemia grudą wylatuje spod kopyt, i sztywne, zdyszane, z jęzorem wywieszonym pod ciężkim porożem dawały się oszczekiwać gdzieś w stawie lub bagnie.

Hrabia Robert polował co najmniej cztery razy w tygodniu. Polowania te w niczym nie przypominały wielkich królewskich łowów z chartami, gdy dwie setki panów cisnęło się, nic nie było widać, a w obawie, by nie zgubić kompanów, polowano raczej na króla niż na zwierzynę. Tutaj Robert bawił się ze swoimi śladownikami, kilku wasalami z sąsiedztwa, bardzo dumnymi z zaproszenia, i dwoma synami, których jął wtajemniczać w sztukę łowiecką, jaką znać winien każdy dobry rycerz. Cieszył się ze swych synów, dziesięcio-i dziewięcioletniego, rosnących w siły; doglądał ich fechtunku i ćwiczeń ze zbrojnym manekinem. Mieli szczęście chłopacy! Za wcześnie Robert stracił swego ojca.

Sam otrąbiał halali na osaczenie zwierza i brał puginał na jelenia albo oszczep na dzika. Odznaczał się wielką zręcznością i doznawał rozkoszy czując, jak ostrze wbite trafnie pogrąża się za jednym

zamachem w miękkie ciało. Zwierz i myśliwy jednako dymili potem, ale zwierz walił się rażony, a człowiek stał krzepko.

W powrotnej drodze, gdy omawiano szczegóły gońby, chłopi z wiosek wypadali z lepianek, by biec i całować pańskie strzemię ruchem zarazem pełnym zachwytu i lęku; piękny nawyk, który zatracił się w mieście.

W zamku, ledwie pan się pojawił, już trąbiono na wodę przed południowym posiłkiem. W paradnej sali obciągniętej materią tkaną w herby Francji, Artois, Valois i Konstantynopola - bo pani de Beaumont była po matce Courtenay - Robert siadał za stołem, aby zajadać przez trzy godziny z rzędu; przekomarzał się z domownikami, kazał wzywać kuchmistrza z drewnianą łyżką zwisającą u pasa i niekiedy mu gratulował, jeśli udziec lochy, dobrze zamarynowany, był w sam raz soczysty; albo straszył go stryczkiem, jeśli gorący, pieprzowy sos, którym polewano jelenia w całości pieczonego na rożnie, nie posiadał aromatu.

Chwilę odpoczywał, po czym wracał do wielkiej sali, by wysłuchać prewotów i poborców, kazał przedstawiać sobie rachunki, załatwiał sprawy lenna i odprawiał sądy. Bardzo lubił sądzić, widzieć zazdrość lub nienawiść w oczach oskarżycieli, oszustwo, chytrość, złośliwość, kłamstwo, jednym słowem oglądać samego siebie na szczeblu ludzkiej płotki.

Bawiły go zwłaszcza historyjki rozpustnych żon i zdradzonych mężów.

- Dawać tu rogacza! - nakazywał rozparty w wielkim dębowym karle.

Zadawał najsprośniejsze pytania, podczas gdy klerycy - pisarze parskali śmiechem za swymi piórami, a skarżący rumienili się ze wstydu.

Robert miał przywarę, którą mu wymawiali prewotowie; wymierzał tylko lekkie kary złodziejom, rzezimieszkom, kosterom, przekupcom, zbójom, rajfurom i okrutnikom, z wyjątkiem, oczywiście, gdy łotrostwo czy przestępstwo zostało popełnione na jego szkodę. Sekretne wspólnictwo łączyło go ze wszystkim, co tchnęło na ziemi szelmostwem.

Po sądzie dzień się miał ku schyłkowi. Robert schodził do łaźni urządzonej w dolnej izbie baszty, zanurzał się w kadzi z gorącą wodą pachnącą aromatem ziół i wonnościami, które usuwają z ciała zmęczenie, kazał siebie osuszać, wycierać jak konia, czesać, golić, trefić.

Ledwie giermkowie, podczaszowie i pachołcy ustawili na krzyżakach stoły do wieczerzy, a już Robert pojawiał się w szerokiej okazałej szacie z amarantowego aksamitu tkanego w złote lilie i zamki herbu Artois, futrzane podbicie okrywało mu trzewiki.

Pani de Beaumont była przyodziana w suknię z fioletowej kamchy podbitą popielicami, haftowaną w złote monogramy “J” i “R” otoczone mnóstwem srebrnych koniczynek.

Jadło było lżejsze niż w południe: polewka jarzynowa lub mleczna, paw, pieczony łabędź w wieńcu gołąbków, twaróg i sery ostre, ciasta i wafle ocukrzone, które podnoszą smak starych win płynących z dzbanów w kształcie lwa lub ptaka.

Podawano po francusku, to znaczy miseczka na dwoje: kobieta i mężczyzna jedli z tego samego talerza, z wyjątkiem pana. Robert miał osobną zastawę i opróżniał ją łyżką, nożem i palcami, wycierając je, jak wszyscy, o obrus. Drobne ptactwo chrupał w całości wraz z kosteczkami.

Pod koniec wieczerzy proszono minstrela Watriqueta z Couvin, aby wziął krótką harfę i wyrecytował ułożoną przez siebie bajkę. Pan Watriquet pochodził z Hainaut; dobrze znał hrabiego Wilhelma oraz hrabinę, siostrę Pani de Beaumont; na ich dworze stawiał swe pierwsze kroki i występował kolejno u każdego z Valois. Ubiegano się o niego, sowicie go wynagradzając.

- Watriquet, opowieść o Damach z Paryża! - zażądał Robert mając jeszcze usta kapiące tłuszczem.

Była to jego ulubiona historyjka i mimo że znał ją niemal na pamięć, wciąż by jej słuchał, podobny w tym do dzieci, które co wieczór żądają tej samej bajki, i żeby nic nie opuścić. Kto by w takiej chwili uwierzył, że Robert d'Artois jest zdolny do fałszerstw i zbrodni?

Opowieść o Damach z Paryża mówiła o przygodach dwóch mieszczek, Margot i Marion, żonie i siostrzenicy Adama de Gonesse; rankiem, w święto Trzech Króli, idąc do flaczarza na swe nieszczęście spotykają fryzjerkę, damę Tifaigne, i przez nią namówione idą do karczmy, której właściciel daje podobno na kredkę.

I oto kumoszki za stołem w oberży “Pod Ogniwkami”, zaś oberżysta Drouin podaje im mnóstwo smakołyków: młode winko, tuczną gąskę, miseczkę pełną ząbków czosnku, gorące ciasteczka.

Przy tych strofach Robert śmiał się już zawczasu; a Watriquet dalej recytował:

...Choć się Margot zlewa potem,

Trąbi wino łyk za łykiem.

Parę godzin mija migiem,

Z gardła tryska dzban z powrotem.

“Na świętego Jura, Pani:

- Maroklipa kuma rzecze

Z tego wina w gębie piecze.

Z Prowansyi wina-ć trzeba,

Choćbym krowę miała przedać,

By obłapić garniec pełen”

Zasiadłszy przy wielkim kominie, w którym płonął cały pień, Robert głowę w tył odrzuciwszy gulgotał z radości.

W bajce tej widział całą swą młodość spędzoną w karczmach, burdelach oraz innych podejrzanych miejscach. Ileż znał tych wierutnych dziwek tęgo popijających pod nieobecność mężów.

O północy - śpiewał Watriquet - Margot, Marion i fryzjerka, wypróbowawszy wszystkich win począwszy od Arbois aż po Saint-Melion, każąc sobie podawać wafle, naleśniki, łuskane migdały, gruszki, pierniki i orzechy, jeszcze tkwiły w karczmie. Margot namawia, aby wyprawić się na tańce. Karczmarz za wypuszczenie żąda złożenia w zastaw szatek; na co pijane jak bela chętnie się godzą; migiem zrzucają suknie i futerka, spódnice, koszule, sakiewki i pasy.

Nagie, jak je Pan Bóg stworzył, już biegną w styczniową noc wrzeszcząc wniebogłosy: “Raduje mnie fraszka miłosna”, chwieją się, zataczają, ocierają o mury, jedna drugą łapie, wreszcie pijane na umór walą się na stosy śmieci.

Świta, otwierają się drzwi. Przechodnie znajdują je brudne i okrwawione, równie nieruchawe jak “gówno w pół drogi”. Wołają mężów, ci myślą, że zostały zamordowane, wynoszą je na cmentarz Świętych Młodzianków i rzucają do wspólnego dołu.

Tę na tamtą, chociaż żywe,

Choć im wino z gęby ciecze

i z onych wszyściutkich dziureczek.

Dopiero następnej nocy budzą się wśród trupów, przysypane ziemią, lecz jeszcze nietrzeźwe, i wołają na cały cmentarz czarny i lodowaty:

Drouin, gdzie cię licho wiedzie?

Przynieś trzy solone śledzie

I tęgiego wina flaszę,

By dogodzić chętce naszej,

I zatrzaśnij okiennice.

Tu dopiero Dostojny Pan Robert wydawał ryki. Minstrel Watriquet z trudem kończył śpiewkę, bo przez kilkanaście minut sala grzmiała śmiechem olbrzyma. Załzawiony walił się obu pięściami po bokach. Po dziesięćkroć powtarzał: “I zatrzaśnij okiennice”. Wesołość jego była tak zaraźliwa, że wszyscy domownicy razem z nim wili się w uciesze.

- Błaźnice!... Goluteńkie, tyłki wystawione na mróz... “I zatrzaśnij okiennice!”

I znów wybuchał śmiechem.

W gruncie rzeczy w Conches wiodło się wcale niezłe życie... Pani de Beaumont jest miłą małżonką, hrabstwo de Beaumont miłym hrabstewkiem, co go obchodzi, że należy do korony, skoro ma zapewnione zeń dochody... A więc Artois? Czyż Artois mimo wszystko jest tak ważne, czy zasługuje na tyle kłopotów, walk i trudów?... “Ziemia, do której mnie złożą pewnego dnia, czy będzie to w Conches czy w Hesdin?”

Myśli takie nachodzą, gdy się przekroczyło czterdziestkę, gdy rozpoczęta sprawa nie układa się całkiem po myśli, gdy ma się dwa tygodnie odpoczynku... Lecz dobrze wiadomo, że w istocie nie ostanie się ta krótkotrwała mądrość... W każdym razie jutro Robert pojedzie polować na jelenia w okolice Beaumont i skorzysta z okazji, by obejrzeć zamek, zobaczyć, czy nie należałoby go powiększyć...

Na dwa dni przed Nowym Rokiem wracając z Beaumont, dokąd się udał z małżonką, spotkał giermków i pachołków przerażonych, oczekujących go na zwodzonym moście w Conches.

- Po południu przyjechali jacyś aresztować damę de Divion, by ją zawieźć do więzienia w Paryżu.

- Aresztować ją? Kto przybył aresztować?

- Trzej sierżanci.

- Jacy sierżanci? Na czyj rozkaz? - huknął Robert:

- Króla.

- Co za bzdura! I wyście na to pozwolili? Głupcy jesteście, każę was wychłostać. Aresztować u mnie? Co za oszustwo! Przynajmniej widzieliście ten rozkaz?

- Widzieliśmy, Dostojny Panie - odparł dygocąc Gillet de Nelle - nawet zażądaliśmy, by nam go zostawili. Pod tym tylko warunkiem pozwoliliśmy zabrać panią de Divion. Oto on.

Był to rozkaz króla napisany przez kleryka, ale z przyłożoną pieczęcią Filipa VI. I to nie z pieczęcią kancelaryjną, co można by sobie wyjaśnić jako podstęp ze strony jakiegoś dygnitarza. Na wosku

widniał odcisk osobistej pieczęci Filipa zwanej “małą pieczęcią”, którą król nosił przy sobie w sakiewce i tylko własnoręcznie przykładał.

Hrabia d'Artois nie był z natury lękliwy. Jednakże tego dnia odczuł, co to strach.

VI - Zła królowa

Z Conches do Paryża przejechać w ciągu jednego dnia to ciężka podróż nawet dla wyćwiczonego jeźdźca i wymaga mocnego konia. Robert d'Artois pozostawił po drodze dwóch ze swych giermków, których wierzchowce padły okulałe. Nocą przybył do miasta, mimo późnej pory na ulicach toczyły się wesołe gromady świętujące Nowy Rok. W mroku na progach karczem rzygali pijacy; kobiety trzymając się pod ręce śpiewały wniebogłosy i szły zataczając się jak w śpiewce Watriqueta.

Nie zwracając uwagi na motłoch roztrącany końską piersią Robert pojechał wprost do pałacu. Dowódca straży powiadomił go, że król przybył w ciągu dnia, aby przyjąć życzenia mieszczan, lecz odjechał do Saint-Germain.

Wówczas Robert minął most i udał się do Chatelet. Par Francji może sobie pozwolić, aby obudzić komendanta. Ów zapytany oświadczył, iż ani wczoraj, ani dziś nie przyjął do więzienia żadnej damy zwanej Joanną de Divion, ani żadnej z rysopisu do niej podobnej.

Jeśli nie było jej w Chatelet, musiała znajdować się w Luwrze, bo z rozkazu króla wtrącano tylko do tych dwóch więzień.

Przeto Robert pojechał do Luwru; lecz dowódca udzielił mu tej samej odpowiedzi. Gdzież tedy jest Divion?

Czy Robert szybciej jechał niż sierżanci króla? I czy inną drogą wyprzedził konwój? Jednakże rozpytywał się w Houdan i tam wyraźnie mu powiedziano, że trzej sierżanci eskortujący jakąś damę przejeżdżali przed kilku godzinami. Wokół tej sprawy tajemnica coraz bardziej gęstniała.

Robert zrezygnowany wrócił do swego pałacu, przespał się i przed świtem udał się do Saint-Germain.

Sadź okrywała bielą pola i łąki, gałęzie lśniły szronem, a pagórki i las wokół zamku Saint-Germain wyglądały jak krajobraz z cukru.

Król tylko co się obudził. Przed Robertem drzwi otwierały się aż do komnaty Filipa VI, król jeszcze leżał w łożu otoczony szambelanami oraz łowczymi i wydawał rozkazy na dzisiejsze polowanie.

Robert wszedł bojowym krokiem, przyklęknął na posadzce, wnet powstał i rzekł:

- Miłościwy Panie Bracie, odbierzcie mi parostwo, którym mnie obdarzyliście, moje lenna, dobra, dochody, odbierzcie mi wszelką własność oraz jej użytkowanie, przepędźcie mnie z waszej ścisłej Rady, na której nie jestem godzien się pojawić. Nie, już niczym nie jestem w królestwie!

Filip szeroko otwierając niebieskie oczy nad mięsistym nosem, zapytał:

- Ależ co wam się stało, mój bracie? Skąd naszło was takie wzburzenie? Co też powiadacie?

- Mówię prawdę. Mówię, że jestem już niczym w królestwie, ponieważ król nie racząc mnie zawiadomić każe aresztować osobę mieszkającą pod moim dachem.

- Kogo kazałem aresztować? Jaką osobę?

- Niejaką damę de Divion, mój Bracie, z mojego dworu, garderobianą mojej małżonki, a waszej siostry; przybyło do mego zamku Conches trzech sierżantów i odprowadziło ją do ciemnicy!

- Z mego rozkazu? - rzekł osłupiały Filip. - Ależ nigdy nie wydawałem takiego rozkazu... Divion? Nie znam takiego nazwiska. W każdym razie, bracie, raczcie mi wierzyć, że nigdy bym nie kazał aresztować kogokolwiek z waszego dworu, nawet gdybym miał powód, wpierw nie zawiadamiając was o tym, a przede wszystkim zasięgnąłbym waszej rady.

- Tak bym i sądził, Bracie - odparł Robert - jednakże ten rozkaz to na pewno wasz.

I wyciągnął z zanadrza nakaz aresztowania doręczony przez sierżantów.

Filip VI rzucił okiem, poznał swą małą pieczęć i nos mu zbladł.

- Herouart, moja szata! - zawołał do jednego z szambelanów. - I prędko wychodzić; sam chcę zostać z Dostojnym Panem d'Artois!

Odrzuciwszy złotem haftowane przykrycie już stał w białej, długiej koszuli. Szambelan pomógł mu wciągnąć podbitą futrem szatę i chciał podsycić ogień w kominie.

- Idź, idź!... Powiedziałem, żeby mnie samego zostawić.

Nigdy Herouart de Belleperche, odkąd służył królowi, nie był tak szorstko potraktowany jak zwykły kuchcik.

- Nie, nigdy nie przykładałem pod tym pieczęci ani też nie dyktowałem nic podobnego - rzekł król, gdy szambelan już się wycofał.

Bardzo uważnie obejrzał dokument, zbliżył obie połówki pieczęci złamanej przy otwieraniu listu, z szuflady w kredensie wyjął kryształową lupę.

- Czyżby ktoś podrobił waszą pieczęć? - spytał Robert.

- To niemożliwe. Rytownicy pieczęci sprytnie zapobiegają naśladownictwu i zawsze ukrywają jakiś umyślny brak, zwłaszcza w pieczęciach królewskich i wielkich baronów. Spójrz na “L” w moim imieniu; widzisz jakby pęknięcie na pałeczce i ten wgłębiony punkcik w liściach na otoku.

- Tedy - rzekł Robert - może ktoś odczepił pieczęć z innego dokumentu?

- W istocie, podobno tak się robi ogrzaną brzytwą lub w jakiś inny sposób; zapewniał mnie o tym

mój kanclerz.

Twarz Roberta przybrała naiwny wyraz, jakby dowiedział się rzeczy, której całkiem nie podejrzewał. Lecz serce biło mu szybciej.

- Ale w tym wypadku to niemożliwe - mówił dalej Filip - bo umyślnie używam mojej małej pieczęci tylko jako pieczęci do przełamania; a nigdy u dołu karty lub na sznurze.

Chwilę milczał wpatrzony w Roberta, jakby go pytał o wyjaśnienie, którego w istocie szukał we własnych myślach.

- Ktoś musiał - wyciągnął wniosek - wykraść mi na chwilę moją pieczęć. Ale kto? Ale kiedy? W dzień nie opuszcza mego trzosiku przy pasku; zdejmuję go tylko na noc...

Podszedł do kredensu, wziął z szuflady trzosik ze złotogłowiu, najpierw obmacał zawartość, po czym otworzył i wyjął swą małą pieczęć ze złotą rączką w kształcie lilii.

- ... a rano przywieszam...

Mówił coraz wolniej, do jego myśli zakradła się straszliwa wątpliwość; znów wziął nakaz aresztowania, znów go obejrzał z wielką uwagą.

- Znam to pismo - rzekł. - To nie Hugona de Pommard ani Jakuba La Vache, ani Galfryda de Fleury...

Zadzwonił. Stawił się inny dyżurny szambelan, Piotr Trousseau.

- Wezwij natychmiast, jeśli jest w zamku lub gdziekolwiek indziej, kleryka Roberta Mulet, niech tu przyjdzie ze swymi piórami.

- Czy ten Mulet - spytał Robert - nie służy za sekretarza królowej Joannie, twojej małżonce?

- Tak, Mulet służy raz mnie, raz Joannie - rzekł Filip wymijająco, by ukryć zmieszanie.

Jęli odruchowo mówić do siebie “ty”; jak ongiś, gdy Filip jeszcze nie marzył, by zostać królem, gdy Robert nie był jeszcze parem, a kiedy obaj byli tylko bardzo zaprzyjaźnionymi ze sobą kuzynami; w owych czasach Karol d' Valois wciąż stawiał Filipowi jako przykład Roberta z powodu jego siły, uporu i bystrości we wszelkich poczynaniach.

Mulet był w zamku. Spiesznie przybył niosąc pod pachą przybory do pisania, zgiął się, by ucałować rękę króla.

- Postaw swe pudło - rzekł Filip VI i wnet jął dyktować. - “My, Król, ślemy pozdrowienia naszemu umiłowanemu i wiernemu prewotowi Paryża, Janowi de Milon. Pilnie rozkazujemy wam...”

Obaj kuzyni zbliżyli się jednakim ruchem i czytali ponad ramieniem kleryka. Pismo jego było identyczne z pismem na rozkazie aresztowania.

- ...Zwolnić natychmiast damę Joannę de..."

- Divion - wyraźnie wymówił Robert.

- "która została zamknięta w naszym więzieniu..." W istocie, gdzie się znajduje? - spytał Filip.

- Ani w Chatelet, ani w Luwrze - rzekł Robert.

- W wieży Nesle, Sire - odpowiedział kleryk sądząc, że się doceni jego gorliwość i dobrą pamięć.

Obaj kuzyni spojrzeli po sobie i jednakim ruchem skrzyżowali ramiona.

- Skąd o tym wiesz? - spytał król kleryka.

- Sire, dlatego, że miałem zaszczyt pisać przedwczoraj wasz rozkaz, aby aresztowano tę damę.

- A kto ci dyktował?

- Królowa, Sire, powiedziała mi że nie macie czasu i jej to zleciliście. Dwa rozkazy; ściślej mówiąc jeden aresztowania, zaś drugi uwięzienia.

Z twarzy Filipa całkiem krew odpłynęła, szarpał nim wstyd i gniew, już nie śmiał patrzeć na szwagra.

"Setna łajdaczka - myślał Robert. - Dobrze wiedziałem, że mnie nienawidzi, lecz żeby aż wykradać pieczęć swego męża, aby mi zaszkodzić... kto tak dokładnie mógł ją powiadomić?"

- Nie każecie kończyć, Sire? - rzekł.

- Oczywiście, oczywiście - rzekł Filip otrząsając się z myśli.

Podyktował formułę końcową, kleryk zapalił od ognia świecę, upuścił kilka kropel czerwonego wosku na złożoną kartę i podał ją królowi, by własnoręcznie przyłożył małą pieczęć.

Filip zatopiony w rozważaniach jakby poświęcał swym gestom jedynie drugorzędną uwagę. Robert wziął rozkaz, potrząsnął dzwonkiem. Znowu pojawił się Herouart de Belleperche.

- Natychmiast do prewota, rozkaz króla - rzekł Robert podając mu pismo.

- I każ zaraz poprosić Panią Królową - z głębi komnaty rozkazał Filip VI.

Kleryk Mulet czekał patrząc na przemian na króla i hrabiego d'Artois i rozważając, czy nadmiar gorliwości naszedł go w porę. Robert ruchem ręki polecił mu wyjść.

Po kilku chwilach weszła królowa Joanna owym osobliwym krokiem wynikającym z jej ułomności. Ciało opisywało ćwierć obrotu koła, przy czym dłuższa noga służyła za oś. Królowa była chuda, dość ładna, mimo że zęby już się jej psuły. Oczy miała duże, przejrzyste na pozór, co cechuje

kłamliwość; palce bardzo długie, nieco skrzywione, nie schodziły się, nawet gdy były złączone.

- Odkąd to, Pani, wysyła się rozkazy w moim imieniu?

Twarz królowej przybrała wyraz zaskoczenia i wspaniale odegranej niewinności.

- Rozkazy, umiłowany Panie?

Głos miała niski, melodyjny, z odcieniem dobrze udanej tkliwości.

- Odkąd to wykrada mi się pieczęć, kiedy śpię?

- Waszą pieczęć, moje serce? Ależ nigdy nie dotykałam waszej pieczęci! O jakiej pieczęci mówicie?

Uderzenie w policzek ucięło dalsze słowa.

Cios był tak gwałtowny i dotkliwy, że łzy wypełniły oczy Joanny Kulawej; w zdziwieniu wpółotwarła usta i uniosła długie palce do policzka, na którym wystąpiły czerwone pręgi.

Robert d'Artois był niemniej zaskoczony, ale ze szczęścia. Nigdy by nie uwierzył, że kuzyn Filip, o którym wszyscy mówili, że tak ulega żonie, zdolny jest podnieść na nią rękę. “Czyżby się stał prawdziwym królem?”, myślał Robert.

Filip de Valois przede wszystkim przeistoczył się w mężczyznę podobnego każdemu mężowi, wielkiemu panu czy ostatniemu pachołkowi, który karci kłamliwą żonę. Padł następny cios, jakby pierwszy przyciągnął rękę, po czym cały grad. Joanna przerażona osłaniała twarz uniesionymi ramionami. Ręka Filipa uderzała, gdzie mogła: w ciemię, ramiona. Jednocześnie krzyczał:

- To tamtej nocy, prawda, wypłatałaś mi tego figla? I masz czoło przeczyć, skoro Mulet wszystko mi wyznał? Podła sprośnica, pieści, ociera się o mnie, mówi, że pała miłością, a korzysta z mojej dla niej słabości i oszukuje, gdy śpię, wykrada mi moją pieczęć królewską? Czy nie wiesz, że nie ma szpetniejszego czynu niż kradzież? Nie zniósłbym, aby ktokolwiek z moich poddanych w królestwie, choćby najmożniejszy, używał cudzej pieczęci, nie każąc go wychłostać! A ta się moją posługuje! Czy widziano gorszą zbrodniarkę, co chce mnie zhańbić wobec moich parów, kuzyna, mego własnego brata? Czy nie mam racji, Robercie? - pytał przestając na chwilę bić i czekając na potwierdzenie. - Jak byśmy mogli rządzić naszymi poddanymi, gdyby każdy wedle swej chęci posługiwał się naszą pieczęcią, by rozkazywać wbrew naszej woli? To gwałt na honorze.

Po czym w nagłym nawrocie wściekłości zwrócił się do żony:

- Oto jaki piękny użytek robisz z pałacu Nesle, który ci dałem. Mało się nabłagałaś, żeby go mieć! Czy jesteś równie podła jak twoja siostra, czy ta przeklęta wieża zawsze ma kryć przestępstwa Burgundii? Gdybyś nie była królową, gdybym cię nie poślubił na swe nieszczęście, właśnie ciebie wtrąciłbym do więzienia! A ponieważ nie mogę kazać innym cię pokarać, więc sam to robię.

Razy jęły się sypać od nowa.

“Obyż ją zabił” - myślał Robert.

Teraz Joanna skurczyła się na łożu i machała wystającymi spod spódnicy nogami, każde uderzenie wydobywało z niej jęk albo wrzask. Później nagle stanęła naprzeciw jak kotka - wysunąwszy pazury, i jęła wrzeszczeć z twarzą umazaną łzami:

- Tak, ja to zrobiłam. Tak, wykradłam twoją pieczęć, kiedy spałeś, bo niesprawiedliwe wydajesz wyroki i chcę bronić mego brata z Burgundii przed tym oto podłym Robertem, który zawsze nam szkodził podstępem i zdradą i do spółki z twoim ojcem kazał zgładzić moją siostrę Małgorzatę...

- Precz z imieniem mego ojca w twoich ustach - krzyknął Filip.

Zamilkła ujrzawszy błysk w oczach męża, bo naprawdę byłby zdolny ją zabić.

On zaś opiekuńczym ruchem położył rękę na ramieniu Roberta i dorzucił:

- I strzeż się, niecnoto, kiedykolwiek szkodzić memu bratu, najlepszej podporze mego tronu.

Gdy podszedł, by otworzyć drzwi i zawiadomić szambelana, że odwołuje dzisiejsze łowy, mnóstwo przylepionych do drzwi głów odskoczyło. Słudzy nienawidzili Joanny Kulawej, bo dręczyła ich nadmiernymi wymaganiami, denuncjowała za lada uchybienie, i zwali ją między sobą “złą królową”. Wieść o chłoście, jaką otrzymała, wnet napełni radością cały pałac.

Około południa w sadzie Saint-Germain, gdzie topniał lód, Filip i Robert przechadzali się wolnym krokiem. Król zwiesił głowę.

- Czy to nie okropne, Robercie, że trzeba się wystrzegać własnej żony, nawet podczas snu? Cóż ja mogę robić? Kłaść pieczęć pod poduszkę? Wsunie tam rękę. Śpię twardo. Nie mogę zamknąć jej w klasztorze: przecież to moja żona! Nie pozwolić jej spać przy mnie, oto wszystko, co mogę. Najgorsze, że ją kocham, tę błaźnicę. Nie powtarzaj, ale jak każdy próbowałem innych dla rozrywki. Z tym większym smakiem powracałem do niej... Ale jeżeli kiedykolwiek znów rozpocznie, jeszcze ją zbiję.

W tejże chwili Trouillard d'Usages, ówczesny przedstawiciel biskupa Mans i rycerz przyboczny, zbliżał się aleją, by zapowiedzieć idącego za nim prewota Paryża.

Brzuchaty Jan de Milon toczył się na krótkich nóżkach i niewesołą miał minę.

- Tedy, panie prewocie, zwolniliście tę damę?

- Nie, Sire - odparł zmieszany prewot.

- Co? Czy rozkaz mój był sfałszowany? Może nie poznaliście mojej pieczęci?

- O nie, Sire, lecz zanim go wykonałem, chciałem z wami porozmawiać i bardzom rad, że widzę także przy was Dostojnego Pana d'Artois - powiedział Jan de Milon zmieszany patrząc na Roberta. - Dama ta wyznała.

- Co wyznała? - spytał Robert.

- Przeróżne bezeceństwa, Dostojny Panie; fałszowanie pisma, podrabianie dokumentów i jeszcze inne rzeczy.

Robert świetnie opanował się, nawet udał, że bierze to za żart, i wzruszając ramionami wykrzyknął:

- Oczywiście, jeśli ją poddaliście przesłuchaniu, musiała wiele wyznać! Gdybym was wydał oprawcom, panie de Milon, ręczę, że wyznalibyście, że chcieliście ze mną samcołożyć.

- Niestety, Dostojny Panie - odparł prewot - dama wygadała się przed badaniem... ze strachu, po prostu ze strachu, że będą ją przesłuchiwać. Wydała wielu współwinowajców.

Filip VI milcząc obserwował szwagra. W jego mózgu dokonywała się nowa praca.

Robert czuł, że paść zatrzaskuje się za nim. Król, który wobec świadka własną żonę wychłostał za sfałszowanie pisma i przywłaszczenie pieczęci, z trudem może zwolnić - nawet by zadowolić najbliższego krewniaka - zwykłą poddaną po wyznaniu tych samych przestępstw.

- Co radzisz, bracie? - spytał Filip nie spuszczając wzroku z Roberta.

Robert pojął, że ratunek zależy od jego odpowiedzi, należało udać szczerość. Tym gorzej dla Divion. Wszystko, co mogła lub mogłaby oświadczyć z nim związanego, będzie uważał za bezwstydne kłamstwo.

- Sądźcie, Miłościwy Panie Bracie, sądźcie! - oświadczył. - Zatrzymajcie tę kobietę w więzieniu, a jeśli mnie oszukała, pamiętajcie, że będę od was żądał największej surowości.

Jednocześnie rozważał: “Ale kto mógł przestrzec diuka Burgundii?” Po czym nadeszła odpowiedź, odpowiedź oczywista. Istniała jedna jedyna osoba, która mogła powiedzieć diukowi Burgundii albo nawet złej królowej, że Divion przebywa w Conches: Beatrycze.

Dopiero pod koniec marca, gdy wezbrana wiosenną powodzią Sekwana zalewa brzegi i piwnice, marynarze wyłowili w pobliżu Chatou płynący tuż pod powierzchnią wody worek z ciałem całkiem nagiej kobiety. Z wioski zbiegła się cała ludność i brodząc w błocie zebrała się wokół koszmarnego połowu, matki policzkowały urwisów krzycząc:

- Precz! Zmykajcie wszyscy! To nie dla was.

Trup był ohydnie wzdęty, daleko posunięty rozkład nadał mu zielonkawą barwę; musiał przeszło miesiąc pływać w rzece. Jednakże dało się poznać, że zmarła była młoda. Długie, czarne włosy jakby się ruszały, bo pękały na nich banieczki. Twarz była poszarpana, pocięta, zmiażdżona, by nie można było jej zidentyfikować; na szyi widniał ślad sznura.

Marynarze odczuwając na poły odrazę, na poły sprośny pociąg, popychali końcami bosaków bezwstydne ścierwo.

Nagle ciało oddając wzdymającą je wodę jęło się samo poruszać i przez chwilę sprawiało wrażenie, że zmartwychwstaje, kumoszki z wrzaskiem odskoczyły.

Przybył zawiadomiony bajlif, zadał kilka pytań, pokręcił się wokół zmarłej, obejrzał wyjęte z worka przedmioty ociekające wodą na trawie: koźli róg, woskową figurkę owiniętą w szmaty i przekłutą szpilami, niezdarną cynową monstrancję z wyrytymi satanicznymi znakami.

- To czarownica ubita przez swych kompanów podczas jakiegoś sabatu albo czarnej mszy - oświadczył bajlif.

Kumoszki się przeżegnały. Bajlif wyznaczył odrobek na pogrzebanie co rychlej trupa i paskudnych przedmiotów w lasku, na uboczu wsi, i bez modłów.

Jednym słowem zbrodnia doskonała, świetnie zamaskowana, przy której Gillet de Nelle wykorzystał pożyteczne nauki Lormeta Dolijczyka; dokonana wedle intencji morderców.

Robert d'Artois zemścił się na Beatrycze za zdradę, co nie oznaczało, że przez to zatriumfował.

Miną dwa pokolenia, a wieśniacy w Chatou już nie będą wiedzieli, dlaczego gaik w dół rzeki nazywa się “laskiem czarownicy”.

VII - Turniej w Evreux

Około połowy maja pojawili się wraz z surmaczami heroldowie w liberii królewskiej; zatrzymywali się na placach miejskich, we wsiach na skrzyżowaniu dróg, a także pod bramami zamków. Trębacze dęli w surmy, z których zwisał proporczyk z kwiatem lilii, herold rozwijał pergamin i obwieszczał donośnie:

- "Hejże! Słuchajcie, słuchajcie! Czyni się wiadomym wszystkim książętom, panom, baronom, rycerzom i giermkom z księstw Normandii, Bretanii i Burgundii, z hrabstw i marchii Andegawenii, Artois, Flandrii i Szampanii oraz wszystkim innym czy z tutejszego królestwa, czy innego chrześcijańskiego królestwa, o ile nie są oni banitami lub wrogami Naszego Miłościwego Króla - niech Bóg go darzy długim i szczęśliwym życiem - iż w dniu Świętej Łucji, szóstego lipca, pod miastem Evreux odbędzie się wielce wspaniałe spotkanie rycerzy i wielce godny turniej, na którym będą potykać się zawodnicy uzbrojeni w lekkie buławy i miecze o stępionych brzeszczotach, we własnych barwach i bojowych szatach oraz na koniach w kropierzach, z herbami szlachetnych zapaśników, wedle odwiecznego zwyczaju.

Przewodzić zaś onemu turniejowi będą arcydostojni i arcypotężni książęta, wielce możni panowie, nasz Miłościwy i Ukochany Pan Filip, król Francji, jako pozywający, i Miłościwy Pan Jan z Luksemburga, król Czech, jako pozwany: Przeto ponownie czyni się wiadomym wszystkim książętom, panom, baronom, rycerzom i giermkom z marchii wyżej pomienionych oraz z jakiegokolwiek narodu, a którzy zechcą i zapragną turniejować, aby zdobyć sławę, niech sobie naszyją małe tarcze, które im obecnie doręczę, a po nich pozna się zapaśników, i niech każdy o nie prosi, kto ma wolę je posiadać. Na rzeczonym turnieju damy i dziewice rozdadzą godne i bogate nagrody.

Nadto oznajmiam wszystkim książętom, baronom, rycerzom i giermkom, którzy pragną pójść w zapasy, że winniście udać się na wyznaczone miejsce w Evreux i zająć kwatery w czwartym dniu przed rzeczonym turniejem oraz zawiesić w oknach wasze tarcze herbowe i rozwinąć chorągwie, pod groźbą niedopuszczenia do turnieju. A to, za pozwoleniem, obwieszcza się w imieniu panów sędziów orzekających."

Ponownie zagrały surmy, a urwisy aż do bram gródka biegły eskortując herolda, który jechał dalej wieścić tę nowinę.

Gapie pogadywali, zanim się rozeszli:

- Och! to jeszcze nas będzie drogo kosztować, jeśli nasz kasztelan zechce się udać na ten obwołany turniej! Pojedzie ze swą panią i całym dworem... Dla nich to zabawa, a dla nas podatki do płacenia.

Jednakże niejeden w tym czasie myślał: "Jeśliby przypadkiem nasz pan zechciał zabrać mego najstarszego jako koniucha, to mógłby on niezły mieszek na tym zarobić, a może i jakieś zajęcie sobie podkapie... Pogadam o tym z kanonikiem, żeby zachwalił mego Gastona".

W ciągu sześciu tygodni turniej był sprawą najważniejszą i jedynym tematem w zamkach. Młokosi

marzyli, że pierwszymi bohaterskimi czynami wszystkich olśnią.

- Jeszcześ za młody; w następnym roku. Nie zabraknie sposobności - zbywali rodzice.

- Ale syn naszych sąsiadów z Chambray ma te same lata, a przecie on jedzie!

- Jeżeli rycerz de Chambray postradał rozum albo chce postradać pieniądze, to jego sprawa.

Starzy przeżuwali swoje wspomnienia. Słuchając ich można by uwierzyć, że za ich czasów ludzie byli silniejsi, zbroje cięższe, konie bardziej rącze.

- Na turnieju w Kenilworth wydanym przez lorda Mortimera na Chirk, stryja tego powieszonego w Londynie tej zimy...

- Na turnieju w Conde-sur-Escaut u Dostojnego Pana Jana d'Avesnes, ojca obecnego hrabiego de Hainaut...

Zapożyczano się na przyszłe zbiory, na wyrąb lasu; do najbliższych Lombardów zanoszono srebrne zastawy, by zamienić je na pióropusze do hełmu lub purpurowe tkaniny, lub kamchę na suknie dla pani i czapraki na konie.

Świętoszkowie obłudnie ubolewali:

- Ach! Ileż wydatków, ile kłopotów, kiedy tak dobrze mieszkało się w domu! Ale nie możemy sobie pozwolić na niestawiennictwo na turniej, wymaga tego honor rodu. Jeśli król nasz Miłościwy Pan wysłał heroldów aż do bram naszego zamku, obrazilibyśmy go nie jadąc.

Wszędzie haftowano, klepano żelazo, naszywano żelazne kółka na skórzane kubraki, ujeżdżano konie i zaprawiano się w sadach, skąd ptactwo pierzchało w popłochu przed szarżami, zderzeniem kopii i głośnym szczękiem mieczy. Pomniejsi baronowie po trzy godziny przymierzali misiurki.

Kasztelanowie dla nabycia sprawności zwoływali miejscowe turnieje, na których podeszli wiekiem, marszcząc brew, wydymając policzki, osądzali ciosy i przyglądali się, jak młodsi podbijają sobie oczy. Po czym zasiadano do stołu, by długo ucztować zajadając, pijąc i rozprawiając.

Dwa wojenne igrzyska w każdej po kolei baronii kosztowały tyleż, ile prawdziwe wyprawy.

Wreszcie ruszano w drogę; w ostatniej chwili dziadek postanawiał jechać, a czternastoletni syn wygrywał sprawę; będzie młodszym giermkiem. Rumaków turniejowych nie należało męczyć, przeto prowadzono je za uzdę; skrzynie z sukniami i pancerzami ładowano na muły, czeladź wlokła się w kurzu pieszo. Zatrzymywano się w klasztornych gospodach czy w zamku po drodze u jakiegoś krewniaka, który również wybierał się na turniej. Jeszcze ciężka wieczerza obficie zakrapiana, a skoro świt wszyscy razem ruszali.

Przeto z postoju na postój rosły zastępy, aż do spotkania w potężnym zbiorowisku u pana hrabiego swego suzerena. Całowano mu rękę i wymieniano kilka wytartych grzeczności, później długo komentowanych. Damy wydobywały ze skrzyń nowe suknie i ustawiano się za hrabią w orszaku na

pół mili, wszystkie zaś chorągwie łopotały w słońcu wczesnego lata.

Rzekome armie zbrojne w skrócone kopie, stępione miecze i nieważkie buławy przekraczały tedy Sekwanę, rzeki Eure i Risle lub szły w górę Loary, by udać się na rzekomą wojnę, na której nic nie będzie autentycznego poza próżnością.

Na tydzień przed turniejem ani jednej izby czy komórki nie było do wynajęcia w całym mieście Evreux. Król Francji wraz z dworem rozgościł się w największym opactwie, a król Czech, na którego cześć wydawano igrzyska, zamieszkał u hrabiego d'Evreux, króla Nawarry.

Osobliwy książę ów Jan Luksemburczyk, król Czech, całkiem bez grosza, posiadający więcej długów niż włości, żył kosztem Skarbu Francji, ale nie wyobrażałby sobie pojawienia się w mniejszym splendorze niż gospodarz, od którego czerpał swe zasoby. Luksemburczyk zbliżał się do czterdziestki, a wyglądał na lat trzydzieści; wyróżniał się piękną kasztanowatą brodą, jedwabistą i rozpostartą, dumną i roześmianą twarzą i zawsze życzliwie wyciągniętymi rękoma. Był wcieleniem żywości, siły, odwagi i wesołości, a także głupoty. Postawy podobnej do Filipa VI, naprawdę był wspaniały i pod każdym względem wyglądał na króla, jakiego sobie może lud wyobrażać. Umiał sobie zjednać miłość wszystkich, tak książąt, jak pospólstwa, powszechną; zdołał nawet zdobyć przyjaźń zarazem papieża Jana XXII i cesarza Ludwika Bawarskiego, zajadłych wobec siebie wrogów. Cudowne osiągnięcie jak na półgłówka, bo jak wszyscy zgodnie stwierdzali: Jan Luksemburski był równie głupi jak uroczy.

Głupota nie przeszkadza poczynaniom, przeciwnie, nie dostrzega przeszkód, uważa za łatwiznę to, co każdy rozsądniejszy człowiek miałby za krok beznadziejny. Jan Luksemburski opuścił małe Czechy, gdzie się nudził, i w Italii wplątał się w obłędne przygody. “Walki gwelfów z gibelinami rujnują ten kraj - myślał, jakby czynił wielkie odkrycie. - Cesarz i papież kłócą się o republiki, których mieszkańcy wzajem się wybijają. Więc dobrze! Ponieważ jestem przyjacielem obu stron, niech mi powierzą te państewka, a ja tam zaprowadzę pokój!” Najdziwniejsze, że niemal to osiągnął. W ciągu kilku miesięcy był bożyszczem całej Italii prócz Florentyńczyków, ludzi trudnych do oszukania, i króla Roberta z Neapolu, którego ów intruz jął niepokoić.

W kwietniu Jan Luksemburski odbył potajemną naradę z kardynałem-legatem Bertrandem du Puget, krewniakiem papieża, a nawet - jak poszeptywano - jego naturalnym synem; na tej naradzie Czesi uważali, że załatwili za jednym zamachem i los Florencji, i wycofanie się z Rimini Malatestów, i stworzenie udzielnego księstwa z Bolonią jako stolicą. Po czym zaś, nie wiadomo jak i nie wiadomo dlaczego, gdy sprawy tak pięknie się toczyły, iż nawet Jan Luksemburski przemyśliwał zastąpić na cesarskim tronie swego zaufanego druha Ludwika Bawarskiego, oto nagle ujrzał, że powstają przeciw niemu dwie potężne koalicje, gwelfowie wyjątkowo zawierają sojusz z gibelinami, Florencja zgadza się z Rzymem, król Neapolu, poplecznik papieża, atakuje z południa, podczas gdy cesarz - wróg papieża, najeżdża z północy, zaś obaj arcyksiążęta austriaccy, margrabia brandenburski, król Polski, król Węgier, śpieszą na pomoc. Było czym zadziwić księcia tak miłowanego, który pokojem chciał obdarzyć Włochów.

Pozostawiwszy synowi Karolowi tylko ośmiuset jazdy, by opanować całą Lombardię, Jan Luksemburski z rozwianą brodą pomknął z Parmy aż do Czech, dokąd wkraczali Austriacy. Padł w ramiona Ludwika Bawarskiego i całując go w policzki rozproszył bzdurne nieporozumienie. Chodzi

o koronę cesarską? Ależ myślał o niej jedynie, by sprawić przyjemność papieżowi!

Teraz przybył do Filipa de Valois, aby go prosić o wstawiennictwo u króla Neapolu, wyciągnąć odeń nowe subsydia i snuć dalej swe plany królestwa pokoju.

Czy Filip VI mógł zrobić mniej wobec tego rycerskiego gościa, niż wydać turniej na jego cześć?

Tym sposobem na równinie Evreux nad brzegiem rzeki Iton dwaj pobratymcy: król Francji i król Czech wydawali sobie rzekomą bitwę... z liczniejszym wojskiem pod bronią, niż posiadał syn owegoż króla Czech, by się przeciwstawić całej Italii.

Szranki - czyli plac turniejowy - były wytyczone na wielkiej łące i tworzyły prostokąt trzysta stóp na dwieście, otoczony dwoma ostrokołami, pierwszym wolno stojącym ze spiczastych słupów, drugim niższym, okolonym grubą barierą. Podczas spotkań między obu ostrokołami oczekiwali pachołcy z bronią dla zapaśników.

Po cienistej stronie zbudowano podium, trzy wielkie trybuny osłonięte płótnem i zdobne w chorągwie; pośrodku dla sędziów, zaś dwie po bokach dla dam.

Wokół równiny skupiały się namioty pachołków i koniuchów; tam właśnie podczas przechadzki przybywano podziwiać wierzchowce zapaśników; nad każdym namiotem powiewała chorągiew z pańskim herbem.

Pierwsze cztery dni poświęcono indywidualnym zapasom, wyzwaniom, jakie sobie parami rzucali przybyli panowie. Jedni pragnęli odwetu za poniesioną w poprzednim spotkaniu porażkę; inni, co nigdy ze sobą się nie zmierzyli, chcieli się wypróbować; niekiedy podjudzano do starcia parę słynnych zapaśników.

Trybuny zapełniały się bardziej lub mniej licznie, zależnie od walorów przeciwników. Gdy dwóch młodych giermków po usilnych zabiegach zdołało wczesnym rankiem uzyskać szranki na pół godziny, tedy na podwyższeniach zasiadało tylko kilku przyjaciół lub krewnych. Ale niechże zapowiedziano spotkanie króla Czech z panem Janem de Hainaut, umyślnie przybyłym z Hainaut z dwudziestką rycerzy, trybuny trzeszczały niebezpiecznie. Dopieroż wtedy damy zrywały jedwabny rękaw z sukni, by go ofiarować wybranemu rycerzowi, często rzekomy rękaw przyfastrygowany kilku ściegami łatwymi do przerwania, albo też prawdziwy rękaw poniektórych śmielszych dam, którym się spodobało obnażyć piękne ramię.

Na ławach zasiadały przeróżne osoby, bo wśród wielkiego napływu do Evreux jakby na szlachecki jarmark, nie można było za wiele przebierać. Kilka kurtyzan równie strojnych jak baronowe, a często ładniejszych i o bardziej wytwornych manierach, zdołało się wśliznąć na najlepsze miejsca i zerkając, wzywało mężczyzn na inne turnieje.

Zapaśnicy nie będący w szrankach pod pozorem przyglądania się walkom przyjaciół zasiadali u boku dam i zaczynały się zaloty, które wieczorem w zamku trwały nadal między tańcami a chodzonym z przyśpiewkami.

Pan Jan de Hainaut i król Czech, niewidoczni spod hełmów z pióropuszami, mieli na drzewcach kopii po sześć jedwabnych rękawów, symbol tylu ofiarowanych im serc. Jeden z zapaśników musiał obalić drugiego lub złamać drzewce kopii. Wolno było uderzać tylko w pierś i tarczę tak zakrzywioną, aby parowała ciosy. Wysoki łęk siodła osłaniał brzuch; z głową zamkniętą w hełmie o spuszczonej przyłbicy, przeciwnicy na siebie gwałtownie nacierali. Na trybunach aż krzyczano i tupano z radości. Obaj zapaśnicy byli równej siły i długo mówiono, z jakim wdziękiem pan de Hainaut opierał kopię o hak przy napierśniku, a także w jaki sposób król Czech niby strzała wyprostowany w strzemionach wytrzymywał cios, aż oba drzewca wygięły się w łuk i wreszcie złamały.

Hrabia Robert d'Artois zaś, przybyły z sąsiedniego Conches, dosiadający olbrzymich perszeronów, był groźny ze względu na swą potężną wagę. W stroju czerwonym, z czerwoną kopią, czerwoną wstęgą powiewającą na hełmie, osobliwie zręcznie chwytał w pędzie przeciwnika, unosił go nad siodłem i rzucał na ziemię. Lecz w onym czasie posępny był Dostojny Pan d'Artois, rzekłbyś, że uczestniczył w igrzyskach raczej z obowiązku niż dla przyjemności.

Tymczasem sędziowie-rzecznicy, wybrani z najznamienitszych osobistości w królestwie, jak konetabl Raul de Brienne lub pan Miles de Noyers, zajmowali się szykowaniem wielkiego końcowego turnieju.

Między wkładaniem i zdejmowaniem zbroi, pojawianiem się na zapasach, omawianiem spotkań, liczeniem się z próżnością rycerzy, którzy chcieli walczyć pod tą, a nie inną chorągwią, a czasem spędzanym za stołem, a także na słuchaniu pouczeń minstreli i tańcami po wysłuchaniu pieśni, król Francji, król Czech oraz ich doradcy ledwie mieli krótką godzinkę dziennie, by omówić sprawy Italii będące ostatecznie przyczyną tego zjazdu. Ale wiadomo, sprawy najważniejsze załatwia się w niewielu słowach, jeśli rozmówcy skłonni są dojść do zgody.

Niby dwaj prawdziwi rycerze Okrągłego Stołu, Filip de Valois wspaniały w haftowanych szatach i Jan Luksemburski nie mniej okazały, z pucharami w rękach, składali sobie wzajem solenne oświadczenia przyjaźni. Śpiesznie stanowiono o liście do papieża Jana XXII lub poselstwie do króla Roberta z Neapolu.

- Ach! trzeba takoż, mój piękny Panie, abyśmy trochę pomówili o krucjacie - mówił Filip VI.

Podjął bowiem zamysł swego ojca Karola de Valois i swego kuzyna Karola Pięknego. Tak dobrze wszystko szło w królestwie Francji, Skarb był tak znakomicie zaopatrzony, a pokój w Europie z pomocą króla Czech tak znakomicie zabezpieczony, iż należało pilnie rozpatrzeć, ze względu na honor i pomyślność narodów chrześcijańskich, piękną i chwalebną wyprawę na niewiernych.

- Ach! Szlachetni Panowie, trąbią na wodę...

Narada zakończona; omówi się krucjatę po uczcie lub nazajutrz.

Przy stole okrutnie drwiono z młodego króla Anglii Edwarda, który przed trzema miesiącami, jedynie w towarzystwie lorda Montaigu przybył przebrany za wędrownego kupca, aby sekretnie porozmawiać z królem Francji. Tak, w stroju byle jakiego handlarza lombardzkiego! I w jakim celu?

Żeby zawrzeć układ handlowy w sprawie dostarczenia surowej wełny do Flandrii. Naprawdę jak wędrowny kupiec: zajmuje się wełną!. Słyszane to rzeczy, żeby książę zajmował się takimi sprawami jak pospolity mieszczanin z gildii lub hanzy?

- Tedy, przyjaciele, ponieważ tego chciał, przyjąłem go wędrując! - mówił Filip de Valois, zachwycony własnym kalamburem. - Bez parady, bez turnieju, wędrując po drogach w lesie Halate i ugościłem go skromną, postną wieczerzą.

Co za głupie pomysły ma ten młokos! Czyż właśnie nie organizuje w swoim królestwie stałej, pieszej armii ze służbą obowiązkową? Czego się spodziewa po tej pieszej hołocie, skoro dobrze wiadomo, a wyraźnie tego dowiodła bitwa pod Cassel, że w walce tylko jazda się liczy, piechur zaś czmycha, ledwie pancerz zobaczy?

- Zdaje się jednakże, iż w Anglii większy panuje ład, odkąd powieszono lorda Mortimera - zauważył Miles de Noyers.

- Ład panuje - odparł Filip VI - bo angielscy baronowie na razie są znużeni po zaciętych ze sobą walkach. Niechże nabiorą tchu, a biedny Edward zobaczy, co zdziała ze swoją piechotą! A zamyślał ongiś, drogie chłopię, żeby sięgać po francuską koronę... Hejże, Szlachetni Panowie, czy żałujecie, że nie macie go za księcia, czy też wolicie swojego “króla znajdka”? - dorzucił, rubasznie uderzając się w pierś.

Wychodząc po uczcie Filip za każdym razem mawiał przyciszonym głosem do Roberta:

- Bracie, chcę z tobą pomówić sam na sam, i to o sprawach wielkiej wagi.

- Miłościwy Panie Kuzynie, skoro tylko zapragniesz.

- No to dziś wieczór...

Ale wieczorem odbywały się tańce, Robert zaś nie usiłował przyspieszyć rozmowy, której treści domyślał się aż nadto dobrze; po zeznaniach Divion, wciąż więzionej, nastąpiły dalsze aresztowania, między innymi notariusza Tesson, a wszystkich świadków poddano ponownym przesłuchaniom... Podczas krótkich narad z królem Czech zauważono, że Filip VI wcale nie pyta o radę Roberta, co można było rozumieć jako objaw niełaski.

W przeddzień turnieju “król igrzysk” w otoczeniu heroldów i trębaczy udał się do zamku, siedziby najznakomitszych feudałów, i na same szranki, aby obwieścić:

- “Słuchajcie, słuchajcie, dostojni i potężni książęta, diukowie, hrabiowie, baronowie, rycerze i giermkowie! Obwieszczam w imieniu Szlachetnych Panów sędziów-rzeczników, iż każdy z was winien przysłać hełm, w którym będzie walczył, a takie swe chorągwie do siedziby Dostojnych Panów Sędziów, aby pomienieni panowie sędziowie dokonali podziału; po czym gdy tego dokonają, przybędą w odwiedziny damy, aby je obejrzeć i wydać swój osąd; a dnia tego nic się dziać nie będzie, jeno nastąpią tańce po wieczerzy”.

W sędziowskiej gospodzie w miarę jak gromadziły się hełmy przynoszone przez zbrojnych

pachołków, układano je rzędem w wirydarzu i dzielono na dwa obozy. Rzekłbyś, że szczątki szalonej, ściętej armii. Bo chcąc się wyróżnić podczas walki, zapaśnicy nad koroną baronowską lub hrabiowską przymocowywali godła najbardziej jaskrawe lub dziwaczne; ten osła, ów smoka, tamten nagą kobietę lub syrenę, albo dębem stającego jednorożca. Nadto długie jedwabne wstęgi w barwach właściciela były przyczepione do owych szyszaków.

Po południu do gospody przybyły damy i zaproszone obeszły wirydarz, poprzedzane przez sędziów i dwóch wodzów turnieju, króla Francji i króla Czech; podczas gdy herold przystawał przed każdym hełmem wymieniając właściciela.

- Pan Jan de Hainaut... Dostojny Pan hrabia de Blois... Miłościwy Pan d'Evreux, król Nawarry...

Niektóre hełmy były malowane, a także miecze i drzewca kopii, skąd wywodziły się przezwania właścicieli: Rycerz w Białej Zbroi, Rycerz w Czarnej Zbroi.

- Pan marszałek Robert Bertrand, Rycerz Zielonego Lwa...

Następnie przyszła kolej na kolosalny czerwony hełm uwieńczony złotą wieżą.

- Dostojny Pan Robert d'Artois, hrabia de Beaumont-le-Roger.

Królowa idąc w pierwszym rzędzie dam zbliżyła się swym chromym krokiem i wyciągnęła rękę. Filip VI powstrzymał ją unosząc napięstek i udając, że pomaga jej iść, rzekł do niej półgłosem:

- Moja miła, stanowczo ci tego zabraniam.

Królowa Joanna złośliwie się uśmiechnęła.

- Byłaby to jednakże dobra sposobność - szepnęła do swej sąsiadki i szwagierki, młodej diuszesy Burgundzkiej.

Wedle bowiem przepisów turniejowych, jeśli dama dotknęła jednego z hełmów, rycerz, do którego hełm należał, zostawał “odwołany”, innymi słowy nie miał prawa uczestniczyć w spotkaniu. Gdy wjeżdżał w szranki, gromadzili się inni rycerze, by go bić drzewcami kopii, jego konia oddawano trębaczom, sam zaś siłą wsadzony okrakiem na okalającą szranki barierę zmuszony był tam tkwić na pośmiewisko w ciągu całego turnieju. Taką zniesławiającą karę wymierzano temu, kto obmawiał damę albo popełnił inne przestępstwo sprzeczne z rycerskim honorem, bądź pożyczając pieniądze na lichwiarski procent, bądź “łamiąc słowo”.

Gest królowej nie umknął uwagi Pani de Beaumont, zobaczono, że blednie. Zbliżyła się do króla, swego brata, czyniąc mu wymówki.

- Siostro - z surową miną odparł Filip VI - raczej mi dziękujcie, niż się uskarżajcie.

Wieczorem, podczas tańców, wszyscy już wiedzieli o szykanie. Królowa udawała, że “odwołała” Roberta d'Artois. Ów miał bardzo ponurą minę. W tańcu chodzonym ostentacyjnie odmówił podania ręki diuszesie Burgundzkiej, po czym stanął przed królową Joanną, która nigdy nie tańczyła z powodu

swej ułomności, tkwił przed nią długą chwilę zaokrągliwszy ramię, jakby ją zapraszał, co było wyrazem mściwej, złośliwej obelgi. Żony szukały wzrokiem mężów; wiole i harfy ozwały się w trwożnej ciszy. Wystarczyłaby malutka skra, a turniej by się rozpoczął o noc wcześniej i walka wręcz zaraz by wybuchła w sali balowej.

Wejście króla igrzysk, eskortowanego przez heroldów z nowym obwieszczeniem, wywołało korzystne odprężenie.

- "Przeto słuchajcie dostojni i potężni książęta, panowie, baronowie, rycerze i giermkowie, uczestnicy turnieju! Czynię wam wiadomym w imieniu Dostojnych Panów sędziów-rzeczników, iż każdy z was winien jutro w południe stawić się w szeregach w zbroi i gotów do walki, bo w godzinę po południu sędziowie każą przeciąć sznury, by rozpocząć turniej, na którym damy rozdadzą cenne dary. Nadto przypominam wam, iż nie wolno nikomu wprowadzać do szeregów konnych pachołków poza wyznaczoną ilością, a mianowicie: książęta po czterech, hrabiowie po trzech, rycerze po dwóch, a giermkowie po jednym, pieszych zaś pachołków wedle woli, tak zarządzili sędziowie. Nadto wszystkich was proszę: unieście swą prawicę w górę ku świętym Pańskim i wszyscy razem ślubujcie, że żaden z was na rzeczonym turnieju świadomie nie uderzy ostrzem miecza ani też poniżej pasa, a także, gdyby przypadkiem któremu z was hełm spadł z głowy - nikt go nie dotknie, póki hełm nie będzie włożony i przywiązany, i musicie być posłuszni; jeśli inaczej postąpicie, stracicie zbroję i rumaka i będziecie wyświeceni z następnych turniejów. Przeto ślubujcie i ręczcie słowem na wiarę i honor".

Wszyscy obecni zapaśnicy unieśli ręce.

- Tak!

- Tak, zaiste, ślubujemy!

- Uważajcie jutro - rzekł swym rycerzom Diuk Burgundii - bo kuzyn d'Artois może się okazać złośliwy i nie respektować tych wszystkich przyrzeczeń.

Po czym ruszono do tańca.

VIII - Honor para, honor króla

Każdy uczestnik turnieju stał w namiocie z haftowanego sukna, nad którym powiewała jego chorągiew, i tu przyodziewano go w zbroję. Najpierw wciągano nogawice z kółek i przypinano do nich ostrogi, potem nakładano nagolenniki i naramienniki z żelaznych płytek, następnie kaftan kolczy z grubej skóry, a na wierzch właściwą zbroję, rodzaj żelaznej beczki, wedle woli jednolitą albo płytową. Następnie skórzany czepiec jako osłonę od ciosów w hełm oraz hełm właściwy z pióropuszem lub wieńczony godłami, przywiązywany skórzanymi rzemykami do kołnierza kaftana. Na zbroję narzucano jedwabną szatę w jaskrawych barwach, długą, powiewającą, na piersi haftowaną w herby, o bardzo szerokich, wyciętych w zęby rękawach zwisających z ramion. Na ostatku rycerz brał miecz o stępionym brzeszczocie i tarczę spiczastą lub zaokrągloną.

Przed namiotem czekał już rumak gryząc długie wędzidło, okryty czaprakiem zdobnym w herby, z naczółkiem z żelaznej płyty, nad którą wznosił się, jak na hełmie właściciela - orzeł, smok, lew, wieża lub pióropusz. Pachołkowie zapaśnika trzymali trzy kopie o stępionych grotach, do których każdy uczestnik turnieju miał prawo, a także buławę, na tyle lekką, by nie zadawała śmiertelnych ciosów.

Między namiotami przechadzała się szlachta; przyglądając się zbrojeniu zawodników, i udzielała ostatnich słów zachęty.

Mały książę Jan, najstarszy syn króla, z zachwytem oglądał owe przygotowania, zaś towarzyszący mu Jasio Trefniś stroił miny pod błazeńską czapą.

Oddział łuczników powstrzymywał w stosownej odległości wielką ciżbę ludu; przede wszystkim ujrzy on kurz, bo od czterech dni, odkąd zapaśnicy tratowali szranki, trawa wyschła, a ziemia, mimo że polewana, zamieniła się w proch.

Nim zapaśnicy dosiedli koni, już spływali potem po zbroją, bo skwarne lipcowe słońce rozgrzewało żelazne płyty. Stracą na pewno w ciągu dnia ze cztery funty.

Heroldowie krążąc krzyczeli:

- Przywiążcie hełmy, przywiążcie hełmy, panowie rycerze, i wznieście chorągwie, by towarzyszyć chorągwi wodza.

Podwyższenia zapełniły się, zaś sędziowie-rzecznicy, a wśród nich konetabl, pan Miles de Noyers i diuk de Bourbon zasiedli na trybunie centralnej.

Zagrzmiały fanfary; zapaśnicy z pomocą giermków ciężko dosiedli koni i udali się - jedni przed namiot króla Francji, inni przed namiot króla Czech, by parami stanąć w orszaku; za każdym rycerzem jechał chorąży, by towarzyszyć mu aż na pole turniejowe, na które uroczyście wjeżdżali.

Sznury przepoławiały w poprzek pole. Oba zastępy stanęły naprzeciw siebie.

Znów zabrzmiały fanfary i wystąpił król igrzysk, aby po raz ostatni powtórzyć reguły turnieju.

Wreszcie zawołał:

- Przeciąć sznury, obwołać walkę! Zapraszam waszmościów!

Diuk de Bourbon słuchał owego okrzyku zawsze z pewną przykrością, bo jego ojciec, Robert de Clermont, szósty syn Ludwika Świętego, tenże okrzyk wydawał w ataku szału, który go ogarniał podczas uczty lub rady królewskiej. Diuk osobiście wolał być raczej sędzią, niż walczyć.

Wyznaczeni ludzie unieśli topory; pękły sznury: Chorążowie cofnęli się z szeregów; konni pachołkowie zbrojni w skrócone kopie, nie dłuższe niż na trzy stopy, stanęli rzędem przy barierze, gotowi skoczyć z pomocą swym panom. Później ziemia zadrżała pod kopytami dwustu koni puszczonych na siebie cwałem i nastąpiło starcie.

Damy stojąc na trybunach krzyczały, śledząc wzrokiem hełm wybranego rycerza. Sędziowie czujnie śledzili wymieniane ciosy, by ustalić zwycięzcę. Zderzenia kopii, chrzęst strzemion, zbroi, całego tego żelastwa wywoływały piekielny hałas. Kurz przysłaniał słońce.

Już przy pierwszym natarciu czterech rycerzy zostało zrzuconych z koni, a z dwudziestu innych miało złamane kopie. Pachołcy w odpowiedzi na wydobywające się spod przyłbic wołania skoczyli podać nowe kopie rozbrojonym zapaśnikom i podnieść zrzuconych z siodeł, którzy wierzgali nogami jak odwrócone do góry brzuchem kraby. Jeden z nich miał złamaną nogę i czterech ludzi musiało go wynieść ze szranków.

Miles de Noyers miał ponurą minę i, choć był sędzią-rzecznikiem, nie interesował się zbytnio widowiskiem. Zaprawdę marnował on tu swój czas. Powinien by kierować pracą w Izbie Rachunkowej, przeglądać wyroki Parlamentu, czuwać nad całością administracji królestwa. Tymczasem musiał tkwić tutaj, aby dogodzić królowi i patrzeć, jak gromada wyjców łamie jesionowe kopie. Nie krył swych uczuć.

- Wszystkie te turnieje kosztują nadto drogo; zbędne to marnotrawstwo i lud je gani - mówił sąsiadom. - Król nie słyszy, co mówią poddani w gródkach i po wsiach. Gdy przyjeżdża, widzi tylko zgiętych ludzi całujących mu stopy, ale ja dokładnie wiem, o czym mi piszą bajlifowie i prewotowie. Czcza wystawa pychy i płochości. W tym czasie nic się nie robi, zarządzenia po dwa tygodnie czekają na podpis; odbywa się narady wyłącznie, by stanowić, kogo mianować królem igrzysk czy przybocznym rycerzem króla. Nie mierzy się potęgi królestwa owymi pozorami rycerskości. Król Filip Piękny wiedział, co robi, gdy wspólnie z papieżem Klemensem zabronił turniejowania.

Konetabl Raul de Brienne przyłożywszy rękę do czoła, by obserwować walkę, odpowiedział:

- Zapewne, słusznie powiadacie, panie, ale lekceważycie tę wartość turnieju, że jest on dobrą zaprawą do wojny.

- Jakiej wojny? - spytał Miles de Noyers. - Czy sądzicie, że ruszy się na wojnę z tymi tortami ślubnymi na głowach, z rękawami zębatymi zwisającymi na dwa łokcie? Zapasy, tak, zgadzam się,

utrzymują sprawność w walce; ale turnieje straciły wszelkie znaczenie, odkąd nie odbywają się w pełnym uzbrojeniu, a rycerz nie dźwiga właściwego ciężaru. Nawet są zgubne, bo nasi młodzi giermkowie, którzy nigdy nie brali udziału w wyprawach królewskich, będą myśleli, że się naciera jedynie na okrzyk: “przeciąć sznury!”

Słowa Miles'a de Noyers posiadały wielką wagę, był bowiem marszałkiem wojsk królewskich, gdy jego krewniak Gaucher de Chatillon objął urząd konetabla, a Brienne jeszcze ćwiczył się na zbrojnym manekinie.

- Korzystne jest również, aby nasi panowie zawarli ze sobą znajomość przed wyprawą krzyżową - z porozumiewawczą miną rzekł diuk de Bourbon.

Miles de Noyers wzruszył ramionami. Akurat głoszenie krucjaty pasuje do diuka sławnego z tchórzostwa.

Pan Miles de Noyers był znużony troską o rządy we Francji pod zwierzchnictwem monarchy, którego wszyscy zgodnie uważali za godnego podziwu, on zaś, wielce doświadczony w rządzeniu, uważał za niezbyt zdolnego. Nachodzi zmęczenie, gdy się mnoży wysiłki w kierunku, którego nikt nie docenia, a ponieważ Miles pierwszy swój urząd sprawował na dworze burgundzkim, rozważał teraz, czyby wkrótce tam nie powrócić. Lepiej rozsądnie zarządzać księstwem niż lekkomyślnie królestwem; zaś diuk Eudoksjusz nie dalej jak wczoraj o tym mu napomknął.

Poszukał wzrokiem, gdzie walczy diuk, i zobaczył, że leży na ziemi obalony przez Roberta d'Artois. Natenczas Miles zainteresował się turniejem. Podczas gdy pachołkowie stawiali na nogi diuka Eudoksjusza, Robert zsiadł z konia i zaproponował przeciwnikowi walkę pieszą. Obie żelazne wieże z maczugą i mieczem w dłoni chwiejnym krokiem posunęły się ku sobie, aby się wzajem okładać ciosami. Miles czuwał nad Robertem d'Artois, gotów zdyskwalifikować go przy lada uchybieniu. Ale Robert przestrzegał regulaminu, nie uderzał poniżej pasa, a tylko powyżej. Walił buławą w hełm diuka Burgundii i miażdżył wieńczącego go smoka. Mimo że buława ważyła tylko jeden funt, ów musiał mieć mocno nadwerężoną czaszkę, bo jął się niezręcznie bronić, miecz ciął raczej powietrze, niż godził w Roberta. Eudoksjusz Burgundzki pragnąc się uchylić stracił równowagę; Robert postawił mu stopę na piersi, przyłożył miecz do wiązania u hełmu; diuk poprosił o łaskę. Poddał się i musiał wycofać się z walki. Robert kazał się wsadzić na siodło i dumnie przejechał cwałem pod trybunami. Jakaś dama w porywie entuzjazmu zerwała swój rękaw, a Robert schwytał go w locie ostrzem kopii.

- Dostojny Pan Robert powinien by teraz okazywać mniej pychy - rzekł Miles de Noyers.

- Ba! - odparł Raul de Brienne - król go popiera.

- Jak długo? - zareplikował Miles de Noyers. - Zdaje się, że Pani Mahaut trochę za wcześnie skonała, a również i Pani Joanna Wdowa. Poza tym jest jeszcze ta Beatrycze d'Hirson, ich dama dworu, która znikła, a rodzina daremnie jej poszukuje... Diuk Eudoksjusz postąpiłby rozsądnie każąc próbować swych potraw.

- Bardzo ochłodliście w swych uczuciach do Roberta. W ubiegłym roku wydawaliście się mu w

pełni przychylni.

- Bo w ubiegłym roku jeszcze nie wszczynałem sprawy przeciw niemu, a dziś kieruję uzupełniającym śledztwem...

- Ach! Oto naciera pan de Hainaut - rzekł konetabl.

Jan de Hainaut szalał wspierając króla Czech; nie było po stronie króla Francji znamienitszego pana, którego by nie wyzwał; już teraz było wiadomo, kto otrzyma nagrodę zwycięzcy.

Turniej trwał całą godzinę, po czym sędziowie ponownie kazali zadąć w surmy, otworzyć bariery, rozdzielić szeregi. Dziesiątka rycerzy i giermków z Artois jednakże zdała się nie słyszeć sygnału i w rogu szranków z zapałem waliła w czterech panów burgundzkich. Wśród nich nie było Roberta, lecz z pewnością podjudził kilku ze swych zwolenników; groziło, że bójka zmieni się w masakrę. Filip VI musiał zdjąć hełm i z obnażoną głową - aby go poznano - poszedł, ku powszechnemu podziwowi, rozłączyć zacietrzewieńców.

Oba zastępy poprzedzane przez heroldów i trębaczy ustawiły się w orszaku, by opuścić plac turniejowy. Były to już tylko pogięte zbroje, złuszczone malowidła, okulałe konie okryte porwanymi czaprakami. Zapasy kosztowały jednego zmarłego i kilku okaleczonych na całe życie. Prócz pana Jana de Hainaut, któremu przypadnie nagroda ofiarowana przez królową, każdy z zapaśników otrzyma puchar ze złoconego srebra, srebrną czarkę lub miseczkę.

W namiotach o uniesionych przy wejściu zasłonach panowie zdejmowali zbroje, ukazywały się rozognione twarze, ręce okaleczone przy złączach rękawic, obrzmiałe nogi. Jednocześnie padały komentarze.

- Hełm mi się przekrzywił na samym początku. To mi przeszkadzało...

- Gdyby pan de Courgent nie poskoczył wam na pomoc, zobaczylibyście, przyjacielu!

- Diuk Eudoksjusz nie mógł długo zdzierżyć przed Dostojnym Panem Robertem!

- Ach! Brecy dzielnie walczył, muszę przyznać.

Śmiechy, gniew, sapanie ze zmęczenia; zapaśnicy szli do łaźni urządzonej w sąsiedniej stodole i wchodzili do przygotowanych kadzi, najpierw książęta, później baronowie, później rycerze, a na ostatku giermkowie. Łączyła ich poufałość przyjazna i trwała, jaka rodzi się podczas zapasów, ale wyczuwało się u niektórych skryte urazy.

Filip VI i Robert d'Artois moczyli się w bliźniaczych kadziach.

- Piękny turniej, piękny turniej - mówił Filip. - Ale! Bracie, muszę z tobą pomówić.

- Miłościwy Panie Bracie, zamieniam się w słuch.

Rozmowa, którą zamierzał Filip przeprowadzić, wyraźnie wiele go kosztowała. Lecz jakąż

odpowiedniejszą chwilę znaleźć, by porozmawiać serdecznie z kuzynem, szwagrem, przyjacielem młodości i lat późniejszych, niźli naonczas, gdy obaj razem walczyli i gdy okrzyki w stodole, głośne poklepywanie się rycerzy po ramionach, chlupot wody i para unosząca się z kadzi odosabniały ich całkowicie?

- Robercie, twój proces zapowiada się źle, bo twoje dokumenty są fałszywe.

Robert wychylił znad kadzi czerwone włosy, czerwone policzki.

- Nie, bracie, one są prawdziwe.

Twarz króla przybrała zgnębiony wyraz.

- Robercie, zaklinam cię, nie trwaj na fałszywej drodze. Zrobiłem dla ciebie więcej, niż mogłem, i to w brew woli wielu, tak w mojej rodzinie, jak i w Radzie. Zgodziłem się przekazać Artois diuszesie Burgundzkiej jedynie z zastrzeżeniem twoich praw. Mianowałem zarządcą Ferry de Picquigny, oddanego ci człowieka. Zaproponowałem diuszesie, że odkupi się od niej Artois, aby je tobie przekazać...

- Nie trzeba odkupywać Artois, przecie ono moje!

Wobec tak zaciętego uporu Filip VI poruszył się rozdrażniony. Krzyknął do pokojowca:

- Trousseau, trochę chłodnej wody, proszę!

Po czym ciągnął dalej:

- Gminy w Artois nie chciały opłacić kosztów zmiany właściciela; cóż mogę poradzić?... Nakaz wszczęcia procesu czeka od miesiąca. Od miesiąca odmawiam podpisania, ponieważ nie chcę, żeby mój brat był stawiony do oczu podłym ludziom, którzy obryzgają go błotem, a nie jestem pewien, czy zdoła się zeń oczyścić. Każdy człowiek jest omylny; nikt z nas nie popełniał wyłącznie czynów chwalebnych. Twoi świadkowie byli podpłaceni lub zagrożeni; twój notariusz się wygadał; fałszerze są pod kluczem, a z mnóstwa ich zeznań wynika, że pisali twoje dokumenty.

- Są prawdziwe - powtórzył Robert.

Filip VI westchnął. Ile trzeba wysiłków, aby uratować człowieka wbrew jego woli!

- Nie mówię, Robercie, że jesteś naprawdę winny. Nie mówię, jak się przypuszcza, że przyłożyłeś rękę do tych listów. Przyniesiono ci, uznałeś je za prawdziwe, pomyliłeś się...

W kadzi Robert zacisnął szczęki.

- Może nawet - ciągnął dalej Filip - wprowadziła cię w błąd moja własna siostra, a twoja żona. Kobiety są niekiedy skłonne do fałszu myśląc, że nam się przysłużą! Popatrz na moją: nie obudziło w niej odrazy wykradzenie mej pieczęci.

- Tak, kobiety są fałszywe - z gniewem rzekł Robert. - To wszystko babskie intrygi uknute przez twoją żonę do spółki z jej burgundzką bratową. Wcale nie znam łotrów, których wymuszone zeznania chcą mi przeciwstawić!

- Uważam to za kalumnię - podjął ciszej Filip - co się mówi o śmierci twojej stryjny...

- U ciebie jadła obiad!

- Ale jej córka nie jadła obiadu, kiedy skonała w ciągu dwóch dni.

- Nie jestem jedynym wrogiem, jakiego sobie napytały w ciągu swego nikczemnego życia - z udaną obojętnością odparł Robert.

Wyszedł z kadzi i zażądał ręczników, aby się osuszyć. Filip uczynił to samo. Stali naprzeciw siebie nadzy, zaróżowieni, mocno włochaci; o kilka kroków czekali słudzy z paradną odzieżą na rękach.

- Robercie, oczekuję twej odpowiedzi - rzekł król.

- Jakiej odpowiedzi?

- Że zrzekasz się Artois, abym mógł stłumić sprawę...

- I żebyś mógł także cofnąć słowo, które mi dałeś, nim zostałeś królem. Panie Bracie, czyś zapomniał, kto cię wyniósł na tron, kto ci zjednał parów, kto zdobył dla ciebie berło?

Filip de Valois ujął nadgarstki Roberta i patrzył mu prosto w oczy:

- Gdybym zapomniał, Robercie, czy sądzisz, że tak bym do ciebie przemawiał, jak w tej chwili?... Po raz ostatni: zrzeknij się...

- Nigdy - odparł olbrzym, potrząsając głową.

- Odmawiasz przeto królowi?

- Tak, Sire, odmawiam królowi.

Filip rozluźnił uścisk.

- Przeto, jeśli nie chcesz uratować twego honoru para - powiedział - ja będę czuwał, by ocalić mój honor króla.

IX - Ród Tolomei

- Wybaczcie mi, Dostojny Panie, że nie mogę wstać, by was godniej powitać - zadyszanym głosem rzekł Spinello Tolomei, gdy wszedł Robert d'Artois.

Stary bankier leżał w łóżku wstawionym do jego gabinetu; pod lekkim przykryciem rysowały się wielki brzuch i wychudła pierś. Na zapadłych policzkach tygodniowy zarost wyglądał jak osad soli, a zsiniałe usta łapały powietrze. Lecz z okna wychodzącego na ulicę Lombardów nie dochodził żaden świeży powiew. Paryż prażył się w popołudniowym sierpniowym słońcu.

Niewiele już życia pozostało w ciele messer Tolomeia. O wiele żywsze było spojrzenie jedynego otwartego oka wyrażającego tylko pogardliwe znużenie, jakby osiemdziesiąt lat istnienia było całkiem zbędnym wysiłkiem.

Wokół łoża stało czterech mężczyzn o śniadej cerze, wąskich wargach, oczach lśniących niby czarne oliwki, wszyscy byli odziani w ciemne szaty.

- Moi kuzyni: Tolomeo Tolomei, Andrea Tolomei, Giaccomo Tolomei... - wskazując ich mówił umierający. - Tego zaś znacie, siostrzeniec mój, Guccio Baglioni.

Guccio w trzydziestym piątym roku życia miał już posiwiałe skronie.

- Wszyscy przybyli ze Sieny, aby mnie zobaczyć na łożu śmierci... a także w innych sprawach - powoli dorzucił stary bankier.

Robert d'Artois w podróżnych pludrach, pochylony na podsuniętym mu krześle, patrzył na starca z rzekomą uwagą człowieka pochłoniętego bardzo poważną troską.

- Śmiem powiedzieć, że Dostojny Pan Robert d'Artois jest naszym przyjacielem - zwrócił się Tolomei do krewniaków. - Wszystko, co można dlań uczynić, winno być uczynione: często nas ratował, tym razem odeń nie zależało...

Ponieważ sieneńscy kuzynowie wcale nie rozumieli francuskiego języka, Guccio szybko im tłumaczył słowa wuja, kuzyni jednakim ruchem pochylili smagłe twarze.

- Lecz jeśli potrzebujecie pieniędzy, Dostojny Panie, niestety, niestety, mimo całego mego do was przywiązania nic nie poradzimy. Aż nadto dobrze wiecie dlaczego...

Czuło się, że Spinello Tolomei oszczędza sił. Nie potrzeba było długo się rozwodzić. Po co wyjaśniać tragiczną sytuację, w jakiej od kilku miesięcy szamotali się włoscy bankierzy?

W styczniu król wydał zarządzenie, które zagroziło wygnaniem wszystkim Lombardom. Rzecz nie nowa; każdy król w kłopotliwych chwilach stosował tę samą pogróżkę i porywał Lombardom część majątku zmuszając ich do ponownego wykupienia prawa pobytu. Bankierzy, by wyrównać straty, na

przeciąg roku podwyższali lichwiarski procent. Tym razem jednak towarzyszyły zarządzeniu sankcje znacznie ostrzejsze. Wolą królewską zostały umorzone wszystkie długi francuskich feudałów wobec Włochów; wzbroniono dłużnikom uiszczać należności, nawet jeśli chcieli lub mieli możność. Królewscy sierżanci pełnili wartę u drzwi kantorów i kazali zawracać uczciwym klientom, którzy przychodzili ze spłatą. Włoscy bankierzy byli bliscy łez!

- A to wszystko dlatego, że szlachta zbyt się zadłużyła na te szalone festyny, na te wszystkie turnieje, na których chce błyszczeć przed królem! Nawet za Filipa Pięknego nie byliśmy traktowani w taki sposób.

- Broniłem was - rzekł Robert.

- Wiem, wiem, Dostojny Panie. Zawsze broniliście naszych kompanii. Lecz teraz i wy nie jesteście w większych niż my łaskach... Moglibyśmy sądzić, że sprawy ułożą się jak poprzednio. Ale śmierć Macci dei Macci zadała nam cios ostateczny:

Starzec skierował wzrok ku oknu i zamilkł.

Macci dei Macci, jeden z największych finansistów włoskich we Francji, któremu Filip VI w początkach swego panowania za radą Roberta powierzył zarząd Skarbem, w ubiegłym tygodniu po pośpiesznym przewodzie sądowym został powieszony.

Guccio Baglioni rzekł głosem przepełnionym hamowanym gniewem:

- Człowiek, który cały swój trud, całą swą przebiegłość poświęcił służbie królestwa. Czuł się bardziej Francuzem, niż gdyby się urodził nad Sekwaną! Czy bardziej się wzbogacił niż ci, co go kazali powiesić? Zawsze uderza się we Włochów, ponieważ nie mają możności obrony!

Sieneńscy kuzyni co mogli wychwytali z przemówienia; przy imieniu Macci dei Macci unieśli brwi aż do pół czoła, przymknęli powieki, a z gardeł im się wydobył zgodny lament.

- Tolomei - rzekł Robert d'Artois - nie przychodzę pożyczać u was pieniędzy, ale prosić, byście je ode mnie wzięli.

Jakkolwiek osłabiony, Tolomei nieco się uniósł, tak zdumiewające było oświadczenie.

- Tak - podjął Robert - chciałbym wam przekazać całą moją gotówkę w zamian za listy kredytowe. Wyjeżdżam, opuszczam królestwo.

- Wy, Dostojny Panie? Czy wasz proces potoczył się tak źle? Czy już wydano na was wyrok?

- Zostanie wydany za cztery tygodnie. Czy wiesz, bankierze, jak mnie traktuje ten król, którego siostrę poślubiłem, a który, gdyby nie ja, nigdy nie zostałby królem? Wysłał swego bajlifa z Gisors, aby otrąbił przed bramami wszystkich moich zamków w Conches, Beaumont, Orbec, że wzywa mnie przed swój sąd na Świętego Michała. Pozorny sąd, bo wyrok na mnie już zapadł. Filip w pościg za mną wypuścił wszystkie swoje psy: Sainte-Maure'a - podłego kanclerza, Forgeta - złodzieja skarbnika, Mateusza de Trye - marszałka, i Miles'a de Noyers, aby za mną pogoniły. Ci sami, co się

zwąchali przeciw wam, ci sami, co powiesili waszego przyjaciela Mache des Mache! Zła królowa, kulawa, wygrała. Zwyciężyła Burgundia i nikczemność. Wtrącili do ciemnicy moich notariuszy, mojego jałmużnika i brali na męki moich świadków, by ich zmusić, żeby się wyparli. Więc dobrze! Niech mnie sądzą; mnie tam nie będzie. Ukradli mi Artois, niech mnie hańbią do woli! Królestwo już jest niczym dla mnie, a król moim wrogiem; wyjeżdżam za granicę, aby mu wyrządzić tyle zła, ile tylko można! Jutro jestem w Conches, żeby wysłać konie, zastawę, klejnoty i broń do Bordeaux i załadować na statek do Anglii! Chcą pochwycić i moje ciało, i moje dobra; nie będą mnie mieli!

- Czy jedziecie do Anglii, Dostojny Panie? - spytał Tolomei.

- Najpierw poproszę o gościnę moją siostrę, hrabinę de Namur.

- Czy wasza małżonka jedzie z wami?

- Moja małżonka później się do mnie dołączy. Tedy, bankierze, moja cała gotówka za listy wymienne do waszych kantorów w Holandii i Anglii. I zachowajcie sobie dwa liwry od dwudziestu.

Tolomei nieco poruszył głową na poduszce i nawiązał rozmowę z siostrzeńcem i kuzynami po włosku. Robert chwytał tylko pojedyncze słowa. Pojmował debito... rimborso... deposito... (dług... spłata... depozyt...) Czy kompania Tolomei przyjmując pieniądze od francuskiego feudała naruszy zarządzenie? Nie, ponieważ nie chodziło o uregulowanie długu, lecz o depozyt...

Po czym Tolomei ponownie zwrócił ku Robertowi d'Artois swą twarz jakby pokrytą solą i zsiniałe wargi.

- My także, Dostojny Panie, wyjeżdżamy; lub raczej wyjeżdżają oni... - wyrzekł wskazując krewniaków - zabiorą wszystko, co tu posiadamy. Nasze kompanie teraz się podzieliły. Bardi, Peruzzi wahają się; myślą, że najgorsze minęło, i nieco zginając grzbiet... Są podobni Żydom, zawsze wierzącym w prawo, i myślą, że się im da spokój, skoro zapłacą swe talarki; płacą talarki, a potem idą na stos! Tedy my, Tolomei, wszyscy odchodzimy. Odjazd ten sprawi pewną niespodziankę, bo zabieramy do Italii wszystkie powierzone nam pieniądze; większość jest już w drodze. Ponieważ zabrania się, by nam spłacano długi, wywozimy depozyty.

Po raz ostatni chytry grymas przemknął po zapadłych rysach starca.

- W ziemi francuskiej pozostawię tylko moje kości, a to niewielkie bogactwo - dorzucił.

- Zaiste, Francja nie była dla nas dobra - rzekł Guccio Baglioni.

- No cóż! dała ci ona syna, to nie tak źle!

- To prawda - rzekł Robert d'Artois - macie chłopaka. Zdrowo rośnie?

- Bardzo dziękuję, Dostojny Panie - odparł Guccio. - Tak, wkrótce mnie przerośnie; ma piętnaście lat. Ale nie okazuje zamiłowania do spraw bankowych.

- Przyjdzie mu to, przyjdzie - rzekł starzec. - Tedy zgadzamy się, Dostojny Panie. Powierzcie nam

waszą gotówkę; my ją wywieziemy, a wam przekażemy listy wymienne w pełnej wysokości, nic sobie nie zatrzymując. Brzęcząca gotówka zawsze jest przydatna.

- Dziękuję wam, Tolomei; skrzynie przeniesione będą tej nocy.

- Kiedy pieniądz poczyna uciekać z królestwa, szczęście królestwa nie potrwa długo. Otrzymacie satysfakcję, Dostojny Panie; ja tego nie zobaczę, ale powiadam wam - otrzymacie satysfakcję!

Otwarło się zwykle zamknięte lewe oko; Tolomei patrzył nań obojgiem oczu; nareszcie szczere spojrzenie. Robert d'Artois poczuł się bardzo wzruszony, ponieważ stary Lombard, który niebawem umrze, wpatrywał się weń całą mocą.

- Tolomei, widziałem wielu ludzi odważnych, walczących aż do końca bitwy; ty na swój sposób jesteś równie jak oni odważny.

Smutny uśmiech przemknął po wargach bankiera.

- To nie odwaga, Dostojny Panie, przeciwnie. Gdybym nie kierował bankiem, jakże bardzo bym się w tej chwili lękał.

Uniósł wychudłą rękę znad kołdry i dał znak, by się Robert zbliżył.

Robert się pochylił, jakby miał wysłuchać zwierzenia.

- Dostojny Panie - rzekł Tolomei - pozwólcie mi pobłogosławić mego ostatniego klienta.

Kciukiem nakreślił znak krzyża na włosach olbrzyma, jaki włoscy ojcowie zwykli kreślić na czole synów, na długą drogę.

X - Sąd koronny

Schody wiodły na podium, na tronie o poręczach zakończonych głowami lwów zasiadał Filip VI w koronie na głowie, przyodziany w płaszcz królewski. Nad nim falował jedwabny baldachim haftowany w herby Francji; król pochylał się od czasu do czasu to na lewo, w stronę kuzyna, króla Nawarry, to na prawo ku krewniakowi, królowi Czech, by wzrokiem wezwać ich na świadków i kazać im docenić, jak ogromna była jego pobłażliwość.

Król Czech potrząsał piękną kasztanowatą brodą z miną zarazem zgnębioną i zgorszoną. Czy to możliwe, by rycerz, par Francji, jak Robert d'Artois, książę krwi, w podobny sposób się zachowywał, przykładał rękę do tak brudnych poczynań jak te, co w tej chwili wyliczano, zadawał się z ludźmi tak podłej konduity?

W pierwszym rzędzie parów świeckich po raz pierwszy ujrzano następcę tronu, księcia Jana, niezwykle wysokiego jak na trzynaście lat, chłopaka o ponurym i tępym spojrzeniu, zbyt długim podbródku, świeżo mianowanego przez ojca diukiem Normandii.

W świcie młodego księcia znajdowali się: hrabia d'Alencon, brat króla, diukowie de Bourbon i Bretanii, hrabia Flandrii, hrabia d'Etampes. Dwa stołki stały puste: diuka Burgundii, nie mogącego zasiadać jako strona w procesie, oraz króla Anglii, który nawet nie raczył wysłać przedstawiciela.

Wśród parów duchownych widziało się Jego Wielebność hrabiego-biskupa Beauvais, Pana Jana de Marigny, i Wilhelma de Trye, diuka-arcybiskupa Reims.

Chcąc przydać solenności owemu sądowi, król zaprosił nań arcybiskupów Sens i Aix, biskupów Arras, Autun, Blois, Forez, Vendóme, diuka Lotaryngii, hrabiego Wilhelma de Hainaut z bratem Janem oraz wszystkich wielkich dostojników koronnych: konetabla, obu marszałków, Miles'a de Noyers, panów de Chatillon, de Soyecourt, de Garencieres, członków ścisłej Rady i jeszcze wielu innych zasiadających po obu stronach podium, pod ścianami w wielkiej sali Luwru, gdzie odbywał się sąd.

Na podłodze, podwinąwszy nogi skupili się na kwadratach tkaniny juryści z sądu i rajcy z Parlamentu, pisarze sądowi i niższe duchowieństwo.

O sześć kroków naprzeciw króla prokurator generalny Szymon de Bucy otoczony komisarzami śledczymi od dwóch godzin czytał akt oskarżenia, najdłuższy, jaki wygłaszał w czasie pełnienia swego urzędu. Musiał opisać całą historię sprawy Artois, której źródła sięgały końca ubiegłego wieku, przypomnieć pierwszy proces w roku 1309, wyrok wydany przez Filipa Pięknego, zbrojny bunt Roberta przeciw Filipowi Długiemu w roku 1316, drugi wyrok w 1318 roku, aby teraz dotrzeć do krzywoprzysięstwa w Amiens, śledztwa, rewizji śledztwa, do zebranych niezliczonych zeznań, przekupywania świadków, fałszowania dokumentów, aresztowania współwinnych.

Wszystkie, jeden po drugim wydobyte na jaw fakty wyjaśniane i omawiane w swym powiązaniu, skomplikowanym zazębianiu się, stanowiły nie tylko jeden z największych procesów prawa

prywatnego, a teraz karnego, jakie kiedykolwiek się toczyły, ale bezpośrednio wiązały się z historią królestwa w ciągu ćwierćwiecza. Zebrani byli zafascynowani i wstrząśnięci faktami wykrytymi przez prokuratora: zafascynowani, ponieważ ujawniały one sekretne życie barona, przed którym jeszcze wczoraj wszyscy drżeli i starali się zdobyć jego przyjaźń, a który tak długo decydował o wszystkich sprawach francuskiego narodu! Ujawnienie skandalu w wieży Nesle, uwięzienie Małgorzaty Burgundzkiej, unieważnienie małżeństwa Karola IV, wojna w Akwitanii, poniechanie krucjaty, poparcie udzielone Izabeli Angielskiej, wybór Filipa VI - Robert był duszą tych wydarzeń. Tworzył dzieje lub nimi kierował, lecz zawsze ożywiony jedyną myślą, jedynym interesem: Artois, dziedzictwo Artois!

Iluż spośród obecnych zawdzięczało swój tytuł, urząd, majątek temu krzywoprzysięzcy, fałszerzowi, zbrodniarzowi... począwszy od króla samego!

Miejsce oskarżonego symbolicznie zajmowali dwaj zbrojni sierżanci trzymający wielką jedwabną tarczę herbową z godłami Roberta: “lilie Francji na tarczy podzielonej na cztery czerwone pola; w każdym polu trzy złote zamki”.

Gdy prokurator wymawiał imię Roberta, za każdym razem zwracał się do tarczy herbowej jakby do osoby.

Wreszcie doszedł do ucieczki hrabiego d'Artois:

- “Mimo że zgodnie z prawem jurysta Jan Loncle, urzędnik w okręgu Gisors, zawiadomił o wezwaniu rzeczonego Roberta d'Artois w jego zwykłych siedzibach, hrabia de Beaumont nie stawił się przed Naszym Miłościwym Królem i królewską Izbą Sędziowską, zgodnie z prawem zwołaną na dzień dwudziestego dziewiątego września. Doszło zaś do naszej wiadomości i z wielu stron zostało potwierdzone, iż rzeczony Robert załadował swe konie i skarby na okręt w Bordeaux, pieniądze w złocie i srebrze w niedozwolony sposób wysłał z królestwa, a sam, miast stawić się przed Sądem króla - uszedł poza granice.

W dniu 6 października 1331 roku niewiasta de Divion, uznana za winną wielu przestępstw popełnionych w służbie rzeczonego Roberta i dla własnej korzyści, a przede wszystkim sfałszowania pism i podrabiania pieczęci, została napiętnowana i spalona w Paryżu na placu Pourceaux, a kości jej obrócono w proch; a to w obecności Dostojnego Pana diuka Bretanii, hrabiego Flandrii, pana Jana de Hainaut, konetabla Francji, pana Raula de Brienne, marszałków Roberta Bertranda i Mateusza de Trye oraz pana Jana de Millon, prewota Paryża, który zdał królowi sprawozdanie z egzekucji...”

Wymienieni przymknęli powieki, zachowali w pamięci wycie Divion przy palu, obraz płomieni pożerających jej konopną suknię i ciała, które wzdymało się na nogach pękając pod wpływem gorąca, zapamiętali także okropny smród, który październikowy wiatr dął im w twarz. W taki sposób zmarła kochanica byłego biskupa Arras.

- “Dwunastego i czternastego października jurysta i rajca Piotr d'Auxerre oraz bajlif Michał z Paryża oznajmili w Jouyle-Chatal, później w Conches, Beaumont, Orbec i Quatremares, rezydencjach Pani de Beaumont, małżonki rzeczonego Roberta, iż król wzywa go na sąd w dniu czternastego grudnia.

Tymczasem pomieniony Robert w tym dniu po raz drugi się nie stawił. Król, Nasz Miłościwy Pan, w swej wielkiej łaskawości wyznaczył mu nowy termin na piętnasty dzień po święcie Gromnicznej i żeby rzeczony Robert nie mógł się tego wyprzeć, ogłoszono wezwanie najpierw w Wielkiej Sali Parlamentu, następnie w Wielkiej Sali Pałacu przy Stole Marmurowym, po czym ciż sami juryści, Piotr d'Auxerre i Michał z Paryża, zawieźli je do Orbec i Beaumont, a także do Conches, gdzie wprawdzie nie rozmawiali z Panią de Beaumont, lecz obwieścili wezwanie przed drzwiami jej komnaty, i tak donośnym głosem, że musiała je usłyszeć...”

Za każdym razem, gdy prokurator wymieniał Panią de Beaumont, król przesuwał ręką po twarzy i trochę marszczył wielki, gruby nos. Toż o siostrę jego chodziło!

- “W pomienionym dniu rzeczony Robert nie stawił się w Parlamencie przed Sądem pod przewodnictwem Króla, lecz przysłał swych przedstawicieli: jurystę Henryka, dziekana z Brukseli, i jurystę Tybalda de Meaux, kanonika z Cambrai, z pełnomocnictwem, aby miast niego się stawili i wyjaśnili powód jego nieobecności. Zważywszy jednak, że wezwanie opiewało na poniedziałek, piętnasty dzień po Gromnicznej, zaś pełnomocnictwo, które przedstawili, wymieniało wtorek, z tej racji pełnomocnictwo nie zostało uznane za ważne i po raz trzeci ogłoszono, że oskarżony się nie stawił. Tymczasem było wiadome i powszechnie znane, że w tymże czasie Robert d'Artois chciał się najpierw schronić u swej siostry pani hrabiny de Namur, ale Król, Nasz Miłościwy Pan, zabronił pani de Namur wspomagać i gościć rebelianta, przeto wzbroniła rzeczonemu Robertowi swemu bratu pobytu w jej włościach. Następnie rzeczony Robert pragnął schronić się u Dostojnego Pana Wilhelma na jego ziemiach w Hainaut, lecz na usilną prośbę Króla Naszego Miłościwego Pana Dostojny Pan hrabia de Hainaut wzbronił rzeczonemu Robertowi pobytu w swym państwie. A także rzeczony Robert prosił o gościnę i azyl diuka Brabancji, który to diuk na prośbę Króla Naszego Miłościwego Pana, aby nie czynił zadość owemu żądaniu, wpierw odpowiedział, iż nie będąc wasalem Króla Francji może gościć, kogo mu się podoba wedle swej woli, ale następnie wobec przestróg udzielonych mu przez Wielce Dostojnego Pana z Luksemburga, Króla Czech, diuk Brabancji ustąpił i dwornie się zachował wypędzając Roberta d'Artois ze swego księstwa.”

Filip VI obrócił się ku hrabiemu de Hainaut i królowi Czech, każdemu z nich składając owym ruchem przyjazną i smutną podziękę. Filip wyraźnie cierpiał; i nie tylko on sam. Jakkolwiek Robert d'Artois był winny, ci, którzy go znali, wyobrażali sobie, jak wędruje od jednego małego dworu do drugiego, dziś witany, wypędzany nazajutrz, znów odjeżdża dalej, by znów zostać wygnany. Dlaczego z takim zacietrzewieniem nastawał na własną zgubę, skoro król aż do końca oczekiwał go z rozwartymi ramionami?

- “Mimo że śledztwo zostało zakończone po przesłuchaniu siedemdziesięciu sześciu świadków, w tym czternastu zamkniętych w królewskich więzieniach, a Sąd królewski miał dostateczne rozeznanie, mimo że wymienione zarzuty były dostatecznie udowodnione, Król Nasz Miłościwy Pan pomny na dawną przyjaźń zawiadomił rzeczonego Roberta d'Artois, iż daje mu glejt, by wrócił do Królestwa i wyjechał zeń, gdy tylko zechce, bez żadnej krzywdy wyrządzonej ni jemu osobiście, ni jego ludziom, lecz by mógł wysłuchać zarzutów, bronić się, uznać swe winy i uzyskać wybaczenie. Rzeczony Robert zaś, głuchy na zaofiarowaną mu łaskę, nie wrócił do Królestwa, lecz w różnych miejscowościach, gdzie przebywał, zadawał się z niegodnymi ludźmi, banitami i wrogami Króla, i uprzedził wiele osób - które to powtórzyły - iż zamierza zgładzić mieczem lub rzuceniem uroku

marszałka de Trye i różnych doradców Króla Naszego Miłościwego Pana, a wreszcie wypowiadał te same pogróżki nawet pod adresem samego Króla.”

Zebranie zaszemrało długim szeptem oburzenia.

- “Zważywszy, że wszystkie pomienione sprawy były wiadome i powszechnie jawne, zważywszy, iż rzeczony Robert d'Artois po raz ostatni został wezwany obwieszczeniem zgodnym z prawem na dzisiejszą środę dnia 8 kwietnia przed Palmową Niedzielą, po raz czwarty wzywamy go do stawienia się...”

Szymon de Bucy przerwał i skinął na sierżanta z laską, który głosem donośnym obwieścił:

- Pan Robert d'Artois, hrabia de Beaumont-le' Roger niech się stawi!

Wszystkie spojrzenia odruchowo skierowały się ku drzwiom, jakby oskarżony miał naprawdę wejść. Minęło kilka sekund w zupełnej ciszy. Później sierżant zastukał laską w podłogę, a prokurator ciągnął dalej:

- “...i stwierdzamy, iż rzeczony Robert nie stawił się, przeto w imieniu Króla Naszego Miłościwego Pana żądamy: pozbawienia rzeczonego Roberta tytułów, praw i przywilejów para Królestwa, jak również wszystkich innych tytułów, lenn i posiadłości; nadto konfiskaty dóbr, włości, zamków, domów, wszystkich ruchomości oraz nieruchomości i przekazania ich do Skarbu, aby Król nimi rozporządził wedle swej woli; nadto zniszczenia w obecności parów i baronów jego godeł, by nigdy już się nie pojawiły na chorągwi lub pieczęci, oraz wygnania jego osobiście na zawsze z ziem Królestwa z zakazem wydanym wasalom, sojusznikom, krewnym i przyjaciołom Króla Naszego Miłościwego Pana, by mu nie udzielali żadnego schronienia; wreszcie żądamy ogłoszenia i otrąbienia niniejszego wyroku na głównych placach Paryża i zawiadomienia bajlifów w Rouen, Gisors, Aix i Bourges, jak również seneszalów w Tuluzie i Carcassonne, aby wyrok ten wykonali... w imieniu Króla.”

Szymon de Bucy zamilkł. Król zdawał się śnić. Błądził wzrokiem po zebranych. Po czym pochylił głowę, najpierw w prawo, następnie w lewo.

- Parowie, wasza rada - wyrzekł - jeśli nikt nie przemówi, oznacza to, iż potwierdza.

Nie uniosła się żadna ręka, żadne usta nie otwarły.

Filip VI uderzył dłonią w głowę lwa na poręczy swego tronu.

- Sprawa osądzona!

Tedy prokurator rozkazał obu sierżantom dzierżącym tarczę herbową Roberta d'Artois, aby się zbliżyli do stóp tronu. Kanclerz Wilhelm de Sainte-Maure, jeden z tych, którym Robert na wygnaniu groził śmiercią, postąpił ku tarczy, zażądał od sierżanta miecza i nadciął brzeg tkaniny. Po czym z przeciągłym trzaskiem jedwabna tarcza została przepołowiona.

Parostwo Beaumont przetrwało. Ten zaś, dla którego je ustanowiono, książę krwi, potomek króla

Ludwika VIII, olbrzym słynący siłą i niezliczonymi intrygami, był już tylko banitą, już nie należał do królestwa, którym rządzili jego przodkowie, i nic w tym królestwie doń nie należało.

Dla parów, feudałów, dla wszystkich tych ludzi, dla których herb był wyrazem nie tylko potęgi, lecz niemal własnego bytu, którzy kazali, by te godła powiewały na ich dachach, kopiach, koniach, haftowali na własnych piersiach, szatach swych giermków i liberii pachołków, malowali na sprzętach, ryli na zastawie, znaczyli nimi ludzi, zwierzęta i rzeczy podległe ich woli lub stanowiące ich własność, owo rozdarcie - rodzaj świeckiej klątwy - bardziej zniesławiało niż szafot, włóczydło czy szubienica. Bo śmierć zmazuje winę, a hańba gaśnie wraz ze zhańbionym.

“Lecz póki się żyje, sprawa nie jest przegrana”, powtarzał sobie Robert, błąkając się na wrogich mu drogach poza granicami ojczyzny i zdążając ku jeszcze większym zbrodniom.

Część czwarta - Podszczuwacz wojenny

I Banita

Przeszło trzy lata Robert d'Artois jak potężny raniony zwierz błąkał się na granicach królestwa.

Krewniak wszystkich królów i książąt Europy, siostrzeniec diuka Bretanii, wuj króla Nawarry, brat hrabiny de Namur, szwagier hrabiego Hainaut i księcia Tarentu, kuzyn króla Neapolu, króla Węgier, a także wielu innych, w czterdziestym piątym roku życia był samotnym tułaczem, przed którym zamykały się bramy wszystkich zamków. Dzięki sieneńskim listom bankowym miał pieniędzy dosyć, ale w gospodzie, gdzie stanął, nigdy żaden giermek się nie pojawił, aby prosić go na obiad do miejscowego pana. Robi się turniej w okolicy? Rozważano, jak uniknąć zaproszenia banity, fałszerza, Roberta d'Artois, którego ongiś sadowiono na honorowych miejscach. Zaś dowódca miasta z chłodnym szacunkiem wydawał mu rozkaz: Dostojny Pan hrabia suzeren prosi go, aby raczył się oddalić, bo Dostojny Pan hrabia suzeren czy diuk, czy margrabia nie życzy sobie zatargu z królem Francji i nie poczuwa się do żadnych względów wobec męża tak zhańbionego, iż nie posiada ni herbowej tarczy, ni chorągwi.

I Robert odjeżdżał w nieznane, eskortowany jedynie przez pachołka Gilleta de Nelle, nicponia, wręcz zasługującego, by zadyndać na stryczku, lecz który ślubował swemu panu bezgraniczną wierność, jak ongiś Lormet. W zamian Robert obdarzał go zapłatą cenniejszą niż najcięższe kiesy: poufałością wielkiego pana w nieszczęściu. Ileż to wieczorów tej tułaczki spędzili grając w kości za stołem w podłej oberży! A gdy doskwierała im nieco potrzeba połajdaczenia się, razem wchodzili do któregoś z burdeli, tak licznych we Flandrii, obfitujących w wielki wybór opasłych rozpustnic.

W takich to miejscach z ust kupców wracających z jarmarków lub rajfurek, które wyciągały na słówka podróżnych, Robert dowiadywał się nowin z Francji.

Latem 1332 roku Filip VI ożenił swego syna Jana, diuka Normandii, z córką króla Czech, Boną z Luksemburga. “Oto dlaczego Jan Luksemburski wymógł na swym brabanckim krewniaku, by ten mnie wygnał - myślał Robert - oto jaką cenę zapłacono za tę usługę.” Festyny weselne w Melup podobno przewyższyły wspaniałością wszystkie inne w przeszłości.

Filip VI skorzystał z wielkiego zjazdu książąt i szlachty, by uroczyście sobie naszyć krzyż na płaszcz królewski. Tym razem bowiem zapadła decyzja wyprawy krzyżowej. Głosił ją w Melun Piotr Palud, patriarcha jerozolimski, wyciskając łzy sześciu tysiącom weselników, w tym tysiącowi ośmiuset niemieckich rycerzy. Piotr Roger głosił ją w Rouen, gdzie po Arras i Sens objął właśnie diecezję. Wyruszenie w pochód ustalono na wiosnę 1334 roku. W prowansalskich portach, Marsylii i Aigues-Mortes, śpiesznie budowano wielką flotę. A biskup Marigny już płynął wioząc wyzwanie egipskiemu Sudanowi.

Choć królowie Czech, Nawarry, Majorki, Aragonii żywiący się przy stole Filipa, choć diukowie, hrabiowie i wielcy baronowie, jak również część rycerstwa rozmiłowana w przygodzie, z zapałem poszli za przykładem króla Francji, drobna wiejska szlachta okazywała mniej pośpiechu, by schwytać podawany przez kaznodziejów krzyż z czerwonego sukna i żeglować ku egipskim piaskom. Król Anglii ze swej strony śpiesznie zaprawiał do służby wojskowej swój lud, lecz nie dawał żadnej

odpowiedzi tyczącej wyprawy do Ziemi Świętej. Stary papież Jan XXII - wciąż w wielkim sporze z paryskim uniwersytetem i jego rektorem Buridamem na temat wizji uszczęśliwiającej - udawał głuchego. Udzielił jedynie wstrzemięźliwego błogosławieństwa krzyżowcom i uchylał się od udziału w kosztach... Natomiast handlarze korzeni, kadzideł, jedwabi, relikwi, płatnerze i budowniczowie statków wielce zachęcali do wyprawy.

Filip VI już ustanowił regencję na czas swej nieobecności i kazał zaprzysiąc parom, baronom, biskupom, iż gdyby zginął za morzem, we wszystkim będą słuchać syna jego Jana i bez oporu przekażą mu koronę.

“A zatem Filip wcale nie jest pewny swych praw - myślał Robert - skoro już teraz dąży do uznania swego syna.”

Oparty łokciami przed kuflem piwa Robert nie śmiał wypowiedzieć swym przygodnym informatorom, że zna wszystkie te dostojne osobistości, o których mu opowiadają; nie śmiał powiedzieć, że potykał się był z królem Czech, że dostarczył mitrę Piotrowi Rogerowi, że huśtał na kolanach króla Anglii i jadał za papieskim stołem. Ale zapamiętywał to wszystko, by kiedyś to wykorzystać.

Żywiła go nienawiść. Jak długo będzie się w nim tliło życie, tak długo będzie tkwiła w nim nienawiść. Gdziekolwiek zajechał, nienawiść go budziła wraz z pierwszym promieniem światła sączącego się przez okiennice obcej izby. Nienawiść była solą jego posiłku, niebem nad jego drogą.

Powiada się, że mocnych ludzi cechuje umiejętność przyznawania się do popełnionych błędów. Może są jeszcze mocniejsi, którzy ich nigdy nie uznają. Robert należał do tej drugiej kategorii. Winił wszystkich: zmarłych i żywych, Filipa Pięknego, Enguerranda, Mahaut, Filipa de Valois, Eudoksjusza Burgundzkiego, kanclerza Sainte-Maure. Na każdym postoju dorzucał do szeregu swych wrogów siostrę z Namur, szwagra z Hainaut i Jana Luksemburczyka, i diuka Brabancji.

W Brukseli zwerbował ospowatego adwokata o nazwisku Huy oraz jego sekretarza Bertholeta; od jurystów poczynał rekonstytuować swój dwór.

W Louvain adwokat Huy wyszukał mu mnicha o podejrzanej twarzy i wątpliwej konduicie. Brat Henryk de Sagebran lepiej znał się na rzucaniu uroków i satanistycznych praktykach niż na litaniach i miłosiernych uczynkach. Przy pomocy brata Henryka de Sagebran były par Francji, pomny nauk Beatrycze d'Hirson, ochrzcił woskowe figurki nadawszy im imiona Filipa, Sainte-Maure, czy Mateusza de Trye i przekłuł je szpilami.

- A tę tu, widzisz, dobrze przygotuj, przekłuj od głowy wzdłuż całego ciała, bo zwie się Joanną, kulawą królową Francji. Zaiste nie królowa to, ale diablica!

Zaopatrzył się także w sympatyczny atrament, aby wypisywać pewne formułki, które skreślone na pergaminie sprowadzają sen wieczny. Nadto należało wsunąć pergamin do łóżka osoby, której chciano się pozbyć! Brat Henryk de Sagebran, skąpo zaopatrzony w pieniądze, a w wiele obietnic, wyjechał do Francji jako poczciwy mnich żebraczy z obfitym zapasem usypiających pergaminów pod habitem.

Gillet de Nelle zaś werbował płatnych morderców, złodziei z powołania, zbiegów z więzienia, drabów o ponurych gębach, którzy żywili mniej odrazy do zbrodni niż do pracy zarobkowej. Gdy Gillet już zebrał małą grupkę dobrze przećwiczoną, Robert wysłał ją do królestwa Francji z poleceniem działania przede wszystkim podczas wielkich zjazdów lub uroczystości.

- Grzbiet stanowi łatwiejszy cel, kiedy wszystkie oczy kierują się ku szrankom albo wszystkie uszy nadstawiają, by słuchać kazania o krucjacie.

Robert schudł wiele podróżując: pogłębiły się bruzdy na twarzy, a nienawistne uczucia, jakie żywił od świtu do zachodu, a nawet we śnie, dokonały na niej reszty. Lecz jednocześnie przygoda odmładzała mu serce. W obcych krajach bawiło go smakowanie nowych potraw, a także nowych kobiet.

Wprawdzie Liege go wygnało, lecz nie z powodu dawnych przestępstw, ale dlatego, że Gillet wraz z nim zmienili dom wynajęty od niejakiego pana d'Argenteau w prawdziwą kryjówkę wszetecznic, a hałasy, jakie tam wyprawiano, spędzały sen z oczu sąsiadów.

Bywały dni dobre, bywały i złe jak ów, gdy dowiedział się o zatrzymaniu w Cambrai brata Henryka de Sagebran wraz z jego usypiającymi na wieczność pergaminami, a także ów, gdy pojawił się jeden z płatnych morderców, by mu oznajmić, że kumple jego zdołali dojechać tylko do Reims, a teraz gniją w więzieniach króla znajdka.

Później Robert najgłupiej w świecie zachorował. Schroniwszy się do domu nad brzegiem kanału, na którym odbywały się wodne zapasy, przez ciekawość wysunął głowę przez więcierz osłaniający okno. Wysunął tak wspaniale, że wciągnął dopiero po wielu wysiłkach, zdzierając sobie skórę z twarzy o siatkę więcierza. W zadrapania wdało się zakażenie, niebawem dostał gorączki i przez cztery dni dygotał w dreszczach bliski śmierci.

Zniechęcony do flandryjskich marchii, pojechał do Genewy. Włócząc się wzdłuż jeziora tam właśnie dowiedział się o aresztowaniu żony, hrabiny de Beaumont, i ich trojga dzieci. Filip VI biorąc odwet na Robercie nie zawahał się uwięzić własnej siostry, Najpierw w baszcie Nemours, potem w zamku Gaillard. Więzienie Małgorzaty. Zaprawdę, Burgundia mściła się zawzięcie.

Podróżując pod przybranym nazwiskiem, odziany jak zwykły mieszczanin, Robert z Genewy udał się do Awinionu. Przebył tu dwa tygodnie usiłując knować w swej sprawie. Ujrzał stolicę chrześcijaństwa kapiącą bogactwem i coraz bardziej rozwiązłą. Tutaj ambicje, próżność, przywary nie stroiły się w turniejowy pancerz, lecz kryły pod szatami prałatów; oznaki władzy nie widniały na srebrzystych przyodziewkach lub pióropuszach hełmów, lecz na mitrach wysadzanych drogimi kamieniami i na złotych monstrancjach cięższych niż puchary króla. Nie rzucano sobie wzajem wezwań do walki, lecz się nienawidzono po zakrystiach. Niegodni zaufania byli spowiednicy, a kobiety były jeszcze bardziej złośliwe, niewierne i sprzedajne niż gdziekolwiek indziej, ponieważ błyszczeć mogły tylko za cenę grzechu.

A jednakże i tu nikt się nie chciał kompromitować zadając się z byłym parem Francji. Każdy ledwo pamiętał, iż go kiedyś znał. Nawet w tym bagnie Robert jawił się jako zadżumiony. Szereg jego uraz wzrastał.

Pocieszył się jednak cokolwiek słuchając opowiadań, że sprawy kuzyna Valois nie toczą się tak wyśmienicie, jak można by sądzić. Kościół usiłował utrącić wyprawę krzyżową. Gdy Filip VI wraz z sojusznikami odpłyną, jaka wyniknie sytuacja na Zachodzie zdanym na łaskę cesarza i króla Anglii? A jeśli obaj monarchowie się połączą... Już odroczono ogólny pochód na dwa lata. Minęła wiosna roku 1334 i nic nie było gotowe. Mówiono teraz o roku 36.

Filip VI ze swej strony przewodnicząc generalnemu zgromadzeniu paryskich doktorów na Wzgórzu Świętej Genowefy groził dekretem o herezję sędziwemu, dziewięćdziesięcioletniemu kapłanowi, jeśli ów nie odwoła swych tez teologicznych. Zresztą wszyscy uważali, że Jan XXII umrze niebawem, lecz od lat osiemnastu to powtarzano.

“Przeżyć - mawiał sobie Robert - oto cała sprawa; przetrwać, by doczekać dnia zwycięstwa”.

Śmierć kilku wrogów przywróciła mu nadzieję. Pod koniec ubiegłego roku umarł skarbnik Forget; z kolei zmarł kanclerz Wilhelm de Sainte-Maure. Diuk Jan Normandzki, dziedzic Francji, był poważnie chory, a jakoby nawet Filip VI miewał kłopoty ze zdrowiem. Może Robertowe czary nie były całkiem nieskuteczne...

Wracając do Flandrii Robert wdział habit konwersa. Zaprawdę cudacznym bratem był ów olbrzym w kapturze górującym nad tłumem; do opactw wchodził żołnierskim krokiem, a prosił o gościnę należną sługom bożym takim głosem jakim by żądał kopii od giermka.

W refektarzu w Brugii, przy długim zatłuszczonym stole, pochyliwszy głowę nad miseczką udając, że szepce modlitwy, których nawet pierwszego słowa nie znał, słuchał brata lektora siedzącego we wnęce wyżłobionej do pół wysokości ściany i odczytującego żywoty świętych. Sklepienie odbijało monotonny głos nad zebranymi przy stole mnichami, a Robert przemyśliwał: “Dlaczego nie zakończyć życia w taki sposób? Spokój, głęboka klasztorna cisza, pozbycie się wszelkich trosk, wyrzeczenie, pewny dach nad głową, regularne godziny, koniec tułaczki”.

Jakiż człowiek, choćby najbardziej wichrzycielski, ambitny, okrutny, nie zaznał owej pokusy wypoczynku, rezygnacji? Po co tyle walk, próżnych poczynań, skoro wszystko skończy się w mogilnym prochu? Robert o tym rozmyślał w ten sam sposób jak przed pięciu laty, kiedy rozważał, czy aby nie wycofać się z czynnego życia i wieść wraz z żoną i synami spokojny żywot pana ziemskiego. Ale takie myśli nie trwają długo. U Roberta zaś jawiły się zawsze zbyt późno, akurat wówczas, kiedy jakiś wypadek miał go zawrócić ku jego właściwemu powołaniu, a były nim działanie i walka.

Po dwóch dniach Robert spotkał w Gandawie Jakuba van Artevelde.

Był to mąż mniej więcej w tym wieku co Robert; blisko mu było do pięćdziesiątki. Miał kwadratowe oblicze, potężny bandzioch i krzepkie lędźwie; był to żarłok i tęgi pijus, ale w głowie nigdy mu się nie zakręciło. W młodości należał na wyspie Rodos do świty Karola de Valois, poza tym odbył kilka ładnych podróży; miał rozległe stosunki. Ten miodowar i wielki kupiec sukienny w drugim małżeństwie poślubił szlachciankę.

Wyniosły, o wielkiej fantazji, nieustępliwy, cieszył się wielkim mirem najpierw w Gandawie, którą

całkowicie opanował, później w najznaczniejszych flamandzkich gminach.

Gdy folusznicy, sukiennicy, piwowarzy, stanowiący o prawdziwym bogactwie kraju, chcieli złożyć suplikę hrabiemu lub królowi Francji, zwracali się do Jakuba van Artevelde, by głosem donośnym i dobitnym słowem wyrażał ich życzenia czy żale. Nie miał żadnego tytułu; był panem vara Artevelde, przed którym wszyscy się kłonili. Nie brakowało mu wrogów i chadzał w otoczeniu sześćdziesięciu zbrojnych pachołków oczekujących go przed domem, gdzie jadał.

Artevelde i Robert d'Artois z pierwszego wejrzenia zwąchali się i poczuli, iż są ludźmi tego samego gatunku - dzielni, przebiegli, trzeźwi, owładnięci żądzą władzy.

Niewiele obchodziło Arteveldego, że Robert jest banitą, przeciwnie, uśmiechem fortuny dla Gandawczyka mogło być owo spotkanie z byłym feudałem, szwagrem króla, ongiś wszechwładnym, dziś wrogiem Francji. Robertowi zaś ów ambitny mieszczanin jawił się wielekroć bardziej godnym uznania niż szlachetkowie, którzy wzbraniali mu wstępu do swych zamków. Artevelde był wrogiem hrabiego Flandrii, a zatem Francji, i miał mir u ziomków; a to było ważne.

- Nie miłujemy Ludwika de Nevers, stał się naszym hrabią, bo pod górą Cassel król wyrżnął naszą milicję.

- Byłem tam - rzekł Robert.

- Hrabia przybywa do nas, by żądać pieniędzy, które wydaje w Paryżu; nic się nie zna na naszych sprawach i nie chce się na nich znać; nie rządzi się własną głową, ale przekazuje tylko nikczemne rozkazy króla Francji. Zmuszono nas do wypędzenia angielskich kupców. Przeciwko angielskim kupcom my nie mamy nic; drwimy sobie ze sporów, jakie król znajdek mógłby wieść ze swym angielskim kuzynem w sprawie wyprawy krzyżowej czy szkockiego tronu. Teraz w odwecie grozi nam, że Anglia utnie dostawy swojej wełny. Wówczas nic nie pozostanie do zrobienia naszym sojusznikom i tkaczom prócz połamania warsztatów i zamknięcia kramów. Ale natenczas, Dostojny Panie, chwycą oni za noże... zaś Hainaut, Brabancja, Holandia, Zelandia pójdą za nami, bo kraje te łączą z Francją tylko książęce małżeństwa, a nie serca ludu ani jego brzuchy; nie rządzi się długo ludźmi, których się głodzi.

Robert z wielką uwagą słuchał Arteveldego. Nareszcie człowiek, który mówi jasno, wie, czego chce, i chyba opiera się na autentycznej sile.

- Jeśli macie jeszcze się buntować, dlaczego jawnie nie sprzymierzycie się z królem Anglii? Dlaczego nie porozumiecie się z cesarzem Niemiec, wrogiem papieża, a więc wrogiem Francji, która trzyma w swych łapach papieża? Wasza milicja jest odważna, ale ograniczona do działania o skromnym zasięgu, bo brak jej konnicy. Sprawcie, by ją podtrzymał hufiec angielskich rycerzy, hufiec niemieckich rycerzy, i ruszcie na Francję drogą na Artois. Tam ręczę, że wam zdobędę jeszcze wielu...

Już widział utworzoną koalicję, a siebie cwałującego na czele armii.

- Wierzajcie, Dostojny Panie, sam często o tym myślałem - odparł Artevelde - i łatwo byłoby się

porozumieć z królem Anglii, a nawet z cesarzem Ludwikiem Bawarskim, gdyby nasi mieszczanie byli gotowi. Pospólstwo nienawidzi hrabiego Ludwika, jednakże by uzyskać sprawiedliwość, zwraca się do króla Francji. Przysięgali królowi Francji. Nawet gdy przeciw niemu chwytają za broń, nadal uznają go za władcę. Nadto Francja wykonała zręczny manewr zmuszając nasze miasta do uznania, że zapłacą dwa miliony dukatów papieżowi, jeśli podniosą bunt przeciw swemu suzerenowi, a to pod groźbą klątwy, jeśli nie zapłacą. Rodziny się boją, że zostaną pozbawione księży i mszy.

- Oznacza to, że zmuszono papieża do zagrożenia wam klątwą lub ruiną, aby wasze gminy siedziały cicho podczas krucjaty. Ale kto was zmusi do zapłaty, skoro francuskie wojska będą w Egipcie?

- Znacie pospólstwo - rzekł Artevelde - zna swą siłę dopiero po czasie.

Robert wychylił stojący przed nim kufel piwa; stanowczo zasmakował w piwie. Chwilę milczał wpatrzony w boazerie. Dom Jakuba Artevelde był piękny i wygodny, naczynia miedziane, cynowe, starannie wypolerowane, dębowe sprzęty lśniły w mroku.

- Zatem zależność od króla Francji przeszkadza wam zawrzeć sojusz i ponownie chwycić za broń?

- Otóż to - rzekł Artevelde.

Robert miał żywą wyobraźnię. Od trzech i pół roku zaspokajał głód zemsty nędzną strawą, rzucaniem uroku, czarami, płatnymi mordercami, którzy nie docierali nawet do wskazanych ofiar. Nagle jego nadzieje uzyskały nowe wymiary; nareszcie kiełkował w nim pomysł godny jego.

- A gdyby król Anglii został królem Francji? - spytał.

Artevelde spojrzał na Roberta d'Artois z niedowierzaniem, jakby wątpił, czy dobrze usłyszał.

- Mówię wam, panie: gdyby król Anglii był królem Francji? Gdyby domagał się korony, gdyby ustanowił swe prawa, gdyby dowiódł, że Królestwo Francji do niego należy, gdyby stanął przed wami jako wasz prawy suzeren?

- Dostojny Panie, co się wam marzy?

- Marzy? - zawołał Robert. - Ten spór nigdy nie był rozsądzony ani sprawa stracona! Gdy kuzyn mój Valois został wyniesiony na tron... gdy ja go na tron wyniosłem i widzicie, jaką ma dla mnie wdzięczność!... angielscy posłowie przybyli przedstawić prawa królowej Izabeli i syna jej Edwarda. Nie tak dawno, niespełna przed siedmiu laty. Nie wysłuchano ich, ponieważ nie życzono sobie ich wysłuchać, ja zaś kazałem odprowadzić ich na statek. Zwiecie Filipa królem znajdkiem, dlaczego nie znajdziecie innego? A co byście pomyśleli, gdyby ponownie wszcząć sprawę i powiedzieć waszym folusznikom, tkaczom, kupcom, gminom: “Wasz hrabia nie dzierży swych praw z właściwej ręki; nie powinien był składać hołdu królowi Francji. Waszym suzerenem jest monarcha w Londynie!”

Zaprawdę marzenie, lecz uwiodło ono Jakuba van Artevelde. Wełna przybywała morzem z północnego wschodu, tkaniny zgrzebne lub cenne odjeżdżały tąż drogą, handel w portach, wszystko skłaniało Flandrię, by kierowała wzrok ku angielskiemu królestwu. Z Paryża nic nie przybywało, chyba poborcy podatków.

- Lecz czy w dobrej wierze myślicie, Dostojny Panie, że ktokolwiek na świecie może być przekonany o tym, co mówicie i może przystać na podobne poczynania?

- Jedyna osoba, panie; wystarczy, by jedyna osoba została przekonana: sam król Anglii.

Po kilku dniach Dostojny Pan Robert zaopatrzony w dokumenty sukiennika, w kompanii Gilleta de Nelle niosącego dla pozoru kilka łokci tkaniny, wsiadał w Antwerpii na statek do Londynu.

II - Westminster Hall

Król w otoczeniu parów ponownie zasiadł w koronie na głowie, z berłem w dłoni. Ponownie po obu stronach tronu stanęli rzędem prałaci, hrabiowie, baronowie. Ponownie jawili się przed nim w ścieśnionych szeregach duchowni, doktorzy, juryści, rajcy, dygnitarze.

Lecz nie herbowe lilie Francji widniały na płaszczu monarchy, lecz lwy Plantagenetów. Nie sklepienia Pałacu na Cite odbijały nad tłumem echo jego gwaru, lecz cudownie rzeźbione w dębie olbrzymie ażurowe łuki ogromnego Westminster Hall. Sześciuset angielskich rycerzy przybyłych ze wszystkich hrabstw, wiejscy magnaci i szeryfowie z miast siedzieli na wielkich kwadratowych flizach i stanowili Parlament angielski obradujący w komplecie.

Jednakże zwołano owo zgromadzenie, aby wysłuchało głosu przemawiającego po francusku.

W głębi sali w połowie wysokości kamiennych schodów hrabia Robert d'Artois stał w szkarłatnym płaszczu; światło przenikające z tyłu przez olbrzymi witraż jakby otaczało go złotem; tym razem zwracał się do przedstawicieli narodu Brytanii.

W ciągu minionych dwu lat, odkąd Robert opuścił Flandrię, koło przeznaczenia wykonało dobre ćwierć obrotu. Przede wszystkim umarł papież.

Pod koniec 1334 roku wycieńczony staruszek, który w czasie trwania jednego z najdłuższych pontyfikatów przywrócił Kościołowi sprawną administrację i kwitnący stan skarbu, musiał w łożu, w zielonej komnacie swego awinionskiego pałacu wyrzec się jedynych tez, jakich bronił z najgłębszego przekonania. Musiał zaprzeć się swych pism, kazań, encyklik, aby uniknąć schizmy grożącej mu ze strony paryskiego uniwersytetu, aby okazać posłuszeństwo francuskiemu dworowi, na rzecz którego załatwił tyle spraw wątpliwych, przemilczał tyle tajemnic. Mistrz Buridan dyktował, co należy myśleć w materii dogmatów: piekło istnieje, pełne skwierczących dusz, aby łacniej zapewnić książętom tego świata władztwo nad poddanymi; raj stoi otworem jak zacna gospoda przed rycerzami, którzy posłusznie zabijali na rozkaz swego króla, przed uległymi prałatami gorliwie błogosławiącymi wyprawy krzyżowe, i wcale nie trzeba, by ci sprawiedliwi czekali aż na Sąd Ostateczny, żeby radować się uszczęśliwiającym oglądaniem Boga.

Gdy Jan XXII podpisał owo wymuszone zaparcie się, czy był jeszcze przytomny? Umarł nazajutrz. W Paryżu na Wzgórzu Świętej Genowefy zebrało się niemało złośliwych doktorów, by pokpiwać:

- Teraz on już wie, czy piekło istnieje!

W zamęcie intryg grożących, że ta elekcja będzie jeszcze dłużej trwała niż poprzednie, zebrało się konklawe. Francja, Anglia, cesarz, zapalczywy Czech, uczony król Neapolu, królowie Majorki i Aragonii po patrycjat rzymski, Visconti z Mediolanu, republiki włoskie, wszystkie potęgi naciskały na kardynałów.

Ci zaś, skoro się zamknęli, doszli do wspólnego poglądu, by zyskać na czasie i nie wysuwać żadnego elekta: "Będę głosował na tego, który nie ma żadnej szansy".

Niekiedy boskie natchnienie krętymi chadza drogami! Kardynałowie tak byli zgodni in petto, kto z nich nie ma najmniejszych szans, kto w żaden sposób nie może zostać papieżem, że wszystkie kartki wyjawiły jedno imię: Jakuba Fournier, zwanego "białym kardynałem", ponieważ nadal nosił habit cystersów. Kiedy to ogłoszono, kardynałowie, lud, i sam wybraniec jednako osłupieli. Pierwszym słowem nowego papieża było oświadczenie kolegom, że wybór ich padł na osła.

Zbytek skromności.

Omyłkowo wybrany Benedykt XII niebawem okazał się papieżem pokoju. Pierwsze swe wysiłki poświęcił na wstrzymanie walk wykrwawiających Italię i doprowadzenie do ugody między Stolicą Apostolską a Cesarstwem. To mogłoby nastąpić. Ludwik Bawarski nader przychylnie odpowiedział na awanse Awinionu i szykowano się do rokowań, kiedy Filip de Valois wpadł we wściekłość. Jak to! Obeszło się bez niego, pierwszego w chrześcijaństwie monarchy, by wszcząć tak ważne negocjacje. Ktoś inny, a nie on, będzie wywierał wpływ na Stolicę Apostolską? Drogi krewniak król Czech ma się wyrzec swych rycerskich planów wobec Italii?

Filip VI wezwał Benedykta XII, by odwołał swych posłów, wstrzymał rokowania, a to pod groźbą konfiskaty dóbr kardynalskich we Francji.

Później, wciąż w kompanii drogiego króla Czech, króla Nawarry i eskorty baronów oraz rycerzy tak licznej, iż wyglądała na armię, w początkach roku 1336 Filip VI przybył do Awinionu na rekolekcje. Wyznaczył tu spotkanie królowi Neapolu i królowi Aragonii. W taki sposób przywoływał do porządku nowego papieża i dał mu do zrozumienia, czego się po nim spodziewa.

Tymczasem Benedykt XII wypłatał mu figla na swój sposób i dowiódł, że wcale nie jest osłem, za jakiego się podawał; królowi zaś, pragnącemu ruszyć na wyprawę krzyżową, winno zależeć na zachowaniu przyjaźni papieża.

W Wielki Piątek Benedykt wszedł na ambonę, by wygłosić kazanie o męce Pana Naszego i zalecić wyprawę krzyżową. Czyż mógł inaczej postąpić, skoro czterech królów krzyżowców i dwa tysiące kopijników obozowało wokół Awinionu? Ale gdy Filip VI wyjechał na wybrzeże prowansalskie, by zlustrować swoją wielką flotę, zdumiał się otrzymując w Przewodnią Niedzielę list w pięknej łacinie zwalniający go ze ślubowania i przysięgi. Ponieważ wśród chrześcijańskich narodów stan wojny trwał nadal, Ojciec Święty nie zezwalał na oddalenie się najlepszych obrońców Kościoła do ziemi niewiernych.

Wyprawa rodu Valois utknęła w Marsylii.

Próżno rycerski król potraktował papieża z góry; były cysters potraktował go jeszcze bardziej z wysoka. Błogosławiąca ręka mogła również wykląć, a trudno sobie wyobrazić odjazd wyprawy krzyżowej wyklętej!

- Załatwcie, synu, wasze spory z Anglią, wasze kłopoty z Flandrią, pozwólcie mi załatwić moje kłopoty z cesarzem; dajcie dowód, że dobry pokój, pewny i trwały zapanuje w naszych krajach, a następnie możecie wyruszyć, aby nawracać niewiernych na cnoty, których przykładem służycie.

Zgoda! Skoro papież to mu nakazywał, Filip załatwi swe spory. Najpierw z Anglią... przypominając młodemu Edwardowi obowiązki wasala i każąc mu niezwłocznie wydać tego zdrajcę Roberta d'Artois, któremu udzielił on azylu. Rzekomo wielcy duchem, gdy są urażeni, szukają właśnie takiego nędznego odwetu.

Gdy nakaz ekstradycji przekazany przez seneszala Gujenny dotarł do Londynu, Robert już mocno zadomowił się na angielskim dworze. Jego siła, sposób bycia, swada zjednały mu wielu przyjaciół; stary Krzywoszyjek wyśpiewywał hymny na jego cześć. Młody król bardzo potrzebował doświadczonego człowieka, świetnie znającego się na sprawach Francji, kto zaś lepiej niż hrabia d'Artois był z nimi obeznany? Ponieważ mógł się przydać, nieszczęścia jego wzbudzały współczucie.

- Sire, mój kuzynie - rzekł do Edwarda - jeśli sądzicie, że moja obecność w królestwie może wam przyczynić niebezpieczeństw i szkód - wydajcie mnie na pastwę króla, nędznego znajdka. Nie będę miał racji na was się uskarżać, bo przyjęliście mnie tak gościnnie; będę mógł tylko siebie ganić za to, co zrobiłem wbrew słusznemu prawu, dając tron temu podłemu Filipowi, zamiast przyzwolić na oddanie go wam, bowiem niedostatecznie was znałem.

Wypowiedziawszy te słowa rozcapierzył dłoń na sercu i nisko się skłonił.

Edward III spokojnie odpowiedział:

- Kuzynie, jesteście moim gościem, wasze rady są dla mnie bardzo cenne. Wydając was królowi Francji postąpiłbym na pohańbienie mego honoru i mych potrzeb. Nadto goszczę was w królestwie Anglii, a nie w księstwie Gujenny. Zwierzchność Francji tu nie sięga.

Żądanie Filipa VI pozostało bez odpowiedzi.

Dzień po dniu Robert mógł dalej przekonywać. Sączył w ucho Edwarda lub jego doradców truciznę pokusy. Wchodząc przemawiał:

- Witam prawdziwego króla Francji...

Nie zabrakło sposobności, by dowieść, że prawo salickie zostało wynalezione tylko na skutek szczególnych okoliczności, natomiast prawa Edwarda do korony Hugona Kapeta są ze wszech miar uzasadnione.

W odpowiedzi, po drugim upomnieniu, by wydać Roberta, Edward III nadał zbiegowi we władanie

trzy zamki i tysiąc dwieście marek pensji.

W owym zresztą czasie Edward odwdzięczał się wszystkim, co mu wiernie służyli. Mianował swego przyjaciela Williama Montaigu hrabią na Salisbury i rozdawał tytuły oraz renty młodym lordom, którzy go wsparli w czasie zamachu w Nottingham.

Filip VI po raz trzeci wysłał wielkiego mistrza kuszników do seneszala Gujenny z rozkazem, by król Anglii wydał Roberta d'Artois, śmiertelnego wroga Francji, inaczej bowiem po upływie dwóch tygodni nałoży sekwestr na księstwo.

- Spodziewałem się tego! - wykrzyknął Robert. - Ten ostatni półgłówek Filip tylko o tym myśli, żeby naśladować moię dawne pomysły wobec waszego ojca, drogi Sire Edwardzie: wydać rozkaz sprzeczny z prawem, później konfiskować na skutek niewykonania tego rozkazu, a za pomocą sekwestru spowodować albo ukorzenie się, albo wojnę. Tylko że dzisiaj Anglia posiada króla z prawdziwego zdarzenia, a Francja już nie ma Roberta d'Artois.

Nie dorzucił: “Ongiś przebywał we Francji zbieg odgrywający tę samą rolę co ja tutaj, a był nim Mortimer!”

Udało się Robertowi ponad wszelkie spodziewanie - stał się źródłem konfliktu, o którego wybuchu marzył; osoba jego przybrała kapitalną wagę; chcąc zaś doprowadzić do owego konfliktu przedkładał własną teorię: niech król Anglii dochodzi swych praw do korony francuskiej.

Oto dlaczego owego wrześniowego dnia roku 1337 na schodach w Westminster Hall Robert d'Artois rozpostarłszy rękawy na tle wiązań wielkiego witraża, podobny do ptaka zwiastującego burzę, zwracał się na prośbę króla do angielskiego Parlamentu. Wyćwiczony przez trzydzieści lat procesowania się, przemawiał bez kartki i notatek.

Posłowie, którzy dobrze nie znali języka francuskiego, prosili sąsiadów o tłumaczenie poniektórych zdań.

W miarę jak hrabia d'Artois rozwijał swe tezy, coraz głębsza cisza nastawała w zgromadzeniu lub też rozlegały się głośniejsze szepty, gdy ujawnienie jakiejś sprawy wstrząsało umysły. Ileż rzeczy zadziwiających! Dwa ludy żyły oddzielone tylko wąską odnogą morza rody książęce na obu dworach zawierały między sobą małżeństwa; tutejsi baronowie mieli tam swe posiadłości, kupcy krążyli między obu narodami, a w gruncie rzeczy nikt nie wiedział, co się dzieje u sąsiada!

Przeto prawo: “Francja nie może być powierzona kobiecie ani też za jej pośrednictwem przekazana”, wcale nie opierało się na dawnych obyczajach; był to zabawny pomysł przed dwudziestu laty rzucony przez starego gadułę konetabla podczas sporu o sukcesję po zamordowanym królu. Tak, Ludwik Dziesiąty Kłótliwy został zamordowany. Robert d'Artois to ogłosił i wymieniał morderczynię.

- Dobrze ją znałem; to moja stryjna, która mi skradła moje dziedzictwo!

Robert posługiwał się zbrodniami książąt francuskich, opowiadaniem o skandalach na dworze Kapetyngów, by dodać smaczku swemu przemówieniu, a posłowie w angielskim Parlamencie drżeli z oburzenia i lęku, jakby za nic mieli okropności popełnione na własnej ziemi i przez własnych książąt.

Robert zaś sypał przykładami broniąc swych tez akurat odwrotnych niż te, jakimi się ongiś posługiwał na rzecz Filipa de Valois, i z równym przekonaniem.

Przeto po śmierci króla Karola IV, ostatniego syna Filipa Pięknego, jeśliby nawet brać pod uwagę odrazę baronów francuskich do ujrzenia kobiety na tronie, korona francuska najzupełniej słusznie winna by przypaść za pośrednictwem królowej Izabeli jedynemu męskiemu potomkowi w linii prostej...

Obszerny czerwony płaszcz zawirował przed oczami wstrząśniętych Anglików; Robert zwrócił się ku królowi. Padł na kamiennych schodach na kolana - ...przypaść wam, szlachetny Miłościwy Panie Edwardzie królu Anglii, w którym uznaję i witam prawdziwego króla Francji.

Od czasu ślubu w Yorku nikt nie odczuł głębszego wzruszenia. Oznajmiano Anglikom, że ich władca może pretendować do królestwa dwakroć większego, trzykroć bogatszego! Jakby majętności każdego z nich, jakby każdego godność tylekroć urosła.

Ale Robert wiedział, że nie wolno dopuścić, by wygasł entuzjazm tłumu. Już powstał i przypominał, że w czasie sukcesji po Karolu IV król Edward wysłał dostojnych i szanownych biskupów, by przedstawili jego prawa, między innymi Wielebnego Adama Orletona, który mógłby zaświadczyć własnym głosem, gdyby obecnie w tejże sprawie nie przebywał w Awinionie, aby uzyskać poparcie papieża.

Czy Robert miał przemilczeć własną rolę w wyborze Filipa de Valois? Nic lepiej nie służyło olbrzymowi w czasie całego życia niż rzekoma szczerość. Raz jeszcze nią się posłużył.

Kto zaś odmówił wysłuchania angielskich doktorów? Kto odtrącił ich pretensje do tronu? Kto przeszkodził, aby ich racje przeważyły przed francuskimi baronami? Robert obu olbrzymimi pięściami uderzył się w pierś:

- Ja, szlachetni lordowie i panowie, ja, co stoję przed wami, bo sądziłem, że działam w imię dobra i pokoju, i wybrałem niesprawiedliwość, a nie sprawiedliwość i jeszcze nie dość odpokutowałem za tę winę wszystkimi nieszczęściami, jakie mnie spotkały.

Głos jego odbijając się o drewniane wiązania przetaczał się aż po kraniec sali.

Czy mógł poprzeć swą tezę argumentem bardziej przekonywającym? Oskarżał się, że wpłynął na wybór Filipa VI wbrew słusznemu prawu; wskazywał na winnego, lecz go bronił. Nim Filip de Valois został królem, przyrzekł mu, że wszystkie sprawy załatwi w sposób sprawiedliwy, że doprowadzi do trwałego pokoju pozostawiając we władaniu króla Anglii całą Gujennę, że nada przywileje Flandrii, które jej przywrócą kwitnący handel, jemu zaś zwróci Artois. Przeto Robert postępował w taki sposób w celu zgody i dla dobra ogółu. Lecz wyraźnie się ujawniło, iż wolno

opierać się tylko na prawie, a nie na obłudnych ludzkich obietnicach, ponieważ dziś dziedzic Artois jest banitą, Flandria wygłodzona, a Gujenna zagrożona sekwestrem!

Tedy jeśli ma się ruszyć na wojnę, niech to się stanie nie z powodu czczych sporów o hołd wiernopoddańczy, czy też nie wiernopoddańczy, ograniczone lenna czy o definicję zależności wasala, lecz z jednej prawdziwej przyczyny: posiadania korony Francji. Tego zaś dnia, gdy opasze nią swą głowę król Anglii, nie będzie powodu do sporu ani w Gujennie, ani we Flandrii. Nie zbraknie w Europie sojuszników, książąt wraz z narodami.

Jeśli zaś w tym celu, by się przysłużyć temu wielkiemu dziełu, które zmieni los narodów, szlachetny Sire Edward potrzebuje krwi, Robert d'Artois wysuwając z aksamitnych rękawów swe ramiona do króla, Izby Lordów i Gmin oraz do całej Anglii ofiarowywał krew własną.

III - Wieża w Nesle świadkiem wyzwania

Kiedy w Paryżu w dniu Wszystkich Świętych biskup Henryk Burghersh, skarbnik Anglii, wraz z Williamem Montaigu, nowo mianowanym hrabią na Salisbury, Williamem Bohunem, nowo mianowanym hrabią Northampton, Robertem Uffordem, nowo mianowanym hrabią na Suffolk, przedłożył pismo z żądaniami Edwarda III Plantageneta skierowane do Filipa VI de Valois, ów, jak legendarny król Jerycha wobec Jozuego, wybuchnął śmiechem.

Czyż dobrze pojął? Kuzynek Edward wzywa go do przekazania mu francuskiej korony? Filip spojrzał na swych krewniaków, króla Nawarry i diuka Burgundii. Wraz z nimi wstał był od stołu i był w różowym humorze; poczerwieniały mu jasne policzki i gruby nos, jął parskać śmiechem.

Niewątpliwie byłby się rozgniewał, gdyby ów biskup godnie wsparty na pastorale i trzej angielscy feudałowie w sztywnych szatach przybyli złożyć mu oświadczenie bardziej dorzeczne: na przykład odmowę swego władcy, by wydać Roberta d'Artois, albo protest przeciw zajęciu Gujenny. Ale żądać jego korony, całego królestwa? Zaiste, owo poselstwo to błazenada:

Ależ tak, dokładnie pojął: prawo salickie nie istnieje, jego koronacja była niezgodna z prawem.

- A czy to również nie liczy się, wielebny biskupie, że parowie z własnej woli wybrali mnie na króla, zaś biskup Reims przed dwudziestu laty mnie namaścił?

- Od tego czasu wielu parów i baronów, którzy was wybrali, już umarło - odparł Burghersh - inni zaś rozważają, czy Bóg pochwalał to, co ongiś uczynili!

Filip wciąż trząsł się ze śmiechu i odrzuciwszy w tył głowę pokazał czeluść swego gardła.

Gdy zaś król Edward przybył do Amiens, by złożyć hołd, czyż nie uznał go tym za króla?

- Król nasz był naonczas małoletni. Złożenie hołdu, aby miało znaczenie, winno było nastąpić za przyzwoleniem Rady Regencyjnej, nie zaś wyłącznie na rozkaz zdrajcy Mortimera, potem powieszonego.

Ba! Nie brakowało tupetu owemu biskupowi, ongiś przez Mortimera mianowanemu kanclerzem, a który służył mu za pierwszego doradcę, towarzyszył Edwardowi do Amiens i osobiście odczytał w katedrze formułę hołdowniczą.

Co też on wygaduje tym samym głosem? Oto, że Filip jako hrabia de Valois winien złożyć hołd Edwardowi! Bo król Anglii chętnie nada swemu francuskiemu kuzynowi zarówno Valois, jak i Andegawenię, Maine, a nawet parostwo... Zaprawdę, zbytek wspaniałomyślności!

Gdzież się, na Boga, wszyscy znajdują, by wysłuchiwać podobnych bzdur?

Przebywali w pałacu Nesle, ponieważ między pobytem w Saint-Germain a Vincennes król spędzał

dzień w owej rezydencji podarowanej małżonce. Bo tak samo jak pomniejsi pankowie mawiali: “Zasiądziemy w wielkiej sali” albo w “komnatce z papużkami”, albo “wieczerzę podadzą w zielonej komnacie”, król postanawiał: “Dziś zjem obiad w Pałacu na Cite” albo “w Luwrze”, albo też “u mego syna diuka Normandii”, w rezydencji ongiś należącej do Roberta d'Artois.

Przeto stare mury pałacu Nesle i jeszcze starsza widoczna przez okno wieża stały się świadkami obecnej krotochwili. Niektóre siedziby są jakby przeznaczone, by w nich rozgrywały się narodowe dramaty pod przykrywką komedii. W rezydencji, gdzie Małgorzata Burgundzka tak wesoło się zabawiała zdradzając Kłótliwego w ramionach rycerza d'Aunay nie mogąc przypuścić, że owe swawole zmienią losy francuskiej monarchii, król Anglii kazał przedłożyć swe wyzwanie królowi Francji, a ów się zaśmiewał.

Śmiał się tak szczerze, aż niemal się rozczulił; bo w tym zwariowanym poselstwie dostrzegł pomysł Roberta. Jedynie on mógł wymyślić owo wystąpienie! Stanowczo ten chwat oszalał. Wynalazł innego króla, młodszego, bardziej naiwnego, który posłużył za narzędzie tej kolosalnej bzdury. Lecz na czym on poprzestanie? Wyzwanie królestwa królestwu! Zastąpienie jednego króla innym... Po przekroczeniu pewnych granic nie można obrażać się na szaleńców za obelgi wypływające z ich natury.

- Gdzie zamieszkaliście, Przewielebny Biskupie? - spytał dwornie Filip VI.

- W rezydencji Chateau-Fetu, na ulicy Tiroir.

- Świetnie, wracajcie tam; zabawcie kilka dni w naszym dobrym mieście Paryżu i powróćcie do nas, jeśli pragniecie przedłożyć jakąś rozsądniejszą suplikę. Zaprawdę, wcale nie biorę wam jej za złe, bo podjąwszy się podobnej misji, jak widzę, wypełniliście ją bez roześmiania się, przeto uważam was za najlepszego posła, jakiego kiedykolwiek przyjmowałem...

Nie mógł lepiej trafić w sedno, bo Henryk Burghersh nim przybył do Paryża, przejeżdżał przez Flandrię. Odbył tajne narady z hrabią de Hainaut, teściem króla Anglii, z hrabią Geldrii, diukiem Brabancji, markizem de Juliers, Jakubem van Artevelde i ławnikami z Gandawy, Ypres i Brugii. Nawet wysłał część swej świty do cesarza Ludwika Bawarskiego. Filip VI jeszcze nie wiedział o pewnych wypowiedzianych słowach, o pewnych zawartych ugodach.

- Sire, przekazuję wam pismo z wyzwaniem.

- Otóż to, przekażcie - rzekł Filip. - Zachowamy te wesołe świstki, by je często odczytywać i przepędzać smutek, gdy nas najdzie. Teraz zaś podadzą nam napoje. Po tak długim przemówieniu musiało wam zaschnąć w gardle.

Klasnął w dłonie, by wezwać giermka.

- Nie daj Bóg - wykrzyknął Burghersh - bym się stał zdrajcą pijąc wino wroga, któremu z głębi serca postanowiłem wyrządzić wszelkie możliwe szkody.

Natenczas Filip de Valois jął się śmiać do rozpuku i więcej nie troszcząc się o posła ani o trzech

lordów wziął pod ramię króla Nawarry i wrócił do swych komnat.

IV - Wokół Windsoru

Wokół Windsoru okolica jest zielona, falista, przyjazna. Zamek nie tyle wieńczy wzgórze, ile je obejmuje a koliste mury przywodzą na myśl ramiona olbrzymki uśpionej na trawie.

Wokół Windsoru krajobraz przypomina Normandię, okolice Evreux, Beaumont lub Conches.

Owego ranka Robert d'Artois jechał konno stępa. Na lewej jego pięści, wpiwszy się szponami w grubą skórzaną rękawicę, siedział sokół białozór, tylko jeden giermek wyprzedzał go od strony rzeki.

Robert się nudził. Wojna z Francją utknęła. Pod koniec ubiegłego roku, jak gdyby chcąc wojennym wypadem potwierdzić wyzwanie w wieży Nesle, poprzestano na zajęciu wysepki na morzu między Brugią a Ecluse, a należącej do hrabiego Flandrii. Francuzi w odwecie najechali i spalili kilka nadbrzeżnych gródków na południu Anglii. Wojna jeszcze się nie rozpoczęła, a już papież wymusił zawieszenie broni, obie zaś strony zgodziły się z osobliwych powodów.

Filip VI nadal nie potrafił brać poważnie pretensji Edwarda do korony francuskiej, jednakże wziął sobie do serca przestrogi swego wuja, króla Roberta z Neapolu. Ten książę był erudytą do tego stopnia, aż stał się pedantem; on zaś i porfirogeneta bizantyjski byli jedynymi w historii władcami, którzy zasłużyli na przydomek “astrologów”; po zagłębieniu się w porównawcze studium horoskopów Edwarda i Filipa, to, co w nich wyczytał, tak go zaskoczyło, że zadał sobie trud napisania do króla Francji, iżby “zawsze unikał walki z królem Anglii, owemu bowiem fortuna zbyt będzie sprzyjała we wszelkich jego poczynaniach”. Podobne przepowiednie cokolwiek wiążą ręce i nawet bohater turniejów zawaha się przed kruszeniem kopii o gwiazdy.

Edward III ze swej strony jakby się przestraszył własnej odwagi. Wydarzenia, jakie rozpętał, pod wielu względami mogły się wydawać nie na miarę jego sił. Bał się, że nie ma dość licznej ani dość wyćwiczonej armii, wysyłał do Flandrii i Niemiec poselstwo po poselstwie, by wzmocnić sojusze. Henryk Krzywoszyjek, teraz prawie ślepy, skłaniał go do ostrożności, natomiast Robert d'Artois pchał do bezzwłocznego działania. Na co czeka Edward, by ruszyć na wojnę? Aż wymrą flamandzcy książęta, których zdołano sobie skaptować? Aż Janowi de Hainaut - obecnie wygnanemu z francuskiego dworu po łaskach, jakimi tam się cieszył, a który znów przebywał w Anglii - na tyle osłabnie ramię, że nie uniesie miecza? Aż się zniechęcą folusznicy z Gandawy i Brugii i ujrzą mniej korzyści w nie dotrzymywanych obietnicach króla Anglii niż w posłuchu wobec króla Francji?... Edward pragnął otrzymać gwarancję cesarza; ale cesarz nie narazi się po raz wtóry na klątwę, nim wojska angielskie nie staną na kontynencie. Prowadzono rozmowy, rokowania, dreptano; nazywając rzecz po imieniu: królowi brakowało odwagi.

Czy Robert d'Artois miał powód do skarg? Na pozór wcale. Posiadał zamki i dochody, ucztował przy królu, pił przy królu, cieszył się wszelkimi możliwymi względami. Ale się znużył marnotrawieniem od trzech lat swych wysiłków dla ludzi, którzy nie chcieli ryzykować, dla młodzieńca, któremu podsuwał koronę, i to jaką koronę! - a on po nią nie sięgał. Poza tym czuł się samotny. Ciążyło mu wygnanie, choć ozłocone. Co miał do powiedzenia młodej królowej Filipie, chyba opowiadać jej o dziadku Karolu de Valois, o babce Andegawence Sycylijskiej? Chwilami czuł, jakby był własnym

dziadkiem.

Chciałby zobaczyć królową Izabelę, jedyną w Anglii osobę, z którą go łączyły naprawdę wspólne wspomnienia. Ale królowa matka już się nie pokazywała na dworze; mieszkała w Castle Rising w Norfolk, gdzie syn ją z rzadka odwiedzał. Od egzekucji Mortimera już się niczym nie interesowała.

Robert odczuwał nostalgię uchodźcy. Myślał o pani de Beaumont, jak będzie wyglądała po tylu latach uwięzienia, kiedy ją spotka, jeśli kiedykolwiek mają się połączyć? Czy pozna swych synów? Czy zobaczy kiedyś swój pałac w Paryżu, zamek w Conches, czy zobaczy znów Francję? Tyle się napracował, aby wywołać tę wojnę, ona zaś tak wolno się ciągnie, że będzie musiał czekać aż do stu lat, nim nadarzy się okazja powrotu do ojczyzny!

Przeto owego ranka zły i rozdrażniony samotnie wyjechał na łowy, aby zabić czas i zapomnieć. Lecz trawa ścieląca się pod kopytami konia, gęsta angielska trawa, była jeszcze bardziej obfita i soczysta niż w krainie Ouche. Niebo miało odcień jasnego błękitu, a postrzępione obłoczki płynęły na nim bardzo wysoko; majowy wietrzyk pieścił żywopłoty z kwitnącej tarniny i białe jabłonie, podobne do jabłoni i tarniny w Normandii.

Robert d'Artois wkrótce skończy pięćdziesiąt lat i co ma z życia? Pił, jadł, polował, łajdaczył się, podróżował, trudził się dla siebie i państwa, walczył na turniejach, procesował się więcej niż jakikolwiek mu współczesny. W żadnym życiu nie znajdziesz tylu nieprawości, zamętu i zmartwień. Ale nigdy nie korzystał z chwili obecnej. Nigdy naprawdę nie rozważał, co robi, by się delektować teraźniejszością. Myśl jego wciąż pomykała ku jutru, ku przyszłości. Wino jego za długo stało i sfermentowało, bo chciał je pić w Artois; w miłosnym łożu myślał o klęsce Mahaut; na najlepszych turniejach troska o sojuszników kazała mu hamować rozmach. Podczas jego wędrówki jako banity - polewka na postojach, piwo podczas wypoczynku były zaprawione cierpkim smakiem urazy i nienawiści. Dziś zaś o czym jeszcze myślał? O jutrze, o tym, co nastąpi później. Wściekła niecierpliwość przeszkadzała mu delektować się rozkosznym rankiem, pięknym widnokręgiem, rześkim powietrzem, ptakiem dzikim a uległym, którego uścisk czuł na pięści. Czy to się zowie życiem, a z minionych na ziemi pięćdziesięciu lat pozostanie tylko popiół nadziei?

Z gorzkich rozmyślań wyrwało go wołanie giermka stojącego przed nim na wzgórzu.

- Do lotu! Do lotu! Ptak, Dostojny Panie, ptak!

Robert wyprostował się w siodle, zmrużył powieki. Sokół białozór z głową osłoniętą kapturem, spod którego wystawał jedynie dziób, zadrżał na pięści; on również poznał głos. Rozległ się szmer rozsuwanej trzciny, a później znad brzegu rzeki uniosła się czapla.

- Do lotu, do lotu! - nadal wołał giermek.

Wielki ptak leciał nisko, sunął pod wiatr w kierunku Roberta. Ten go przepuścił, a kiedy ptak oddalił się o blisko trzysta stóp, zerwał kaptur z sokoła i z rozmachem rzucił go w powietrze.

Sokół opisał trzy koła nad głową swego pana, spłynął, musnął ziemię, dostrzegł przeznaczoną dlań zdobycz i pomknął prosto niby strzała z kuszy. Czapla widząc pościg wyciągnęła szyję, by się pozbyć

ryb, które połknęła w rzece, i stać się lżejszą. Lecz białozór się zbliżał, wzbijał się kręcąc, jakby leciał po spirali. Czapla wzlatywała bijąc wielkimi skrzydłami, chcąc uniknąć ataku drapieżnika na swój łeb. Wzbijała się wyżej i wyżej, malała w oczach, lecz traciła na odległości, bo leciała pod wiatr i własna wielkość utrudniała jej lot. Musiała zawrócić; sokół znów w powietrzu zawirował i spadł na nią. Czapla umknęła w bok i szpony nie zdołały się wpić. Jednakże oszołomiony ciosem szczudłak runął jak kamień o pięćdziesiąt stóp, a później jął uciekać. Sokół znów nań spadał.

Zadarłszy głowy Robert i giermek śledzili walkę, w której zwinność brała górę nad ciężarem, szybkość nad siłą, wojownicza zawziętość nad pokojowym instynktem.

- Patrz na czaplę - wołał z pasją Robert - to naprawdę najtchórzliwszy ptak, jaki istnieje. Cztery razy większy niż mój krogulczyk, mógłby go zabić jednym uderzeniem swego wielkiego dzioba, a ucieka, tchórz, ucieka! Bij, zabij, mój ćwiczku! Ach, dzielny ptaszek! Patrz! Patrz! Tamten słabnie, już go capnął!

Puścił konia w cwał, by dojechać do miejsca, gdzie ptaki miały spaść. Szyja czapli uwięzła w szponach sokoła; już się chyba dusiła i spadając ciągnęła za sobą zwycięzcę. O kilka stóp nad ziemią drapieżnik rozwarł szpony, by wypuścić ofiarę samą na ziemię, później rzucił się znów na nią i wykończył tłukąc dziobem w oczy i łeb. Robert i giermek już tu byli.

- Wabidło, wabidło! - rzekł Robert.

Giermek odczepił od siodła martwego gołębia i rzucił sokołowi, by go “przywabić”. Zaprawdę półwabidło; dobrze ułożony sokół wiedział, że należy zadowolić się tą nagrodą nie ruszając zdobyczy. Dzielny białozorek z łebkiem umazanym krwią pożarł martwego gołębia wciąż trzymając łapkę na czapli: Z nieba powoli spływało kilka szarych piór wyrwanych podczas walki.

Giermek zsiadł z konia, podjął szczudłaka i podał go Robertowi; czapla wspaniała, uniesiona w ramionach, od nóg po dziób była niemal wielkości mężczyzny.

- To naprawdę zbyt tchórzliwy ptak! - powtórzył Robert. - Złowienie go prawie nie sprawia satysfakcji. Czaple to krzykacze, boją się własnego cienia i krzyczą, gdy go widzą. Tę zwierzynę należałoby zostawić chłopom.

Nasycony sokół na gwizd posłusznie spoczął na pięści Roberta; ów nasunął nań kaptur. Później wolnym kłusem skierował się do zamku.

Nagle giermek usłyszał, że Robert na pozór bez powodu wybuchnął śmiechem, krótkim, lecz tak głośnym, aż konie zadrżały.

Ponieważ wracali do Windsoru, giermek spytał:

- Co mam zrobić z czaplą, Dostojny Panie?

Robert uniósł wzrok na chorągiew królewską powiewającą na baszcie Windsoru i twarz jego przybrała wyraz drwiący i złośliwy.

- Weź ją i chodź ze mną do kuchni - odparł. - A później poszukaj jednego czy dwóch z minstreli, którzy są w zamku.

V - Śluby przy czapli

Podawano już czwarty z sześciu zestawów potraw, a miejsce hrabiego d'Artois na lewo od królowej Filipy świeciło nadal pustką.

- Czy nasz kuzyn Robert jeszcze nie wrócił? - spytał Edward III, którego już przy zasiadaniu do stołu zdziwiła ta nieobecność.

Jeden z licznych giermków-krajczych krążących za biesiadnikami odpowiedział, że już przed dwiema godzinami widziano hrabiego Roberta wracającego z łowów. Co oznaczało takie uchybienie? Gdyby Robert był nawet zmęczony czy chory, mógłby przysłać któregoś sługę, by go usprawiedliwił przed królem.

- Robert zachowuje się na waszym dworze akurat jak w karczmie, Miłościwy Panie Bratanku. Zresztą nic z jego strony nie może zadziwić - rzekł Jan de Hainaut, stryj królowej Filipy.

Jan de Hainaut chełpił się, że celuje w rycerskiej dworności, i nie lubił Roberta, wciąż w nim widząc krzywoprzysięzcę wygnanego z francuskiego dworu za podrabianie pieczęci, i ganił Edwarda III, iż darzy go tak wielkim zaufaniem. Następnie zaś Jan de Hainaut, jak i Robert, był kiedyś zakochany w królowej Izabeli i z nie większym niż on powodzeniem; lecz urażała go rubaszność, z jaką Robert na uboczu mówił o królowej matce.

Edward milczał, miał nadal opuszczone długie rzęsy, kryjąc rozdrażnienie, jakie odczuwał. Powstrzymywał odruch niezadowolenia, który mógłby spowodować, iż mówiono by: “Król coś powiedział bez zastanowienia, król wyrzekł krzywdzące słowa”. Później podniósł wzrok na hrabinę Salisbury, damę z pewnością najpowabniejszą na całym dworze.

Wysoka, o pięknych kruczych warkoczach, owalnej twarzy, jędrnej, białej cerze i oczach przedłużonych liliowym cieniem, hrabina Salisbury zawsze wyglądała na rozmarzoną. Takie kobiety są niebezpieczne, bo myślą, choć na pozór są zatopione w marzeniach. Oczy w liliowym obramowaniu często się spotykały z oczami króla.

William Montaigu, hrabia na Salisbury, wcale nie zwracał uwagi na ową wymianę spojrzeń, przede wszystkim dlatego, że cnotę żony uważał za równie niezachwianą jak prawość króla, swego przyjaciela, a także dlatego, że sam w owej chwili był pod urokiem śmieszków, żywych słów, ptaszęcego świergotu swej sąsiadki, córki hrabiego Derby. Zaszczyty spływały na Salisbury'ego; świeżo został strażnikiem Pięciu Portów i marszałkiem Anglii.

Lecz królowa Filipa była zaniepokojona. Zawsze kobieta się niepokoi, kiedy widzi podczas swej ciąży oczy męża za często skierowane ku innej twarzy. Filipa zaś była znów brzemienna i Edward nie darzył jej ciągłym okazywaniem wdzięczności i zachwytu, jak podczas pierwszego jej macierzyństwa.

Edward skończył dwadzieścia pięć lat; od kilku tygodni zapuścił jedwabistą jasną brodę okalającą

tylko podbródek. Czy po to, by się przypodobać hrabinie Salisbury? Czy też, by nadać większą powagę swej twarzy wciąż młodzieńczej? Z tą brodą król jął nieco przypominać ojca; Plantagenet jakby chciał się w nim przejawić i zwalczyć Kapetynga. Życie samo kala człowieka i tyle traci on na czystości, ile zyskuje na sile. Najprzezroczystsze źródło stając się rzeką nie może uniknąć zanieczyszczenia błotem i mułem. Pani Filipa miała rację będąc niespokojna.

Nagle za drzwiami zabrzmiały wątłe dźwięki kobzy i lutni; otwarły się podwoje, ukazały się dwie najwyżej czternastoletnie pokojóweczki w wianuszkach na głowach i w długich białych koszulach, rzucały przed siebie wydobywane z koszyka stokrotki, kwiaty irysów i dzikiej róży.

Jednocześnie śpiewały: Biegnę na łączkę, bo miłość mnie wzywa. Za dziewczątkami szli minstrele wtórując im na swych instrumentach. Na końcu kroczył Robert d'Artois o pół torsu przewyższając dziecięcą orkiestrę, na wzniesionych ramionach unosił wielki srebrny półmisek z upieczoną czaplą.

Cały dwór jął się uśmiechać, później śmiać z owego krotochwilnego wejścia. Robert d' Artois naśladował giermka-krajczego.. Nie można byłoby wymyślić grzeczniejszego i zabawniejszego sposobu, by przeprosić za spóźnienie.

Pachołkowie przerwali podawanie do stołu i z nożem lub dzbanem w ręku gotowali się utworzyć orszak i uczestniczyć w zabawie.

Lecz nagle zagrzmiał głos olbrzyma zagłuszając śpiew, lutnię i kobzę:

- Rozstąp się, nędzne, podłe plemię. Waszemu królowi niosę dar.

Śmiech rozlegał się nadal. Owo “nędzne, podłe plemię” brzmiało jak wesoły żarcik. Robert przystanął przed Edwardem III, lekko ugiął kolano i podając półmisek wołał:

- Sire, oto czapla złowiona przez mego sokoła. Najtchórzliwszy ptak, jaki istnieje na świecie, bo przed każdym ucieka. Wasi poddani, moim zdaniem, winni go wziąć za godło i nadałby się raczej na herb Anglii niż wymalowane na nim lwy. Wam właśnie, królu Edwardzie, składam go w dani, bo z prawa przynależy do najpodlejszego i najtchórzliwszego księcia tego świata, którego wydziedziczono z królestwa Francji, jemu zaś brak odwagi, aby zdobyć to, co doń należy.

Zaległo milczenie. Cisza, u jednych trwożna, u innych pełna oburzenia, zastąpiła śmiechy. Obelga była niewątpliwa. Już Salisbury, Suffolk, Wilhelm de Mauny, Jan de Hainaut unieśli się z krzeseł, czekając na znak króla, by się rzucić na hrabiego d'Artois. Robert nie był pijany. Czyżby oszalał? Na pewno był szalony, bo aż dotąd nigdy nikt nie słyszał, by ktokolwiek na dworze, a tym bardziej cudzoziemiec wygnany z rodzinnego kraju, w ten sposób postępował.

Policzki młodego króla spłonęły rumieńcem. Edward patrzył Robertowi prosto w oczy. Czy wygna go z sali, wygna z królestwa?

Edward zawsze rozważał kilka sekund, nim przemówił, wiedząc, że liczy się każde słowo króla, nawet gdy giermkowi mówi “dobranoc”. Zamknąć usta siłą nie zmazuje wypowiedzianej obelgi. Edward był mądry, a zarazem uczciwy. Nie okazuje się odwagi odbierając w gniewie

przygarniętemu krewniakowi nadane mu dobra; nie okazuje się odwagi wtrącając do więzienia człowieka, ponieważ oskarża was o słabość. Okazuje się odwagę dając dowód, że oskarżenie było mylne. Powstał.

- Ponieważ traktuje się mnie jako tchórza w obliczu dam i moich baronów, raczej warto, abym ja powiedział, co o tym myślę, abym zapewnił was, kuzynie, iż źleście mnie ocenili, wcale nie lękliwość powstrzymuje mnie jeszcze od wyprawy; ślubuję wam, że przed końcem roku przepłynę morze, aby wyzwać króla mającego się za władcę Francji i będę z nim walczył, choćby mi przyszło z jednym na dziesięciu. Wdzięczny wam jestem za czaplę, którąście dla mnie złowili, i przyjmuję ją szczerze dziękując.

Biesiadnicy milczeli, lecz nastrój się zmienił, napięcie osłabło. Wszyscy odetchnęli. Łyżka na ziemię spadła z brzękiem. Źrenice Roberta zabłysły triumfem. Skłonił się i rzekł:

- Sire, mój młody i dzielny kuzynie, nie oczekiwałem od was innej odpowiedzi. Przemówiło wasze rycerskie serce. Wielce mnie raduje wasza szlachetność, ja zaś, Miłościwy Panie Edwardzie, nabieram wielkiej otuchy, bo dzięki temu będę mógł znów zobaczyć moją żonę i dzieci. Ślubuję wam na Boga, który nas słyszy, że wszędzie będę was poprzedzał w bitwie, i proszę Go, aby mnie obdarzył długim życiem, żeby wam należycie się odsłużyć, siebie zaś pomścić.

Później zwrócił się do wszystkich biesiadników:

- Szlachetni lordowie, czy każdy z was nie pragnie ślubować, jak to uczynił król, wasz Miłościwy Pan?

Wciąż niosąc upieczoną czaplę z piórami zatkniętymi przez kucharza na skrzydłach i kuprze, Robert podszedł do hrabiego Salisbury:

- Szlachetny Montaigu, do was pierwszego się zwracam!

- Hrabio Robercie, tak jak pragniecie - odparł Salisbury, który przed kilku minutami już był gotów nań się rzucić.

I powstawszy wyrzekł:

- Ponieważ król nasz, Miłościwy Pan, wyznaczył sobie przeciwnika, ja również dokonuję wyboru: ponieważ jestem marszałkiem Anglii, ślubuję, iż nie zaznam spoczynku, aż w bitwie pokonam marszałka rzekomego króla Francji Filipa.

Ogarnięci ochotą biesiadnicy przyklasnęli.

- Ja też chcę ślubować - zawołała klaszcząc w ręce panna Derby. - Dlaczego panie nie miałyby prawa ślubować?

- Ależ mogą, szlachetna hrabianko - odparł Robert - i to z wielkim pożytkiem; mężczyźni tym pewniej dotrzymają słowa. Hejże, dziewuszki - zwrócił się do obu dziewcząteк w wianuszkach - zaśpiewajcie na cześć pani, która chce ślubować.

Minstrele i dzieweczki podjęli: Biegnę na łączkę, bo miłość mnie wzywa. Później przed srebrnym półmiskiem, na którym czapla stygła we własnym sosie, panna Derby srebrzystym głosikiem powiedziała:

- Ślubuję i przyrzekam Bogu w raju, że nie wyjdę za mąż ani za księcia, ani za hrabiego, ani barona, zanim szlachetny lord na Salisbury nie wypełni swego ślubu. A gdy powróci, jeśli ujdzie żywy, oddam mu moje ciało, i to z całego serca.

Ślubowanie owo cokolwiek zadziwiło, a Salisbury zaczerwienił się.

Piękne krucze warkocze hrabiny Salisbury ani drgnęły; tylko wargi zacisnęły się z lekką ironią, a obrzeżone liliowym cieniem oczy usiłowały zahaczyć o spojrzenie króla Edwarda, jakby chcąc mu dać do zrozumienia: “Nie za wiele musimy się krępować”.

Robert tym sposobem przystawał przed każdym biesiadnikiem każąc kobziarzowi wygrać kilka tonów, a dziewczętom zaśpiewać, by każdy miał czas przygotować ślubowanie i wybrać przeciwnika. Hrabia na Derby, ojciec panny, która złożyła tak śmiałe ślubowanie, przyrzekł wyzwać hrabiego Flandrii; nowo mianowany hrabia na Suffolk wybrał sobie króla Czech. Wielkie na obecnych wywarł wrażenie Wilhelm de Mauny; rozpłomieniony, ponieważ świeżo został pasowany na rycerza, przyrzekł obrócić w perzynę wszystkie wokół Hainaut miasta należące do Filipa, choćby nawet miał w zamian stracić jedno oko.

- A więc niech się tak stanie - rzekła jego sąsiadka; hrabina Salisbury, kładąc mu dwa palce na prawym oku. - A kiedy spełniony zostanie wasz ślub, wtedy serce moje oddam temu, kto mnie najgoręcej miłuje; tak składam ślub.

Jednocześnie spozierała na króla. Lecz naiwny Gautier, sądząc, że obietnica przeznaczona jest dla niego, miał nadal zamkniętą powiekę, mimo że dama już odjęła palce. Po czym wydobył chustkę do nosa, a była ona czerwona, i przewiązał ją przez czoło, by oko było nadal osłonięte.

Chwila czystej wzniosłości minęła. Do współzawodnictwa w słownej brawurze domieszały się śmiechy. Czapla dotarła do pana Jana de Hainaut, ów gorąco spodziewał się, że prowokacja obróci się przeciw sprawcy. Nie lubił otrzymywać nauczek w sprawie dwornych obyczajów i na pucołowatej jego twarzy odbijało się źle ukrywane rozczarowanie.

- Gdy pijąc wino siedzimy w oberży - rzekł do Roberta - niewiele kosztuje nas ślubowanie, by ściągnąć na się spojrzenia dam. Widzimy wówczas wśród nas tylko Olivierów, Rolandów i Lancelotów. Ale gdy podczas bitwy pędzimy na rumakach z tarczą przy szyi i nastawioną kopią, gdy mrozi nas przejmujący chłód przed zbliżającym się wrogiem, iluż pyszałków wolałoby przebywać w piwnicy! Król Czech, hrabia Flandrii i marszałek Bertrand są równie dobrymi jak my rycerzami, kuzynie Robercie, dobrze o tym wiecie, bo obaj wygnani z francuskiego dworu, choć z różnych powodów, mieliśmy sposobność dostatecznie ich poznać; jeszcze nie otrzymaliśmy za nich okupów! Ja zaś po prostu ślubuję, że jeśli nasz król Edward raczy przejeżdżać przez Hainaut, zawsze będę przy nim, by popierać jego sprawę. A będzie to trzecia wojna, w której będę mu służył.

Robert podszedł teraz do królowej Filipy. Przyklęknął. Pulchna Filipa zwróciła ku Edwardowi

piegowatą twarz. - Nie mogę ślubować - rzekła - bez zezwolenia mego pana i władcy.

Tym sposobem spokojnie dała nauczkę swym damom dworu.

- Ślubujcie, co wam się podoba, moja miła, ślubujcie gorąco; z góry pochwalam i niech Bóg was wesprze - rzekł król.

- Jeśli więc mogę ślubować, mój najsłodszy Panie, co chcę - podjęła Filipa - ponieważ jestem w ciąży, a nawet czuję, że dziecko się we mnie porusza, ślubuję, że nie opuści ono mego łona, aż przewieziecie mnie za morze przy spełnianiu waszego ślubu...

Głos jej drżał lekko, jak w chwili, gdy składała małżeńską przysięgę.

- ...lecz jeśli się zdarzy - dorzuciła - że mnie tu zostawicie i z innymi ruszycie za morze, wtedy zabiję się wielkim stalowym nożem, by zgubić zarazem własną duszę i własne dziecko.

Przemawiała bez patosu, lecz bardzo wyraźnie, by każdy został uprzedzony. Spojrzenia jęły omijać hrabinę Salisbury. Król opuścił długie rzęsy, ujął rękę królowej, podniósł ją do ust i wśród ciszy rzekł, by rozproszyć przykry nastrój:

- Miła moja, wszystkich nas wyście pouczyli o naszych obowiązkach. Po was nikt nie będzie ślubował.

Po czym rzekł do Roberta:

- Kuzynie d'Artois, zajmijcie wasze miejsce obok Pani Królowej.

Giermek dzielił czaplę, mięso było twarde, bo pieczono je nieskruszałe, i zimne, bo za długo czekało. Jednakże każdy zjadł kęsek. Robert delektował się wyśmienitym smakiem upolowanej zwierzyny: zaprawdę tego dnia rozpoczęła się wojna.

VI - Pod murami Vannes

Śluby złożone w Windsor zostały dotrzymane:

Dnia 16 lipca roku 1338 Edward III wypłynął z Varmouth na czele floty złożonej z czterystu statków. Nazajutrz lądował w Antwerpii. Towarzyszyła mu królowa Filipa, a liczni rycerze naśladując Gautiera de Mauny przesłonili prawe oko skośną opaską z czerwonego sukna.

Nie nastał jeszcze czas walk, ale rokowań. W Koblencji 5 września Edward spotkał cesarza Niemiec.

Na tę uroczystość Ludwik Bawarski wykoncypował sobie dziwny strój wpół cesarski, wpół papieski: kapłańska dalmatyka na tunice królewskiej i korona z pąkami skrząca się wokół tiary. W jednej ręce trzymał berło, w drugiej - kulę ziemską zwieńczoną krzyżem. W ten sposób stwierdzał, że jest jakby zwierzchnikiem całego chrześcijaństwa.

Z wysokości tronu ogłosił zagarnięcie władzy przez Filipa VI jako przestępcze, uznał Edwarda za króla Francji i wręczył mu złotą rózgę, tym samym mianując go wikariuszem cesarskim. Jeszcze jeden pomysł Roberta d'Artois, który sobie przypomniał, jak to Karol de Valois przed każdą z własnych kampanii zabiegał o mianowanie go wikariuszem papieskim. Ludwik Bawarski przysiągł bronić przez lat siedem praw Edwarda, wszyscy zaś książęta niemieccy przybyli z cesarzem potwierdzili to przyrzeczenie.

Tymczasem Jakub van Artevelde nadal wzywał do buntu ludność z hrabstwa Flandrii, skąd ostatecznie uciekł Ludwik de Nevers. Edward III jechał z miasta do miasta, przewodniczył wielkim zgromadzeniom, kazał uznawać się za króla Francji. Obiecywał przyłączyć do Flandrii Douai, Lille, nawet Artois, aby na wszystkich tych ziemiach wspólnie powiązanych utworzyć jeden naród. Ponieważ w wielkim planie figurowało Artois, stało się przejrzyste, kto go podszepnął i kto pod angielską opieką zeń skorzysta.

W tymże czasie Edward postanowił rozszerzyć handlowe przywileje miejskie; zamiast żądać subsydiów, przyznawał subwencje i pod swymi przyrzeczeniami przykładał pieczęć, na której widniały wyryte razem herby Anglii i Francji.

W Antwerpii królowa Filipa powiła drugiego syna, Lionela.

Próżno w Awinionie papież Benedykt XII usilnie zabiegał o pokój. Nie zezwolił swego czasu na krucjatę, by uniemożliwić wojnę francusko-angielską, a oto była ona teraz aż nazbyt pewna.

Już w Vermandois i Thierache przednie straże angielskie i załogi francuskie starły się w ciężkich potyczkach, na co Filip VI odpowiedział wysłaniem wojskowej jednostki do Gujenny, drugiej zaś jednostki aż do Szkocji, by tam w imieniu małego Dawida Bruce podsycić rebelię.

Edward III wciąż jeździł z Flandrii do Londynu i z powrotem, we włoskich bankach zastawiał

klejnoty koronne, aby zapewnić swym wojskom zaopatrzenie i zadowolić wymogi swych nowych wasali.

Filip VI zwoławszy wojska wziął królewskie godło wojenne, oriflammę, w opactwie Saint-Denis i doszedł aż za Saint-Quentin, po czym, oddalony tylko o jeden dzień drogi od Anglików, kazał swej armii zawrócić półkolem i złożyć oriflammę na ołtarzu w Saint-Denis. Co było powodem tego osobliwego uniku króla, bohatera tylu turniejów? Każdy się o to pytał. Czy Filip uważał, że pora jest zbyt dżdżysta, by wszczynać walkę? Czy nagle przyszły mu na myśl złowieszcze przepowiednie jego wuja Roberta Astrologa? Oświadczył, że opowiada się za innym zamierzeniem. Trwoga w ciągu jednej nocy zmusiła go do opracowania innego planu. Zdobędzie królestwo Anglii. Nie po raz pierwszy Francuzi tam wylądują; czyż przed trzema wiekami diuk Normandii nie zdobył całej Anglii?... Przeto on, Filip, pojawi się na tymże wybrzeżu koło Hastings; diuk Normandii, syn jego, stanie mu przy boku... Każdy z obu królów przechwalał się, że zdobędzie królestwo drugiego.

Lecz owo przedsięwzięcie wymagało najpierw władztwa na morzu. Ponieważ Edward większą część wojsk miał na kontynencie, Filip postanowił odciąć go od macierzystego kraju, aby uniemożliwić zaopatrzenie wojska w żywność i posiłki. Zniszczy flotę angielską.

22 czerwca 1340 roku pod Ecluse po szerokiej zatoce dzielącej Flandrię od Zelandii płynęło dwieście statków o przepięknych imionach, francuska bandera łopotała na głównym maszcie: Pątniczka, Nawa Boża, Mikusia, Zakochana, Strojnisia, Matka Boska Radosna... Na statki wsiadło dwadzieścia tysięcy marynarzy i żołnierzy, ponadto hufiec kuszników; lecz nie naliczyłbyś więcej niż stu pięćdziesięciu herbowych. Francuskie rycerstwo nie lubiło morza.

Kapitan Barbavera, dowódca pięćdziesięciu genueńskich galer wynajętych przez króla Francji, powiedział admirałowi Behuchet:

- Dostojny Panie, król Anglii i jego flota nas zaatakują. Płyńcie na pełne morze, bo jeśli pozostaniecie tutaj zamknięci jak teraz między wielkimi groblami, Anglicy, którym sprzyja wiatr, słońce i przypływ, tak was ścisną, że nie dacie sobie rady.

Trzeba było go usłuchać; miał trzydziestoletnie doświadczenie w żegludze, a w ubiegłym roku na rzecz króla Francji odważnie spalił i splądrował Southampton. Ale admirał Behuchet, były przełożony nad królewskimi lasami i wodami, odpowiedział dunnie:

- Hańba temu, kto stąd ujdzie.

Kazał ustawić statki w trzech szeregach; na nich zgrupował

marynarzy z Sekwany, później rekrutów z Pikardii i Dieppe, wreszcie z Caen i Cotentin; rozkazał statki połączyć linami i rozstawił ludzi jak na zamkach obronnych.

Król Edward, który onegdaj wyjechał z Londynu, rozporządzał flotą o podobnej sile. Nie miał więcej wojowników niż Francuzi; lecz statki obsadził dwu tysiącami rycerzy; wśród nich znalazł się Robert d'Artois, mimo wielkiego wstrętu, jaki żywił do żeglugi.

Wśród floty znajdowała się również, pod pieczą ośmiuset żołnierzy, nawa z damami dworu królowej Filipy.

Wieczorem Francja pożegnała się z panowaniem na morzu.

Nawet schyłku dnia nie dostrzeżono, tak jasno płonęły francuskie statki.

Rybaków z Normandii i Pikardii, marynarzy z Sekwany rozsiekli angielscy łucznicy i Flamandowie, którzy na płaskodennych barkach nadpłynęli na pomoc z wybrzeża, by zajść tyły ożaglowanym zamkom obronnym. Rozlegał się jedynie trzask omasztowań, szczęk broni, wrzask zarzynanych. Na pokładach porąbanych statków walczono na miecze i topory. Ci, co przeżyli, usiłowali wymknąć się pod koniec rzezi i nurkowali między trupami i już nie było wiadomo, czy się pływa w wodzie, czy we krwi; setki uciętych rąk unosiło się na powierzchni morza.

Zwłoki admirała Behuchet wisiały na rei statku Edwarda. Barbavera z genueńskimi galerami już od dawna wypłynął na pełne morze.

Anglicy byli wyczerpani do cna, lecz triumfowali. Największe ich nieszczęście: utrata nawy z damami, zatopionej wśród przeraźliwych wrzasków. Suknie pływały w tej morskiej trupiarni jak martwe ptaki.

Młody król Edward był ranny w udo i krew mu spływała po białym skórzanym bucie; ale odtąd walki miały się już toczyć na francuskiej ziemi.

Natychmiast Edward III wysłał do Filipa VI ponowne pismo z wyzwaniem. “Pragnąc oszczędzić ludom i krajom ciężkich zniszczeń i śmierci wielu chrześcijan, czemu każdy książę winien zapobiegać”, król angielski proponował francuskiemu kuzynowi stoczenie pojedynku, ponieważ spór toczył się o dziedzictwo Francji i był ich sprawą osobistą. Jeśli zaś Filip nie życzy sobie owego “starcia między nimi”, proponuje mu spotkanie w szrankach ze stu rycerzami po każdej stronie, inaczej mówiąc turniej, lecz na długie kopie, na wyostrzone miecze, gdzie nie będzie sędziów orzekających, którzy czuwaliby nad walką; nagrodą zaś będzie nie ozdobna agrafa czy sokół białozór, ale korona Ludwika Świętego.

Jednakże sławny na turniejach król odpowiedział, że propozycja kuzyna jest nie do przyjęcia, bo skierowana została do Filipa de Valois, a nie do króla Francji, przeciw któremu Edward jako wasal zdradziecko się zbuntował.

Papież wszczął rokowania o ponowny rozejm. Legaci jego nie szczędzili wysiłków i należy im przyznać zasługę doprowadzenia do wątpliwej wartości pokoju, na który obaj książęta zgodzili się, by zaczerpnąć tchu.

Owo drugie zawieszenie broni mogłoby nawet potrwać dłużej, lecz zmarł diuk Bretanii. Nie pozostawił prawego syna ani spadkobiercy w linii prostej. Księstwa zażądali jednocześnie hrabia de Montfort, najmłodszy jego brat, i Karol de Blois - siostrzeniec - analogiczna sprawa do sporu o Artois przedstawiała się w aspekcie prawnym w ten sam sposób. Filip VI poparł pretensje swego krewniaka Karola de Blois, spowinowaconego z rodem Valois. Edward III natychmiast się

opowiedział za Janem de Montfort. Przeto było dwóch królów Francji, każdy z nich miał swego diuka Bretanii, podobnie jak każdy swego króla Szkocji.

Roberta bardzo mocno obchodziła Bretania, ponieważ po kądzieli pochodził z rodu jej diuków. Edward III nie mógł uczynić nic lepszego, niż powierzyć olbrzymowi dowództwo nad armią, która miała tu lądować.

Wielka godzina Roberta d'Artois nadeszła:

Robert ma pięćdziesiąt sześć lat. Wokół twarzy o mięśniach stwardniałych od długotrwałej nienawiści włosy przybrały dziwaczną barwę cydru rozcieńczonego wodą, jaka cechuje rudych, kiedy siwieją. Już nie jest owym nicponiem, który sobie wyobrażał, że wojuje, gdy rabował zamki swej stryjny Mahaut. Wie teraz, czym jest wojna; starannie przygotowuje swą wyprawę; posiada mir, jakiego użycza wiek i ogrom doświadczeń nagromadzonych w ciągu burzliwego życia. Szanowany jest powszechnie. Któż pamięta, że ongiś był fałszerzem, krzywoprzysięzcą, mordercą i po trosze czarownikiem? Kto by śmiał mu to wypomnieć? Jest Dostojnym Panem Robertem, starzejącym się kolosem, lecz wciąż o zadziwiającej sile, zawsze odzianym w czerwień i zawsze pewnym siebie, kroczy po francuskiej ziemi na czele angielskiej armii. Lecz czyż to dla niego ma znaczenie, że jego wojska są obce? A zresztą tak samo myślą wszyscy hrabiowie, baronowie i rycerze. Wyprawy ich to sprawy rodzinne, a bitwy to walka o dziedzictwo; wróg jest kuzynem, lecz sojusznik to również kuzyn. Słowo “obcy” oznacza “wróg” jedynie dla ludu, którego domy zostaną spalone, stodoły obrabowane, a kobiety zgwałcone; nie zaś dla książąt, którzy bronią swych tytułów i zatwierdzają swój stan posiadania.

Wojna między Anglią a Francją to dla Roberta własna wojna; on jej pragnął, głosił ją i spowodował - stanowi wynik jego dziesięcioletnich nieustannych zabiegów. Zda się, iż tylko dla niej został stworzony i wyłącznie dla niej żył. Ongiś uskarżał się, że nigdy nie mógł posmakować chwili teraźniejszej; tym razem nareszcie się nią delektuje. Wdycha powietrze jak cudowny likwor; każda minuta to łyk szczęścia. Z grzbietu ogromnego kasztana, z rozwianym włosem i hełmem zawieszonym u siodła, rzuca ludziom rubaszne żarty, od których aż ciarki przechodzą. Pod swymi rozkazami ma dwadzieścia dwa tysiące rycerzy i żołnierzy; gdy się odwraca, widzi aż po horyzont skrzące się kopie niby straszliwy łan. Uciekają przed nim ubodzy Bretończycy, jedni na wózkach, większość pieszo, w łapciach z płótna lub kory, kobiety ciągną dzieci, mężczyźni niosą na ramieniu woreczek z gryką.

Robert d'Artois ma pięćdziesiąt sześć lat, ale może jeszcze przejechać bez zmęczenia piętnaście mil, a także nadal marzyć... Jutro zajmie Brest; później zajmie Vannes, później zajmie Rennes;

stamtąd wkroczy do Normandii, zdobędzie Alencon, własność brata Filipa de Valois; z Alencon

pędzi do Evreux, Conches, do swego drogiego Conches! Pędzi do zamku Gaillard, uwalnia panią de Beaumont. Później niepokonany spada na Paryż; jest w Luwrze, Vincennes, Saint-Germain, zrzuca z tronu Filipa d' Valois i przekazuje koronę Edwardowi, a ten go mianuje generalnym namiestnikiem królestwa Francji. W życiu zaznał powodzeń i niepowodzeń bardziej niepojętych, gdy nie miał wzbijającej pył na drodze całej armii za sobą.

W istocie Robert zajmuje Brest, gdzie oswobadza wojowniczego ducha i krzepkiego ciała hrabinę de Montfort, która oparta o morze nadal się broni na krańcach swego księstwa, podczas gdy król Francji trzyma w niewoli jej męża. W istocie Robert przejeżdża w triumfie Bretanię i istotnie oblega Vannes; każe wznieść balisty i katapulty, wycelować ogniste bombardy, nad którymi dym rozwiewa się w listopadowych chmurach, otwiera wyłom w murze. Załoga w Vannes jest liczna, lecz zda się niezbyt zacięta; czeka na pierwszy atak, aby móc się poddać z honorem. Obie strony muszą poświęcić trochę ludzi, by dopełniła się owa formalność.

Robert każe dopiąć sobie hełm, dosiada olbrzymiego rumaka, który nieco ugina się pod jego ciężarem, wykrzykuje ostatnie rozkazy, opuszcza na twarz przyłbicę, wymachuje kręcąc w kółko ponad głową sześciofuntową buławą. Heroldowie klaszczą chorągwią, wrzeszczą w głos: “Artois do boju.!”

Piechurzy biegną obok koni, niosą w sześciu długie drabiny; inni trzymają kije z płonącymi na końcu pakułami kłaków; grzmot toczy się ku rumowisku kamieni, gdzie rozpadł się wał; pod ciężkimi szarymi chmurami rozwiana szata Dostojnego Pana d'Artois czerwieni się niby piorun...

Strzała z kuszy wycelowanej z blanków przeszywa jedwabną szatę, zbroję, skórzany kubrak, płócienną koszulę. Cios nie był dotkliwszy niż uderzenie włócznią w zapasach; Robert d'Artois sam wyrywa strzałę i po kilku stajach, nie pojmując, co mu się przydarzyło, ani dlaczego niebo nagle tak poczerniało, ani dlaczego jego nogi już nie obejmują konia - wali się w błoto.

Podczas gdy wojska zajmują Vannes, odnoszą do obozu olbrzyma bez hełmu, wyciągniętego na drabinie; pod drabinę spływa krew.

Robert nigdy przedtem nie był ranny. Dwie kampanie we Flandrii, własna wyprawa na Artois, wojna w Akwitanii... przez to wszystko Robert przeszedł bez draśnięcia. Ani złamana kopia na pięćdziesięciu turniejach, ani kły dzika nawet nie musnęły mu ciała.

Dlaczego przed Vannes, przed miastem nie stawiającym prawdziwego oporu, będącym tylko drugorzędnym postojem na drodze jego epopei? Nikt nie doniósł Robertowi d'Artois o jakiejś złowieszczej przepowiedni związanej z Vannes lub Bretanią. Ramię napinające kuszę należało do jakiegoś nieznajomego, który nawet nie wiedział, do kogo strzela.

Cztery dni Robert walczył już nie z książętami i parlamentami, nie z prawem o dziedzictwo, ze zwyczajami w hrabstwach, z ambicją czy chciwością królewskich rodów; walczył z własnym ciałem. Śmierć weń wkraczała przez ranę o czarniawych brzegach, rozwartą między sercem, które tak gwałtownie biło, a brzuchem, który tyle wchłaniał; nie śmierć lodowata, lecz trawiąca ogniem. Płomień wstąpił mu w żyły. Śmierć musiała przez cztery dni spalać siły tkwiące w tym ciele na wiele jeszcze lat życia.

Odmówił sporządzenia testamentu krzycząc, że jutro dosiądzie konia. Trzeba było go przywiązać, by opatrzyć ostatnimi sakramentami, ponieważ chciał zabić kapelana sądząc, że poznaje w nim Thierry d'Hirsona. Bredził.

Robert d'Artois zawsze nie cierpiał morza; statek rozwinął żagle, by go odwieźć do Anglii. Przez całą noc, kołysany przez fale, procesował się przed sądem, dziwnym sądem, na którym zwracał się do francuskich baronów zwąc ich "szlachetnymi lordami" i żądał od Filipa Pięknego, by w wykonaniu bulli papieskiej wyklinającej Filipa de Valois, rozkazał odebrać mu dobra, płaszcz, berło i koronę. Głos Roberta rozlegał się od kasztelu na rufie po dziób statku, wznosił się aż do ludzi w bocianim gnieździe na omasztowaniu.

Przed świtem nieco się uspokoił i zażądał, by przysunięto materac do drzwi; chciał patrzeć na gasnące gwiazdy. Lecz już nie zobaczył wschodu słońca. W chwili gdy umierał, jeszcze wyobrażał sobie, że pójdzie na wojnę. Ostatnim słowem, jakie wyszło z jego ust było: "Przenigdy"; nie wiadomo, czy zwracał się do królów, morza czy do Boga.

Każdy człowiek przychodząc na świat otrzymuje misję znikomą czy kapitalną, ale na ogół przezeń nie znaną, a jego charakter, stosunki z bliźnimi, przebieg życia skłaniają go, by ją wypełniał nieświadomie, lecz ze złudzeniem wolnej woli. Robert d'Artois podpalił Zachód, jego misja już jest zakończona.

Gdy we Flandrii król Edward III dowiedział się o śmierci Roberta, rzęsy mu zwilgotniały i wysłał do królowej Filipy list, w którym pisał:

"Słodkie serce. Bóg powołał do siebie naszego kuzyna Roberta d'Artois; ze względu na uczucie, jakie doń żywiliśmy, oraz nasz honor napisaliśmy do kanclerza i skarbnika i poleciliśmy im pochować go w naszym mieście Londynie. Pragniemy, słodkie serce, abyście czuwali, by postąpili wedle naszej woli. Niech Bóg czuwa nad wami. Dan w mieście Grandchamp pod pieczęcią osobistą w dniu Świętej Katarzyny, roku naszego panowania w Anglii szesnastego, we Francji trzeciego".

W początkach stycznia roku 1343 krypta katedry Świętego Pawła w Londynie przyjęła najcięższą trumnę, jaką kiedykolwiek do niej spuszczono.

... Tu autor zmuszony przez historię do zabicia swego ulubionego bohatera, z którym współżył w ciągu sześciu lat, odczuwa smutek równy zmartwieniu króla Anglii Edwarda; pióro wypada mu z rąk, jak mówią starzy kronikarze, i nie pragnie ciągnąć opowieści, przynajmniej na razie, a jedynie zaznajomić czytelnika z końcem życia niektórych głównych bohaterów tej historii. Przekroczmy jedenaście lat i przekroczmy Alpy.

Epilog - Jan I Nieznany

I - Droga do Rzymu

W poniedziałek 22 września roku 1354 znamienity sieneńczyk Giannino Baglioni otrzymał list w pałacu Tolomeiów, siedzibie banku należącego do owej kompanii; list od słynnego Coli di Rienzi, który zawładnął był Rzymem i przybrał starożytny tytuł trybuna. W piśmie tym, datowanym w ubiegły czwartek na Kapitolu, Cola di Rienzi pisał do bankiera:

"Wielce drogi przyjacielu, w poszukiwaniu was wysłaliśmy ludzi z poleceniem, by spotkawszy was prosili o łaskawe przybycie do nas, do Rzymu. Donieśli nam, że istotnie odnaleźli was w Sienie, lecz nie zdołali skłonić do odwiedzin. Uprzednio nie pisaliśmy do was, ponieważ nie było pewne, czy was odnajdą, lecz teraz, gdy wiemy, gdzie przebywacie, prosimy, abyście niezwłocznie do nas przyjechali, natychmiast po otrzymaniu tego listu, i to w wielkiej tajemnicy w sprawach tyczących Królestwa Francji".

Z jakiego powodu trybun, który wychował się w oberży na Trastevere, lecz twierdził, że jest nieprawym synem cesarza Niemiec Henryka VII - a więc przyrodnim bratem króla Jana Czeskiego - sławiony przez Petrarkę jako wskrzesiciel starożytnej wielkości Italii, z jakiego powodu Cola di Rienzi chciał rozmawiać, i to pilnie, i w tajemnicy z Gianninem Baglioni? W następnych dniach, w czasie drogi do Rzymu wciąż zadawał sobie to pytanie. Podróżował ze swym przyjacielem notariuszem Angelem Guidarellim poprosiwszy go, aby mu towarzyszył, przede wszystkim dlatego, że jazda we dwójkę wydaje się krótsza, a także dlatego, że notariusz był młodzieńcem roztropnym i biegłym we wszystkich bankowych sprawach.

We wrześniu słońce jeszcze ogrzewa wioski otaczające Sienę, a słoma na ścierniskach okrywa pola niby płowe futro. Jest to jeden z najpiękniejszych w świecie krajobrazów; Bóg lekko nakreślił falistą linię pagórków i zasiał obfitą, różnorodną roślinność, wśród której króluje cyprys. Człowiek pracowicie uprawia tu ziemię i wszędzie pobudował swe siedziby, wszystkie one, od książęcej willi po najskromniejsze folwarczne budynki w barwie ochry, mają krągłe dachówki, jednaki wdzięk i harmonię. Droga nigdy nie jest monotonna, wije się, wznosi, opada ku nowym dolinom wśród tysiącletnich oliwek i półek schodzących tarasami. W Sienie tak Bóg, jak i człowiek, wyróżnili się talentem.

O jakichże to francuskich sprawach rzymski trybun pragnie rozmawiać, i to potajemnie, ze sieneńskim bankierem? Dlaczego aż dwukrotnie do niego wysyłał ludzi i przesłał ów ponaglający list, w którym go nazywał "wielce drogim przyjacielem"? Czy aby nie chodziło o udzielenie nowych pożyczek królowi w Paryżu lub zapłacenie okupu za jakichś możnych panów w niewoli angielskiej? Giannino Baglioni nie przypuszczał, że Coli di Rienzi aż tak leży na sercu los Francuzów.

A gdyby tak było istotnie, dlaczego trybun nie zwrócił się do innych członków kompanii, do starszych, do Tolomea Tolomei, Andrea, Giacoma lepiej obeznanych z owymi sprawami, bo ongiś jeździli do Paryża, by zlikwidować spadek po starym wuju Spinello, gdy trzeba było pozamykać kantory we Francji? Oczywiście Giannino miał matkę Francuzkę, piękną, młodą damę, trochę smutną, która jawiła mu się wśród dziecięcych wspomnień na tle starego zamku w dżdżystym kraju.

Oczywiście, ojciec jego Guccio Baglioni, kochany ojciec, zmarły już przed czternastu laty podczas podróży do Kampanii... i Giannino kołysząc się na koniu kreślił na piersi dyskretny znak krzyża... ojciec jego, gdy przebywał we Francji, był mocno zamieszany w wielkie dworskie sprawy między Paryżem, Londynem, Neapolem i Awinionem. Obcował z królami i królowymi, a nawet osobiście uczestniczył w słynnym konklawe w Lyonie...

Jednak Giannino nie lubił wspominać Francji, właśnie z powodu matki, której nigdy już nie zobaczył i nie wiedział, czy żyje jeszcze, czy już umarła; z powodu swego pochodzenia, prawego w opinii ojca, nieprawego w oczach pozostałej rodziny, wszystkich tych krewniaków nagle odnalezionych, gdy miał dziewięć lat: dziadka Mina Baglioni, wujów Tolomeiów, mnóstwa kuzynów. Długo Giannino czuł się wśród nich obco. Wszystko robił, by zatrzeć różnice, wejść do wspólnoty rodowej, stać się sieneńczykiem, bankierem, Baglionim.

Wyspecjalizował się w handlu wełną, może dlatego, że wciąż trochę tęsknił do owiec, zielonych łąk i dżdżystych poranków; w dwa lata po śmierci ojca poślubił posażną pannę z dobrej sieneńskiej rodziny, Giovannę Vivoli, która obdarzyła go trójką synów, i żył z nią bardzo szczęśliwie, zanim zmarła podczas moru w 1348. W następnym roku ponownie się ożenił z bogatą panną Francescą Agazzano i dwóch następnych synów rozweselało jego dom, teraz zaś oczekiwał nowych narodzin.

Szanowali go rodacy, uczciwie załatwiał sprawy i powszechnemu uznaniu zawdzięczał urząd kamerlinga w szpitalu Matki Boskiej Miłosiernej.

San Quirico d'Orcia, Radicofani, Acqapendente, jezioro Bolsena, Montefiascone; noce spędzane w gospodach o grubych portykach, a rankiem dalsza podróż... Giannino i Guidarelli opuścili Toskanię. W miarę posuwania się naprzód Giannino czuł się coraz mocniej zdecydowany odpowiedzieć trybunowi Coli jak najgrzeczniej, że nie zamierza mieszać się w żadne transakcje z Francją. Notariusz Guidarelli w pełni go pochwalał; włoskie kompanie zachowały zbyt przykre wspomnienie po łupieżach, królestwo Francji zaś od początku wojny z Anglią zbyt podupadło, żeby mu chociaż obola zawierzyć. Lepiej żyć w małej republice jak Siena, kwitnącej sztuką i handlem, niż wśród wielkich narodów pod rządami wariatów.

Giannino bowiem pilnie śledził z pałacu Tolomeiów sprawy francuskie w ostatnich latach; zachowano tam wiele należności, które z pewnością nigdy nie zostaną spłacone! Naprawdę szaleńcy ci Francuzi, począwszy od ich króla Valois, który zdołał utracić najpierw Bretanię i Flandrię, następnie Normandię, następnie prowincję Saintonge, a później jak jeleń przedzierał się przez zarośla, ścigany wokół Paryża przez angielskie wojska. Ów bohater turniejów, który cały świat chrześcijański chciał poprowadzić na wyprawę krzyżową, odmówił pojedynku z wrogiem; co wyzwał go do walki na równinie Vaugirard, tuż u bram Pałacu; później wyobraziwszy sobie, że Anglicy uciekają, ponieważ cofali się ku północy... po co mieliby uciekać, skoro wszędzie zwyciężali?... Filip, wyczerpując swe zastępy w uciążliwych marszach, rzucił się w pogoń za Edwardem, dosięgnął go za Sommą i tutaj nastąpił kres jego chwały.

Echo bitwy pod Crecy dotarło aż do Sieny. Wiadomo, jak to król Francji zmusił swych piechurów do ataku nie zezwoliwszy im zaczerpnąć tchu po pięciomilowym marszu i jak francuska jazda rozgniewana na ten motłoch, który nie posuwał się dość szybko, szarżowała poprzez własną piechotę roztrącając ją, obalając i tratując pod kopytami koni, by z kolei samej dać się rozsiekać w

krzyżowym ogniu angielskich łuczników.

- Usprawiedliwiają swą klęskę powiadając, że pociski z prochem dostarczone Anglikom przez Italię posiały zamęt i przerażenie w ich szeregach z powodu wielkiego huku. Ależ nie, Guidarelli, to wcale nie pociski z prochem, to ich własna głupota.

Ach! Nie można zaprzeczyć, że dokonano pięknych i walecznych czynów. Na przykład widziano, że Jan Czeski, oślepły pod pięćdziesiątkę, zażądał, aby go powieść do bitwy na rumaku przywiązanym z obu stron do wierzchowców dwóch jego rycerzy; i ślepy król rzucił się w wir bitwy wymachując buławą, by na kogo ją spuścić? Na głowy dwóch nieszczęśników, którzy go wiedli. Znaleziono go martwego nadal przywiązanego do dwóch zabitych towarzyszy; doskonały symbol kasty rycerskiej pogrążonej w mroku swych hełmów, która gardząc ludem wyniszczała się nawzajem jakby dla kaprysu.

Wieczorem po Crecy Filip błąkał się po wsi mając przy sobie tylko sześciu ludzi i jęcząc stukał do drzwi małego zameczku:

- Otwórzcie, otwórzcie nieszczęsnemu królowi Francji!

Ongiś messer Dante - nie należy zapominać - przeklął ród Valois począwszy od jego założyciela, hrabiego Karola, pogromcy Sieny i Florencji. Wszyscy wrogowie kończyli niezbyt chwalebnie.

Po Crecy zaś dżuma przywleczona przez Genueńczyków. Po tych również nie można się spodziewać nic dobrego! Statki ich przywlokły straszliwą zarazę, która ogarnęła najpierw Prowansję, a następnie Awinion, miasto przegniłe od rozpusty i łotrostwa. Wystarczy posłuchać słów messer Petrarki o tym nowym Babilonie, aby zrozumieć, że cuchnąca niesława i wystawione tam na pokaz grzechy skazywały go na klęskę za te winy.

Toskańczyk nigdy nie jest rad z niczego i nikogo, prócz samego siebie. Nie mógłby żyć, gdyby nie przeklinał. Giannino zaś okazywał się prawdziwym Toskańczykiem. W Viterbo obaj z Guidarellim jeszcze nie przestali krytykować i ganić całego świata.

Przede wszystkim, co robił papież w Awinionie, zamiast przebywać w Rzymie, miejscu, wyznaczonym przez świętego Piotra? Dlaczego zawsze wybierano Francuzów na papieży, jak Piotr Roger, były biskup Arras, który wstąpił na tron po Benedykcie XII i panował teraz pod imieniem Klemensa VI? Dlaczego i on z kolei mianował tylko Francuzów na kardynałów i odmawiał powrotu do Italii? Bóg ich wszystkich pokarał. W ciągu kilku miesięcy zamknięto w Awinionie siedem tysięcy domów wyludnionych przez zarazę; wozami wywożono trupy. Później bicz Boży skierował się na północ przez kraj wyniszczony wojną. Dżuma dotarła do Paryża, gdzie kosiła po tysiąc ludzi dziennie, możnych i ubogich, nie szczędząc nikogo. Żona diuka Normandii, córka króla Czech, umarła na dżumę, królowa Nawarry Joanna, córka Małgorzaty Burgundzkiej, umarła na dżumę. Nawet samą królową Francji, Joannę Kulawą, siostrę Małgorzaty, dżuma zgładziła; Francuzi jej nienawidzili i mówili, że śmierć jej to sprawiedliwa kara.

Ale dlaczego musiała paść ofiarą pierwsza małżonka Giannina, Giovanna Baglioni o pięknych oczach w kształcie migdału i smukłej alabastrowej szyi? Czy to ma być sprawiedliwość? Czy to

sprawiedliwie, że zaraza spustoszyła Sienę? Zaprawdę, Bóg okazuje zbyt mało rozeznania i za często każe płacić cnotliwym za winy grzeszników.

Szczęśliwi, co umknęli zarazie! Szczęśliwy messer Giovanni Boccaccio, syn przyjaciela Tolomei, jak i Giannino z matki Francuzki, bo mógł przebywać bezpiecznie w pięknej willi możnego pana w okolicach Florencji! Przez cały czas zarazy, chcąc zabawić uchodźców w willi Palmieri i pozwolić im zapomnieć o czyhającej u wrót śmierci, Boccaccio pisał te piękne i krotochwilne dykteryjki, które teraz powtarza cała Italia. Odwaga, jaką okazali goście hrabiego Palmieri i sam messer Boccaccio, czyż nie jest więcej warta niż głupia zuchwałość rycerzy francuskich? Notariusz Guidarelli całkowicie dzielił to przekonanie.

Król Filip zaś ożenił się powtórnie ledwie w trzydzieści dni po śmierci złej królowej. W tym Giannino jeszcze upatrywał powód do nagany, nie w powtórnym małżeństwie, bo i on je zawarł, ale w bezwstydnym pośpiechu króla Francji do drugiego wesela. Trzydzieści dni. A kogóż to wybrał Filip VI? I tu dykteryjka nabiera smaczku! Odebrał swemu pierworodnemu księżniczkę, z którą ów miał powtórnie się żenić, kuzynkę jego, Blankę, córkę króla Nawarry, zwaną Mądrą Ślicznotką.

Olśniony pojawieniem się na dworze osiemnastoletniego dziewczątka, Filip wymógł na swym synu, Janie Normandzkim, aby mu ją odstąpił, i Jan zgodził się połączyć z hrabiną de Boulogne, dwudziestoczteroletnią wdówką, do której nie odczuwał wielkiej skłonności, prawdę rzekłszy - jak i do jakiejkolwiek innej damy, bo zdaje się, że następca tronu Francji popatrywał raczej na giermków.

Pięćdziesięcioześcioletni król odnalazł w ramionach Mądrej Ślicznotki młodzieńcze zapały. Zaprawdę, Mądra Ślicznotka! Pasowało do niej to imię; Giannino i Guidarelli trzęśli się ze śmiechu na swych koniach. Mądra Ślicznotka! Messer Boccaccio mógłby ją opisać w jednej ze swych powiastek. Po trzech miesiącach pannica ściskała już tylko kości króla-szermierza i odprowadzono do opactwa Saint-Denis owego wspaniałego durnia, który tylko po to panował przez jedną trzecią wieku, by doprowadzić królestwo od bogactwa do ruiny.

Nowy król Jan II, obecnie trzydziestoześcioletni, przezwany nie wiedzieć czemu Dobrym, posiadał - wedle opowiadań podróżnych - akurat te same wybitne zalety co i ojciec i tyleż szczęścia w swych poczynaniach. Był tylko bardziej marnotrawny, niestały i płochy; ale przypominał także matkę obłudą i okrucieństwem. Wietrząc wszędzie zdradę kazał już ściąć konetabla.

Ponieważ król Edward III obozując w zdobytym przez siebie Calais ustanowił Order Podwiązki, w dniu gdy mu się spodobało osobiście przyczepić sobie pończochę swej kochanki, pięknej hrabiny Salisbury, król Jan II, nie chcąc być poślednim w dwornych obyczajach, ufundował Order Gwiazdy, aby nim uczcić swego hiszpańskiego faworyta, młodego Karola de la Cerda. Na tym się skończyły jego bohaterskie czyny.

Lud zdychał z głodu; po wsiach i w rzemiośle na skutek zarazy i wojny brakowało rąk do pracy; żywności było mało, a ceny - wyśrubowane; redukowano urzędy; na wszystkie transakcje nakładano podatek prawie jeden sold od liwra.

Wędrowne bandy podobne do niegdysiejszych pastuszków, lecz jeszcze bardziej szalone, wędrowały po kraju, tysiące mężczyzn i kobiet w łachmanach nawzajem się biczowało powrozem lub łańcuchem,

wyjąc na drogach ponure psalmy, i nagle ogarnięte szałem wyrzynało, jak zwykle Żydów i Włochów.

Tymczasem dwór francuski błyszczał nadal kłującym w oczy zbytkiem, wydawał tyle na jeden turniej, ile wystarczyłoby do wyżywienia wszystkich biedaków w hrabstwie, odziewał się wcale nie po chrześcijańsku, mężczyźni stroili się w klejnoty jeszcze więcej niż kobiety, w szaty wcięte w pasie i tak krótkie, że odsłaniały pośladki, i w buty zakończone tak długimi szpicami, że się potykali.

Czyż poważniejsza kompania bankowa może udzielić takim ludziom nowych pożyczek lub dostarczać wełny? Oczywiście nie. Giannino Baglioni w dniu 2 października wjeżdżając do Rzymu przez Ponte Milvio był w pełni zdecydowany odmówić trybunowi Coli di Rienzi:

II - Noc na Kapitolu

Podróżni rozgościli się w osterii na Campo dei Fiori w porze, kiedy wrzaskliwi handlarze wyprzedają pęki róż i usuwają z placu różnobarwny i wonny dywan wyścielający ich kosze.

O zmierzchu, wziąwszy oberżystę jako przewodnika, Giannino Baglioni wybrał się na Kapitol.

Co za cudowne miasto ten Rzym, jaka szkoda, że nigdy tu nie był; oglądając żałował, że nie może co krok przystawać! Ogromny w porównaniu ze Sieną i Florencją, a jeśli Giannino ma wierzyć opowiadaniom ojca - jest chyba większy niż Paryż czy Neapol. Z labiryntu uliczek otwierał się widok na cudowne, nagle wyłaniające się pałace, a pochodnie lub latarnie oświetlały portyki i dziedzińce. Gromady chłopców trzymając się za ręce śpiewały na ulicach. Przechodnie poszturchiwali się, lecz bez złośliwości, i uśmiechali do cudzoziemców. Oberż było bez liku; zalatywały stamtąd smakowite zapachy: gorącej oliwy, szafranu, smażonej ryby i pieczonego mięsa. Życie tu chyba tętniło całą noc.

Giannino wstąpił na wzgórze Kapitolińskie przy świetle gwiazd. Trawa rosła przed kościelnym portykiem; obalone kolumny, posąg wznoszący strzaskane ramię świadczyły o starożytności miasta. Po tej ziemi stąpali August, Neron, Tytus, Marek Aureliusz...

W ogromnej sali zbudowanej na starych fundamentach świątyni Jowisza Cola di Rienzi w licznej kompanii spożywał wieczerzę; Giannino podszedł do niego, przyklęknął i wymienił swe imię. Trybun zaraz pochwycił go za ręce, podniósł i kazał zaprowadzić do sąsiedniej komnaty, dokąd po paru chwilach sam przybył.

Rienzi, choć przybrał tytuł trybuna, jednak obliczem i postawą raczej przypominał imperatora. Upodobał sobie purpurę; płaszcz swój drapował jak togę. Kołnierz okalał szeroką i krągłą szyję; masywna twarz o wypukłych jasnych oczach, krótkie włosy, podbródek świadczący o silnej woli jakby mówiły, że należy mu się miejsce w szeregu popiersi Cezarów. Trybun miał lekki tik, drgało mu prawe nozdrze nadając twarzy wyraz zniecierpliwienia. Krok miał władczy. Ledwie się ów człowiek pojawił, a już wszystko wskazywało, że urodził się, by wydawać rozkazy, że ma dalekosiężne plany dla swego narodu i należy z pośpiechem podchwytywać jego myśli i do nich się stosować. Usadowił Giannina przy sobie, rozkazał sługom zamknąć drzwi i czuwać, by nikt mu nie przeszkadzał; po czym natychmiast jął zadawać pytania w niczym nie zatrącające o sprawy bankowe.

Nie troszczył się o handel wełną, pożyczki, listy wymienne. Obchodził go jedynie Giannino i sam Giannino. W jakim wieku przybył z Francji? Gdzie spędził najwcześniejsze dzieciństwo? Kto go wychowywał? Czy zawsze nosił to samo imię?

Po każdym pytaniu Rienzi oczekiwał odpowiedzi, słuchał, potakiwał głową, znów pytał.

A więc Giannino przybył na świat w paryskim klasztorze. Aż do dziewiątego roku życia wychowywała go matka, Maria de Cressay, w prowincji Ile-de-France koło miasteczka zwanego Neauphle-le-Vieux. Co on wie o pobycie matki na francuskim dworze? Sieneńczyk przypomniał

sobie opowieści swego ojca Guccia Baglioni: wkrótce po urodzeniu Giannina Maria de Cressay została wezwana na dwór jako mamka do nowo narodzonego syna królowej Klemencji Węgierskiej; lecz przebywała tam krótko, ponieważ dziecko królowej umarło po kilku dniach, podobno otrute.

Giannino jął się uśmiechać. Jest mlecznym bratem króla Francji; prawie nigdy o tym nie myślał, rzecz ta wydawała mu się nie do wiary, prawie godna śmiechu, gdy blisko czterdziestki rozmyślał o sobie i swym spokojnym życiu włoskiego mieszczanina.

Ale dlaczego Rienzi zadawał mu te wszystkie pytania? Dlaczego trybun o wypukłych jasnych oczach, bastard przedostatniego cesarza, przypatrywał się jemu z taką pilną uwagą?

- Więc to na pewno wy - rzekł wreszcie Cola di Rienzi - to na pewno wy...

Giannino nie rozumiał, co ów ma na myśli. Jeszcze bardziej się zadziwił, gdy zobaczył, że potężny trybun przykląkł na ziemi i pochyliwszy się ucałował mu prawą stopę.

- Jesteście królem Francji - oświadczył Rienzi - i odtąd wszyscy winni traktować was jako takiego.

Aż świece zatańczyły przed oczami Giannina.

Gdy dom, w którym spokojnie jemy obiad, nagle się rozstępuje od trzęsienia ziemi, gdy statek, gdzie się spało, roztrzaskuje się nocą o rafy, również w pierwszej chwili nie pojmujemy, co nastąpiło.

Giannino Baglioni siedział w komnacie na Kapitolu, władca Rzymu klęczał u jego stóp i twierdził, że on, Giannino, jest królem Francji.

- W czerwcu upłynęło dziewięć lat od śmierci damy Marii de Cressay...

- Moja matka umarła? - wykrzyknął Giańnino.

- Tak, mio grandissimo Signore... ta, o której dotąd sądziliście, że jest waszą matką. Na dwa dni przed śmiercią wyspowiadała się...

Giannino po raz pierwszy usłyszał, że zwą go “grandissimo Signore”, i siedział z otwartymi ustami jeszcze bardziej zaskoczony niż pocałunkiem w stopę.

Przeto czując się bliską śmierci Maria de Cressay wezwała do swego łoża augustianina z pobliskiego klasztoru, brata Jordana z Hiszpanii, i przed nim się wyspowiadała.

Myśl Giannina pomknęła ku dziecięcym wspomnieniom. Widział pokój w Cressay i swoją matkę jasnowłosą i piękną... Umarła przed dziewięciu laty, a on o tym nie wiedział. I nagle przestała być jego matką.

Na prośbę umierającej brat Jordan spisał tę spowiedź stanowiącą ujawnienie niesłychanej tajemnicy stanu i niemniej niesłychanej zbrodni.

- Pokażę wam tę spowiedź oraz list brata Jordana będące w moim posiadaniu - rzekł Cola di Rienzi.

Trybun mówił cztery bite godziny. Tyleż trzeba było, przede wszystkim, aby pouczyć Giannina o wszystkich wydarzeniach sprzed czterdziestu lat należących do historii Francji: o śmierci Małgorzaty Burgundzkiej, drugim małżeństwie króla Ludwika X z Klemencją Węgierską.

- Ojciec mój uczestniczył w poselstwie, które pojechało do Neapolu po królową; kilka razy mi o tym opowiadał - rzekł Giannino - należał do świty hrabiego de Bouville...

- Hrabia de Bouville, powiadacie? Wszystko się zgadza! Był to ten sam hrabia de Bouville mianowany opiekunem łona królowej Klemencji, waszej matki, nobilissimo Signore, on to kazał sprowadzić z klasztoru, gdzie odbyła połóg, damę de Cressay, aby was karmiła. Właśnie o tym opowiedziała.

W miarę słów trybuna Gianninowi mieszało się w głowie. Wszystko przewracało się do góry nogami, mroki się rozjaśniały, a dzień zmieniał w noc. Giannino nie raz zmuszał trybuna, by się cofał, podobnie jak wówczas, gdy wykonuje się zbyt zawiłe obliczenia. Nagle dowiedział się, że ojciec już nie był jego ojcem, a matka - jego matką, prawdziwy zaś ojciec, król Francji, zabójca swej pierwszej żony, umarł sam zamordowany. Przestał być mlecznym bratem króla Francji zmarłym w kołysce. On sam jest owym królem Francji nagle wskrzeszonym.

- Zawsze was zwano Janem, prawda? Królowa, wasza matka, dała wam to imię z powodu ślubowania. Jan lub Giovanni, czyli Giovannino lub Giannino... Jesteście Janem I Pogrobowcem.

Pogrobowiec! Złowieszczy przydomek, jedno ze słów, które nawodzą na myśl cmentarz. Toskańczycy słysząc je zawsze układają palce lewej ręki w znak wideł.

Nagle imiona hrabiego d'Artois, hrabiny Mahaut, osób związanych z niezwykłymi wspomnieniami ojca... nie, nie ojca; ale tamtego, Guccia Baglioni... wyłaniały się z opowiadania trybuna obarczone straszliwymi dziejami. Hrabina Mahaut, ta, która już otruła była ojca Giannina, tak, króla Ludwika... postanowiła zgładzić również noworodka.

Ale przezorny hrabia de Bouville podstawił zamiast dziecka królowej synka mamki, który zwał się również Janem. To jego zabito i pochowano w Saint-Denis.

Giannino poczuł, jak opuszczają go siły - nie mógł tak szybko odzwyczaić się, że nie jest Gianninem Baglionim, synem sieneńskiego kupca - jakby mu obwieszczano, że wydał ostatnie tchnienie w wieku pięciu dni i całe jego dalsze życie, wszystkie myśli, wszystkie uczynki, a nawet własne ciało były tylko złudzeniem. Czuł, że słabnie, przenika go mrok, przemienia się we własną marę. Gdzie się naprawdę znajduje, czy pod płytą w Saint Denis, czy też tutaj, na Kapitolu?

- Czasem mówiła do mnie “moje książątko” - wyszeptał.

- Kto taki?

- Moja matka... Chciałem powiedzieć dama de Cressay, kiedy byliśmy sam na sam. Myślałem, że to pieszczotliwa nazwa, jaką matki obdarzają we Francji swoje dzieci; całowała mi ręce i poczynała szlochać... Och! Ileż rzeczy mi się przypomina... Ta renta, którą mi przysyłał hrabia de Bouville, a

która sprawiała, że wujowie Cressay, brodacz i ten drugi, byli dla mnie milsi, gdy trzos nadchodził.

Co się z nimi wszystkimi stało? Prawie wszyscy pomarli, i to dawno: Mahaut, Bouville, Robert d'Artois... Bracia de Cressay otrzymali pas rycerski w przeddzień bitwy pod Crecy, bo Filip VI zabawił się w kalambur.

- Musieli być już w podeszłym wieku...

Tedy Maria de Cressay nie dlatego nigdy nie chciała znów zobaczyć Guccia Baglioni, że go znienawidziła, jak ów z goryczą przypuszczał, lecz by dochować przysięgi, którą na niej siłą wymuszono powierzając jej małego ocalonego króla.

- Także ze strachu przed zemstą na niej albo na jej mężu - wyjaśnił Cola di Rienzi. - Bo byli małżeństwem, mnich rzeczywiście, choć potajemnie, dał im ślub. Również i to wyznała na spowiedzi. Baglioni zaś przyjechał, by was zabrać, kiedy mieliście dziewięć lat.

- Dobrze pamiętam ten wyjazd... a ona, moja... dama de Cressay nigdy nie wyszła powtórnie za mąż?

- Nigdy, ponieważ jeden związek już zawarła.

- On również ponownie się nie ożenił.

Giannino na chwilę się zadumał, wdrażając się w myśl, że zmarła w Cressay, że zmarły w Kampanii to jego przybrani rodzice.

Później nagle spytał:

- Czy mogę dostać lustro?

- Oczywiście - odrzekł trybun nieco zdziwiony.

Klasnął w dłonie i wydał rozkaz słudze.

- Widziałem królową Klemencję, jeden raz... właśnie gdy zabrano mnie z Cressay i przebywałem kilka dni u wuja Spinello. Ojciec mój... przybrany, jak mówicie, zaprowadził mnie, abym się jej pokłonił. Dała mi cukierki. A więc to ona jest moją matką?

Łzy mu napłynęły do oczu. Wsunął rękę za kołnierz i wyciągnął relikwiarzyk na jedwabnym sznureczku.

- Ta relikwia świętego Jana to od niej...

Rozpaczliwie usiłował odtworzyć rysy królowej o tyle, o ile mogły się one zapisać w pamięci dziecka. Przypominał sobie tylko pojawienie się cudownie pięknej kobiety w bieli, w stroju królowych wdów, położyła mu na czole rękę roztargnioną i różową. “A ja nawet nie wiedziałem, że stoję przed moją matką. Ona zaś po ostatni dzień wierzyła, że syn jej umarł...”

Ach, ta hrabina Mahaut to naprawdę straszna zbrodniarka, bo nie tylko zamordowała niewinne dzieciątko, ale wtrąciła w zamęt i nieszczęście tyle istot!

Wrażenie, że jest kimś nierzeczywistym, opuściło Giannina, ustępując miejsca odczuciu rozdwojenia równie napawającego trwogą. Był sobą i kimś innym, synem sieneńskiego bankiera i synem króla Francji.

A żona jego Francesca? - nagle pomyślał. Kogóż ona poślubiła? A własne jego dzieci? Tedy czy były one potomkami Hugona Kapeta, Świętego Ludwika, Filipa Pięknego?

- Papież Jan XXII na pewno zwietrzył tę sprawę - podjął Cola di Rienzi. - Doniesiono mi, że niektórzy kardynałowie w jego otoczeniu poszeptywali, iż wątpił, czy syn króla Ludwika X umarł. Myślano, że to zwykłe domysły, jakich tyle krąży; wcale nie wydawały się one uzasadnione, aż do momentu spowiedzi in extremis waszej przybranej matki, waszej mamki, która wymogła na augustianinie przyrzeczenie, że was odszuka i powie wam prawdę. Przez całe życie w milczeniu słuchała ludzkich rozkazów; ale gdy miała stanąć przed Bogiem, a ci, co narzucili jej milczenie, już umarli nie zwolniwszy jej z przysięgi, zapragnęła sama uwolnić się ze swej tajemnicy.

Brat Jordan z Hiszpanii, wierny swemu przyrzeczeniu, jął szukać Giannina; lecz na skutek wojny i moru nie dotarł poza Paryż. Tolomeiowie już nie mieli tu kantoru. Brat Jordan czuł się za stary na długie podróże.

- Przekazał więc spisaną spowiedź i wyznanie - podjął Rienzi - innemu mnichowi ze swego zakonu, bratu Antoniemu, mężowi wielkiej świętości, który już kilkakrotnie pielgrzymował do Rzymu i uprzednio mnie odwiedzał. Otóż ten brat Antoni przed dwoma miesiącami zachorowawszy w Porto Venere przesłał mi wszystkie dokumenty oraz własne sprawozdanie i umożliwił mi zapoznanie się ze wszystkim, o czym wam opowiedziałem. Wyznam, że przez chwilę wahałem się, czy mam uwierzyć w tę całą historię. Lecz po namyśle wydała mi się zbyt niezwykła i fantastyczna, aby mogła być wymyślona; ludzka wyobraźnia nie potrafi zdobyć się na coś podobnego. Właśnie prawda często nas zaskakuje. Kazałem sprawdzić daty, zebrać wszelkie dane i was odszukać; najpierw wysłałem do was emisariuszy, którzy nie mając żadnych pism nie mogli was skłonić do przyjazdu do mnie; wreszcie wysłałem do was ten list, dzięki któremu jesteście tutaj, mio grandissimo Signore. Jeśli chcecie dochodzić waszych praw do francuskiego tronu - jestem gotów wam pomóc.

Przyniesiono srebrne lustro. Giannino przybliżył je do wielkich kandelabrów i długo się weń wpatrywał. Nigdy nie lubił własnej twarzy, okrągłej, pozbawionej jędrności, nosa prostego, lecz bez wyrazu, niebieskich oczu pod zbyt jasnymi brwiami; czyż to jest twarz króla Francji?

Giannino zapatrzony w swe lustrzane odbicie usiłował rozproszyć własną marę i odnaleźć samego siebie...

Trybun położył mu rękę na ramieniu.

- Moje pochodzenie - powiedział z powagą - również było okryte osobliwą tajemnicą. Dorastałem w tym mieście, w oberży; podawałem wino tragarzom. Dość późno dowiedziałem się, czyim jestem synem.

Piękne cezarowe oblicze, w którym jedynie prawe nozdrze drgało, jakby zwiotczało.

III - “My Cola di Rienzi...”

Giannino opuścił Kapitol, gdy pierwsze promienie jutrzenki poczynały bramować miedzianą smugą ruiny Palatynu; nie wrócił na Campo dei Fiori, by się przespać. Honorowa straż przydzielona przez trybuna zaprowadziła go na drugi brzeg Tybru do zamku Świętego Anioła, gdzie przygotowano dlań apartamenty.

Nazajutrz szukając u Boga pomocy, by ukoić trawiące go wielkie wzburzenie, spędził kilka godzin w pobliskim kościele; później wrócił do zamku Świętego Anioła. Żądał przybycia swego przyjaciela Guidarellego, lecz proszono go, by z nikim nie rozmawiał, póki znów nie zobaczy się z trybunem. Czekał w osamotnieniu do wieczora, aż po niego przysłano. Cola di Rienzi, zda się, tylko nocą omawiał swe sprawy.

Przeto Giannino wrócił na Kapitol, gdzie trybun przyjął go jeszcze bardziej dwornie niż wczoraj i ponownie się z nim zamknął.

Cola di Rienzi wyłożył mu swój własny plan działania: niezwłocznie wyśle listy do papieża, cesarza i do wszystkich chrześcijańskich monarchów, prosząc o przysłanie doń posłów w sprawie udzielenia wiadomości najwyższej wagi, lecz bez żadnej wzmianki o jej treści; następnie wobec zebranych na uroczystej audiencji posłów przedstawi im Giannina przyodzianego w królewskie insygnia i wskaże nań jako na prawdziwego króla Francji... Oczywiście, jeśli nobilisimo Signore zezwoli.

Giannino królem Francji był od wczoraj, ale sieneńskim bankierem od lat dwudziestu, rozważał, co Rienzi miał na celu, iż z taką niecierpliwością stawał w jego obronie, aż niemal dreszcze przebiegały po wielkim ciele potentata. Dlaczego, skoro od śmierci Ludwika X czterech królów zmieniło się na francuskim tronie, pragnął on wszcząć taki spór? Czy po prostu - jak twierdził - aby ujawnić potworną niesprawiedliwość i przywrócić ograbionemu księciu należne mu prawa? Trybun rychło ujawnił cel swych zamysłów.

- Prawdziwy król Francji mógłby sprowadzić papieża do Rzymu. Fałszywi królowie mają fałszywych papieży.

Rienzi sięgał myślą daleko. Wojna między Anglią a Francją jęła się przekształcać w wojnę jednej połowy Zachodu przeciw drugiej, a jej źródłem, przynajmniej zaś uzasadnieniem prawnym, był dynastyczny spór o sukcesję. Przedstawiając prawego i prawdziwego posiadacza francuskiego tronu niweczono pretensje obu pozostałych królów. Tedy europejscy monarchowie, przynajmniej pokojowi monarchowie, obradujący w Rzymie obalą króla Jana II i oddadzą koronę królowi Janowi I. Jan I zaś zapewni powrót Ojca Świętego do Wiecznego Miasta. Ustaną już zakusy francuskiego dworu na ziemie cesarskie w Italii; ustaną walki gwelfów z gibelinami; zjednoczona Italia będzie mogła dążyć do odzyskania dawnej chwały; wreszcie papież i król Francji, jeśli zapragną, będą nawet mogli Colę di Rienzi, syna cesarza, wskrzesiciela owej chwały i pokoju, uznać za cesarza, i to nie cesarza na wzór niemiecki, ale starożytny! Matka Coli pochodziła z Trastevere, gdzie cienie Augusta, Tytusa, Trajana wciąż się przechadzają, nawet po oberżach, i podsycają marzenia...

Nazajutrz, 4 października, podczas trzeciego spotkania, tym razem w dzień, Rienzi przekazał Gianninowi wszystkie mówiące o nim niezwykłe dokumenty: spowiedź rzekomej matki, relację brata Jordana z Hiszpanii, list brata Antoniego; wreszcie wezwawszy jednego ze swych sekretarzy jął dyktować dokument, który miał wszystko uwierzytelnić.

- "My, Cola di Rienzi, rycerz z Iaski Stolicy Apostolskiej, prześwietny senator Świętego Miasta, sędzia, przywódca i trybun ludu rzymskiego, dokładnie zbadaliśmy dokumenty przedstawione nam przez brata Antoniego i tym większą daliśmy im wiarę, iż z tego, cośmy się dowiedzieli i usłyszeli, w istocie z woli Bożej Królestwo Francji w ciągu wielu lat było wydane na łup wojen i wszelakich klęsk; wierzymy, iż Bóg dopuścił do tych kar jako pokuty za przeniewierstwo popełnione wobec tego męża, a które skazało go na długotrwałe poniżenie i ubóstwo...

Trybun wydawał się bardziej niespokojny niż wczoraj, przestawał dyktować, gdy jakiś podejrzany szmer docierał mu do ucha, albo przeciwnie, gdy zapadała zbyt długa cisza. Wypukłe jego oczy często kierowały się ku otwartym oknom; rzekłbyś, iż wsłuchuje się w miasto.

-... Na nasze zaproszenie Giannino stawił się u nas we czwartek 2 października. Zanim mu powiedzieliśmy, cośmy zamierzali, zapytaliśmy go: kim jest, o jego pochodzenie, imię własne oraz ojca i wszystkie związane z nim sprawy. Z jego odpowiedzi wywnioskowaliśmy, że słowa jego pokrywają się z treścią listów brata Antoniego; widząc to wyjawiliśmy mu z należnym szacunkiem wszystko, czegośmy się dowiedzieli. Lecz wiedząc, że szykuje się w Rzymie przeciw nam rebelia...

Giannino drgnął. Jak to! Cola di Rienzi tak potężny, iż nawet mówił o wysłaniu posłów do papieża i wszystkich książąt tego świata, trwożył się... Spojrzał na trybuna, ów potwierdził przymknięciem powiek jasnych oczu; prawe nozdrze drgnęło.

- Colonnowie - rzekł ponuro.

Po czym jął dyktować:

- ...Ponieważ lękamy się, że zginiemy, nim użyczymy mu jakiejkolwiek pomocy lub środków do odzyskania swego królestwa, kazaliśmy przepisać wszystkie te listy i przekazaliśmy w jego własne ręce w sobotę 4 października 1354 roku przyłożywszy naszą pieczęć z wyrytą wielką gwiazdą otoczoną ośmiu małymi gwiazdkami i kółkiem w środku, a także pieczęcie Świętego Kościoła oraz ludu rzymskiego, aby prawda, jaką stanowi treść listów, otrzymała należytą rękojmię oraz dotarła do wiadomości wszystkich wiernych. Oby Przenajświętszy i Najłaskawszy Pan Nasz Jezus Chrystus obdarzył nas dość długim życiem, byśmy mogli ujrzeć triumf na tym świecie tak słusznej sprawy. Amen, amen!"

Załatwiwszy tę sprawę Rienzi zbliżył się do otwartego okna i biorąc za ramię Jana I nieomal ojcowskim ruchem wskazał mu na leżące sto stóp poniżej wielkie rumowisko starożytnego forum, łuki triumfalne, ruiny świątyń. Zachodzące słońce barwiło różowym złotem te bajeczne kamieniołomy, skąd w ciągu blisko dziesięciu wieków zaopatrywali się w marmur Wandalowie i papieże i jeszcze go nie wyczerpali. Z świątyni Jowisza widać było dom westalek, wawrzyn rosnący w świątyni Wenery...

- Tam - rzekł trybun wskazując na miejsce dawnej kurii rzymskiej - właśnie tam Cezar został zamordowany... Czy chcecie, Szlachetny Panie, oddać mi bardzo wielką przysługę? Nikt was jeszcze nie zna, nikt nie wie, kim jesteście, możecie podróżować jak zwykły mieszczanin ze Sieny. Chcę wam pomóc ze wszystkich mych sił, lecz na to muszę żyć. Wiem, że knuje się przeciw mnie spisek. Wiem, że wrogowie chcą położyć kres memu życiu. Wiem, że śledzą gońców, których wysyłam z Rzymu. Jedźcie do Montefiascone, stawcie się w moim imieniu u kardynała Alborneza i powiedzcie mu, żeby jak najrychlej przysłał mi wojska.

W jakież wydarzenia wplątał się Giannino w tak krótkim czasie? Żądać królestwa Francji! Ledwie został pretendentem do tronu, wyjeżdżał jako emisariusz trybuna, by szukać dlań pomocy. Na nic nie odpowiedział - tak, na nic nie mógł odpowiedzieć - nie.

Nazajutrz, 5 października, po dwunastogodzinnej jeździe dotarł do tegoż Montefiascone, przez które jechał przed pięciu dniami obmawiając tak złośliwie Francję i Francuzów. Porozmawiał z kardynałem Albornezem, który postanowił natychmiast na czele swych wojsk ruszyć na Rzym; lecz już było za późno. We wtorek, 7 października, Cola di Rienzi został zamordowany.

IV - Król Pogrobowiec

Giovanni di Francia wrócił do Sieny, znów zajął się bankiem i handlem wełną, w ciągu dwóch lat siedział cicho. Jedynie często przeglądał się w lustrach. Nie zasnął nie pomyślawszy, że jest synem królowej Klemencji Węgierskiej, krewnym władców Neapolu, prawnukiem Ludwika Świętego. Brakowało jego sercu potrzebnej śmiałości; w czterdziestym roku życia nie opuszcza się Sieny, by krzyczeć: "Jestem królem Francji", nie narażając się, że wezmą go za wariata. Zabójstwo Coli di Rienzi, jego trzydniowego protektora, kazało mu poważnie rzecz rozważyć. Przede wszystkim zaś, do kogo miał się udać?

Jednakże nie chował tak sprawy w tajemnicy, by coś niecoś nie szepnąć żonie Francesce, ciekawskiej jak wszystkie kobiety, przyjacielowi Guidarellemu, ciekawskiemu jak wszyscy notariusze, a zwłaszcza fra Bartolomeo z zakonu braci kaznodziejów, ciekawskiemu jak wszyscy spowiednicy.

Fra Bartolomeo był włoskim mnichem, entuzjastą i gadułą; widział się już kapelanem króla. Gdy Giannino pokazał mu dokumenty przekazane przez Colę di Rienzi, jął rozpowiadać o nich w mieście. Niebawem sieneńczycy szeptali o tym cudzie: prawowity król Francji znajduje się wśród ich rodaków! Gromadzili się przed palazzo Tolomei, kłaniali się w pas, gdy zamawiali wełnę u Giannina; czuli się zaszczyceni podpisując z nim umowę; pokazywali go sobie, gdy chodził po uliczkach. Handlowi podróżnicy, którzy bywali we Francji, zapewniali, że ma twarz zupełnie tamtejszych książąt; jasnowłosy, o pełnych policzkach, nieco rozsuniętych brwiach.

I oto sieneńscy kupcy rozpowszechniają nowinę wśród swych korespondentów we wszystkich w Europie włoskich kantorach. Oto odnajduje się braci Jordana i Antoniego, dwóch augustianów, których wszyscy uważali już za zmarłych, ponieważ w swych pisemnych relacjach podawali się jako bardzo starzy i chorzy, a okazało się, że są pełni sił, a nawet szykują się do wyjazdu do Ziemi Świętej. I oto obaj zakonnicy piszą do Rady Republiki w Sienie, aby potwierdzić wszystkie poprzednie oświadczenia, a nawet brat Jordan pisze do Giannina, opowiada mu o nieszczęściach Francji i zachęca do odwagi!

Nieszczęścia istotnie były ogromne. Król Jan II, "fałszywy król" - jak go zwali teraz sieneńczycy - w pełni dowiódł swego "geniuszu" w bitwie wydanej na zachodzie królestwa, w okolicy Poitiers. Ponieważ piechota pokonała pod Crecy jego ojca Filipa VI, Jan II w dniu bitwy pod Poitiers postanowił spieszyć swych rycerzy, lecz nie pozwolił im zdjąć zbroi i kazał tak odzianym iść na wroga oczekującego ich na szczycie wzgórza. Pokrajano ich razem ze zbrojami jak raki w pancerzach.

Dowodzący na skrzydle najstarszy syn króla, delfin Karol, oddalił się z pola walki jakoby na rozkaz króla, ale wykonał ów rozkaz z zadziwiającym pośpiechem. Mówiono także, że delfinowi puchły ręce i z tego powodu nie mógł długo utrzymać miecza. W każdym razie jego ostrożność ocaliła Francji kilku rycerzy; podczas gdy Jan II pozostał osamotniony z najmłodszym synem Filipem, który doń wołał: "Ojcze, uważajcie na prawo, uważajcie na lewo!" podczas gdy on musiał się chronić

przed całą armią, a wreszcie poddał się pikardyjskiemu rycerzowi, który przeszedł na stronę Anglików.

Teraz król Valois był w niewoli u króla Edwarda III. Czyż nie żądano zań bajecznej sumy miliona dukatów? Ach! Nie należy liczyć na sieneńskich bankierów, by się na nią składali.

Omawiano te wieści z ogromnym ożywieniem w pewien październikowy poranek roku 1356 przed sieneńskim Municipio na pięknym placu w kształcie amfiteatru, okolonym pałacami w barwie ochry i różu; rozprawiano tak gwałtownie gestykulując, aż płoszyły się gołębie, kiedy nagle pojawił się fra Bartolomeo, zbliżył się w swym białym habicie do najliczniejszej grupy i potwierdzając swój rozgłos brata kaznodziei jął przemawiać niby z ambony:

- Nareszcie zobaczy się, kim jest ten król-jeniec i jakie ma tytuły do korony Ludwika Świętego! Chwila sprawiedliwości nadeszła; klęski spadające na Francję od dwudziestu pięciu lat to wyłącznie kara za hańbę, a Jan de Valois jest tylko uzurpatorem... Usurpatore, usurpatore! - wył fra Bartolomeo przed gęstniejącym tłumem. Nie ma on żadnych praw do tronu, który zajmuje. Prawdziwy, prawowity król Francji przebywa w Sienie i wszyscy go znają: zwie się Giannino Baglioni.

Wskazywał palcem ponad dachami w stronę pałacu Tolomeiów.

-... Sądzicie, że to syn Guccia, syna Mina; ale naprawdę urodził się we Francji z króla Ludwika i królowej Klemencji Węgierskiej.

Swoim kazaniem wprawił miasto w takie wzburzenie, że Rada Republiki natychmiast zebrała się w Municipio, zażądała od fra Bartolomeo, by przyniósł dokumenty, zbadała je i po wielkiej naradzie postanowiła uznać Giannina królem Francji. Pomoże się mu odzyskać królestwo; mianuje Radę Sześciu spośród najbardziej doświadczonych i najbogatszych obywateli, by czuwała nad jego interesami, zawiadomi się papieża, cesarza, monarchów, paryski parlament, iż żyje syn Ludwika X, bezecnie ograbiony, lecz niewątpliwy, który żąda swego dziedzictwa. Przede wszystkim zaś uchwalono przydzielić mu straż honorową i przyznać pensję.

Giannino przestraszony zamieszaniem jął się wszystkiego wypierać, lecz Rada nalegała; Rada wymachiwała przed nim jego własnymi dokumentami, żądała, by się sam przekonał. W końcu opowiedział o spotkaniach z Colą di Rienzi, którego śmierć wciąż zaprzątała mu myśli, i wtedy entuzjazm przekroczył wszelkie granice; młodzi sieneńczycy z najszlachetniejszych rodów kłócili się o zaszczyt należenia do jego straży; dzielnice miasta niemal ze sobą walczyły jak w dzień Zapasów.

Gorliwość ta trwała niespełna miesiąc, w tym czasie Giannino przechadzał się z książęcym przepychem po rodzinnym mieście. Małżonka jego nie była pewna, jaką przybrać postawę, i rozważała, czy ona, zwykła mieszczka, może być namaszczona w Reims. Dzieci zaś przez krągły tydzień były przyodziane w świąteczne stroje. Czy Gabriel, pierworodny z pierwszego małżeństwa, ma uchodzić za następcę tronu? Gabriele Primo, król Francji... to brzmi dziwacznie. Czy też... i biedna Francesca Agazzano drżała... Czy papież nie będzie zmuszony unieważnić małżeństwa, tak nie pasującego do dostojnej osoby małżonka, aby ów mógł zawrzeć nowy związek z córką królewskiego rodu?

Korespondenci rychło uspokoili kupców i bankierów. Czyż we Francji nie działo się dostatecznie źle, żeby należało wysuwać jeszcze jednego króla? Bardi z Florencji szydzili, że prawy monarcha jest sieneńczykiem! Francja już ma króla Valois, jeńca w Londynie, gdzie wiedzie on w niewoli wesoły żywot w rezydencji sabaudzkiej nad Tamizą i pociesza się towarzystwem młodych giermków po nieszczęsnej śmierci swego faworyta La Cerda. Francja miała również króla Anglika, który rządził większą częścią kraju. Teraz zaś nowy król Nawarry, wnuk Małgorzaty Burgundzkiej, zwany Karolem Złym, również żądał tronu. Wszyscy zaś byli zadłużeni we włoskich bankach. Ach! Sieneńczykom w sam raz przyszło do głowy popierać pretensje ich Giannina!

Rada Republiki nie wysłała żadnych listów do królów, żadnego posła do papieża, żadnej delegacji do paryskiego parlamentu. Wkrótce odebrano Gianninowi i pensję, i straż honorową.

Lecz teraz on wciągnięty niemal wbrew swej woli w awanturę pragnął dalszego ciągu. Chodziło o jego honor, dręczyły go spóźnione ambicje. Nie zgadzał się, by uważano za nic jego odwiedziny na Kapitolu, że sypiał w zamku Świętego Anioła i z kardynałem szedł na Rzym. Przez miesiąc przechadzał się z książęcą świtą, a kiedy w niedzielę wchodził do katedry z świeżo odnowioną czarno-białą fasadą, nie mógł znieść szeptów: “Patrzcie, ten się podaje za dziedzica Francji!”

Ponieważ postanowiono, że jest królem, będzie nim nadal. Sam napisał do papieża Innocentego IV, który w 1352 roku wstąpił na tron po Piotrze Rogerze; napisał do króla Anglii, króla Nawarry, króla Węgier, przesłał im odpisy swych dokumentów i domagał się przywrócenia mu praw. Na tym poczynania by utknęły, gdyby nie odpowiedział Ludwik Węgierski, jedyny z całej paranteli. Był rodzonym bratankiem królowej Klemencji; w liście swym tytułował Giannina królem i gratulował mu należenia do rodu.

Tedy 2 października 1357 roku, akurat w trzecią rocznicę swego pierwszego spotkania z Colą di Rienzi, Giannino, zabrawszy swe wszystkie dokumenty oraz dwieście pięćdziesiąt złotych talarów i dwa tysiące sześćset dukatów zaszytych w odzież, wyjechał do Budy, by zabiegać o poparcie dalekiego kuzyna, który raczył go uznać; towarzyszyło mu czterech wiernych giermków.

Lecz kiedy po dwóch miesiącach przybył do Budy, nie zastał tu Ludwika Węgierskiego. Przez całą zimę Giannino czekał wydając swe dukaty. Odnalazł sieneńczyka Francesca del Contado, który był tu biskupem.

Wreszcie w marcu węgierski kuzyn wrócił do swej stolicy, ale nie przyjął Giovanniego di Francia. Kazał swoim urzędnikom kilkakrotnie go przesłuchać; ci najpierw opowiedzieli się za jego prawym pochodzeniem, później, po tygodniu, przewrotnie zmienili zdanie twierdząc, że jego pretensje są zwykłym oszustwem. Giannino zaprotestował; odmówił opuszczenia Węgier. Ustanowił Radę pod przewodnictwem sieneńskiego biskupa; zdołał nawet zwerbować pięćdziesięciu sześciu rycerzy spośród pełnej fantazji węgierskiej szlachty, ci zaś zobowiązali się pójść za nim z tysiącem konnych i czterema tysiącami łuczników, a nawet ofiarowali się służyć mu dopóty na własny koszt, dopóki nie będzie w stanie ich opłacić.

Jednak potrzebne było zezwolenie króla Węgier na ich uzbrojenie i wyjazd. Król, choć kazał zwać się “Wielkim”, nie odznaczał się bystrym sądem; sam zapragnął zbadać dokumenty Giannina, oświadczył, że udzieli poparcia i subsydiów przedsięwzięciu. Później, w następnym tygodniu,

oznajmił, że dokładnie rzecz rozważywszy, poniechał zamiaru.

Jednakże 15 maja 1359 roku biskup Francesco del Contado wręczył pretendentowi pismo datowane tegoż dnia z przyłożoną pieczęcią królestwa Węgier i oświadczeniem Ludwika Wielkiego, że "wreszcie oświecony blaskiem prawdy" stwierdza, iż wielmożny Giannino di Guccio, wychowany w Sienie, istotnie pochodzi z królewskiego rodu jego przodków jako syn świętej pamięci króla Francji Ludwika i królowej Klemencji Węgierskiej: List również potwierdzał, że Opatrzność Boska posługując się pomocą mamki królewskiej zapragnęła, by dokonało się podstawienie na miejsce małego księcia innego dziecka, którego śmierć ocaliła Giannina, "podobnie ongiś Dziewica Maria uciekając do Egiptu ocaliła własne dziecię wpajając przekonanie, iż ono już nie żyje".

Biskup Francesco jednakowoż doradzał pretendentowi, aby co rychlej odjeżdżał, nim król Węgier zmieni swe postanowienie, zwłaszcza że nie było całkiem pewne, czy list sam podyktował, ani czy pieczęć została przyłożona z jego rozkazu...

Nazajutrz Giannino opuścił Budę nie mając czasu zebrać wszystkich swych hufców, które zaofiarowały się mu służyć, jednakowoż z dość piękną świtą jak na księcia posiadającego tak mało ziemi.

Tedy Giovanni di Francia udał się do Wenecji, gdzie kazał sobie uszyć królewskie szaty, później do Treviso, Padwy, Ferrary, Bolonii i wreszcie po szesnastomiesięcznej podróży wrócił do Sieny, by stawić się na wybory do Rady Republiki.

Jakkolwiek jego imię po przeliczeniu gałek znalazło się na trzecim miejscu, Rada unieważniła wybór właśnie dlatego, że jest synem Ludwika X, właśnie dlatego, że uznał go jako takiego król Węgier, właśnie dlatego, że nie był rodem z miasta. I odebrano mu obywatelstwo Sieny.

Wielki seneszal królestwa Neapolu udając się do Awinionu przejeżdżał przez Toskanię. Giannino pośpieszył mu na spotkanie; czyż Neapol nie był kolebką jego rodziny po kądzieli? Seneszal przezornie doradził mu zwrócić się do papieża.

Bez eskorty tym razem, bo szlachta węgierska znużyła się, przybył do miasta papieży wiosną 1360 roku, w skromnym stroju pątniczym. Innocenty IV uparcie odmawiał mu audiencji. Francja sprawiała dość kłopotów Ojcu Świętemu, aby zamierzał zająć się dziwnym królem pogrobowcem.

Jan II Dobry wciąż był w niewoli; w Paryżu nadal trwało powstanie, w którym zginął przewodniczący gildii Etienne Marcel po usiłowaniu wprowadzenia władzy ludowej. Na wsi również na skutek nędzy wybuchła rebelia zwana "żakierią". Mordowano się nawzajem, już nie było wiadomo kto przyjaciel, kto wróg. Delfin o spuchniętych dłoniach, bez wojsk i pieniędzy walczył z Anglikiem, walczył z Nawarrą, walczył nawet z paryżanami wspomagany przez Bretończyka du Guesclina, oddawszy mu miecz, którego nie mógł utrzymać. Prócz tego usiłował zebrać pieniądze na okup za ojca.

Panował straszliwy zamęt między jednakowo wyczerpanymi stronnictwami; oddziały podające się za żołnierzy, a w istocie złożone z bandytów, napadały na drogach, rabowały podróżnych, zabijały powodowane zwykłą chęcią mordu.

Pobyt w Awinionie stawał się dla zwierzchnika Kościoła równie mało bezpieczny, jak w Rzymie, nawet pod opieką Colonnów. Należało pertraktować, co rychlej pertraktować, zmusić do zawarcia pokoju wyczerpanych przeciwników, spowodować, aby król Anglii wyrzekł się francuskiej korony choćby za cenę zachowania prawem zdobyczy połowy kraju; aby król Francji zaprowadził jaki taki ład w drugiej połowie. Co robić z rozgorączkowanym pielgrzymem żądającym królestwa i wymachującym nie do wiary relacją nieznanych mnichów i listem króla Węgier, który się go wypierał?

Tedy Giannino błąkał się szukając pieniędzy, usiłując zainteresować swą historią biesiadników w oberży, mających wolną chwilę do stracenia między dwoma dzbanami wina, przypisywał wpływy ludziom, którzy ich wcale nie posiadali; spotykał się z intrygantami prześladowanymi przez los, podróżnikami wielkich kompanii handlowych, przywódcami angielskich band przybyłymi aż tu do Prowansji na rozbój. Mówiono, że jest szaleńcem, istotnie nim się stawał.

W styczniu 1361 roku, gdy siał zamęt w Aix, aresztowali go notable. Pozbyli się go wydając w ręce seneszala Marsylii, który go wtrącił do więzienia. Po ośmiu miesiącach zbiegł, lecz natychmiast został znów pojmany; ponieważ zaś tak głośno powoływał się na swą rodzinę w Neapolu; ponieważ z takim przekonaniem twierdził, że jest synem Pani Klemencji Węgierskiej, seneszal wysłał go do Neapolu.

Właśnie omawiano wówczas małżeństwo królowej Joanny, następczyni Roberta Astrologa, z najmłodszym synem Jana II Dobrego. Ten, po zawarciu przez delfina pokoju w Sretigny, ledwie powrócił ze swej wesołej niewoli, pomknął do Awinionu, gdzie świeżo zmarł Innocenty IV. Król Jan II przedłożył nowo obranemu papieżowi Urbanowi V wspaniały plan słynnej wyprawy krzyżowej, z którą nie zdołali wyruszyć ani jego ojciec Filip de Valois, ani jego dziad Karol.

W Neapolu Jan Pogrobowiec, Jan-Nieznany został uwięziony w zamku Jajo; przez okienko ciemnicy mógł widzieć zamek Nowy, Maschio Angioino, skąd przed czterdziestu sześciu laty wyjeżdżała jego matka tak szczęśliwa, że zostanie królową Francji.

Tam zmarł w tymże roku, sam również osobliwie okrężną drogą podzieliwszy losy Królów Przeklętych.

*

Gdy Jakub de Molay ze szczytu stosu rzucał swe przekleństwo, czy pouczyła go o losie rodu Filipa Pięknego sztuka przewidywania przyszłości - ponoć posiadali ją templariusze? Czy dym otaczający go, kiedy umierał, otworzył oczy jego ducha na wizję proroczą?

Ludy dłużej dźwigają ciężar przekleństw niż książęta, którzy je na siebie ściągnęli.

Żaden z męskich potomków Króla z Żelaza nie uniknął tragicznego losu, każdy umarł przedwcześnie, prócz Edwarda Angielskiego, lecz jemu wymknęła się francuska korona.

Ale lud, lud nie dotarł jeszcze do kresu cierpień. Będzie jeszcze musiał doświadczyć rządów króla mądrego, króla, szaleńca, króla słabego i siedemdziesięciu lat klęsk, nim odblask następnego stosu rozpalonego na ofiarę dziewczyny francuskiej nie rozproszy w wodach Sekwany przekleństwa Wielkiego Mistrza.

Table of Contents

Rozpocznij